CECYLIA SAS-ŁADA.

WBREW OBOWIĄZKOM

Powieść współczesna.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. MANIECKIEGO.
1883.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 2536A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku 7482

884-31.2

D.9.2 28.4.45

I.

Szara godzina, na dworze mgła i wilgoć, zimno przenikliwe, jak zwyczajnie w listopadzie, ale tego w sypialni p. Aurelji się nie czuje. Okna pozamykane szczelnie, ogień rozpalony na kominku, fotele i podnóżki miękkie, czynią zeń miły i ciepły kącik. W półcieniu, który zalega już kąty wszystkie, kontury mebli rysują się zaledwo, ostre linje łagodnieją; ogień pozłaca to róg stołu, to rąbek firanki, a tańcując kapryśnie, zapala iskry raz w ramach obrazów świętych, któremi obwieszone ściany, to w szkle rozstawionem na stole. Na tym stole wykwintny podwieczorek, widać: ciasta, owoce, pasztet strasburski, wino w kryształach, słowem wszystko, co tylko za drogie pieniądze dostać można wśród zimy, będąc smakoszem. Ogień ciekawie zdaje się przyglądać tym przysmaczkom; spoczęło na nich złote oczko jego i niby liczy, niby mruga złośliwie, aż skoczyło w drugi kąt pokoju i nagle rozwidniło się tam, a ze zmroków ukazał się ołtarzyk. Krzyże, obrazy święte i lukulusowa zastawa, dziwnie wyglądają obok siebie, dziwniej jeszcze gość siedzący za stołem. Czarnym on jest cały; — daremnie blask ognia ku niemu się zwrócił, czarny i pozostał czarnym, tylko nogi jego

wysunięte daleko, zabłysły szklącemi butami. Na tych butach leży długie odzienie sukienne, tajemniczemi fałdami otulające go aż do szyi. Twarz gładko ogolona, odbija cerą zdrową; zwyczajne rysy, bez szlachetności i wdzięku, nie mają w sobie nic pociągającego, za to oczy zmrużone nieco, nos długi, szpiczasty i wąskie, zaciśnięte usta, świadczą o pewnej sile i przebiegłości. Na twarzy leżą obok siebie pewność zwycięstwa i przybrana pokora...

Teraz uśmiech chodzi koło ust, które maczają się z roskoszą w kieliszku złocistego wina... Marność świata!... a jednak smakuje ta marność... znać to po roskosznym wyrazie pijącego.

Rozmowa toczy się pełna pogardy dla słabostek ciała, pełna słów budujących, bo wyrażających lekceważenie wszystkiego, co ze świata i dla świata jest.

Mogą mówić swobodnie, ściany tutaj uszu nie mają, i umieją milczeć, drzwi prowadzące do służby zamknięte na klucz, a przy drugich ciężka opuszcza się portjera; temi nikt nie wejdzie, bo konferencji pobożnej p. Aurelji nie wolno przerywać, i otoczenie jej całe wie o tem.

Takie sam na sam przy drzwiach zamkniętych, zdawałoby się może komuś podejrzanem, ale niech nikt nie myśli nic złego, a tembardziej nie wzrusza ramionami! P. Aurelja jest nadzwyczaj cnotliwą osobą, używa tej sławy przynajmniej bezwzględnie, a jej towarzysz, jako ksiądz, tem samem już od wszelkich musi być wolny podejrzeń! Choć on lubi to co i inni, ale zupełnie do innych śmiertelników nie jest podobnym, wszakże duchowną jest osobą! — Że ludzie o zdrożnościach przywykli myśleć, i wyobrażać sobie zaraz coś złego, dla tego tylko p. Aurelja tak bacznie strzeże księdza od wejrzeń profanów, i swoich z nim pogadanek od uszu niepoczciwych, bluźnierczych ludzi. Szczególniej jest ktoś, którego lęka się najbardziej: — kuzynek Stanisław. Dowcip jego nie oszczędza nikogo, nie liczy się z niczem a język skory zawsze do szyderstwa. Przed Stanisławem trzeba się mieć na baczności... a ponieważ bywa często u matki p. Aurelji, a swojej ciotki, wpadając do niej kiedy mu się podoba jako ukochany siostrzeniec (czego Aurelja nie pojmuje wcale, bo prawdziwie starsza pani nie wytłumaczoną ma słabość dla tego nicponia) więc w sali oddzielonej od sypialni Aurelji jednym tylko pokojem, na straży posadzona czuwa matka, która gdyby Stanisław nadszedł, poleconem ma, nie wpuszczać go dalej.

I w zwyczaj już tak weszło strzeżenie konferencyj tajemnych, że matka nie pomyśli nawet, aby inaczej być mogło!

Więc teraz siedzi znów samiuteńka, w dużem krześle poręczowem, pani domu, maleńka, szczupła, siwa kobiecina, o łagodnej bardzo twarzy, zagłębiona w sobie, z robotą leżącą na kolanach, którą dla zmroku robić już nie może. Nie ma przy niej nikogo, lampa niezapalona stoi, bo służba na nieszporach; więc siedzi bezczynna, a w koło niej cisza i smutek tej godziny szarej, co tęskne myśli przywiewa do głowy, i serce osnuwa żałobą. Oczy jej nie widzą dobrze po dniu nawet, teraz zatem zupełnie już nie

umieją rozróżnić otaczających ją przedmiotów, nic ni
przychodzi wrażeniem jakiemś, widokiem weselszym
rozbić tęsknych dumań. W głowie kołują myśli, jak
suchych liści gromada, z szelestem wspomnień za
więdłych. Żal może się budzi w sercu, za tem c
było, co nie powróci nigdy, co spadło z drzewa życi
i leży u nóg martwe już zupełnie!...

Westchnęła... Co tam tak długo robi Aurelja
Nudno samej, smutno, żeby sobie raz już poszedł te
ks. Pafnucy! Szara godzina taka nieznośna... prawd
że Aurelka nie wesoła... ale samej zawsze gorzej
Gdyby to Staś nadszedł... onby najlepiej rozweseli
ciotkę... poczciwy, lubi starą ciotkę... a przyter
zawsze coś powie zabawnego... Przykro siedzie
w ciemności... Służba w kościele, Józefa w dom
nie ma, ha! jak zwyczajnie nie żonaty, nic go ni
trzyma, nic go nie wiąże do domu, stara matka ni
zabawna, z Aurelką ciągłe sprzeczki... a przywy
knienia różne ciągną... kasyno, partyjka, gazety.
gdybyż się raz ożenił! Byłoby zaraz inaczej w domu
przybyłyby wnuki... babce tęskno do wnucząt, ni
ma kogo pieścić, kim się pocieszyć... biegałoby t
śmiało się, figlowało, a teraz cicho! Bóg nie łaskaw
dwoje dał tylko dzieci, a Józio nie żonaty... Aurelka.
ach! ta pewnie już nigdy nie wyjdzie zamąż! Gdyby
doczekać ożenienia jedynaka!... W życiu nie uśmiech
się nic, prócz jedynej nadziei wnucząt, i tych trudn
się doczekać! Ot, bieda!

Starsza pani myśli, myśli, aż zmęczona zdrzemnęł
się, oczy jej zamknęły, głowa opadła niżej; śni si
jej, że wnuki biegają w około, że w około kręcą si

maleńkie główki, w loczkach całe, i nóżki tupią po
dywanie wesoło...

W tem drzwi skrzypnęły i na progu stanęła postać
mężczyzny; ostrożnie posunął się w głąb pokoju, do-
myślając się drzemki. Był to Stanisław, Staś, jak
go zazwyczaj nazywano. Po ruchach znać było, choć
w zmroku, siłę i wdzięk młodości; postawę miał zrę-
czną i kształtną, głowę małą, coś dziarskiego i we-
sołego zarazem w całym sobie. Zbliżył się cicho,
przekonał że ciotka usnęła, i postawszy chwilę, się-
gnął po pudełko z cygarami leżące, jakby czekało
nań na stoliku, potem zakręcił się po pokoju, szu-
kając zapałek. Nie znalazłszy ich nigdzie, posunął
do drugiego pokoju, a tu spostrzegł światło, prze-
ciskające się przez portjerę z sypialni Aurelji.

Stały już tam świece w ciężkich, srebrnych li-
chtarzach, na stole między przysmakami. Wzięte
z ołtarzyka oświecały usłużnie obojętnymi płomykami
jedzenie dobrze już nadpoczęte, twarz księdza i ume-
blowanie panieńskie. Ogień na kominku przygasł, a
niepoetyczne świece inaczej teraz spokojnem świa-
tłem obrzucały pokój, który był zapełniony ołtarzy-
kami, obrazkami i co krok jakąś świętością. Nawet
w powietrzu unosił się tu zapach, coś mając w sobie
zakrystję przypominającego, a woń skwierczących lam-
pek olejnych, mięszała się z pozostałościami jakiegoś
kadzidła i z wyziewami księżej sutanny...

P. Aurelja zdawała się niezadowolona, a wzrok
towarzysza jej, błyszczał silnie z pod brwi zsuniętych
z widoczną niechęcią.

— Nie udały się plany — mówił — szkoda, ale

czyjaż w tem wina? Pewnie nie moja, który z dobrą radą nie byłem nigdy w tyle... Plany były mądre, prawdopodobieństwo wszelkie!

— Co do tego ostatniego darujesz ojcze — żywo odparła panna — ale od pierwszej chwili, to jest, od dzieciństwa Eweliny, najbardziej zaślepiony nie mógł się łudzić... Dziecko strasznie było krnąbrne!

Ksiądz lekko wzruszył ramionami.

— Uprzedzenie! nic, tylko uprzedzenie! Nie pojmuję krnąbrności, której by rozsądne prowadzenie, wpływ rozumny, złamać nie potrafiły!...

— A jednak do niczego dobrego doprowadzić jej nie mogłam! — westchnęła Aurelja. — Odziedziczyła wszystkie matki przywary...

— A toż nie jest także uprzedzeniem? — przerwał ks. Pafnucy. — Nie lubiliście matki, dla tego córki nie umieliście sercem prowadzić!

— Sercem!... gdy ją trzeba było od wszystkiego co się nazywa uczuciem odstręczać!... Serce moje ziemskiego ukochania od dawna się wyrzekło! nie umie zabić, tylkó do swego Boga i sług Jego!

— Było trzeba zapomnieć dawnej urazy... przejąć się wielkością zadania...

— Robiłam com mogła!... chciałam, żeby cnoty się nauczyła, żeby zwracała się cała ku niebu... darmo! straszne winy rodziców, przeszkodą były ku temu, aby córce Bóg łaski swojej użyczył...

— Czy raczej przeszkodą ku temu, stała się pamięć wasza na dawne stosunki; nienawidziliście zawsze Ovena... jej ojca!

— Bo grzechem się brzydzę! — zawołała więcej

porywczo niż zwykle, ale zaraz łagodniejąc.

— Wiem, wiem — odparł niecierpliwie.

— Nie moja wina — rzekła żałośnie — że Ewa słuchać mnie nie chciała nigdy — robiłam wszystko...

Przerwał jej niecierpliwie.

— Wszystko, ale nie dosyć! Ręka słaba, umysł słaby! Trzeba było ugjąć lub złamać... tego nie potrafiliście.

— Ach! — zajęczała Aurelja — zdawało mi się, że mam siłę... że nic trudnego dla chwały Boga, ale... On mi nie pobłogosławił i babka psuła moją robotę!

— P. Oven?... doprawdy! — odrzucił wzgardliwie; wzruszył ramionami, wstał i przeszedłszy się parę razy, powrócił znów do kieliszka z winem.

— Więc wraca jutro? — rzekł popijając.

— Tak, jutro.

— Któż pozwolił na ten powrót? Ja o nim nie wiedziałem.

— Złożyło się to, jak już opowiedziałam... nikt nie był w stanie naprzód powiedzieć, że rzeczy tak się obrócą....

— Rozumiem! — jesteśmy zatem przez p. Oven zwyciężeni! Cóż teraz? Co myślicie teraz?

Panna rozłożyła ręce na znak zupełnej bezradności i zwątpienia.

— Ja doprawdy nie wiem — szepnęła — czekam rady.

— Zanadto prędko zniechęcacie się.

— Jeźli powraca...

— Cóż z tego? z Eweliną powróconą światu, trudniejsza będzie sprawa, nie przeczę, ale rada znaj-

dzie się!... Może się zdarzyć, że sama zapragnie powrócić do klasztoru? Kto to wie? Zbieg wypadków bywa różny!... Miłość zawiedziona często prowadzi w progi pokutniczej celi... trzeba czuwać tylko! A któż to lepiej od was potrafi?

Zniżył jeszcze głos, jakby się bał, aby ktoś nie podsłuchał, i nachylając się ku p. Aurelji szepnął:

— Ten pan Stanisław wielkie ladaco, nie prawdaż? Żenić się nie skory... hm?

— On? o mój Boże! taki lekkoduch, do niczego! Jemu tylko grzeszne rzeczy w głowie... musiałby się cud stać, żeby pomyślał o żonie... bałamut... Czyż nie znana księdzu historja tej biednej Herminji? Póty koło niej się kręcił, póki nie rozkochała się w nim; gdy to spostrzegł, gdy był pewnym, że panna za nim szaleje, umknął, i tyle go widziała! Musiała pójść za pierwszego, który się nadarzył, czekając daremnie rok cały, by nie zostać starą panną... Teraz znów bywa u niej.... mężatka!... Zdaje mu się, że się łatwo z nią zabawi. Ale Herminja ma charakter, ma! Ach! to ptaszek ten mój kuzynek!...

— Słyszałem od was dawniej skargi na Ewelinę, że mimo dziecinnego wieku, widocznie za p. Stanisławem przepada?

Pokiwała głową Aurelja, podniosła oczy do góry, i westchnąwszy nabożnie:

— Ach! niestety — rzekła — tak było; widziałam to aż nadto dobrze! Co za zepsucie w tej dziewczynie!...

— Mogłożby być, że i teraz jeszcze nie zmieniła się dla niego?...

— Nie dałabym za to ani szeląga...

— A więc... — podniósł się i przeszedł znów parę razy, trąc ręce i schylając czoło dumające — a więc — powtórzył — nie przeszkadzać!

Panna patrzyła wielkiemi oczyma; — on dodał:

— Sierota, mająca posagu parę kroć, powinna złego użytku nie robić ze swego majątku... od tego zawisło zbawienie duszne jej grzesznych rodziców... Nie ma obowiązku innego — prócz pamiętania o nich!.. A gdzież zbawienie, gdzie możność odpokutowania, jeźli nie u stóp ołtarzy? Do klasztoru wstąpić musi!... Będziecie fundatorką nowego zakładu dobroczynnego, jej pieniądze do tego posłużą! Staniecie na czele... panna Ewelina musi pójść do klasztoru!... Pamiętajcie o tem! Proszę do mnie udawać się po radę zawsze! — I zabierał się do wyjścia, gdy portjera poruszyła się w sposób niepokojący, i oboje ujrzeli wstępującego do sanctuarium p. Aurelji, Stanisława, w którego oczach migotał płomień stłumionego gniewu, a na ustach bardziej niż kiedy wyraźny, igrał uśmiech ironji.

Skłonił się lekko i rzekł wesoło:

— Widząc światło tutaj, wchodzę bez ceremonji... daruje mi kuzynka — nie myślałem że przeszkodzę. Sługa pana dobrodzieja.

— Mój kuzyn, ksiądz Pafnucy. — zaprezentowała obu Aurelja, która zmięszana, zręcznie starała się sobą zasłonić stolik z jedzeniem.

— Ach! — rzekł Stanisław — dawno pragnąłem poznać pana dobrodzieja. Pozwoli kuzynka zapalić cygaro? Nie mogłem znaleść zapałek pociemku u ciotki.

Panu dobrodziejowi nie szkodzi dymek? Po dobrym podwieczorku może sam pan zechcesz zapalić? Służę, prawdziwe Hawanna... ależ proszę... proszę, niech się pan dobrodziej nie żenuje. Na świeżem powietrzu doskonale będzie smakować.... Ja także uciekam... dym paniom szkodzi, a i mnie duszno u kochanej kuzynki! Pełno tu świętości... ja zaś jestem niegodnym grzesznikiem!... sprofanowałbym moją obecnością pokój poświęcony rozpamiętywaniom nabożnym i modlitwie gorącej... a przytem nie nawykłem do zapachów kościelnych!... Służę panu dobr., wychodzimy tedy razem, nieprawdaż? A ja śmiem go nawet odprowadzić... mam słóweczko do powiedzenia sam na sam...

I z wyszukanem ugrzecznieniem roztworzył drzwi, nie zważając niby, że na klucz zamknięte, i puścił przodem księdza, który poszukawszy kapelusza, pożegnał gospodynię milczącym ukłonem. Ta stała niema, pomięszana i gniewna...

Obaj znaleźli się niebawem na dole. Tu Staś zaraz w bramie zwrócił się do towarzysza twarzą całą, w której błyszczało wcale coś innego, niż dotychczasowa uprzejmość, i zbliżając się tak, że szept jego wpadał prosto w ucho księdza, zawołał:

— Mości księże! słyszałem, coście tam mówili, i nie od dziś wiem, czyje to wpływy kierują Aurelją i przewracają jej głowę! Od dawna nie podoba mi się wiele rzeczy, i rad jestem sposobności, która mi pozwala panu to powiedzieć... dodając, że uważałbym się za nieuczciwego, gdybym pozostał biernym widzem machinacyj, obmyślonych przeciw biednej sie-

rocie! Otóż, radzę po przyjacielsku, abyście dali pokój zamiarom osadzenia p. Eweliny w klasztorze, a przedewszystkiem, abyście przestali tu bywać i obałamucać Aurelję... bo jak mi Bóg miły! jeźli jeszcze raz się tu spotkamy, będziesz pan ze mną miał do czynienia.

I wypowiedziawszy to ultimatum jednym tchem, Stanisław najspokojniej odwrócił się od oniemiałego słuchacza, zostawiając go jako rzecz, z którą nie ma się nic więcej do roboty, i napowrót podążył na górę.

Otwierająca oczy, po drzymce długiej, starsza pani, spostrzegła w rogu jednym sali obszernej, czerwoną gwiazdkę migocącego cygara, która zapowiedziała jej miłego gościa. Stasiowi wolno było palić u ciotki, którą dym wcale nie gorszył, lecz owszem przypominał nieboszczyka męża, zawsze żałowanego. Zawołała też zaraz ucieszona:

— Staś!... a chodźże, niech cię uściskam drogi chłopcze! Czy dawno jesteś tutaj? Bodaj cię! czemużeś mnie nie zbudził!...

— Tak się cioci smacznie spało! Czekałem cierpliwie i nieprzerwałem snu, nieprawdaż? To nie moje cygaro ciocię zbudziło? Siedziałem cichuteńko... rozmyślałem!

— Alboż ty umiesz rozmyślać figlarzu?

— Tak, raz w rok cioteczko! Jak na to, dziś właśnie ten dzień przypada! Bardzo szczęśliwie dla mnie, bom musiał siedzieć nieruchomie i czekać.

— I nad czem rozmyślałeś, proszę cię? Ciekawam doprawdy!

— Najprzód nad tem... że ciocia nie ma nikogo

przy sobie, aby choć lampę zapalić. W przedpokoju pustki, wszyscy w kościele. Proszę też ciotki mi powiedzieć, gdzie są zapałki, muszę spełnić rolę służącego.

To mówiąc żartobliwie, ustawił lampę przed ciotką i zabrał się do trudnej dla siebie rzeczy, zapalenia jej. Gdy światło rozjaśniło pokój, obrócił się uśmiechnięty do starszej pani, przypatrującej mu się z serdecznością w twarzy.

— A co? doskonały ze mnie kamerdyner. Wiem, że ciocia nie lubi pociemku siedzieć, a i ja także, czego najlepszy dowód, że aż do rozmyślań się wziąłem... Mamy jednak już zapaloną lampę, będzie nam weselej, ja się nie zadumam, cioteczka nie zdrzemnie.

Stara pani czule spoglądała na wesołego siostrzeńca. Usłużność jego chwytała ją za serce, ją, nieprzywykłą do tego w domu własnym. Gdy spełniał owo zajęcie dość niezgrabnie, oczy jej nie schodziły z pięknego młodzieńca, który bez wstrętu, z miłości dla niej, dotykał się ręką białą i starannie utrzymaną, naftowej lampy.

— Dziękuję ci — szepnęła i pocałowała go w czoło o wiele bielsze od reszty twarzy — dobry jesteś, uważasz na to, aby mi dogodzić... a mogłeś się zabrukać... Siedziałabym w ciemności, Bóg wie dokąd... służba cała na nieszporach!

— A Aurelja się modli i konferuje z ks. Pafnucym — odparł serjo. — Dla czego ciotka pozwala rozchodzić się wszystkim?

— Bo Aurelja życzy sobie, aby szli na nieszpory...

— I dla tego ciotka zostaje samą, a każdy buja i robi, co mu się podoba, a ciocia nie ma usługi.

— Cóż robić serce, niech się i oni pomodlą.

— Pomodlą? cóż znowu! czy ciotka wierzy, że się modlą?

— Naturalnie! zkądże u ciebie ten pessymizm? Czarno sądzisz i widzisz ludzi,

— Ja pessymista? raczej realistą jestem droga ciociu. Zaraz też ciocię przekonam o tem, że sądzę słusznie i zdrowo. Ma ciocia sześcioro służby, czy tak?

— Tak.

— Czyż podobna, aby w tej liczbie wszyscy co do jednego, byli doskonali, lubieli tylko na nabożeństwa chodzić i nie mieli swoich osobistych upodobań i interesów? Przyzna mi ciocia, że takie przypuszczenie jest co najmniej nieprawdopodobnem. Gdy więc Aurelja pozwala, co mówię, wysyła każdego do kościoła, korzystają z chwilowej wolności i dla siebie ją użytkują. Przed chwilą widziałem Szymka wychodzącego ze szynku, a Jana z kawiarni...

— Bój się Boga cicho!... Jakto, Szymek był w szynku, więc pijany?...

— Tego nie wiem, lecz że na nieszporach nie był, tom pewny.

— To takie poczciwe człeczysko, ma żonę i dzieci... cicho, proszę cię, gdyby Aurelja usłyszała, oddaliła by go zaraz, a jam do niego nawykła; wiesz jak nie lubię nowych twarzy!

— Zdaje mi się, że na to nie uważała Aurelja, gdy oddaliła wierną Basię... także o nabożeństwo poszło.

— Biedna moja Basia!... miała wszystkie zalety, była wierną i przywiązaną do mnie, ale nie była nazbyt pobożną, nie spowiadała się dosyć często, nie należała do bractw, do których Aurelja kazała jej się wpisywać, bo też zważ, kiedy byłaby miała czas na to wszystko? Otóż Aurelka nie chciała zrozumieć tego, nie wybaczała jej, jak mawiała, obojętności religijnej... W samej rzeczy mogła była częściej chodzić do kościoła...

— I ciocię zostawiać samą! Postępowała inaczej, i dlatego ciocia nie ma dziś już wiernej Basi, tylko tę nieznośną Matyldę, która oczy spuszcza, jakby ciągle w obawie była pokus, która nigdy w domu nie siedzi i plotki tylko znosi Aurelji... Czy ciocia wie, że... lecz lepiej nie powiem, bo sambym zakrawał na plotkarza. Moralność przedewszystkiem! oto dewiza Aurelji, tylko trzeba by przekonać się, kto moralniejszy, czy Matylda czy Basia!

— Stasiu! — szepnęła z wyrzutem.

— Milczę już cioteczko, mówmy o czem innem. Więc Ewela powraca jutro?

— Wiesz już? Od kogo?

— Przypadkiem dowiedziałem się. Wraca zatem jutro, i choć miałem zamiar dziś jeszcze wracać na wieś, zostanę, aby ją zobaczyć i powitać. Co za szczęście, że nie została zakonnicą!

— Ależ o tem nikt nie myślał! Gdyby była miała

powołanie, w takim razie tylko, no ale mowy o klasztorze nie było!

— Co to za śliczna musi być panna! — zaczął Stanisław po chwili — obiecującem była dzieckiem. Tylko czy ją nie popsuło klasztorne wychowanie? Ręczę, że ma głowę przewróconą a... próżną.

— Ej Stasiu! — pogroziła mu znowu ciotka ale bez gniewu. Taki był wesoły, tak zabawny miał sposób mówienia! Uśmiech nie schodził mu z ust, zdawało się, że zawsze żartuje, i ciotka rada go słuchała, czując jak sama się rozwesela.

— Edukacja skończona — ciągnął dalej — panna Ewelina umie doskonale szyć, zna się na gotowaniu i praniu, wie jak dom kiedyś przyjdzie jej w porządku utrzymać, że przeznaczeniem jej jest wyjść zamąż, mieć dzieci, być obywatelką i gospodynią, kobietą użyteczną sobie i drugim, kochać kraj, rozumieć obowiązki swoje. Przepada za wszystkiem co piękne, lubi kwiaty, sztuki piękne, nie rozumie co znaczy nudzić się, bo w sobie czuje dosyć zasobów, aby najdłuższe chwile skrócić, przy tem w towarzystwie także umie się znaleźć, pomówić z nią miło, jest rozumną i rozsądną, otwartą i...

Ciotka śmiała się, aż łzy miała w oczach. Zatrzymał się niby zmięszany.

— Bój się Boga — zawołała — co też tobie się roi! To ma być portret panny wychodzącej z klasztoru? Ależ tam by za złe wzięto, gdyby już myślała o mężu, cóż dopiero o dzieciach!

— Jakto? — udał mocno zdziwionego — więc Ewa nic nie wie jakiem jej przeznaczenie? W życie

idzie z zawiązanemi oczyma, nieświadoma, co ono po niej wymagać będzie?

— Zmiłuj się, czyż przyzwoita rzecz, aby naprzód wiedziała? szalony jesteś!

— Fotografja nie udała mi się — westchnął — szkoda! spróbuję innej. Ewelina, jako wychowanka klasztoru niech stanie mi w myśli. Oto ją widzę: oczka w dół minka niewinniątka arcy niemądrego, przepraszam, naiwnego, ułożenie pełne tej prostoty, którą nazywają niezgrabnością, brak zmysłu porządku, który się zdradza brakiem kołnierzyka i mankietek, ręce czerwone, zupełna niewiadomość co to jest kobietą być, za to wiedza ogromna! Składa się ona z doskonałego poznania kościelnego rytuału, historji wojen krzyżowych, wpływu Jezuitów i Papieży na cywilizację, z geograficznych wiadomości o ziemi świętej i szlakach, któremi chodziły zastępy rycerzy na zdobycie Jerozolimy... ale znów ciocia głową kręci, daję więc za wygranę, nie mogę wyobrazić sobie panny Eweliny.

— Poczekaj do jutra, zobaczysz ją i najlepiej wtedy osądzisz, ja ci nic powiedzieć nie umiem, sama znam ją mało. Od lat paru, jak znajduje się u Sercanek, zaledwo w święta uroczyste na parę godzin miałam ją u siebie.

— Wtedy jam się z nią nigdy spotkać nie mógł. Od jutra zacznę studjować Ewelę, zaciekawia mię jak urocza zagadka, bo jeśli zmienili w niej wiele, piękności zmienić nie mogli. A był to kwiatek wiele obiecujący w dzieciństwie, i serce miała złote.. Pa-

Miejska Biblioteka Publiczna
Białystok

miętam, gdym ją przywiózł po śmierci jej ojca do kraju....

— Czemu Aurelja dosyć się nadziwić nie mogła; ty, młody mężczyzna, opiekunem sieroty...

— Lepiejże było ją zostawić u obcych, dla tego, że młodemu nie właściwa opieka nad dzieckiem? Co za wyobrażenie... ale przepraszam cioteczkę!...

— Cyt! zawsześ w żywej opozycji z Aurelką! nicponiu! Co do Ewelki... prawdziwie niewiem... Aurelka nie chwali jej nigdy... dzieckiem skorą była do nieposłuszeństwa, teraz... ale zobaczymy!

— Tak — szepnął niedosłyszalnie Stanisław — popsuć mi ją mogli, może fałszu nauczyli i obłudy?... — Westchnął, lecz zaraz uśmiechem maskując westchnienie — dodał głośno:

— Ciekawym, niezmierniem ciekawy! Panna Ewelina ani przeczuwa, jaką budzi we mnie ciekawość. Muszę ją pilnie zacząć badać od jutra.

— Byleś się wprzód nie zakochał, zanim wydać wyrok będziesz w stanie. Miłość jest ślepą.

Stanisław zarumienił się i poruszył żywo.

— Cioteczko, trudny jestem! — zawołał — i znam ją od dziecka, a krótkie sukienki i lalka nie bardzo stosownym prologiem w miłości.

— No, no, zobaczymy!

Ewelina Oven nie miała rodziców. Straciła ich będąc dzieckiem i odtąd pozostawała pod opieką rodziny matki; dziad jej, Irlandczyk rodem, należący do anglikańskiego kościoła, ożeniony z Angielką, znakomity inżynier, przybył do Galicji, aby budową zarządzać jednej z pierwszych dróg żelaznych, wtedy,

Nr
KS. ARCHIWALNY

gdyśmy w kraju nie mieli jeszcze ludzi fachowych i uzdolnionych do tego; przybywszy osiedlił się na dobre, syna ożenił z Polką, przywiązał się do nowej ojczyzny, spokrewnił z rodzinami tutejszemi, i nie myśląc wyrzekać się stosunków, wiążących go do Galicji, tu też i umarł. Teraz z całej tej licznej niegdyś rodziny obcych przybyszów, nikt już nie pozostawał przy życiu, bo ostatni jej członek, ojciec Eweli, zakończył życie tam, zkąd dziad jego pochodził, a gdzie zbieg wypadków nieszczęśliwych go zapędził. Ewa miała już tylko babkę, Polkę z domu, wiekową ale pełną energji, rozumu i miłości; ta, po stracie syna ostatniego z pięciu, którymi nawet nacieszyć się nie mogła, całe przywiązanie swoje przeniosła na wnuczkę jedyną.

Gdy przywieziono Ewelę do Galicji, a co dokonał po śmierci ojca jej, Stanisław, babka pewną była, że jej opieka nad dziecięciem przypadnie. Omyliła się jednak. Zanim zdołała się opamiętać, Aurelja, silnemi wpływami poparta, wyrobiła dla siebie tę opiekę, opierając się na zasadzie, że żona lutra, a zatem sama do pewnego stopnia wyobrażeniami luterskiemi przesiąkła (o czem jednak twierdzić nic zgoła sumiennie nie mogła) nie zdolna była kierować wychowaniem sieroty, odziedziczającej i tak złe skłonności po ojcu, ale na szczęście, w wierze katolickiej ochrzczonej.

Aurelja niecierpiała pani Oven, raz dla tego, że była żoną protestanta, powtóre dla tego, że syn jej ożenił się z cioteczną siostrą Aurelji, a po trzecie, że wyobrażenia pani Oven o całą głowę przewyższały wyobrażenia ciasne, nie bardzo rozumnej, ale upartej panny. Przytem ta familja Ovenów, której dziad był inżynierem, a synowie śladami postępowali dziada, wszyscy zarabiając na życie dzielną pracą i nauką wytrwałą, a chleb dającą, była czemś w wyobrażeniu Aurelji daleko niższem od jej własnej rodziny, bo chociaż wyznawała zasady wzniosłej religji, jednak miała swe osobne pojęcia i zastosowanie tych pojęć średniowiecznemi przesądami trącące... Nie mogła darować Ovenom związku ze swoją krewną, a gdy zerwała wszelkie stosunki z tą, która wyszła za człowieka obcej religji i obcego świata, uczyniła to z wielkiej niechęci ku niemu. Nie sobie jednak, lecz tamtej stronie przypisała, zamącenie jedności w rodzinie. Nigdy też, ani rodzice Ewy, ani babka, nie znaleźli łaski w jej oczach; nawet sieroctwo Ewy nie zmiękczyło jej serca, utwierdziło ją tylko w mniemaniu, że potępiając tych, którym Bóg ukrócił życie, była w zupełnem prawie i słuszności... dla dziecka okazywać się surową.

Smutne okoliczności poprzedziły związek matki Ewy z Ovenem. Musiała się rozwieść wprzódy, zanim rękę wybranemu oddała. Pierwszy mąż jej był człowiekiem bez czci i wiary, ale był zręcznym hipokrytą, o tyle głośno modlącym się w kościele, o ile brojącym po cichu. Aurelja trzymała jego stronę gorliwie, nie chcąc wierzyć niczemu o nim złemu. Żona, opuszczająca męża tak przykładnego, aby pójść za lutra, podwójnej dopuszczała się zbrodni. Poprzysięgła nienawiść Ovenom, a tem bardziej nie lubiła babki Eweliny, że musiała się liczyć z jej stanowczym

charakterem i rozumem. Umysły obu cała przepaść dzieliła. Rozsądek jednej nie godził się z bezmyślnością drugiej.

Aurelja przeznaczała Ewelę do klasztoru. Sierota posiadała znaczny majątek, jakiż więc użytek lepszy mogła zrobić z tych pieniędzy, jeźli nie obrócić je na wybudowanie nowego domu zakonnego? Takiemi były myśli Aurelji. Posiadając w swej dłoni możność pokierowania sierotą, chciała ku wymarzonemu zwrócić ją celowi. Oprócz zamknięcia się na modlitwie między czterema ścianami, nie znała ani chciała wiedzieć o niczem wznioślejszem i pożyteczniejszem dla duszy.

Przysposabiając Ewelę do przyszłego powołania, oddała ją na wychowanie do klasztoru. Tam miała się nauczyć obowiązków swoich, to jest przywyknąć do samotnych rozmyślań, do nienawiści świata i fałszywych o nim wyobrażeń, nagiąć się do posłuszeństwa bezwarunkowego, aby zatraciwszy swoją wolę, stać się później ślepem narzędziem, maszynką bezmyślną w rękach opiekunki.

Kto wie, czy swą myśl piękną, p. Aurelja z natchnienia ks. Pafnucego nie powzięła. On był jej kierownikiem i doradcą. Pobożna panna nie miała wcale jasnego pojęcia o tem, czy, gdy coś chciała, chciała z siebie samej, lub z namowy jego.

Nie wiedziała też wcale o tem, że ten doradca jej i kierownik sumienia, był człowiekiem chciwym władzy i panowania. Ks. Pafnucy przywdział suknię duchownego nie z prawdziwego powołania. Gdy doszedł tam, gdzie słowem jednem rozstrzygał o zmi-

łowaniu lub gniewie bożym, upoił się własnem znaczeniem. Kilka pobożnych a bezmyślnych duszyczek, nad któremi łatwo objął panowanie, utwierdziły go tylko w mniemaniu, że władzy jego nic się oprzeć nie zdoła, ztąd pragnienie coraz większego zakresu tejże. W rękach mając berło, którem głowy zniżał przed sobą, zasmakował w potędze własnej. Trzymanie w garści duszyczek, wyższych od niego urodzeniem, majątkiem i znaczeniem, było dlań roskoszą. Rozkazywał, one słuchały, a gdy tak czuł się w prawie rozkazywania, coraz bardziej łaknął władzy i posłuszeństwa.

Nie miał zamiłowania w nauce ani w życiu surowem, ani w poświęcaniu siebie dla drugich. Zobaczył się wyrocznią w pewnem kółku, a że nie było to wcale trudnem, umyślił wyrocznią być na zawsze! Cóż łatwiejszego, gdy się znajduje ślepo i bezwzględnie wierzących!

Całe życie pozostał czem wyszedł z seminarjum, człowiekiem biorącym szatę duchownego dla chleba; gdy chleb się znalazł, zapragnął coś więcej, i wszystko na skinienie swoje znalazł. Suknia dawała mu moc, którą wyzyskał.

Na gruncie miejskim, gdzie pełno próżnujących kobiet, gdzie panien bez zatrudnienia, starych grzesznic, rozbrat biorących ze światem z musu, całe znajdują się falangi — wyrasta i wyróść może taki dziwny stosunek duchownego jak ks. Pafnucy, z bezczynnemi istotami takiemi jak p. Aurelja. Zdaje się tym kobietom, że pracują dla zbawienia swego, gdy dozwalają sobie nic nie robić, gdy za całe zadanie

narzucają sobie hafty do kościoła i wyklejanie bezmyślne papierowych kwiatów, gdy w życie swoje wcisnąć się dozwalają ks. Pafnucemu lub Ignacemu, i nie tylko im się zdaje, że są wówczas na właściwej drodze do nieba, ale nie wahają się potępić wszystkich innych, nie czyniących jak one, ale mają urazę do tych, którzy oddzielają, co się należy duchownym, od codziennych swych zaprzątnień i obowiązków, bo nie czują potrzeby wplatania w życie prywatne księży, dla których miejsce gdzie indziej.

P. Aurelja n. p. nie przypuszczała, aby ktoś mógł być uczciwym i pożytecznym, nie odmawiając pewnej liczby modlitw, i nie spędzając kilku godzin dziennie w kościele.

Odnosiła się ze wszystkiem do ks. Pafnucego, on nawzajem utrzymywał ją w ciągłem mniemaniu, że tylko tym sposobem przykładne prowadzić może życie. Zwolna pochłonięta kazaniami, haftowaniem poduszek i strojeniem obrazów, którym bałwochwalczą niemal cześć oddawała, całując je i wyobrażając sobie, że każdy z nich inną ma moc i wartość, na domowe zajęcia już nie znachodziła czasu, i biedna matka, również jak codzienne obowiązki, zepchnięte na plan trzeci zostały.

Egzaltując się coraz chorobliwiej, panna Aurelja straciła zdrowy rozsądek, traktowała siebie jakby nieprzyjaciółkę własną, a wszystkie skłonności i uczucia, zmartwienia, radości, drobne uciechy świata tego, uważała jako rzeczy świętokradzkie lub zdrożne.

Aby świat mógł być zbawionym, powinny były na nim tylko się znajdować stare panny, zakonnice

i księża. Takiem było jej mniemanie.

Nic dziwnego zatem, że marzyła o założeniu klasztoru, i to za pieniądze Eweli, choć sama majętną była, gdyż majątek jej miał już zupełnie inne przeznaczenie, nie mniej z chwałą bożą, a raczej sługi bożego, w styczności będące...

Poruczyła wychowanie Ewelki zakonnicom, i zaleciła im nie przysposabiać jej do świata, co zresztą i poruczać tak bardzo nie potrzebowała, bo cóż one wiedziały o świecie? Zkąd znać świat, to jest życie, obowiązki jego i jego wymagania, były obowiązane?

Jeżeli w serce i głowę Ewy wkładano wyobrażenia dziwne, uczucia chorobliwe, mówiono jej o konieczności pokuty, o grzechach, o których nie miała pojęcia, o piekle i szatanach, a ludzi, szczególniej mężczyzn, przedstawiano jako apokaliptycznych smoków, gotowych pożreć wszystko, i czyniących ze świata Sodomę i Gomorę, nie czyniono tego bez celu.

Ewela miała jednak swoje zapatrywania i nie bardzo wierzyła w to, co jej mówiono. Czuwała też i babka.

Dziewczątko dawało pani Oven zrazu nie mało kłopotów; kierowanie niem bardzo było utrudnione. Ileż wytrwałości zużyć musiała p. Oven, aby podtrzymana przekonaniem, że przeznaczeniem prawdziwem kobiety, jest życie wśród obowiązków koniecznych, w Ewelę przekonanie swoje przelać, mimo wszelkich wpływów przeciwnych.

Odwidzając ją jak najczęściej, co, mówiąc nawiasem, zabraniano uparcie, ale zabronić całkiem nie zdołano, zastawała nieraz Ewelę w rozstrojeniu dzi-

wnem, i prawie w gorączce mówiącą rzeczy, które wychodząc z ust dziecinnych, nie zwykłe, rażące przybierały rozmiary.

Musiała z bolem serca wysłuchiwać długich cytacyj z Pisma, zupełnie przeinaczonych, śmiesznych w dziecku wzdychań nad zepsuciem świata, i widzieć, jak Ewa tylko ze drżeniem przysuwała się do niej, żyjącej wśród tego zepsucia, które za furtą klasztorną panować miało.

Mała prawiła o djabłach i zgorszeniu, jakby znała i pojmowała, co to jest piekło i zgorszenie!

Ale Ewela kochała babkę tem silniej, im mniej kochać mogła Aurelję, odpychającą wszelkie uczucia, i w miarę jak rosła, udzielane nauki babki, wzmacniające jej słowa, rozszerzały horyzont wyobrażeń dziecinnych. P. Oven nie wychodziła z klasztoru, nie wrzuciwszy do duszy Ewy ziarna zdrowego zapatrywania i sądów, które oddziaływały dobroczynnie choć nieznacznie.

Wrodzony rozsądek brał też górę. Ewa zaczynała wierzyć w słowa pani Oven, coraz mniej trwożyć się postrachami, które w nią wmawiano. Otwierała oczy i pojmowała, że można być zbawionym nie tylko w klasztorze, że świat nie jest jaskinią zepsucia, gdyż na nim żyje babka taka jak pani Oven, i... jeszcze ktoś, o którym zawsze myślała.

Wydało jej się niebawem, że obowiązkom swym dopiero wtedy uczyni zadość, gdy wstąpi w ślady babki.

Nadeszła wreszcie chwila, w której uznano wychowanie klasztorne za skończone. Ewela mogła zo-

stać tam na zawsze, ale mogła i wyjść; nikt siłą wstrzymać jej nie śmiał.

Aurelja przygotowała tak wszystko, aby w myślach wychowanki nie powstała nawet chęć uwolnienia się. Była spokojna, bo czyż nie powtarzała jej zawsze o niebezpieczeństwach, które czyhają na niewinne duszyczki, tuż za furtą klasztorną? Czyż nie napełniła duszy wychowanki odrazą ku wszystkiemu, co nie było życiem zakonnem?

Teraz miały się objawić w Ewie skutki jej zabiegów — oczekiwała dnia spełnienia najgorętszych życzeń swoich.

Obojętnie też słuchała, jak pani Oven coraz częściej odzywała się z prawemi swemi odebrania teraz wnuczki.

* * *

W wigilją skończenia nauk, urządzona miała być uroczystość, aby w obecności wszystkich, Ewa, na pozór własnowolnie, oświadczyła się z chęcią pozostania nadal w klasztorze. Uroczystość musiała ostatecznie onieśmielić panienkę, odjąć jej możność odezwania się, gdyby, podbudzona przez babkę, jakąkolwiek myśl zbuntowania się powzięła.

Ale jakże mogła w obec przełożonych swoich z czemś podobnie zuchwałem wystąpić? Nieśmiałe dziewczę nie zdolne było wymówić głośno „nie“, choćby niewiedzieć jak się o to starano! Wszystkie bez wyjątku dziewczynki, wychowywane w klasztorze, rozłączenie swe z murami, wśród których wzrosły, rzewnemi oblewać zwykły łzami. Wiele pragnie zo-

stać zakonnicami w naiwnej egzaltacji uczuć młodych; — cóż dopiero mówić o Ewie, którą do tego przeznaczała od dawna opiekunka.

Ewa została wprowadzona uroczyście naprzód do kościoła, potem do sali obszernej, gdzie czekały zakonnice i koleż nki.

Na wstępie zaraz zobaczyła wszystkie źrenice utkwione w siebie, i mogła odgadnąć, jak mocno biły młode serduszka tych, co tam stały ciekawe i strojne w białych zasłonach wielkich dni. Wspólniczki zabaw i nauk, już teraz w Ewie coś więcej upatrywać się zdawały.

Oczy jej przebiegły salę i zatrzymały się na pani Oven. Onieśmielona zrazu podniosła czoło i wzrokiem porozumiawszy się z babką, stała już zupełnie spokojna.

Pani Oven jednak drżała, gdyż zdawało jej się niemożliwem, aby w obec mateczek zakwefionych i imponującego dygnitarza kościoła, który znalazł się tam także, wśród atmosfery uciskającej piersi dziewczęcia, Ewa zdobyła się na odważne jakie słowo.

Przełożona przystąpiła do wychowanki. Mówiła, jak zadowoloną z niej była, jak ją tu wszyscy kochali, w końcu otworzyła ramiona i zawołała, że jeśliby chciała pozostać tu nazawsze, całą duszą przygarnąć ją gotowa.

Chwila stanowcza nadeszła. Ewa otworzyła usta, odetchnęła mocno, płomień jakiś błysnął pod powieką jej i odrzekła:

— Mam babkę i chciałabym przy niej pozostać.

Dygnitarz ze zdziwieniem obrócił się do przełożonej.

— Cóżeście mi mówiły? — spytał.

Aurelja z miejsca swego porwała się wzburzona, ale przełożona skinieniem nakazała jej milczenie, i biorąc za rękę Ewę:

— Dziecko moje — rzekła — nikt cię zmuszać nie będzie. Powołania nie czujesz, bądźżesz na świecie szczęśliwą. Od jutra powrócisz na łono swej rodziny.

I podprowadziła ją ku babce, wyrażając radość, że może powinszować jej wnuczki. Uroczystość, której była dziś świadkiem, wymownie za dzieckiem przemawiała. Żegnano w niej jedną z najlepszych wychowanek klasztoru.

I tak się wszystko skończyło, nie z wielkiem zadowoleniem p. Aurelji.

Potem wdanie się Stanisława niespodziane, rozmowa jego z ks. Pafnucym, zmięszała doradcę i powiernika starej panny. Zagrożony oporem, nienawiścią Stanisławowi zapłacił Ewelina nie miała być zakonnicą, ale i Staś nie powinien był być nigdy jej mężem. Od czegoż opiekunka!

Bez żalu opuszczała Ewa klasztor; rwała się z tąd niecierpliwie już do ludzi, do lusterka, do sukienki nowej, kobietą się czując przedewszystkiem. Świat się jej uśmiechał, przestawszy straszyć, dzięki pani Oven. Coś niewytłumaczonego ciągnęło ją, tęsknota i pragnienie jakieś, z którego sprawy nie zdawała sobie.

Myśli tłumnie zalewały głowę, przyspieszały tętno serca, twarzyczka oblewała się rumieńcem.

„Zobaczę go nareszcie“ coś szeptało do uszka, bo w wyobraźni dziewczęcia tkwiło wspomnienie mężczyzny, którego obraz splótł się z dziejami jej dzieciństwa. Nosił on od najdawniejszego czasu nazwę „dobrego“ w jej serduszku, później przybył mu jeszcze przydomek drugi, „piękny“, gdy Ewela podrosła. Był on więc ideałem, wszystkie dobre i piękne posiadającym strony.

Pamiętała, jak odwidzał jej rodziców, ktorych nikt nie odwidzał, jak ją bawił i pieścił. Później, gdy matka umarła, a nagle zmieniony ojciec, zamykał się i uciekał, kryjąc ze łzami, tęskniła do niego, jak do pocieszyciela; nie chciała go już puścić od siebie, po skonie ojca wieszając mu się na szyję i wołając: „Nie jedź bezemnie! Zabierz mię z sobą kuzynku Stanisławie!“ Z kąd on się tam wziął, nie pytała wcale, dość, że się znachodził zawsze w chwili, kiedy go najwięcej potrzebowała, a gdy została sama jedna, w obcej, dalekiej gdzieś stronie, kędy był jej dom rodzinny, nie kto inny tylko kuzynek Stanisław ztamtąd ją wywiózł, zabierając z sobą. U opiekunki potem nie przestał się nią zajmować, wypraszał z pokuty, przynosił zabawki, raz nawet darował ślicznego pieska, ach! ileż się napłakała, gdy biednego „Lola“ niemiłosierna Aurelja kazała odesłać, bo niecierpiała piesków, a raczej nie znosiła żadnego przywiązania do czegośkolwiek...

Tak, Aurelja zawsze surową się okazywała nazbyt, zrażała dziecko od siebie, aż zraziła zupełnie. Wpływ

jej nie mógł zmiękczyć tej duszyczki, która zamknęła się szczelnie, jak drzwi gwałtowną popchnięte ręką. Zostawała jej babka, zostawał Stanisław. Oboje kochała i to sprawiło, że choć wyrosła zahukana trochę i onieśmielona, w głębi serca nieprzepartą uczuć siłę chowała. Chęć wyrwania się za mury klasztorne z nich też płynęła...

Babka na progu mieszkania swego, które było w tej samej kamienicy na dole, której piątro jedno zajmowała Aurelja z matką i bratem, oczekiwała na wnuczkę, i oświadczyła zaraz, że nieprzebranej iść na górę nie pozwoli.

— To już nie klasztor — rzekła z uśmiechem do Aurelji, wysiadającej z powozu — na świecie trzeba się do świata stosować! — i pociągnęła Ewę.

— Spiesz się — zawołała, obsypawszy ją pocałunkami — tam czekają z objadem, a oto twoja sukienka!

I uśmiechnięta Ewa stanęła przed źwierciadłem... ach! jakże rada była pozbyć się tej brzydkiej, szarej powłoki swojej, jak jej miło było rozpuścić swobodnie piękne sploty włosów, więzione w siatce dotąd, splątane i rozburzone! Babka odgadłszy życzenie jej, i uprzedziwszy je, podwójnie dobrą się Ewie wydała! Ucałowała z wdzięcznością jej ręce, a gdy przebrana zobaczyła się w źwierciedle, nie poznała siebie. I pierwsze pytanie wyrwało się z ust rozwartych uśmiechem szczęścia:

— Czy Stanisław będzie na górze?

— Będzie! — odpowiedziała p. Oven, a Ewa spuściła nagle oczy i rumieniec oblał jej twarzyczkę.

Znów zaczęła ściskać babkę; potrzebowała ukryć zmieszanie.

Na górze zgromadzeni byli wszyscy domowi, a Staś poruszony, podchodził coraz do ciotki, pytając, czemu jeszcze Ewy nie widać? Nie mógł usiedzieć na miejscu, tak był przyjętym spodziewanem ujrzeniem dawnej znajomej?

P. Józef, mężczyzna więcej niż średnich lat wieku, z matką rozmawiał, Aurelja haftowała w krosnach, starsza pani siatkę robiła. Stanisław każdemu przeszkadzał, przerywał rozmowę pytaniami swemi, potrącał krosna Aurelji chodzeniem gorączkowem, ciotce mylił rachunek oczek, nagle zatrzymując się przed nią...

W tem zaszeleściały kroki, drzwi się otworzyły, poruszyła się ciotka, Józef, a Staś, jak wkuty, zatrzymał się na środku.

Ewela z panią Oven weszła do salonu.

Było to tak wdzięczne zjawisko, że nawet w innem otoczeniu, w innym, nie tak ciemnym i ponurym, jak był tutejszy, salonie, mogło wrażenie wywołać.

Cóż dziwnego, że Staś wlepił w nie oczy, a pan Józef aż krok naprzód postąpił.

Tymczasem ciotka ściskała panienkę, ciesząc się, że z klasztoru wróciła skończoną panną, jak mówiła z uśmiechem.

Ewela potoczyła wzrokiem w około i zarumieniona gwałtownie, zmięszała się bardzo. Obok niej stał Stanisław, a dłoń jego wyciągnięta, na jej dłoń czekała. Chciała coś powiedzieć, usta się poruszyły, spojrzenie padło na p. Aurelję, patrzącą surowo, i... nic nie wyrzekła, a zmięszanie jej tak się wzmogło, że zapomniała nawet rękę podać kuzynowi.

P. Józef kłaniał się z drugiej strony głęboko, ze zdumieniem widocznem w oczach, z jakąś grzecznością pełną zachwytu, którą nie obdarzał nigdy Ewy. Przywykła, że obchodził się z nią jak z podlotkiem, żadnego nie mającym znaczenia, na widok ten niespodziany, wesołym parsknęła śmiechem.

Śmiesznemi wydały się jej te względy, ze strony sztywnego i poważnego Józefa... Podała mu prędko rączkę, dygnęła wesoło i cała zwróciła się ku niemu. On ścisnął mocno jej dłoń małą i śmiejąc się także, dla tego tylko, że ona się śmiała, zawołał:

— Jakto? więc pani jesteś tą małą Ewelką, która, której...

— Której — dokończyła figlarnie — nie przywykłeś pan tak głębokie składać ukłony! Nieprawdaż, że toś pan chciał powiedzieć?

— Ale nie, bynajmniej! Chciałem tylko wyrazić moje zdziwienie, żeś pani na tak śliczną wyrosła pannę... Nie myślałem...

— Że wyrosnę? Doprawdy, jakże można było mię tak krzywdzić! — odparła rozbawiona.

Skrzywiła się niezmiernie Aurelja na tę śmiałość wychowanki i pokręciła w milczeniu głową, podczas gdy Staś niezadowolony, usuwał się w przeciwny kąt pokoju, spoglądając z pod oka na piękną i ożywioną kuzynkę. Ewy rączka spoczywała dotąd jeszcze w szerokiej dłoni Józefa, który ją niebawem podniósł do ust i nim puścił, pocałował ogniście. Było to coś tak niezwykłego, że Aurelji wymknęła się igła, a u pani starszej splątała się całkiem rachuba oczek.

Zdjąwszy okulary, patrzyła na parę stojącą nie daleko i jakaś myśl jasna przemykała jej po czole. Aurelja milcząc ciągle, nawlekała nową igłę z namysłem. Gdy dano znać do stołu, Józef podał ramię Ewie, i poprowadził ją w tryumfie do jadalni. Staś, postępując ostatni, zasępiony kręcił wąsa, motając coś nań po cichu, i niemiłosiernie się marszczył.

Przez cały objad, p. Józef, zwykle tylko jedzeniem zajęty, niezwykle był mownym i uprzejmym. Dotąd nie bardzo garnął się do kobiet, które wielkiego upodobania w człowieku nudnym i ciężkim ze swej strony nie miały; dopiero widok Ewy rozżywił i ośmielił go widocznie. Dziwił się sam sobie, jak mu pod spojrzeniem tych ślicznych oczek, rozmowa szła łatwo, jak przyjemnie mu było uśmiechać się do niej, służyć i zagadywać.

I podniósł się z kieliszkiem w ręku, wołając: „za zdrowie pięknej panny Eweliny! No, pijże Stanisławie!“ zwrócił się do kuzyna, a ten wezwany, jakoś tak niezręcznie pochwycił za wino, że aż je rozlał na talerz.

Aurelja bacznie śledząca wszystko, posłała spojrzenie dziwne Stasiowi i z uśmiechem:

— Dajże pokój — rzekła do brata — komplementami twemi przewrócić gotowyś głowę Ewelce; o zarozumienie nie trudno, gdy się i tak ma skłonność do wszelkich płochości! Pomyśli, że naprawdę wydaje ci się piękną!

Skrzywił się Staś, jakby octu mu kto podał, Ewelka zarumieniła się niezmiernie, a Józef z żywością podchwycił:

— Bo i tak jest w istocie! Kuzyneczka oczarować każdego, nie tylko mnie może!

— Nie ucz że jej tego! — znów odezwała się Aurelja — kłopot mi na głowę sprowadzisz...

Stanisław milcząc słuchał. Jakąż była Ewela? Czy rzeczywiście mogła się Aurelja obawiać jej kokieterji? Słowa powyższe starej panny, zdawały się zdradzać sąd niepochlebny. Zachowanie Ewy i zranienie dotkliwe pozorną obojętnością, tem surowiej usposobiało go względem niej; w istocie była nadto dla Józefa uprzejmą!

Ale Staś miał w zwyczaju wieczną wieść wojnę z Aurelją; — nie mógł jej i teraz przebaczyć głośno wypowiedzianego zdania.

— Niech kuzynka daruje — rzekł zatem — mnie się zdaje, że lepiej jest pannom trochę swobody zostawić

— Kuzynek, jak widzę, przysądzasz sobie osobliwe prawo, mięszania się ciągle w nie swoje rzeczy! — odparła Aurelja z takiem wejrzeniem, że Stanisław odrazu poznał, jak źle odtąd stał w jej łaskach; ksiądz Pafnucy poskarżyć się musiał.

Pani Oven pochyliła się do wnuczki; której łzy stanęły nagle w oczach. Ewa szepnęła babce.

— O! jakże złe wyobrażenie on ma o mnie! — i ożywienie znikło z jej twarzy; stała się mniej swobodną i wesołą.

Stanisław znów pomyślał: Udaje! dla czego nie jest taką jak z początku? Tamto było prawdą, teraz po nauce Aurelji, hipokryzja wzięła górę! — Rzucił serwetą i niechętny wstał od stołu za innymi.

Wszyscy przeszli znów do bawialni, a pan Józef nie tyle jeszcze pod urokiem, aby od przyzwyczajeń swoich mógł odstąpić od razu, oddalił się po chwili na cygaro i gazety, które zawsze czytał leżąc u siebie.

Nieprzezwyciężona chęć zbliżenia się do Ewy, pociągnęła ku niej Stasia. Podszedł, zaczął rozmowę, badając oczyma piękną panienkę, która zmięszana, odpowiadała mu zrazu półsłówkami, ale wnet radością towarzystwa Stanisława przejęta, poczęła śmiać się jak dziecko, a to, co mówiła, tak było rozumnem, że Stanisław mimowolnie urokiem jej głosu dźwięcznego i wrażeniem lepszem podbity, zapominał co przed chwilą o niej sądził.

Ale ostry głos Aurelji zabrzmiał niebawem:

— Zapominasz Ewo, że jutro masz pójść do spowiedzi. Ks. Pafnucy czekać będzie — i wstała od krosien.

Stanisław mocno podrażniony odezwał się zaraz:

— Czy to ten sam, którego poznałem u kuzynki?

— Tak jest — odparła. — Święty człowiek! uzacnia wszystko samą obecnością swoją!

— Czy i pasztet strasburski? — szepnął złośliwie niepoprawny młodzieniec.

— Co? co? — pytała niedosłyszawszy dobrze starsza pani.

— Nic cioteczko! rozumiemy się z Aurelją!

Ale zaraz mógł pożałować swej chętki dokuczania. Aurelja gwałtownie odsunąwszy krosna, z Ewą w tej chwili wyszła z pokoju.

Ledwo drzwi się za niemi zamknęły, gdy Staś zaczął szukać kapelusza; — zdawało mu się, że już

nie ma tu co robić. Nagle pusto się dlań zrobiło w salonie.

Nie miał jednak czasu jeszcze pożegnać się z ciotką i p. Oven, gdy na progu zjawiła się postać nowa.

Była to strojna i młoda pani, której strój niezmiernie elegancki, obrachowany na uczynienie wrażenia, ruchy żywe, twarz piękna i przymilająca się, składały się na całość bardzo wdzięczną, i na pierwszy rzut oka pociągającą.

Pani ta z rękami otwartemi, podbiegła do gospodyni, skłoniła się przed panią Oven, a potem zwróciwszy się cała do Stasia, powitała go tym wzrokiem, który więcej daleko umie wyrazić, niż głośno wymówione słowa. Coś, jakby radość nie dająca się maskować niczem, przemknęła po jej czole. Widocznie rada była spotkaniu.

Szczebiocąc starała się jednak ukryć swoje zadowolenie z widzenia Stanisława, i z czułościami na ustach, zagadnęła starszą panię:

— Wpadłam, by podzielić radość szczęśliwego ukończenia wychowania Ewelki, by powinszować i ją samą uściskać. Panie drogie nie wątpicie, jak mnię wszystko, co was dotyczy, obchodzi.

Siadła na kanapie, poprawiła wstążki u kapelusza, zsunęła mantylkę z toczonych ramion i rzuciła Stanisławowi znowu wejrzenie i słowa:

— Niechże pan kapelusz położy, wszak przedemną niegrzecznie uciekać — i pewna siebie, słuchała odpowiedzi nie bardzo serdecznej pani domu:

— Umiemy ci być wdzięczne.

— Dziś właśnie, dowiedziałam się od kochanej

Aurelki, że Ewelka powraca, i nie mogłam wytrzymać... ale gdzież wychowanica pani, gdzież Aurelka? Pragnę uściskać obie, takam Ewy ciekawa!

— Są u siebie. Poszlę po nie zaraz — grzecznie odpowiedziała gospodyni, choć chłodno.

— Jakże, zadowoloną pani jesteś z wychowanki? a pan, panie Stanisławie, jak znalazłeś kuzynkę? Myślałam, żeś pan na wsi, czyż się godzi zapominać o znajomych? Wczoraj czekaliśmy, proszę nam to wynagrodzić dzisiaj, gdyś pan w mieście jeszcze.... bo się będę gniewać!

— Ktoby na gniew pani chciał zasłużyć? — odparł wymijająco Stanisław. — Zatrzymałem się dla tego tylko, aby pannę Ewelinę powitać. Jutro odjeżdżam.

— A!... mała miała w istocie zawsze łaski u pana — uśmiechnęła się z przymusem piękna pani. — Dites-donc, jestże piękną teraz?... Było to dziwnie czarne dziecko, to też nie pojmuję, czy by tam co ładnego z niej być mogło.

— Pojmiesz pani, zobaczywszy Ewę — rzekł ze złośliwym uśmiechem. Ona niespokojnie rzuciła nań oczyma.

— Ciekawam też jej niezmiernie! Elle doit ètre naive au possible! a cóż piękniejszego jak wdzięk naiwności? To kwiat uczuć... młodości! a panowie lubicie les femmes un peu bêtes, nieprawdaż? — Znowu się uśmiechnął Stanisław; stare panie rozmawiały tymczasem ze sobą.

— Czy życzysz sobie Herminjo — wtrąciła pani domu — aby uwiadomić Aurelję, żeś tutaj?

— Ach! tak wdzięczną będę! choć boję się przeszkodzić jej... ona taka zajęta zawsze... drugim oddana... poświęcająca się do zbytku.. Ileż kłopotów i trosk przybędzie jej jeszcze teraz! Pokierowanie dorosłą panną, to zadanie nie lada.

Mówiła z przejęciem wielkiem tak, aby głos jej mógł dójść do bocznych pokoi.

— Mój Stasiu, poszlij Jana, niech poprosi tu Aurelję i Ewę — zwróciła się ciotka do młodego człowieka. Gdy poszedł:

— Będziecie panie miały kłopotu nie mało z konkurentami — zaczęła znowu Herminja. — Ja myślę, że i pan Stanisław do nich zechce należeć? — Rzuciła to pytanie niby niechcący, ale serce jej biło. Pani domu wzruszyła lekko ramionami.

— A gdyby? — odparła z trochą niechęci w głosie — nie widziałabym nic w tem złego! Staś poczciwy, pracowity, zdolny pokierować żoną młodą... jeśliby się pokochali!

— A zapewne, zapewne — powtórzyła zarumieniona piękna pani i odwróciła głowę.

Zmrok już zapadał, w salonie ściemniało się mocno. Staś niespostrzeżony, za plecami pań, wcisnął się cicho między ścianę a klomb kwiatów, obierając strategiczną pozycję, nie bez myśli pewnych. Wiedział, że Aurelja nie zechce przyprowadzić Ewelki, gdy go zobaczy, a pragnął być świadkiem spotkania Herminji z Ewą, i ją raz jeszcze ujrzeć.

Aurelja nie dała na siebie czekać. Gość musiał jej być arcymiłym, gdy tak skwapliwie wyszła ku niemu.

Przywitała Herminję czulej niż miała w zwyczaju, a na chudej jej twarzy odbiło się uczucie przyjemne!

Piękna pani z ogromnem przymileniem, ze czcią jakąś dobrze odegraną, objęła i uściskała starą pannę. Widocznie pochlebiało to Aurelji. Nikt tak jak Herminja, nie umiał jej sobie ująć. Zdawała się niedostępną pochlebstwu, a jednak oko pięknej pani widziało głębiej.

— Biedna moja, święta moja — szeptała z przejęciem głębokiem na pozór — Ewa wróciła. Wiem, żeś miała dla niej inne zupełnie widoki, cóż to się stało? Jakiż zawód, jakaż boleść dla ciebie!...

Aurelja ścisnęła ją za rękę, westchnęła, podniosła oczy w górę, i rzekła również cicho:

— Opowiem ci innym razem... położenie moje, tak, nie jest najmilszem. Dzięki ci za współczucie! ale nie mówmy o tem.

— Owszem, mówmy, po tom tu przybyła, aby z tobą podzielić to strapienie — żywo podchwyciła Herminja. — Sądziszże mnię niezdolną zrozumieć bolesny twój zawód? Szlachetną, wyższą odemnie jesteś istotą, ale choć dosięgnąć cię nie zdołam, pojąć strapienie umiem!... Wyobrażam sobie, jaką trwogą napełnia cię przyszłość wychowanki, dziś, gdy sto na progu pokus!... Ale powiedzże mi, ładnaż ta Ewa?

— Na nieszczęście! — jęknęła Aurelja.

— Ach! — załamała ręce Herminja — piękność jej utrudni jeszcze twoje zadanie.

— Pamiętasz matkę? Podobna do niej nie tylko

z duszy ale i z ciała... Czyż dzisiaj pierwszem jej staraniem nie było kokietować Józefa?

— To okropne! okropne!

— Tak, okropne — potwierdziła Aurelja — nic, dziwnego, że się boję..

Jakiś uśmieszek nieokreślony, przemknął po ustach strojnej przyjaciółki Aurelji.

— Nie pokażesz mi jej? — zagadnęła niespokojnie ciekawa.

— Jeśli życzysz sobie..

— Naturalnie! wszak wiesz, jak mnię wszystko obchodzi.

— Poczciwa moja!

Ścisnęła ją za rękę, wzrokiem potoczyła po salonie i nie dostrzegłszy ukrytego Stasia, wyszła. Wniesiono w tej chwili lampy i zdziwiona Herminja, za plecami swemi, ujrzała stojącego Stanisława.

— Myślałam, żeś pan od dawna odszedł — zawołała — gdzieś się pan krył i po co?

— Ja? kryć się? Nie chciałem być natrętnym tylko! Siedziałem na kanapie ot tam, w kątku — i jak niewinniątko podszedł do ciotki.

Gdy Aurelja, prowadząc za sobą Ewę, weszła napowrót do salonu, widok Stasia niespodziany, marsa na jej twarz sprowadził. Herminja baczna na wszystko, zanotowała go sobie w pamięci.

Wszczęły się wykrzykniki, komplimenta, piękna pani pociągnęła Ewę ku sobie, wpatrując się w nią bacznie, a w oczach jej błyszczących mignął płomień zazdrości.

Ewelę onieśmielała strojna pani, nie odezwała się,

nie dziękowała za słodkie słówka, stała ze spuszczonemi w dół oczami, różowa cała.

— Ta wasza Ewela wcale ładna — szepnęła Stasiowi Herminja — ale gąska, *je m'en doutais!* Nie umie słowa powiedzieć.

— Widok pani tak ją oniemił — odparł wesoło — nie przywykła widzieć aniołów tylko na obrazach!

Dobrze przyjąwszy to pochlebstwo, zwróciła się łaskawsza jeszcze raz ku panience, mierząc ją wzrokiem znawczyni.

Ewela przy świetle lampy, zarumieniona, wyglądała ślicznie, w blasku młodości swej jak kwiat świeżo z pączka rozwity. Czarne jej brwi lśniły, usta uśmiechały się wpół dziecinnie jeszcze, ale w oczach, jakby we łzie skąpanych, błyszczała myśl i pojęcie nad wiek, siła jakaś i szlachetność dziwna. Czoło gładkie przecinała zmarszczka, zdradzająca, że nie raz musiała zastanawiać się głęboko i ważyć nie jedną rzecz w swej duszy. Co chwila opadające powieki nadawały jej cechę onieśmielenia, również i postać cała nosiła piętno niezgrabności, właściwej wychowankom klasztornym. Wzrok Aurelji trzymał ją w jakiemś natężeniu ciągłem. Sobą nie była, czuła to, odgadywała po ruchach, spojrzeniu, rumieńcach oblewających raz po raz jagody... Stanisław z daleka nie odrywał od niej oczu; o! jakże znajdował ją uroczą! bał się tylko nadto poddawać urokowi, zdawała mu się dziwną.. — Jakąż duszę kryje ta piękność? — pytał ciągle wahający się i niepewny.

Herminja, bacznie rozbierając wdzięki dziewczęcia krzywiła usta, a udawała wesołość i uprzejmość.

Nie w smak jej była piękność Eweliny, spostrzegła dobrze jak na nią patrzył Stanisław.

Aurelja nasępiona zżymała ramionami..

Jedna tylko starsza pani (babka była już dawno odeszła) w uspokojeniu swoich lat, z sercem zamkniętem zazdrości i namiętnościom wszelkim, przyglądała się z upodobaniem i spokojem pięknej panience, i głową potakiwała jej urodzie, niedomyślając się, jakie w tej chwili właśnie nawiązywały się nici na warstacie tajemnych przeznaczeń, i jakie losy gotowały się dla Ewy, która uśmiechem ufnym witała nowe życie, ani przeczuwając, czem widok jej był dla tych, co na nią patrzyli.

II.

Poranek wczesny, ponury, otulał ziemię. Niebo całkiem czarne, chmurami było okryte; w ulicach leżała gęsta mgła, wśród której błyskały gdzieniegdzie palące się jeszcze latarnie. Nic nie zapowiadało zbliżającego się dnia, oprócz przenikliwego zimna. Cisza panowała wszędzie; miasto spało całe.

Rzadcy przechodnie należeli do klasy roboczej bez wyjątku, lub do tych, co szukając cieniów, przed dniem uciekali w zaułki. Ciężkie kroki odbijały się o chodniki, budząc echa, a straże bezpieczeństwa przesyłały sobie ostre gwizdnięcia. Gwałtowna kłótnia rozbrzmiewała na rogu, podczas gdy z czarnej przecznicy dochodziły przekleństwa pijaka.

Biła piąta.

Z domu wychodziła Aurelja z Ewelą.

Pierwsza przywykła do takich wycieczek szła śmiało, zimna, sztywna, bez wzruszenia i dreszczów; druga, której zęby dzwoniły, z uczuciem lęku, i byłaby rada przysunąć się jak najbliżej do towarzyszki, pochwycić chociaż jej rękę. Ale Aurelja nie myślała o tem. Duszą była już tam, dokąd dążyły, dokąd droga zdawała się Ewie raz nazbyt długą, to znów

krótką nadto. Zimno i ciemności przestraszały ją, a żeby dodać sobie odwagi, myślała o słodkiej chwili, gdy przeżegnana krzyżem i słowami kapłana, z klęczek powstanie.

Oślizłe trotuary, krzyżujące się w zmroku, trzymały jej uwagę w naprężeniu ciągłem, aby nie upaść. Dążyła za Aurelją stąpającą szybko, obojętną na zamoczenie bucików, a której suknia, ociężała błotem, z klaskaniem głuchem biła po piętach.

Czarne drzwi kościoła otwierały się właśnie i kilku dziadów kłóciło się o miejsca w przedsionku. Ciemne zagłębienia jakby gniewne budziły się ze snu, odbijając głucho przytłumioną sprzeczkę. Kościelny, stukając butami, chodził z kijem, na którym tańcował płomień, i zapalał świece. Gdzie tylko wszedł w noc czarną kaplic, rodziły się gwiazdki złote, które zostawiał wszędzie po drodze, podczas gdy wieczna lampa migała ciągle, jak źrenica otwarta, strudzona bezsennością.

Pod sklepieniami wisiały jeszcze nieprzebite cienie, zagłębienia boczne wyglądały jak przepaście, gdzieniegdzie tylko migał rąbek jakiś, lub z dołu oświecone występowało skrzydełko niewidocznego aniołka, albo świeciło złocenie obrazu. Kościół zdawał się róść, przedłużać w nieskończoność, granic nie mieć, osłonięty tajemnicą cieniów. W płaszczu zmroków stał potężny, powagą nakazujący milczenie, z latami minionych wieków na barkach, z nieokreślonym zapachem kadzideł, które jak westchnienia tysiąców, unosiły się w powietrzu.

Tylko te piskliwe głosy w przedsionku, w coraz

namiętniejszej rozbrzmiewające sprzeczce i konające u stóp ołtarzy, przypominały ludzką złość i nieposzanowanie niczego.

Tymczasem kościół szmerem się napełniał. W ławkach babki drzemiąc, kiwały się nad książką i stoczkiem zapalonym; czasem chrapanie dawało się słyszeć, gdyż pobożne duszki mimowolnie dosypiały resztki snu przerwanego.

Aurelja gospodarując jakby u siebie, dostała się do miejsca ulubionego, potrąciwszy babkę jakąś i zaczepiwszy kościelnego:

— Ksiądz Pafnucy?

— Zdrów, dzięki Bogu, wyjdzie ze mszą o siódmej.

— Powiedźcie, żeśmy przyszły. — I upadłszy na klęczki, rozłożyła książki, obrazki, koronki i zaczęła się modlić szeptem wpół głośnym, prędkim, zmieszanym z westchnieniami.

Ewę usposobił ten kościół mroczny żarliwie, natchnął gorącem nabożeństwem. Nie zdając sobie sprawy co wpływało na nią, czuła się podniesioną duchem; pod sklepieniem czarnem, wśród poezji tajemniczych cieniów, oddychającą lżej i pijącą piersią swobodną woń, co jakby tchnienie niewidomego Boga całą otaczało.

Właśnie obok wmyślającej się w wielkość i dobroć tego Stworzyciela, co jej maluczkiej, przyjść do siebie dozwalał, w konfesjonale ksiądz usiadł. Przyszedł tak cicho, że tylko trzask zapadających drzwiczek go zdradził. Postać jego zniknęła, zanurzona w cieniach i szept cichy popłynął, jakby rozmowa duchów.

Nastąpiło puknięcie i Ewa spieszyła wstać, gdy ją za suknię chwyciła Aurelja.

— To nie ksiądz Pafnucy, czekajmy.

Po dłuższej chwili dopiero, przysunął się z oznajmieniem kościelny, że ksiądz przyszedł. Zmęczona podniosła się Ewa, kolana miała zbolałe, zimno jej było i dreszcz na nowo wstrząsać nią zaczynał.

Szare światło przedzierało się przez górne okna, gdy podeszła do konfesjonału.

Machinalnie zaczęła powtarzać niewinnemi usty, co już tyle razy mówiła w podobnej okoliczności. Grzechy jej były nie bardzo liczne, nie mogły też być i ciężkie.

— Nie słuchałam — gniewałam się — zapomniałam modlitwę odmówić wieczorną — niepościłam chętnie — szeptała do ucha nachylonego, podczas gdy z za kratek dochodził ją zapach sutanny, skropionej wódką kolońską, przesiąkłej dymem cygara... Ksiądz się ruszał, nos obcierał, chrząkał — wszystko przypominało człowieka. Daremnie siliła się zapomnąć o tem — wódka kolońska szczególniej, przywodziła jej na myśl jakieś światowe obrazy.

Mięszała się, jąkała, wstydziła; — odetchnęła nareszcie, spowiedź była skończona!

— Czemżeś więcej obraziła P. Boga? — głos się odezwał z za kratek.

— Nie przypominam sobie nic więcej.

— Hm! — najsprawiedliwszy, widzisz, siedem razy na godzinę grzeszy... roztrząśnij dobrze sumienie. Nie tylko z uczynków, ale i z myśli spowiadać się trzeba. Pomogę ci... możeś miała myśli nieczyste?

Zawahała się, nie wiedząc co odpowiedzieć, nie rozumiejąc. Tam w klasztorze, miały spowiednika starowinę, który załatwiał się z niemi prędko, gdy wyrecytowały swoje. On je przeżegnał i kilka pacierzy za pokutę naznaczył, nie wypytywał, nie przypomniał nic. Był niegdyś ojcem, nim habit przywdział, wszystko ukochane w mogile pogrzebawszy. Wszak je znał, te młode duszyczki, które spowiadać się nie miały z czego?

Ale ks. Pafnucy nawykł był do czego innego. On, codziennie słuchający wyznań różnych, obytym był ze szkaradą grzechu. Zapomniał o niewinności, że przychodziła do zimnych kratek konfesjonału, o które ocierały się bezczelne usta i chłodziły rozpalone czoła, namiętnością skalane. Nie rozróżniał, nie sięgał głębiej, gdyż miał nauki gotowe pod ręką, formułki pewne, które zastosowywał do wszystkich.

Ewa milczała, musiał jej sumienie roztrząsnąć!... I tłumaczyć jej zaczął znaczenie tego, o czem napomknął, sięgając dna brudnych rzeczy, roztaczając je przed nią, nie znającą, nie przeczuwającą nawet, aby istnieć coś podobnego mogło.

W miarę, jak wrzucał do czystej duszy, konieczne objaśnienia, słowa, które za naukę stać miały, Ewę oblewały krwawe rumieńce, serce ściskało się, oczy zamykały się, w uszach szum powstawał. Nie chciała słyszeć, a słuchać musiała, każdy wyraz uderzał ją w pierś, przylepiał się do niej jak polip, żal jakiś, wstyd dotkliwy, wzbierał w sercu.... Czyż zapomni? myślała i trwoga zdejmowała ją, że niepozbędzie się nigdy już wyobrażenia grzechu, którego wspomnienie,

nazwisko, obraz, na zawsze w pamięci zostanie!

I nagle łzy gniewu i upokorzenia wytrysły z jej oczu.

Ksiądz widział w tem skutek swych nauk — nie pojmował rozżalenia przyczyny inaczej, tylko tłumacząc ją sobie skruchą.

— Widzisz więc — dokończył — jak złego nasienie leży w myślach naszych, ich się wystrzegać potrzeba przedewszystkiem! Czuwajcie i módlcie się — stoi napisano — a gdyby rodzice twoi, nie byli poddali się złym myślom, dziś nie potrzebowałabyś w trwodze być o ich dusze. Przykład to straszny! Tem bardziej powinnaś nad sobą pracować i ku udoskonaleniu iść. Szanuj, słuchaj opiekunkę, patrz jak ona czyni. Świat niech cię nie uwodzi, a ludzie nie zwodzą, gdyż marnością jest życie wśród nich! Oby cię Pan natchnął myślami dobremi!... Idź w pokoju.

Poruszył się i Ewa wstała, chwiejąc się, z czołem spuszczonem, nie widząc wyciągniętej ręki do pocałowania i odeszła nieprzytomna na poły.

W kościele coraz jaśniej było. Rysowały się już teraz wyraźnie wysokie filary i sklepienia, białe firanki w draperjach spływały sztywnie, złocenia błyszczały. Tajemniczość pierzchła, kamienie stały zimne, chłód z nich padał, wilgoć podnosiła się z posadzki. Płomyki świec migały blade, a od lampy w ponsowem szkle zamkniętej, po płytach rozlewała się szeroko światłość czerwona, jak krwi plama ogromna.

Kościelny zamiatał podnosząc pyłu tumany, skrobiąc miotłą niemiłosiernie. Rozciągano dywany, pi-

szczałki odzywały się na chórze niesfornie, kobiety spieszące na targ, wchodziły z tłumokami wielkiemi na plecach, żegnały się krzyżem ogromnym i roztwierając ramiona, padały czołem ku ziemi. Z konfesjonałów dochodził stuk zapadających drzwiczek z trzaskiem i dzwonki brzęczały zewsząd... Wysokie chorągwie tylko, zdawały się spać jeszcze obojętne, w szarych swoich pokrowcach.

Aurelja klęczała koło konfesjonału, długą wiodąc z księdzem naradę. Od czasu do czasu spojrzenia jego padały na Ewę, która z głową w dłoniach, jak martwa, w ławce opodal siedziała.

Nie modliła się, myślała, a na białem czole bruzda między brwiami rysowała się głębsza i usta zaciskały się silniej.

Wyszły nareszcie.

Serce Ewie biło tak głośno , że słyszeć je mogła: Ledwo kilka kroków uszedłszy, odezwała się stanowczo.

— Ja się więcej już przed ks. Pafnucym spowiadać nie będę.

Aurelja zapomniała że się na ulicy znajduje.

Ręce wzniosła ku górze, zbladła z oburzenia i z gniewu; stanęła i:

— Jak śmiesz!... — zawołała.

— Nie, nie będę! — potrząsła głową panienka i zaczęła szybko iść naprzód.

Musiała za nią ruszyć Aurelja. W pierwszej chwili niema z przerażenia i grozy, odzyskiwała już władzę mówienia.

— Niewdzięczna, nieposłuszna! otom węża na sercu wypielęgnowała! Tobie mieć swoją wolę?

sąd wydawać? tobie, coś dzieckiem rodziców wyklętych, którzy z kraju uchodzić musieli, bo się ich wszyscy zaparli

Łzy wytrysły ponownie z oczu Ewy. Zrobiła ruch przeczący, słaby, i wstydząc się płaczu pod wzrokiem przechodniów, raptownie chustką twarz potarła.

— A wiesz że ty, co znaczą twoje słowa? — dalej ciągnęła oburzona towarzyszka, nie zważająca na nic, nie widząca nic z goła. — Grzechem są nowym! Będziesz musiała z nich się spowiadać!... Ksiądz Pafnucy święty człowiek! Czy ty wiesz jak on ciebie ukochał miłością chrześciańską! jak o ciebie troskliwy... jak pamiętny o dobro duszne?

Uśmiech dziwny wykrzywił pobladłe usteczka dziewczęcia...

— Daremnie ci mówić, nie pojmiesz!... aż cię życie nauczy, aż cię ból złamie i oczy twoje otworzy!... Bóg krnąbrnych wie jak prowadzić... doświadczysz jeszcze ręki Jego srogiej na sobie...

Byłaby dłużej wylewała oburzenie swoje, gdyby co chwila nie potrącano ją na chodniku. W ulicach życie już wrzało, otwierano sklepy, gwar się podnosił, dudniły wozy...

Skręcały do domu, gdy na rogu pokazał się powozik, parą dzielnych zaprzężony koni, któremi sam właściciel powoził. Był nim Stanisław. Ujrzał panie idące, przesłał im ukłon, głośne „do widzenia“ i popędził dalej. Aurelja namarszczyła się bardziej. Bez namysłu:

— Oto jeden ze światowców! — zawołała. — Łupina próżna a świecąca! W duszy nic — ale w sło-

wach wiele! Wierzyć mu nie można, co powie to fałszem nowym! Spytaj pani Herminji jak ją zawiódł! Starał się o nią i porzucił bez miłosierdzia, gdy zobaczył, że jest nim zajęta. Teraz za to bałamuci ją ciągle, wstyd mówić... Taki to człowiek!...

Ewa pobladła bardziej, może z zimna, które nią wstrząsało.

W kamienicy na lewo otworzyło się okienko, i głowa pani Oven pokazała się w niem. Zaprosiła wnuczkę do siebie, mówiąc, że z kawą czeka... Zanim Aurelja zdołała odpowiedzieć, Ewa pędem przebiegła bramę. Za chwilę rzucała się już babce na szyję i tuliła do jej piersi, jakby szukała na niej potrzebnej opieki. Dreszcz ją przechodził, krótkie westchnienia wyrywały się z ust, drżała, chwytając powietrze nerwowemi oddechy...

Stan jej był tak nienaturalny, że babka niespokojna popatrzyła panience w oczy.

Ujrzała je załzawione, błyszczące; rączki, które schwyciła, tak zimne były, rumieniec na twarzy tak gorączkowo wypieczony, że domyślając się czegoś niedobrego, czekała trwożna, aż wnuczka całą rzecz opowie.

Tymczasem zdjęła z niej okrycie, kapelusz, i całując w czoło gorące, biorąc w swoje ciepłe i miękkie, zmrożone rączki panienki, starała się ją uspokoić i ogrzać.

I nagle, jakby coś odtajało w piersi Eweli, podniosła głowę z ufnością bez granic:

— Tylko z tobą babciu, tylko z tobą! — szepnęła, obejmując ją znowu. — Wszyscy tacy źli!... ach!

wszystkich tak się lękam i trwożę czegoś... Dlaczego oni mię ranią, dlaczego?

I dwa strumienie łez spłynęły po jagodach. Babka pilnie patrzyła w oczy Ewy, podniosła głowę, i szepnęła z uczuciem:

— Bóg z tobą moje dziecko! co się stało, mów.

Ale Ewa zarumieniła się tylko i spuściła czoło.

— O! ten ksiądz... — westchnęła — nie chcę, nie mogę mówić... Zraził mnię na zawsze! Nie chcę się spowiadać przed nim... a czy przed kim innym zdołam? — i znowu westchnęła.

Babka milcząc słuchała. Wiedziała już prawie o co szło, przypominała własne doświadczenia w tym względzie i... odwróciła rozmowę.

— Nadto długo siedziałyście w kościele, musiałaś zmęczyć się, przeziębnąć, na dworze tak brzydko! Głodną jesteś, co? — I krzątała się około stołu zastawionego w głębokiej framudze okna, ubranej kwiatami.

W klatkach ptaszki świerkały wesoło, kawa pachła, a kwiaty wdzięczyły się, kolorowe pochylając główki, jakby mówiły: — „patrz Ewo, Bóg nie takim brzydkim świat stworzył, jak ci go chcą przedstawić. Porzuć złe i niespokojne myśli, chodź, spojrz na nas, spełniamy posłannictwo nasze, nie pytając o nic więcej!“ — A Ewa, jakby rozumiała tę mowę kwiatów, zaczynała lżej oddychać. W tem mieszkanku miłem, wonnem, pełnem pamiątek przeszłości, któremi otoczyła się stara babka, było jej jakoś tak swojsko i lubo. Rozglądała się dokoła, po portretach i fotografiach... Myślą jeszcze była gdzieindziej, ale już pod urokiem atmosfery czuła się przyjazniej. Nagle oczy

jej zatrzymały się na dwóch obrazkach. Przedstawiały młodego mężczyznę i kobietę. Mężczyzna miał wyraz twarzy pociągający, kobieta śliczna, młodziutka, o uśmiechu smętnym i oczach patrzących marząco, wyglądała idealnie.

— Mój ojciec! moja matka! — zawołała Ewa i zwróciła zaraz oczy na babkę, pytająco jakoś, natarczywie.

— Tak — potwierdziła pani Oven, skłaniając smutnie głowę — pamiętasz więc ich dobrze?

— Czy pamiętam?! — złożyła ręce. — Matka zawsze uśmiechała się jak tutaj... ojciec... ojca trochę odmiennego widzę w mych myślach: siwy był i oczy jego strachem mię przejmowały... mię, dziecko, nie rozumiejące nic... Pojęłam później... opłakiwały one utratę tej, której przeżyć nie zdołał!... Niemiłym mu się stał świat... ja nawet! Cierpiał — o tak, rozumiem dzisiaj, jak cierpieć musiał! — I łzy błysnęły w jej oczach, a rękę położyła na sercu. — Mów mi babciu o nich! — z dziwną ciekawością wpatrzyła się w wizerunek rodziców. — Proszę cię, mów — powtórzyła.

— Cóż ci powiem, czegobyś nie wiedziała? Młodo pomarli... Śmierć syna ostatniego była dla mnie ciosem okropnym.

— Dla czego nie mieszkali tutaj?

Babka zawahała się chwilę.

— Waśnie familijne... niemiłe stosunki, wygnały ich z tąd... ale dziecko moje, dzieje to zbyt smutne dla ciebie... Tobie śmieje się życie, nie zaciemniajmy go wspomnieniami przeszłości, umarłych, niech spoczywają w pokoju! Kiedyś ci opowiem...

— Nie babciu, czekać nie mogę!... proszę, mów zaraz i... całą prawdę! Potrzebuję tego!

P. Oven uderzył niepokój, z jakim te słowa wyrzeczone zostały. Nie dyktowała je prosta ciekawość, drżenie w nich czuć było i łzy, i coś dziwnego, jak trwogę głęboką.

— Dlaczego pragniesz bym o nich mówiła? — spytała poważnie.

— Bo... ach! daruj babciu!... dziś, usłyszałam wyraźnie po dwakroć, że na pamięci rodziców moich cięży jakaś wielka wina! Co to za wina, chcę wiedzieć! Ja nie wierzę jednak, by winni być mogli... oni! Pomóż mi, abym zapomniała, co mówili mi, abym nie widziała w myślach mych tej złości ludzkiej, przed którą serce mi się wzdryga... ach! i tego, za wiele... za wiele!...

Boleść niezmierna uwidoczniła się na twarzy p. Oven a stłumiwszy oburzenie, odezwała się z uczuciem:

— Biedne dziecko!... uspokój się, nie egzaltuj!... Nic nie cięży na twoich rodzicach — zawierz mojemu słowu. Opowiem ci kiedyś wszystko.

— Dlaczego, w jakim celu, chcą mi ich pamięć zohydzić? Aurelja zraża mię tem do siebie! — nie śmiała dodać nic więcej!

Babka plasnęła rękami, chwilę około ust zbladłych wił się uśmiech gorzki, lecz wyrozumiałość chrześciańska wnet go ztamtąd spędziła. Skinieniem ręki wskazała wnuczce miejsce przy stoliku i podając jej nalaną filiżankę:

— Uczyń jak ja — rzekła — daruj tym, którzy cię ranią, myśląc, że dobrze czynią. Po nad nami jest Bóg — On lepszy od ludzi! Do Niego zwracaj się uczuciem swojem, aby nauczył cię pobłażliwości... A teraz mówmy o czem innem drogie dziecko — nerwy twoje rozstrojone — uspokoić się powinnaś.. Od czegoż jestem ja i miłość moja dla ciebie? Nie dam cię smutkom! Obronię od złego!... Patrz, kawa gorąca, napij się, a gdy się pokrzepisz, będziemy oglądać książki i ryciny, których tu nagromadziłam dosyć, rozerwiesz się i zapomnisz niemiłe wrażenia!

Ewa z uczuciem pocałowała w rękę babkę, ale westchnęła skrycie. Co i kto zdejmie z jej serca ciężar, który je uciska? — pomyślała. I w jej wyobraźni mignął obraz konfesjonału spowiednika.... wrażenie chwili przebytej niedawno w kościele, uprzytomniło się żywo... Ani słówka jednak nie powiedziała babce. Wstydliwość dziewczęca zamykała jej usta i jakieś silniejsze nad nią uczucie... O Stanisławie również nie wspomniała.

III.

Znajomość między Stanisławem i Herminją była dawną, a zawiązaną sposobem następującym:

Po upalnym dniu lipcowym, wieczorem, na jednej z większych stacyjek koleji leluchowskiej, zatrzymał się pociąg. Wysypali się podróżni żywo, zmęczeni powolną jazdą i upałem. Jedni spieszyli do salki, aby coś zjeść, drudzy pozostali na obszernym peronie, rozglądając się i licząc niejako ciekawie. Ci, co szukali ładnych twarzyczek, patrzyli za niemi, inni obojętnie zasiadali do pieczeni. Panie kręciły noskami na dym cygar, które zapalano bez ceremonji, ale że w salce chłodniej było niż na dworze, znosić go widziały się zmuszone.

Między temi znajdowała się śliczna szatynka, młoda, słusznej postawy panna, z matką, robiąca szczególnie wzgardliwe minki. Znać było, że humorom złym ulegała łatwo i cierpliwością zbytnią nie grzeszyła. Nie widząc kogoby się tu tak bardzo miała wystrzegać, bo z mężczyzn przyzwoicie wyglądających i młodych nikogo w salce nie było, rozkaprysiła się na dobre, nie zważając wcale na matkę, która choć nawykła do samowoli córki, robiła jej uwagi nieśmiałe,

nie dla siebie, lecz ze względu na obcych. To jednak nie pomagało. Panna krzywiła się, dąsała, narzekała głośno, znajdując wszystko złem, wymyślając na towarzystwo, na gorąco, zaduchę i t. d. Pomimo jednak tych dąsów, twarzyczka pozostawała śliczna, z daleka uderzała wdziękiem i regularnością rysów; z bliska, wyraz oczu chłodny, w których błyszczał egoizm i oschłość serca, głębszego znawcę mógł zrażać. Z ust wyrywały się wyrazy, które świadczyły, że jeżeli była piękną, dobrą nie była widocznie.

Ktoś nastąpił nogą na powłokę jej sukni.

— Ce butor! — zawołała.

Niezręczny jegomość odwrócił się, uniósł grzecznie kapelusza, spojrzał w śliczną twarzyczkę, i uśmiechnąwszy się dziwnie, usiadł obok do pieczeni huzarskiej, którą mu niesiono. Powierzchowność jego była nieszczególną, surdut miał zapięty krzywo, nie pierwszej świeżości kapelusz, rękawiczek żadnych. Broda nieogolona od dni kilku, nie dobre dawała świadectwo staranności.

Panna wzgardliwe przesłała mu spojrzenie.

— Pewnie coś rozedrzeć musiał? — spytała matki.

— Ale nie, zaręczam ci — uspakajała ją zagadnięta.

— Mama bo nigdy nic mi przyznać nie chce, a przecież wyraźnie słyszałam jak coś trzasło... proszę zobaczyć.

Posłuszna matka pochyliła się, oglądając brzeg sukni i szeptała przy tem:

— Uważaj duszko, ten pan słucha.

— Co mi tam! — ofuknęła.

— Czy będziemy co jadły? — spytała starsza. — Głodnaś Herminciu?

— Jak się mamie podoba, co do mnie nie mam chęci. Cela sent mauvais w tej garkuchni!

— Może ochłodzisz się kompotem? Jest w mojej torbie. — To mówiąc wyjęła słoik i postawiła na stole.

Właśnie nadbiegł chłopak z piwem dla sąsiada, pochylił się, zaczepił rękawem, i słoik upadł na ziemię.

— Coś zrobił niezgrabiaszu! — zaczerwieniona krzyknęła piękna panna. — Pozbieraj że mi to zaraz!

Chłopak drapiąc się za ucho, stanął niemy nad kałużą rozlanego kompotu; nareszcie zbierając się na odwagę, zaczął zabierać się do wypełnienia rozkazu palcami.

— Nie tak, a to głupiec! Cóż to łyżki nie masz?

Jegomość, który jej nastąpił na powłokę sukni, uznał za stosowne odezwać się, że kompot ze szkłem zmięszany może być szkodliwym.

Herminja udała że nie słyszy i odwróciła się plecami nadąsana, biorąc go za pas grand chose, jak się wyraziła złośliwie.

Jegomość tymczasem obtarłszy usta, zapłaciwszy i zakąsiwszy chlebem niewykwintny posiłek, który mu jednak zdawał się smakować, powstał aby odejść. Już był niedaleko drzwi, gdy ze dworu nadbiegając pojawił się na progu młody, przystojny mężczyzna.

Otarli się o siebie, wykrzyknęli wesoło i podając sobie dłonie, stanęli obaj.

— I ty tu!...

— I ty hrabio?!

Potem młodszy, który starszego zatytułował hrabią, żywo zaczął pytać zkąd jedzie, gdzie siedział, że go dotąd nie widział.

— A gdzieżeś ty był Stanisławie, żem cię niespostrzegł — zagadnął nawzajem hrabia — czy do Krynicy dążysz? Czy masz jaki interes w tych stronach? Ja bo parę stacyj dopiero jadę, a wysiadam niedługo. Kupiłem majątek nie daleko...

— Jadę, tak jadę do Krynicy, bo muszę kochany hrabio... wiozę siostrę chorą... biedactwo nie może nawet wysiąść z wagonu. Czekałem, aż jej jeść przynieśli... a sam teraz szukam, czemby się posilić. Dostanie jeszcze czego?

Oczy jego przebiegły salę gdy to mówił, i padły na piękną szatynkę. Ta już wdzięczyła się, usłyszawszy tytuł hrabiego i zobaczywszy pięknego młodzieńca. Zachowanie jej zupełnie się zmieniło.

— Kto to taki? — szepnął Stanisław do ucha hrabiemu. — Czy znasz?... Muszę pójść się przypatrzeć.. taż to cudo!

Uśmiechnął się nazwany hrabią.

— Znam i nie znam — odparł — to znaczy, że nie wiedząc jak się nazywa, wiem już dosyć o niej, by ci radzić, żebyś poprzestał na admirowaniu z daleka...

— Dlaczego?

— Choć prawda — dodał hrabia — ty lepiej wy-

glądasz odemnie! Nie dostanie ci się przydomek jako mnie, i... patrz... już i uśmiech się pojawił... jesteśmy pod bronią!

— Czy to coś podejrzanego?

Wzruszył ramionami starszy.

— Podejrzanego o polowanie na męża!... To widoczne! Jednakże gdybyś tu był przed chwilą i widział a słyszał to co ja!... Choć śliczna, przyznaję.

I opowiedział Stasiowi zajście swoje z piękną panną, jej niegrzeczność i zdarzenie z kompotem... Staś się krzywił, jednakże spojrzawszy znowu, szepnął:

— Ależ bo co ładna to ładna! Nie wytrzymam, żeby bliżej nie spojrzeć.

— Ej ty trzpiocie, Możeś jeszcze gotów się zakochać?

Jak na to, chłopiec usługujący pojawił się, niosąc kompot przecedzony w nowym słoiku.

Hrabia parsknął śmiechem.

— I... jadą do Krynicy? — zagadnął Stanisław.

— Naturalnie! gdybym był nie widział biletu, to bym odgadł, spojrzawszy tylko na pannę. Policz latka... szczegóły ubrania... te minki zobacz.... jadą szukać męża. Ale patrz jak się uśmiecha... już gdy ciebie spostrzegła, pomyśleć musiała o wędce...

— Nie tak łatwo dam się złapać! Ale co mi będzie szkodzić, zbliżyć się, poznajomić, w ładne spojrzeć oczy?... toż nudy w tej Krynicy... byle tam jechała!

Zadzwoniono, ruszyli się wszyscy. Herminja przechodząc skłoniła głową hrabiemu ze ślicznym uśmiechem. Może chciała pokazać białe ząbki Stasiowi?

Patrzył z niekłamanym podziwem, zobaczył jak suknią zamiatała brudną podłogę oblaną piwem, jak uniosłszy ją dopiero na peronie, zdradziła się rozwiązanym trzewiczkiem.

— Szkoda że taka piękna — rzekł w duchu, wskakując do coupé, gdzie leżała na poduszkach biedna istota, którą wiózł do Krynicy.

W kąpielach znajomości robią się prędko. Stanisław zbliżył się do Herminji i został zarzucony grzecznościami ze strony jej i matki. Panna była piękna i rozumna, zabawa z nią miła, Staś patrzył, rozmawiał, ale przypominał sobie zawsze, co mu mówił hrabia. Nie trudno mu zresztą przyszło zauważyć, że obok zalet niepospolitych, nie było tam serca, humory różne, a pod elegancją nieporządek i niedbałość dziwna.

Panna jednak cieszyła się, że konkurenta złapała. Staś był bogatym, ze śmiercią siostry mógł jeszcze stać się bogatszym, jakież życie szczęśliwe gotowało się dla niej u jego boku. Matka ostrożniejsza, nadzieje te miarkowała, przypominając, że nie jedna już podobna nadzieja świetnego zamążpójścia zawiodła... ale córka wprędce zamykała jej usta. Cóż to, czyż była niedoświadczonym podlotkiem? Potrafi dać sobie radę!

Tymczasem siostra Stanisława zamiast lepiej, miała się coraz gorzej. Biednej cierpiącej Staś był całą rodziną, zastępował jej matkę i ojca, czuwał nad nią z czułością i poświęceniem bez granic. Od dzieciństwa Marja ciągle niezdrowa, była mu raczej ciężarem niż przyjemnością w domu, a jednak ci co go znali,

widzieli jakie serce miał dla niej. Niewyczerpany w pomysłach różnego rodzaju, aby jej sprawić ulgę, i osłodzić smutne dnie słabości ciągłej, obchodził się z nią z tkliwością i cierpliwością bez granic. Przy Marji żywość swoją hamował, bo ona nie lubiła go takim, dla niej porzucał gospodarstwo, od cygara się wstrzymywał nieodzownego, dla niej skazywał się na pobyt w nudnych kąpielowych miejscach, znosząc rozkapryszenie chorej z niezmąconym spokojem.

Lekarze zaczęli przebąkiwać o morzu, o spędzeniu zimy w cieplejszym klimacie. Gotował się już do wyjechania z kraju, do oddalenia od domu i zajęcia. Projekt ten jednak nie miał nigdy przyjść do skutku. Nagle stało się to, na co nie był przygotowanym Stanisław, przywykły widzieć siostrę ciągle cierpiącą. Marja niby zdrowsza, zasnąwszy jednego wieczora, nie obudziła się już więcej. Nieprawidłowy stan serca sprowadził śmierć jak grom spadającą na głowę tego, który ją ukochał miłością podwójną, braterską i ojcowską.

Cios był bolesny. Zapomniał o wszystkiem, co nie było z śmiercią w bezpośrednim związku, i nie pożegnawszy się z nikim, wyjechał z Krynicy, ciało wioząc do domu.

Rok minął na czekaniu daremnem. Herminja musiała nareszcie z nadzieją wszelką się pożegnać. Rzecz dziwna jednak, tak była silnie przekonana o swoich wdziękach i ich potędze, że nie potępiła Stanisława, ale uwierzyła święcie, że okoliczności nie od niego zawisłe, rozdzieliły ich jedynie.

Czas uchodził, bądź co bądź Stanisław nie przy-

bywał, trudno były czekać i wreszcie zostać starą panną. Nawinął się ktoś inny. W Warszawie podczas wystawy poznała pana Konrada. Nie była to świetna partja, ale też nie była do odrzucenia. Pan Konrad zdał się na męża stworzonym. Zajmował dosyć wybitne stanowisko, miał majątek nie zły, stosunki liczne, mieszkanie w mieście, które jak z rozmowy się pokazało, było bardzo bliskiem majątku Stanisława. Z tym wiązała Konrada nawet dawna ścisła przyjaźń. Zaręczyny się odbyły, potem ślub. Herminja zostawszy panią Konradową, urządziła dom na świetnej stopie, poświęcając wiele chęci błyszczenia i imponowania drugim, i zaczęła życie mężatki od porobienia wizyt i zabierania mnóstwa znajomości.

Jednym z pierwszych domów, z którymi się zapoznać postarała, była ciotka Stanisława.

Aurelja wcale jej nie zaimponowała, ale wywierała wpływ jakiegoś postrachu. Trzeba ją było ująć koniecznie. Przeczuwała, że będzie krytykować sposób życia nadto światowy... a krytyki nie znosiła, wolała pochwały.

I potrafiła ująć Aurelję. Pochlebstwem i udanem przejęciem się świętością jej nabożeństwa, zjednała sobie pannę. Podziwiała ją, zachwycała się. Niby Aurelja nie lubiła, aby się nią zachwycano, a jednak dziwnie podbitą została. Nie umiała dosyć słów znaleźć pochwały, dla tej ślicznej, dobrej Herminji! Świat, a przynajmniej część jego, powtarzał zdanie panny Aurelji. Herminja była najlepszą kobietą, matką, wzorem doskonałości wszelkich!... Mąż naturalnie, obok takiego wzoru, tracił znaczenie; niektórzy utrzy-

mywali głośno (zawsze za p. Aurelją) że niebył godnym tej żony!

W rzeczywistości rzeczy trochę inaczej się miały. Pan Konrad płacił za wszystko swoją osobą. Grymasom musiał dogadzać, wolę pani spełniać. Herminja poniewierała nim, a zajęta wyglądaniem swojem i wciąż spieszącą się albo nudzącą najfatalniej, nigdy myślą nie była w domu, przy mężu i dzieciach. Salon i budoar jaśniały elegancją, dla gości przyjęcie było wykwintne, lecz na codzień mniej dbała o wygody i czystość. Gdy p. Konrad narzekał, nabierała go z góry, że przy miernej fortunie w dostatki nie mógł opływać. A gdy dzieci zaniedbane i nieprowadzone krzyczały, brała kapelusz i okrycie, i uciekała z domu.

— Gdyby nie ty — mawiała wówczas mężowi — miałabym życie spokojne!... Stworzona jestem do czego innego, a poniewierać się przy dzieciach nie myślę!

— Mogłabyś jednak trochę więcej zająć się niemi...

— A!.. prawdziwie! Jeszcze mało tego co czynię? Któż tu o czem pamięta, jeżeli nie ja? Trzeba mojej głowy, aby podołać wszystkiemu, żyć jak my żyjemy, stosunków mieć tyle... Radzę ci nie narzekać!

— Wszystko bo zaraz do serca bierzesz! Robię co mogę, żebyś była kontenta...

— To „co mogę“ znaczy wiele! ha! ha! Przyznaj, że bezemnie nie znaczyłbyś ot tyle!..

— A ja ci powiem, że wolałbym w domu więcej wygody, niż życie w splendorach, które nie pozwalają na poczciwy obiad codzienny... Co mi po pulpetach przy gościach!

— Otóż to, żeś obrzydliwie łakomy.

— Powtarzam, że mogłabyś się zająć więcej dziećmi i domem.

— Domem!? A któż się nim zajmuje? Kto godzi tapicerów, kto dywan kupił do salonu, kto rządzi, kto kieruje?... Każdy nachwalić się nie może gustu urządzenia! A co do dzieci... możesz i ty trochę się niemi zająć... dla czegoż wszystko ma być na mojej głowie? Masz dosyć czasu cygara tylko paląc!

— A czyż dzieci do mnie należą?! — zawołał już zniecierpliwiony Konrad.

— Tyle co i do mnie! Nie prosiłam cię o pół tuzina bębnów!

— Nie powinnaś była iść zamąż, gdyś ich mieć nie chciała! — krzyczał głośniej.

Pani trzaskała drzwiami na to, i tak się kończyły sprzeczki; potem Konrad przepraszać musiał... A choć nie raz marszczył się i żymał, nic ona sobie z tego nie robiła. Nie bała go się wcale, wiedząc, że krzyczał dla dodania sobie animuszu, w gruncie strasznym wcale nie będąc.

Otwarty dom państwa Konradów, ściągał pełno odwidzających. Stanisław należał do najczęściej bywających. Swoboda, z jaką się tu każdy obracał, dobry humor gospodarstwa, mnogość wiadomostek, pozwolenie palenia cygar, czyniły mu przebywanie tu tak nieżenującem, że przywykł był iść do Konradów, ile razy zapragnął towarzystwa i widoku ludzi, znajdując zawsze u nich wesołe kółko i serdeczne przyjęcie.

Pani była bardzo rada, pan witał jak przyjaciela i dawnego znajomego.

IV.

„Mała“, jak zwykle nazywano Ewę, na pierwszem piętrze nie wesołe pędziła życie. Z babką rzadko przebywać jej wolno było, a u niej tylko czuła się swobodną. Na górze całe dnie schodziły na wyszywaniu na kanwie krzyżów i kielichów, a gdy wiało zimno z ścian ponurych salonu, gdy u drzwi zwieszały się w sztywnych fałdach ciemne opony, a malowidła, przedstawiające świętych męczenników, smutno patrzyły z ram zczerniałych, gdy po rogach gromadziły się cienie jakieś straszne, a nawet klomb kwiatów, które lubiła starsza pani, czerniał żałobnie wielką masą liści, młoda dziewczyna znużona ciszą, przykuta do roboty bezmyślnej, jednostajnej, szyła i szyła wiecznie, słuchając dla urozmaicenia pobożnych książek, opisów cudów, które Aurelja czytała z przejęciem wielkiem, głosem pełnym tragiczności, jęczącym żałośnie jak wiatr jesienny w kominie. Było to wyrachowanem na zbudowanie Ewy, niecierpliwiło ją jednak tylko, i znajdowała, że wszystkie cuda dziwnie podobnymi były jedne do drugich. Rozrywką już zwać się mogło wtargnięcie p. Józefa w to sanctuarjum nudów i czczości Miał on teraz zwyczaj przynoszenia gazety

swojej do salonu... bez której obejść się nie mógł. Zamiast czytać u siebie, dzielił się z paniami wiadomościami o nowych podatkach, lub sprzeczkach parlamentarnych.

Ewa coraz śmielsza, zwracała ku niemu swe duże oczy, czasem zapytywała o coś i śmiała się, gdy on jąkając niemiłosiernie, poprawiając krawatkę, jakby go dusiła, z trudem zbierał myśli, nie mogąc dać sobie rady z tym wzrokiem jej, świdrującym mu w mózgu i w sercu. A mała figlarka z upodobaniem patrzyła na jego zmięszanie, bawiąc się niem, zarzucając pytaniami uparcie. Tymczasem — o czem niewiedziała — p. Józef topniał jak wosk. Widocznem tylko było dla niej, że czerwieniał okropnie i pocił się niemiłosiernie, bo obcierał często spocone czoło dłonią, która swoją drogą spocona, raz chwytając za gazetę, to znów przesuwając się po twarzy, najzabawniejszemi hieroglifami upiększała szlachetne rysy niemłodego mężczyzny, litografując na nich przeróżne zygzaki.

Pan Józef przesiadywał coraz dłużej przy Ewie, ona rada mu była dla tego, że przerywał zjawieniem swojem czytanie Aurelji, a nie rzadko i wybawiał od nudnej roboty. Dziwna rzecz, opiekunka tak surowa, zwykle tak pilnie bacząca na zachowanie się pupilki, zostawiała ją samą z Józefem, wysuwała się nieznacznie, drzwi zamykała cicho, tak, że Ewa spostrzegała dopiero wtedy jej nieobecność, gdy z igłą zawieszoną nad krosnami, śmiejąca się i rozmowna, przypominała sobie jak długo już próżnuje, nie strofowana za bezprzykładne lenistwo.

I nieraz zmrok zapadający, zastawał ich razem

we dwoje, w dużym, pustym salonie, po którym z jakimś lękiem nieokreślonym, Ewa w ciemności nie lubiła się obzierać. Zostań pan jeszcze, prosiła bojąc się być samą i pan Józef zostawał, nie dając sobie tego powtarzać dwa razy!...

Tylko mając swoje zwyczaje nie mógł od razu od nich odstępować, więc kiedy biła piąta godzina wychodził, ale że na miejsce jego milszy gość się pojawiał, Ewa zapominała prędko, że był tu przed chwilą. Drzwi otwierały się przed Stanisławem, i razem z lampą wniesioną, zmieniało się wszystko. Salon przybierał weselsze oblicze, malowidła straszne tonęły w cieniu, światła zapalały się w ramach złotych i liściach fikusów, jakby deszczem skropionych, cieplej i jaśniej robiło się Ewie. Ale tuż za Stanisławem wstępowała Aurelja i rozmowna przed godziną Ewela, zamyślała się i wahała onieśmielona wzrokiem surowym. I zaraz Aurelja czegoś potrzebowała z drugiego pokoju, posyłała Ewelę szukać kluczyków, wydawać rozkazy, a gdy kluczyki przyniosła, zapodziewała się chustka... ta najczęściej była do nieodnalezienia, bo spoczywała naturalnie w kieszeni starej panny, podczas uporczywego przetrząsania wszystkiego.

Tymczasem Stanisław siedział jak na szpilkach, bo utyskiwania na tę nieznośną dziewczynę, która pewnie przed zwierciadłem się zabawia, szły niewyczerpanie...

— Kuzynek nie może mieć pojęcia, co to za kokietka! — wzdychała Aurelja. — Niby wydaje się jak trusia, a to wszystko udane! Prawdziwie, powin-

szować temu, kto ją za żonę dostanie!

Udawał jednak, że go wcale nie dotykały podobne zdania.

— Czemuż kuzynka przypisuje te złe skłonności? — pytał, gotowy zawsze do sprzeczki. — Może zły jaki przykład?...

— Zły przykład?!... a kogoż ona ma przed oczami? Ja przecież staram się dać jej jak najlepszy...

— Nie przeczę! Jednakże sama z siebie...

— A podszepty złego ducha?! Kto się nie umie im obronić...

— Ej! kuzyneczko, trochę teraz mniej niż kiedy liczymy się z podszeptami złego ducha! Nie wchodzą one już w rachubę pobudek, które nami rządzą, bierzemy rzeczy naturalniej...

— Powiedz bezbożniej!

— Nie, jesteśmy lepsi, pojmujemy jaśniej, sądzimy więcej zdrowo. Dawniej znaczyło być wyższym, gdy się zapierało człowieczeństwa, dziś pozwalamy każdemu być człowiekiem, żądamy nawet aby nim był, i jako taki postępował.

— I cóż to ma wspólnego z Ewelą?

— Zaraz wytłumaczę. Ascetyzm całkiem wyszedł z mody, nie jest grzechem dogadzanie sobie do pewnego stopnia, wszystkim wolno żyć swobodnie i wygodnie, mieć upodobania rozmaite i gusta, dążyć do szczęścia godziwą drogą, myśleć o sobie...

— Nic a nic nie rozumiem! — niecierpliwiła się Aurelja.

— Ależ to jasne jak słońce! — droczył się Staś, który bredził umyślnie. — Mówię, że każdemu wolno

dążyć do szczęścia, a gdy kobiety szczęściem jest pójście zamąż, to pójście celem jej życia, gdy spozieranie w zwierciadło jest także jedną z dróg pomocniczych, prowadzących do tego celu, zatem...

— Dajże pokój bałamucie! — śmiała się ciotka, która znowu kochanego siostrzeńca znajdowała bardzo zabawnym.

Zbliżać się bardzo, ani poufnie rozmawiać z Ewą, nie wolno mu było, a tak tego pragnął, bo panienka nierozwikłaną pozostała dlań tajemnicą. Nie wierzył Aurelji, lecz słowa jej wpływ wywierały mimowolnie Bał się, pociągany czarnemi oczkami, nadto się im poddać, aby potem rozczarowanym nie zostać. Męczył się, chmurzył, Ewa niezadowalniała go. Coś mu się w niej niepodobało, jako uprzedzonemu. Zarzucał jej brak szczerości. Jeżeli jej miłym był, dla czegoż nie miała okazywać mu tego jawnie, przy wszystkich? Co ją wiązało, co pozbawiało swobody? Czemu głowa jej schylała się ku ziemi, czoło rumieniło, słowa plątały? A jednak, ileż razy spojrzenie podchwycone, zdawało się mówić: „jesteś mi drogim, najdroższym!“

— Dla czego nie jesteś sobą? — rzekł jej raz, gdy na chwilę zbliżył się, a Aurelja nie słuchała.

— Alboż mogę nią być? — odparła, podnosząc na niego jasne, wymowne oczy, którym wierzył.

— Powinnaś nią być zawsze! — odrzekł z mocą.

— Dobrze to powiedzieć... ale Aurelja tak mnię onieśmiela!...

— Nie bierz do serca jej gadania.

— Trudno.. ledwo wiem co mogę mówić, co robić mam, aby się nie marszczyła...

— Być sobą — powtórzył.

— Chciałabym jednak zadowolnić każdego, nieukontentowanie wszelkie jest mi bardzo niemiłem.. a nie wyobrażasz sobie, jak trudne jest życie z Aurelją, jak ono ciężkie i smutne!... Nieraz marzę o tem, żeby już się z tąd wyrwać. Zazdroszczę ptakom ich skrzydeł... a pocieszam się tylko tem, że nie potrwa tak wiecznie.

— Pilno ci w świat! — z goryczą odezwał się znowu Stanisław.

— Dziwnaż chęć taka?... Widzę innych swobodnych... lubię wyjrzeć okienkiem, pośmiać się, a i tego mi wzbraniają.

Uśmiechnął się na tę skargę dziecinną, ale wnet:

— Tak — rzekł smutnie — wybiegniesz w świat, skrzydełka ci wyrosną... pójdziesz zamąż i nie długo dadzą ci czekać... zabiorą!

Patrzył ną nią, czekał na słowo zachęty, zaprzeczenia. Odwróciła głowę, rumieniec po jej twarzy przeleciał i zniknął. Uraziły ją słowa Stasia, serce zabiło boleśnie. Czyż tak powinien był do niej przemawiać? Chciał ją widzieć zamężną, i mówił o tem tak chłodno!

Milczeli oboje zawiedzeni, bo jemu zdawało się znów, że powinna oburzyć się, choć spojrzeć wymownie, dać do zrozumienia, że albo jego, lub niczyją nie będzie!

Innym razem, tuląc do ust rękę Eweli, szepnął jej do ucha:

— Ach! nie wiesz jak mi jesteś drogą! Przywykłem, gdyś była dzieckiem, już patrzeć na ciebie i dziś odwyknąć nie mogę. Myśl o tobie ciągła zrosła się

z duszą moją i teraz chciałbym, żebyś mi odpłaciła równą życzliwością.

Eweli tchu nie stało, ale przypomnienie Herminji, o której Aurelja zbyt często napomykała i o której miała przekonanie, że była wyższą i piękniejszą od niej sto razy, złą myśl przywiało do głowy: „czy nie żartuje ze mnie? Wszak i tamtą łudził długo.“ I wysuwając rękę szepnęła:

— Życzliwość moją masz dawno Wiesz o tem·

— Tak — wymówił zwolna, oziębiony nagle cofnięciem dłoni — ale życzliwość życzliwości nie równa... trzebaby mi twoją zważyć, odmierzyć, a nie wiem, jakiej do tego użyć miary czy wagi...

— Nigdy zgadnąć nie mogę kuzynku, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz na serjo — odparła z lekkiem zniecierpliwieniem, smutniejąc. — Dobrze utrzymywała Aurelja, że tobie nigdy wierzyć nie trzeba!

— Taki sąd na mnie wydała? A tyś pospieszyła przyswoić sobie jej zapatrywanie życzliwe... Otożem sobie zasłużył!

— Przekonywała mnię panią Herminją — szepnęła cicho panienka, i z ciekawością a niepokojem spojrzała prosto w twarz Stasia.

Twarz ta odrazu gorącym zapłonęła rumieńcem. Pochylił się prędko, zły na siebie za to zapłonienie mimowolne, dziwne, sięgając po rączkę Ewy powtórnie, ale usunęła ją żywo obrażona.

Czekała tłumaczenia, nie przychodziło żadne, i w głębi duszy spytała:

„Co jest między nim a tą panią!“

Podejrzenie jakieś wcisnęło się w pierś, rzuciła

jeszcze raz okiem na Stanisława i odwróciwszy się odeszła.

Trzeba wam jednakże ten rumieniec wytłumaczyć.

Do niedawna jeszcze Stanisław bardzo swobodnie spędzał długie godziny u Konradostwa.

Gdy Ewela powróciła z klasztoru, Staś, którego teraz ciągnęło do ciotki, częściej u niej niż gdzieindziej przesiadywać zaczął, rzadszemi stały się odwidziny u Konradów, i doszło do tego, że pani zaczęła mu wymawiać, iż ich zaniedbuje. Jednocześnie znajdował ją podrażnioną mocno, zapłakaną często i chmurną.

Niebawem zaszło zdarzenie, które mu wiele dało do myślenia.

Pewnego wieczora, wychodząc od ciotki, w bramie zetknął się z Herminją.

Zdawała się tam czekać na kogoś. Zmrok już był dobry, jednakże poznał ją zaraz i zbliżywszy się przywitał jak zwykle, pytając czy dąży na górę.

Na to odpowiedzi nie otrzymawszy żadnej, chciał ją minąć, gdy zastąpiła mu drogę. Zatrzymał się zdziwiony niezwykłem tem zachowaniem, zwłaszcza, że słyszał, jak oddychała mocno. Coś w niej było innego niż zwykle. Położyła dłoń na jego ramieniu; dłoń ta drżała.

— Odprowadź mię pan do domu — szepnęła.

Posłuszny podał jej ramię i wyszli w ulicę. Postąpiła kilka kroków w milczeniu, aż nagle głosem, który drżał bardzo wyraźnie:

— Czy pan wiesz — zawołała — że czekam od obiadu na niego? Że nie baczna na nic, liczę godziny, które tam spędzasz? Chciałam raz dowiedzieć się...

Zmierzył ją wzrokiem zdziwionym, nie znajdując słowa odpowiedzi; — ona dalej mówiła:

— Tak! czekałam... chciałam wiedzieć, jak długo potrafisz pan tam siedzieć, mimo niechęci pewnych osób i przykrości, któremi cię karmią!

Zdawało mu się, że oznaczało to Ewę; wstrząsł się i nachmurzony:

— I cóż ztąd? — zawołał urażony, wysuwając ramię.

Zacisnęła usta, które pobladły, i po krótkiej chwilce odezwała się znowu:

— Gniewasz się pan? nie chcesz mi podać nawet ręki? Czyż zasłużyłam na to? Gdy wspomnę, jakeśmy pana zawsze radośnie u siebie witali... jak dobrze było nam razem... jak do niedawna jeszcze...

Mówiła czule, ale nagle zmieniając ton, zawołała porywczo:

— Niewdzięczny!...

Udał że nie słyszy. Grzeczność nakazywała poprowadzić ją dalej.

— Owszem pani — rzekł tedy — odprowadzę panią do domu, gdy życzysz sobie tego. — I chciał rozmowę nakierować na rzeczy ogólne, ale spotkał wzrok jej błyszczący, utkwiony w siebie, i zamilkł zmięszany, odwracając oczy.

— Nie sądź mię pan fałszywie — szepnęła znowu, tuląc się do niego — jestem rozdrażnioną, słabą!...

— Szczególną jesteś pani kobietą — odparł. — Pocóż, słabą będąc, narażać się na zmiany powietrza...

Westchnęła.

— Nie mogłam w domu wytrzymać... tak dawno pan nie byłeś...

Wiatr zdzierał szal, którym otulona była. Przytrzymał go, poprawił. Ścisnęła go za rękę, czoło jej trochę się rozjaśniło.

— Dobrym pan jesteś, dziękuję!...

— Niech mi pani obieca, że już nigdy..

— Szpiegować pana nie będę?... — zawołała. — C'est plus fort que moi... obiecaj pan nawzajem, że jak dawniej, częstym będziesz u mnie gościem... wtedy... może...

Staś się zawahał. Czuł głośno przy swojem ramieniu bijące jej serce... wiele rzeczy dopiero teraz stawały mu się jasnemi... wiele niezrozumiałych zdarzeń odnajdywał w pamięci, które nagle pojmować zaczynał... Ale chciał niewiadomość udawać do końca...

— Pan się na mnie nie gniewasz? — powtarzała uparcie. — Daj mi dowód, wstąp do mnie teraz.. pogodźmy się!...

I ten cały wieczór spędzili razem. Stanisław odmówić nie umiał

W jakiś czas potem był znowu w mieście Jeździł tak i wracał, czasem dłużej tu, niż przy gospodarstwie bawiąc.

Od dni paru już, codziennie spędzał wieczory u ciotki, nie zaglądnąwszy nawet do Konradów, gdy naraz zetknął się znów z Herminją, odwidzającą Aurelję, może z tajemną chęcią dowiedzenia się czegoś o nim. Niespodziewając się wcale, że go tu zastanie, wpadła wesoła, śmiejąca się, uspokojona ostatniem

z nim widzeniem, bo zdało jej się, że Staś do dawnego powracał nałogu, że został podbitym i związanym... Z ufnością oczekiwała jego powrotu, pewna, że pierwszym krokiem będą odwidziny u niej — tymczasem zobaczyła go przy Ewie, i wrażenie przykre spotęgowało się jeszcze, przeszło w gniew głuchy, w urazę niezmierną, gdy usłyszała, że bawił już w mieście od tygodnia prawie.

Z nachmurzenia jej Staś odgadł zaraz, że mu coś groziło nowego.

W rzeczy samej nazajutrz, do leżącego jeszcze w łóżku, wpadł z rana pan Konrad, oświadczając, że go żona przysłała.

— Herminja prosi koniecznie, abyś był dziś u nas na obiedzie!

— Będziecie mieć gości?

— Nie!

Stanisław się skrzywił i zaczął wymawiać.

— Już to zrobisz dla mnie! — zawołał p. Konrad. — Pani moja dziś w szczególniej złem usposobieniu! a ja — dalibóg — w takim razie, nie lubię z nią być sam na sam! Przyjdź, jak mię kochasz!

— Więc mam służyć za konduktora piorunów?

— Żartuj zdrów.. gdy się ożenisz... no! ale daj mi słowo! Być musisz, bez tego ani się ruszę! Gdybym się źle wywiązał z danego polecenia, nie miałbym po co wracać do domu! Słowo daję, musisz przyjść koniecznie... zrobisz to dla mnie!

Stanisław wzruszył ramionami, ale poszedł.

Przyjęła go, nie podając ręki, sztywna, chmurna. Konrada nie było. Staś modlił się w duchu, aby ktoś

przybył, ale jak na złość, dzwonek, zwykle bardzo często zwiastujący gości, milczał uparcie.

— Po pana teraz aż posyłać trzeba! — szepnęła przy powitaniu.

Chciał zażegnać zły humor, wesoło począł mówić, pytać o zdrowie, przerwała mu gniewnie:

— Czy się tak godzi robić? Myślałam, że pan masz choć trochę serca i... względności!..

— Prawdziwie nie wiem...

— Nie udawaj też pan! Masz więcej domyślności, niż do tego chcesz się przyznać!... — ruszyła ramionami.

— Łaskawa pani...

— Nie nazywaj mię pan łaskawą... wcale nią dziś nie jestem!

— Więc niełaskawa pani...

Gorzej ją tylko podrażnił, zerwała się z krzesła, szarpiąc chusteczkę, którą w rękach trzymała.

— Nie grajmy komedji!... Czy pan szydzisz czy nie masz litości?!

Stanisław uparcie patrzył w dno kapelusza.

— Jeźli tak dalej potrwa — nie ręczę za siebie... za nic!... pan mię do rozpaczy doprowadzisz! — Pomiarkowanie wszelkie już traciła, coraz się unosząc. — Pan nie wiesz... pan nie chcesz chyba wiedzieć!... Czekałam.. myślałam, tłumaczyłam sobie nieobecnością pana w mieście, niezjawianie się jego... tymczasem... o mój Boże!... — Padła na krzesło, twarz zakryła, jakby łzy stłumić chciała, zdusić chusteczką.

Stanisław był w trudnem położeniu. Rozumiał, ale powinien był udawać, że nie rozumie. Za pierwszem słowem, mógł wywołać wyznanie jaśniejsze jeszcze,

którego nie chciał usłyszeć. Nie wiedział co mówić, milczeć trudno przychodziło... Nareszcie:

— Wszak przyszedłem!... — zamruczał.

— Tak! gdym po pana posłała!... Ale te dnie, te godziny, które przeżyłam w oczekiwaniu, pan je nie liczysz? A wczorajsze spotkanie?

Wyprostowała swą pełną, śliczną kibić, wyrwała prawie kapelusz Stasiowi, i zmuszając go, by jej spojrzał prosto w twarz, stanęła przed nim z błyszczącemi oczyma, z pobladłą mocno twarzą, której rysy klasyczne, jak z marmuru zdały się teraz rzeźbione.

— Pan się starasz o tę... dziewczynę! — zawołała.

Staś uczuł gniew nagły. Nie lubił, by mu ktoś podglądał jego tajemnice, a tem mniej, zmuszał go do wyjawiania, co na sercu leżało. Zkąd brała prawo do tego?! Poruszył się i namarszczył. Ona to wzruszeniu przypisała, błyskawica mignęła w jej oczach, fala krwi napłynęła do twarzy, czyniąc ją piękniejszą jeszcze. Milczała długo — lecz w chwili, kiedy już usta otwierała ze słodkim uśmiechem, on zwolna ramionami dźwignął. Ten ruch doprowadził ją do ostateczności.

— Trzeba nareszcie, żebyś pan wiedział wszystko, żebyś nie dziwił się, pojął mię! Odkąd cię znam, kocham szalenie!...

Ostatnie słowo nagle upadło mu pod nogi jak pocisk groźny... Oniemiał, przestraszony czy wzburzony, Herminja nie wiedziała! — Teraz stali oboje naprzeciw siebie, bo i Staś zerwał się z krzesła.

Od razu przyszedł mu na myśl i pobyt w Krynicy i jego częste przebywanie u niej, odkąd była

Konradową... Może i miał coś na sumieniu?... Ale kochał Ewę! Nie potrzebował nawet przypominać sobie tego, bo nie schodziło mu to z myśli nigdy!... Patrzył na Herminję jednak i widział przed sobą śliczną kobietę, której oczy zapłakane były na prawdę, a pierś podnosiła się niekłamanem wzruszeniem. Czy był zupełnie bezwinnym względem niej? pytał siebie i czuł, jak krew rzuciła mu się do twarzy. To: kocham szalenie! rozbrzmiało mu dziwnie w piersi. Zdawało się okrucieństwem odezwać się, zawstydzić ją słowem opamiętania! Milczenie ciężyło jak ołów, wreszcie szepnął — bo coś musiał powiedzieć:

— Pani... ktoś podsłuchać może!...

Poruszyła się dotknięta. Odrazu kobieca złośliwość wzięła górę.

— Pan myślisz może, że cię tamta kocha?... To dziecko, które nawet nie wie co miłość! Jej każdy dobry, nawet taki Józef, gdy nadskakuje i grzecznym jest! Widziałeś ich pan kiedy razem? Słyszałeś co mówi Aurelja? Spytaj pan jej, a dowiesz się nie jednej rzeczy ciekawej... Chce pójść zamąż panna Ewa, bo jej ciasno u opiekunki!... a kto pierwszy, ten lepszy!...

I mówiła tak długo, a bystre jej oczy chwytały zmianę twarzy Stanisława, wywołaną dotknięciem bolesnej struny... Mistrzowską miała rękę!

— Nie spiesz się pan — nabądź wpierw przekonania, że możesz liczyć na przywiązanie Ewy... Postaraj się wywiedzieć... — szeptała, jak zły duch, stając się niby troskliwą o jego szczęście, i przemawiać zaczynała jak dobrze życząca opiekunka. O

miłości swej już nie mówiła, ale każdemu słowu nadawała brzmienie szczerego zajęcia jego losem.

Któż lepiej mógł mu życzyć od niej?

I mówiła tak długo, póki kroki męża w sąsiednim pokoju nie dały się słyszeć.

Odtąd Stanisław spotykał ją wszędzie: u ciotki, na ulicy, gdzie się tylko ruszył. Odgadywała wszystko co robił, cudownie i zawsze zaczynała rozmowę od Eweli, czy się przekonał, czy czego nie dostrzegł? Przybierała rolę zaprzątniętej przyszłością jego, zapominającej o sobie, starała się wcisnąć w zaufanie Stasia. Drażniło go to, nienawidził mięszania się w swoje sprawy, z których nigdy nie zwykł był nikomu się spowiadać — drażniło go i coś więcej... Samo imię Herminji wywoływało w nim zmięszanie. Gniewał się za to na siebie, ale upornie przypominała mu się owa scena, gdy Konradowa wymawiała pięknemi usty po cichu: „kocham cię!“... Nie mógł pomyśleć o niej, żeby mu nie zabrzmiało to słowo w uszach, a wtedy krew biła mu zaraz do twarzy.

Staś bał się, by Ewa nie prześladowała go Herminją, drżał na myśl, że spotka się z imieniem Konradowej na ustach ukochanej — i nie pewny jak zniesie wówczas jej spojrzenie, lękający wzbudzenia podejrzeń, tem silniej się zarumienił, im szło mu bardziej o zachowanie spokoju. — Ewa też zaraz to spostrzegła. Jak się cofnęła i zamilkła!... byłby siebie wybił!... Stała się jeszcze bardziej odtąd nie swoją, nie śmiałą... Brał się na sposoby różne, aby zbliżyć się, pomówić, usprawiedliwić jakoś... Unikała go, a Aurelja ciągle znajdowała się przy niej. Niecierpliwość, potrzeba do-

wiedzenia się co o nim myśli, czy mu jest wzajemną, rosła. W czarnych jej oczach dostrzegał tyle uczucia; nadto ją jednak szanował, aby potajemnie mógł coś przedsiębrać, choć chęć go brała napisać, i list włożyć w książkę, którą często Ewie przynosił. Nareszcie zdało mu się, że znalazł sposobność pomówienia z nią... dowiedział się, że często jest samą w pokoju Aurelji, w godzinach wolnych od jego odwidzin... Napomknęła raz, że ucieka z salonu od towarzystwa Józefa, aby czytywać książki Stasia. Aurelja wychodzi z domu zazwyczaj po obiedzie, a ona z tego korzysta...

Wybrał się wcześniej niż zwykle, wszedł bocznem wejściem... Od progu już okiem spragnionem zmierzył pokój, szukając Ewy. Niestety! Aurelja podsłuchała zwierzenie wychowanki i urządziła się stosownie... Siedziała właśnie teraz koło okna, najspokojniej haftując. Chciał się cofnąć z szybkiem „przepraszam“, ale skinęła uprzejmiej niż zwykle i żywo zawołała:

— Kochanego kuzynka! proszę, proszę... cieszy mię jego wizyta.

Skręcił się jak robak, któremu się nie da umknąć podczas gdy zostawia mu się całą możność pojęcia nieprzyjemnego położenia; siadł, w duszy złorzecząc... Dla czegoż Ewa tak mu mówiła?... Bił się z myślami swemi, podczas gdy słodziutko coś tam Aurelja prawiła. Nagle drgnął. Z salonu przez drzwi przetwarte, doleciał go odgłos śmiechu wesołego. Nadstawił uszy i przez cały czas przemowy Aurelji (o czem, ani wiedział!) słuchał tylko tego śmiechu i głosu, co rozmawiał żartobliwie i swobodnie. Uczucie niezadowolenia najprzód, potem zazdrość

ukąsiły go w serce. Kto to mógł być, z kim Ewa tak wesoło się śmiała, tak bawiła wybornie, ani onieśmielona nie będąc, ani lękająca się nieukontentowania jakiegokolwiek?!

Wstał żywo, jakby sprężyną ruszony.

Kuzynka pewnie wyjść zechce... nie przeszkadzam!

— Ja nie wychodzę o tym czasie! nie przeszkadzasz mi bynajmniej... Czyś jednak dobrze zrozumiał o czem mówiłam? Czyś pojął piękny cel, wzniosłą myśl stowarzyszenia naszego?

Staś nic zgoła ani zrozumiał ani pojął. Ale kiwnął głową.

— Więc przystąpisz?... Jakże mię to cieszy! — zawołała panna. — Dasz ile? — nadstawiła rękę.

— Czy można do ciotki? — zrobił ruch ku drzwiom. Aurelja zastąpiła mu drogę nie puszczając.

— Wszyscy płacą z góry, musisz i ty uiścić się zaraz. Wiesz.... są tacy, co dają i pięćdziesiąt i więcej... spodziewam się...

Stanisław niecierpliwie sięgnął ręką po pulares; widział, że nie wyrwie się ztąd, nie opłaciwszy.

— Mam same setki — mruknął.

— No to setkę!

Rzucił na stół papierek i skłonił się, spiesząc ku wyjściu; podniosła sama portjerę, uśmiechając się dziwnie.

W salonie Ewa już była sama. Obejrzał się w koło namarszczony, tuż za nim postępowała Aurelja. Nie mógł się powstrzymać i spytał:

— Któż tu był?...

— A któż by mógł być prócz Józefa — odpowiedziała Aurelja.

Stanisław pokręcił się po bawialni, rzucił jakieś słówko i uciekł. Podejrzenie wrzucone do duszy przez Herminję, zaczynało kiełkować.

W parę dni po tem, mówiła Herminja do Aurelji, przymilając się jak zwykle:

— Wiesz co moja droga? Ten pan Stanisław coś myśli na serjo o waszej Eweli. Bój się Boga, wszak pamiętasz co ze mną zrobił?! To nie jest mąż dla twej wychowanki...

— Nie, o nie, niech Bóg broni! — zakrzyknęła Aurelja.

— Trzeba by go jakoś pozbyć się... — wtrąciła znów słodziutko Herminja — niech nie bałamuci dziewczyny! Kto wie, może i żenić się nie zechce.

— Zdaje mi się toż samo... bałamut!

— A pan Józef... cóż?

— Tego znów Ewela bałamuci — chytrze odparła Aurelja.

— Mówiłam to samo p Stanisławowi — westchnęła piękna pani.

— A... a.. on co na to? — poderwała Aurelja z nietajoną radością.

— Jeżeli by go czem można zrazić, to współzawodnictwem takiem!... Ewela jest kokietką...

— I ja tak sądzę!

— A więc oczy mu otworzyć... Niechby się przekonał, jak przyjmuje Józefa.

— Trudno będzie — odparła zamyślona panna.

— Co trudnego? Ot tak, niby przypadkiem, obudzić jego podejrzenie czemkolwiek... Zakochanemu nie wiele do zazdrości potrzeba.

— Kochana moja..

— Ach! droga Aureljo!... Jak ja ci sprzyjam, tak wysoko cenię twoje najlepsze chęci dla wychowanki, twoje pobożne zapatrywania.. Pan Stanisław jest lekkomyślnym, nie zbyt rozumiejącym ciebie i pobudki, któremi się rządzisz... bo profan!...

— Bezbożnik! — zakończyła panna Aurelja.

Po tej rozmowie Aurelja nakazała Ewie nie wychodzić z salonu, bawić Józefa, a sama, szepnąwszy bratu, aby odważnie sobie poczynał, i nieznacznie dawszy mu do zrozumienia, że Ewa mu sprzyja, pozostała na straży w swoim pokoju. Była przekonaną, że Staś zechce się widzieć z Ewą, rachując na jej powiedzenie, a przekonawszy się, iż czas ten spędza z Józefem, o kokieterję i fałsz nie omieszka ją obwinić.

Powiodło się najniespodziewaniej. Nie przeczuwała stara panna, że los miał jej jeszcze lepiej usłużyć!

— Starasz się, czy nie? — pytali znajomi Stasia. — Dokądże tego będzie?... Raz się namyśl.. albo innym zrób miejsce... Cóż znowu, wieki masz jeździć w konkury?

I w istocie czas mijał, a Stasiowi trudno się było zebrać na odwagę. Drżał, by mu Ewa nie odmówiła, nie będąc pewny jej serca.

Gdy wszyscy widzieli, że mu panna sprzyja, on sam tylko biedził się i wątpił.

Byłaż zresztą taką, jaką za żonę pragnął? Nie znał jej wcale, a szczęścia swego i całej przyszłości nie chciał powierzać płocho. Przypatrywał jej się zatem bacznie i nie spieszył, bo chciał poznać dokładnie.

— Miłość ślepym czyni! — powtarzał uparcie, i choć patrząc na jej czoło niewinne, na jasną twarzyczkę, pochlebiał sobie, że jest w istocie taką, o jakiej marzył, że ma wszelkie zalety umysłu i duszy, w innych chwilach zaczynał chwiać się i wątpić.

— Zobaczysz, że ci ją ktoś porwie! — mówili koledzy. — Znudzisz pannę nareszcie

Wtedy Staś pod tem uderzeniem ostrogi, utrzymywał przed sobą:

— Gdy zostanie moją żoną, urobię ją jak zechcę! Pączek to jeszcze, wszystko z niej być może... złe być nie musi, nie!

Ludzie mieli rację, mógł znudzić, zniechęcić swoją niedecyzją Ewelę... ale gdyby ją znudził, nie kochała by go, bo kto kocha, nie zniechęca się. Niechby wtedy szła za kogo by chciała!... Lecz on, cóżby on począł, gdyby ją stracił?... Czuł, że żyćby bez niej nie mógł.

Wieś stroiła się, wiosenną, odświętną na się przybierając szatę. Widoki zmieniały się z dnia na dzień jak pod różczką czarodziejską. Co wczoraj jeszcze nagie, brzydkie, bezbarwne, dziś już było kwiatem okryte, trawami zasłane, pod niebieskiem niebem wdzięczące się uśmiechem wesela. Zieleń przysłaniała płoty i rowy, gałązki liśćmi okryte poetyzowały niepoetyczne ściany niskiej chałupy, słomą szyte dachy

i czarne płotów ciernie. Co oko raziło, znikało. Na drzewach świegotały ptaszki, powietrze napełniało się wonią, brzęczeniem, czemś radośnem, młodością... W duszy budziły się zapomniane radości, napełniała ją nadzieja i pewność dobrego jutra. Gdy wszystko w koło się śmiało, śmiało się i serce, upojone życiem budzącem się, weselsze i ufniejsze...

Stary dom Stanisława zdawał się jaśnieć odmłodzony w ciepłych promieniach rannego słońca.

W winie dzikiem, opinającem ganek i ściany, brzęczały wesoło pszczoły, jak co wiosny od lat wielu, podczas gdy żywy świadek przeszłości, drogiej swem wspomnieniem sercu Stasia, stary sługa rodziców, biały jak gołąb Jerzy, stał za paniczem, jak go zwał często jeszcze, zwiastując śniadanie młodemu panu, patrzącemu okiem rozmiłowanem na swoje dziedzictwo.

— Każesz mi po śniadaniu zaprządz — rzekł nagle wesoło zwracając się do Jerzego — pojedziemy do miasta!

Stary szczerze się uśmiechnął, pogładził siwe favoryty, musnął wygoloną brodę i widząc, że pan w doskonałym humorze, odezwał się śmiało:

— Dobrze to nam jeździć, ale gdyby tak już coś wyjeździć... byłoby lepiej wielmożny panie! Zdało by się kogoś przywieźć do domu.

Staś poklepał go po ramieniu. Oczy mu się śmiały.

— A czy mi tak źle? — odezwał się drocząc umyślnie i idąc ku jadalni, gdzie już czekał stół nakryty, gazety, fajka i kawa gorąca ładnie podana —

czy mi czego brakuje? O wszystkiem ty pamiętasz. O wygodę moją dbasz, o gospodarstwo domowe także! Mam zawszc świeże bułki, śmietankę dobrą, nikt mnie nie kradnie...

— Dałbym mu ja! — mruknął stary, pięść ściśniętą podnosząc.

— Widzisz więc... bodaj to mój stary, poczciwy Jerzy! Pocóż mi szukać gospodyni?

— Niech wielmożny pan zdrów żartuje! — zadowolony zawołał Jerzy. — A ja co wiem, to wiem! Nie darmo tyle najeździmy się do miasta... Czas by panią powitać... Byłoby nam wszystkim weselej... a stary Jerzy jeszcze by się zdał dzieci piastować.

— Czy tak sądzisz? Pomyślę o twojej radzie... a teraz idź i przypilnuj, żeby mi się nie guzdrano... Weźmiesz co lepszego do kuferka!...

Stanisław ledwo kawy skosztował, wstał i zaczął się po pokoju przechadzać. Goniła go jakaś niecierpliwość. Przez okna szerokiemi strumieniami płynęło słońce, uśmiechało się do niego i lepsze myśli przywiewało do głowy. Któż w taki poranek wiosenny, mógł się oprzeć weselszemu usposobieniu, co z sobą nieść się zdawała sama natura... Któż śmiał wątpić o szczęściu?

Stanisławowi roiły się wspomnienia spojrzeń Eweli, które tak wiele mówić się zdawały. Czas było się oświadczyć, czuł to sam od dawna, ale jakże serce mu biło!... Na progu jasnej przyszłości, choć wyrywał się ku niej całym sobą, śnił o niej nieustannie, a wahał się dotąd ciągle. Miał nareszcie zmienić w rzeczywistość sny złote... pod dach swój wprowadzić tę, którą ukochał całą siłą młodzieńczych uczuć, wierząc, że ona wniesie tu z sobą poczucie obowiązków i wszystko, co życie wspólne umilić jest w stanie...

Daremnie starano się zrazić go, zaszczepić nieufność, Ewa musiała być taką, jakiej pragnął!... Turkot zajeżdżającego powozu wyrwał go z zamyślenia. Konie stanęły przed gankiem, Jerzy zaczął wynosić kufry i okrycia.

— Losy rzucone! — zawołał i wyszedł, zarzucił płaszcz na ramiona i wskoczył do powozu, biorąc lejce do ręki.

— Z czemże powrócę?! — westchnął, patrząc na swój dom i żegnając go wzrokiem.

— Ze szczęściem zapewnionem! — szepnęło serce.

Konie ruszyły. Droga szła przez wieś, koło kościoła skręcała na prawo, i tu, zostawiając za sobą zabudowania włościańskie, wybiegała na pole, gdzie równą w oddali ginącą wstęgą bielała. Nim jednak Staś na tę wstęgę białą koniom wbiedz pozwolił, zatrzymał je zaraz za kościołem

Wprost tegoż, stał biały dworek plebana, otoczony odwiecznemi lipami. Za dworkiem widniały inne drzewa, dosyć sporego jak się zdawało ogrodu, żywym płotem ogrodzonego. Ściany domku niknęły prawie pod gałęziami rozpiętych brzoskwiń i moreli.

Stanisław zeskoczył i otworzywszy niską furtkę, wszedł w dziedzińczyk oglądając się do koła. Cisza i spokój, jakie tu panowały, piękny widok zieloności, uśmiech błogi na jego usta wywołały, oczami, w których błysnął promień żywego uczucia, objąwszy miłe obejście. Posunął się do domu i zdjąwszy kapelusz

jakby w progu świątyni, choć nikogo w sieni nie było, wszedł do wnętrza.

Na odgłos kroków skrzypły drzwi boczne i wyjrzał niemi niewielki człowieczek o głowie łysej, który trzymał igłę w jednej, a sutannę w drugiej ręce.

— Proboszcz w domu? — spytał Stanisław.

Mały człowieczek skłonił się nisko.

— Jest wielmożny panie w ogrodzie! Co ino skończył wykładać katechizm dzieciskom, panie odpuść, co mi zawsze błota do domu naniosą, i już przy swoich drzewach! Ot, korzystam, by sutannę mu zaszyć... zdejmuje ją dla oszczędności. Gdzie on tam ma kiedy pieniądze dla siebie... Skupuje drzewka, ziarnka, powiadając, że to także jego dzieci, tylko że młodsze. Starszemi nazywa chłopstwo i żebractwo.

Gdy mówił tak człeczyna, wpychał igłę w kubrak swój długi, nadający mu fizjonomję kościelnego, którego funkcję pełnił w rzeczy samej razem z wielu innemi, krawca, służącego, stróża i opiekuna księdza, wiecznie gderzącego, ale przywiązanego doń całą duszą, i wolną ręką otwierał drzwi do ogrodu.

Stanisław skinął głową i odprawił go z uśmiechem. Przez otwarte drzwi promień gorący słońca uderzył oczy jego. Przysłonić musiał je ręką i przystanąć chwilę, szukając wzrokiem proboszcza.

Cały ogród światłem i rosą oblany, lśnił i błyszczał jak roskoszna oaza, zapach się rozchodził, jak cicha a gorąca modlitwa ku niebu. Drzewa stały kwiatem okryte. Czyste pnie ich, gładkie i lśniące, prosto strzelały w górę, dumne swem zdrowiem i bujnością koron swoich, śmiało patrzących i kąpiących się w słońcu.

Bogactwo kwiecia zapowiadało owoców mnogość. Dołem biegły długie szpalery agrestu i malin, niżej jeszcze szeregi całe ogromnych krzaków truskawek. Nigdzie suchego listka, trawki, śmiecia niepotrzebnego, wszystko obrobione starannie, zdawało się roskoszować w pulchnej ziemi, czuć pod opieką troskliwą, szczęśliwe.

Pszczół roje uwijały się w powietrzu, a słowiki zawodziły głośno z kilku naraz stron ogrodu. Nagle pod nogami Stanisława znalazł się koszyk, stojący na ścieżce. W koszyku tym czworo szczeniąt zwiniętych w jeden kłębek spało w słońcu.

— Oho! — pomyślał — proboszcz już musi być niedaleko!

W tej samej prawie chwili głośne szczekanie rozległo się z boku, dwa pieski wypadły z za krzaków, ujadając zgodnie, a za niemi przeczuwając intruza, pokazał się idący słusznego wzrostu, w koszuli i kamizeli ksiądz siwy, który w rękach niósł nożyk i wiązkę łyka.

Twarz jego dobrodusznie uśmiechnięta, wypogodzona nadziemskim jakimś spokojem, rozjaśniła się jeszcze na widok gościa, a czoło, nad którem wiatr rozwiewał srebrne włosy, strzępiąc je jak aureolę, wygładziło się zupełnie wyrazem radośnym.

— Jak się masz? — zawołał wesoło. — Szczęśliwym, żeś mię w domu zastał!

Stanisław ze czcią pocałował w ramię starca.

— Parę razy już — rzekł — w istocie nie zastałem księdza kanonika, a może i teraz przeszkadzam?

— Niech że Bóg broni! Wiem, że moi wychowańcy

— tu wskazał do koła na ogród – cierpliwi. Drzewka mogą poczekać... tyś mi zawsze miły!.. A pójdziesz *Lotko* do dzieci! — krzyknął na psa uwijającego się mu około nóg i skaczącego do góry; na drugiego machnął chustką, odpędzając od Stanisława: – Mysia cicho!... a to krzykacze!... przepraszam cię mój Stasiu za nie, ale to takie poczciwe!... A widziałeś małe? co? śliczne! może zechcesz jednego?... a moje drzewka? patrz no, truskawki już mają pączki na kwiat... powiadam ci, owoce ich ot tak duże!... — Schylił się, liść jakiś obrywając złamany. — Czy widziałeś gdzie krzaki podobne? Hm? taż to moja duma!... Powiadam ci, brzoskwinie będę mieć jak pięście!... Gdybyś się ożenił tego roku, miałbyś czem zastawić stół swój po królewsku na przyjęcie żonki... No, i cóż ty na to? — zapytał figlarnie.

— Nic, tylko chwalę, jak zawsze ojcze kochany! U was jak w raju!

Staruszek uśmiechnął się, pokiwał głową i zaraz ulubionego chwytając się przedmiotu:

— Tak, tak, trochę starania, trochę pamięci, i ot jakie to wdzięczne!... Zdaje się, że wszystko się uśmiecha, nieprawdaż?... Lotka, byłaś u dzieci?... Dobra z ciebie matka, dobra!... Ale gościu kochany, chodź spocząć, niechże ja mam uciechę przyjąć cię w izbie mojej... — I schyliwszy się do pieska, wziął łaszącego się na ręce, spojrzał do koła wzrokiem rozmiłowanym i posunął ku domowi.

— Nie pojmuję — rzekł idąc — jak ktoś może narzekać na życie, że w niem znaleść dla siebie szczęścia nie zdolen!... Na cóż innego, większego, jak to,

które Bóg koło nas roztoczył? Spojrzeć tylko i wielbić Go, a chwalić za dzieła jego. Czyż róże, drzewa i owoce wonne, nie piękniejsze od drogich kamieni? Czyż roskoszowanie się widokiem natury, życie w niej i z nią, nie lepsze, nie milsze nad zaszczyty i miljony, nad szamotanie się wśród ludzi i ludzkich namiętności? Ile tu różności w tym ogrodzie, a jednak wszystko żyje w zgodzie, jedno drugiemu nie zazdrości, każdy krzaczek ma część swoją słońca i rosy jak największe drzewo. Nie lepiejże patrzyć na to, niż na popychanie się tłumów, co nie syte nigdy, depczą po głowach innych, aby samym królować u szczytu?...

Staś słuchał przejęty, patrząc na księdza. Ramy zieleni, otaczając go zewsząd, przystawały do tej postaci czerstwej i silnej, nadającej się dziwnie do tła obrazu. Skromne a pracowite życie biło promieńmi od niego, wielkiego swą prostotą; zadowolenie głębokie okalało tę głowę, którą żadna myśl niespokojna, żadna żądza nie nawiedzała nigdy.

Gdy weszli do niskiego, wybielonego pokoju, ksiądz ostrożnie najprzód postawił Lotkę faworytę na podłodze, potem skinął na Stasia by usiadł, sam zaś wyszedł na chwilę Gość słyszał jak w sieni dysponował słudze, by poszedł po koszyk ze szczeniętami do ogrodu. Wrócił potem i zabrał miejsce wprost Stanisława.

— No, mówże mi teraz, co tam słychać u ciebie? Dawnoś był w mieście? Siejbę skończyłeś?

Staś opowiadał o gospodarstwie, potem o polityce trochę i o sobie. Ksiądz lubiał wiedzieć o wszystkiem, zajmowało go też wszystko, jak zajmuje filozofa, nie

mieszającego się do niczego, patrzącego z daleka... Stanisław mocno go interesował. Z rodzicami jego żył w serdecznej przyjaźni, jego znał od dziecka; jednakże nie wciskał się gwałtem w życie kollatora, nie usiłował niem kierować, zostawiając to sumieniu młodzieńca. — Był doradcą, pocieszycielem dla tych, co się doń uciekali, ale nie narzucał się sam nigdy, nie mięszał do spraw niczyich, trzymał się zawsze na uboczu, żyjąc wśród zwierząt i ogrodu, w których umieścił zaprzątnienia ziemskie swoje.

Staś w obec skromnych ścian i twardych sprzętów, myślał o tej wielkiej cnocie, co umiała sama sobie być nagrodą, nie pomnąc, że była zasługą. Cenił w księdzu to wszystko, co go na pomazańca boskiego święciło, co życie jego czyniło żywym przykładem... Czoło schylał przed tym starcem, więcej pracą cichą niż słowem mówiącem o Bogu, tem wymowniejszym jednakże. Widok księdza był mu zawsze pokrzepieniem. Przy nim wierzył, nabierał pewności, że na ziemi są ludzie zacni prawdziwie. Gdy smutnym się czuł, zwątpiałym, szedł do niego i powracał ufniejszym. Jemu był winiem szlachetny pogląd na życie, poważne wyobrażenie o obowiązkach.

Mając przestąpić próg nowej nieznanej przyszłości, jak po błogosławieństwo zajrzał do księdza, wiedział, że tu zaczerpnie siły nowe, myśl dobrą. Życie tak łatwem i pięknem zdawało mu się zawsze, gdy za przykład brał życie starca, który je takiem potrafił zrobić dla siebie, siłą tajemną i miłości.

— Ojcze — rzekł po chwili rozmowy — przyszedłem złożyć małą ofiarę... dla szkółki... dla ubogich — po-

łożył na stole sakiewkę. — Módlcie się o szczęście dla mnie!

— I dzieci za ciebie modlić się będą — odparł kapłan. — Żebyś wiedział, ile im koszulek potrzeba! Bóg zapłać!

Rozrzewniony Staś uścisnął drżącą dłoń zacnego księdza, i wyszedł, odprowadzony przez niego. Na progu jeszcze pocałował go w ramię, a starzec go w głowę.

Mały człeczyna zawsze ze sutanną na ręce otworzył furtkę z ukłonem. Stanisław obejrzawszy się raz jeszcze, wskoczył na kozioł, podczas gdy od progu ksiądz krzyżem go żegnał.

Gdy na stary budynek ktoś rzuci głownię, w jednej chwili obejmuje go płomień. Niema już wówczas ratunku.

Im dłużej bez miłości człowiek żyje, tem ona silniejszą przychodzi, pożar jej wybucha w mgnieniu oka, ogarnia i nie pozwala już sobą zawładnąć. Nieszczęśliwy zamyka oczy, nie słucha głosu rozsądku, jak by się mścił na sobie samym za to, że za długo dał się mu powodować.

Pan Józef zakochał się od razu w Eweli i stracił rozum, zastanowienie, zapominał o powadze swojej, był cały pod urokiem uczucia, które nie dawało mu nawet porachować lat dzielących go od młodziuchnego przedmiotu zapałów późnych, lecz tem gorętszych.

Stał się zupełnie do siebie niepodobnym. Roztkliwiał się, marzył jak student, wpatrywał się w twarzyczkę Ewy godzinami, wzdychał, oczy zawracał, znosił cukry i kwiaty, na rączkę polował nieustannie

i tak jakoś natrętnie, że i nudził i męczył pannę.

Mięszała się teraz, chowała dłonie, uciekała od niego, wyrywała mu ręce, które gdy pochwycił, całował bez końca a namiętnie. Z dniem każdym był nieznośniejszym, dziwne wrażenie wywierając na Ewie, która czuła się coraz mniej przy nim swobodną.

W dniu, w którym Stanisław wyjeżdżał z domu, z postanowieniem oświadczenia się formalnie, około południa wróciła Ewa z opiekunką z kościoła, gdzie ciągnęła ją Aurelja tem usilniej, im w wychowance większy jak sądziła chłód czy obojętność dostrzegała.

Od czasu spowiedzi swojej przed ks. Pafnucym, Ewa spełniała wszystko z biernem poddaniem. Jest ono zawsze owocem przymusu, a w naturze sieroty na opór milczący lecz silny, przymus ten trafił. Miała ona zapatrywania i uczucia, które Aurelja tylko drażniła. Serce jej zachowywało nieufność, zamykało się na słowa opiekunki, która nie umiała doń przemówić. Nabożeństwo Aurelji ograniczało się na spełnianiu machinalnym praktyk religijnych, a to znów nie mogło zadowolnić Ewy. Nie modląca się tyle, kochać umiała goręciej, głębiej sięgać myślą. Co obojętnem było Aurelji, w niej budziło cześć i podziw dla Stwórcy i w około widziała pełno cudów, nie potrzebując więcej nad wpatrzenie się w niebo i w tajemnice przyrody, aby w te cuda uwierzyć... Na kazaniach, które najmocniej rozgorączkowywały pobożną pannę, pozostawała chłodną, nie godząc się z wymachiwaniem rąk i odsyłaniem grzeszników do piekła, szukała w nich tego czego potrzebowała, a potrzebowała czegoś wzniosłego i pięknego jak jej

myśl o Bogu, gorącego jak jej miłość. Słowa nieodpowiadające tej potrzebie zostawiały ją nieczułą. Aurelja gorszyła się Ewą, groziła jej karami strasznemi w tem życiu i w przyszłem, lecz wychowanka nadto lubiła prawdę, aby ukryć się ze swemi uczuciami i wrażeniami mogła, odpowiadała więc przejętemi usty:

— Nie boję się! Albowiem w śmierci nie masz, ktoby na Pana pamiętał, a w piekle któż go chwalić będzie?

Tego dnia właśnie odezwała się podobnie zmęczona groźbami opiekunki, i Aurelja więcej niż kiedy podrażniona, zostawiła ją — ledwo do domu przyszedłszy — samą jedną w salonie nad krosnami, odchodząc do siebie, aby się pocieszyć i orzeźwić rozmową z parą czekającymi zakonnicami i posłańcem od księdza Pafnucego po skończoną albę.

Parę razy mignęła czarna suknia starej panny w dalszych pokojach i potem znikła zupełnie, tylko drzwi otwarte salonu, pozostały na straży samotnej Ewy.

Młoda dziewczyna zajęta haftem, zmęczona długiem przebywaniem w kościele, trochę senna i rozleniwiona, poruszała zwolna ręką, trzymając igłę, podczas gdy myśli jej, jak ociężałe ptaszki krążyły w mózgu, a oczy spoczywały machinalnie na pstrych nitkach i krzyżykach. Słońce świecące na dworze, niebieskie, jasne niebo, tem ciemniejszym czyniły salon, gdzie się znajdowała, tem straszniejszemi obrazy otaczające ją zewsząd. Gdy podniosła zmęczone oczy, napotykała wprost wiszące płótno, wyobrażające św. Sebastjana odzieranego ze skóry... Odwróciła krosna

z uczuciem przykrego wrażenia i pochyliła bardziej twarz nad robotą. Teraz miała nad sobą jakąś świętą przebitą strzałami, z boleściwym wyrazem. Nie chciała patrzyć na nią, tak jej widok dreszczem ją przechodził. Jednakże na szyjce zgiętej, co błyszczała z białego, mocno wyłożonego wysunięta kołnierzyka, promień słońca zbłąkany kładł ciepły pocałunek. Dobrze i miło było jej czuć na sobie to ciepło dobroczynne, i nie ruszyła krosen, haftowała dalej zawzięcie nie podnosząc głowy.

W tej schylonej postawie śliczną była Ewa. Włosy rozwiewały się nad czołem, poruszane lekko ruchem dłoni, co jak gołąb biały, podlatywała do góry i spadała co chwila, rzęsy długie cień rzucały na świeże policzki, w całej postaci był urok nieopisany, coś jakby wdzięk i woń przejmująca rozkwitłego kwiatu... A ta szyjka gładka, lśniąca w słonecznym promieniu, jakże nęcącą się zdawała!

Cisza uliczki nie bardzo ożywionej, napełniała bawialnię, zdala tylko dochodził gwar miastowy. Oczy Ewy przymykały się mimowolnie, w główce splątała się rachuba krzyżyków, z jakiemiś obrazami dalekiego dzieciństwa, jasnego lica młodzieńca, nadziejami jutra uśmiechniętego, w tem:

— Dzień dobry panie Ewelinie! — zabrzmiało tuż nad nią, aż podskoczyła przerażona.

P. Józef stał obok i poił się jej widokiem. Właśnie dziś śniło mu się, że ją całował w szyjkę, którą teraz widział pochyloną nad krosnami, tylko ponętniejszą o wiele.

— Dzień dobry panu, panie Józefie! — odrzekła niechętnie.

— Pani sama i tak zapracowana?

— Jak pan widzisz!

— Pan, panie — powtórzył z westchnieniem — kuzynka niełaskawa zawsze.

— Nie rozumiem..

— Po cóż się upierać przy nazywaniu mię „panem“? Czyż nie jesteśmy w pokrewieństwie?

— Nie potrafiłabym inaczej.

— Kuzynka jednak mówisz „ty“ Stanisławowi...

Zapłoniła się Ewa, pochyliła się niżej, ale nic nie odpowiedziała.

— Staś szczęśliwszy odemnie... a jednak takim on kuzynem jak i ja! Tylko dla mnie robisz wyjątek.

Spróbował zaglądnąć w oczy, pochwycić rączkę, lecz nie patrzyła na niego, a dłoń jej w ciągłym ruchu migała tak szybko, że nie mógł jej ująć żadną miarą.

— Nie odpowiadasz mi? — westchnął powtórnie — nie znajdujesz odpowiedzi.. bo w czemś różnimy się między sobą, ja ze Stanisławem?

— Pan Stanisław jest... pana Stanisława przywykłam od dzieciństwa nazywać po imieniu... — usprawiedliwiała się Ewa.

— Nie dobra kuzynko! — zawołał. — Wszak i mnie znasz od dziecka?

— Ależ to rzecz całkiem inna! — odparła żywo.

— Czy się kiedy doczekam, że mię zechcesz nazywać inaczej droga kuzynko?

I pochylił się, przybliżając jeszcze. Odsunęła się przestraszona.

— Uciekasz nie dobra kuzynko?! Znajdujesz że mnie strasznym?

Znowu nie odpowiedziała. Szyjka jej była tuż przed nim, nęcąca, biała i gładka; oczy mu błyszczały i nie mógł od niej ich oderwać.

— Nie wiesz jak mi jesteś drogą! — szepnął.

Ewa drgnęła. Te same słowa słyszała już wymówione przez Stasia, jakżeż one inaczej wówczas zabrzmiały w jej uszach! Gorąco jej się zrobiło, potem zimno. Spojrzała na drzwi, czy nie zobaczy Aurelji, ale niebyło nikogo Czyż nie przyjdą ją uwolnić od natrętnego Józefa? Ręka jej tak drżała z niecierpliwości, że aż puściła kłębek, który trzymała.

— Najszczęśliwszy byłbym... — zaczynał Józef, w tem kłębek potoczył się po dywanie, trzeba było podnosić, rozplątywać włóczkę, frazes się urwał. Ale podając kłębek, palce jego dotknęły paluszków Ewy i czerwony już od schylania, poczerwieniał mocniej jeszcze i nowej nabrał śmiałości.

— Rzadką mam sposobność mówienia z kuzynką.

— Jakto? Codzień się widujemy!

— Znać, że mi jeszcze za mało, a potem... ale niechże z tej chwili skorzystać mi będzie wolno! Tak dłużej zostać nie może! Muszę powiedzieć ci, czego zapewne domyśliłaś się już sama, bo niepodobna...

— Mój Boże! jakże się ukłółam! — i zerwała się chcąc wybiegnąć.

Pochwycił jej rękę i począł się użalać:

— Niechże mi kuzynka pozwoli... pokaże.

W tej samej chwili czwórka spieniona dobiegała rogatek miastowych. Niecierpliwy Stanisław popędzał

zgrzane konie, wyprzedzając swój przyjazd myślami. Pilno mu było. Zdawało mu się, iż nigdy tak długo droga nie trwała. Jak go powita? co powie? czy przeczuje z czem on przybywa?... I wyobrażał sobie ową chwilę, gdy rączka Ewy w jego spocznie dłoni, a słowa: na zawsze twoja! zabrzmią w sercu i duszy. Pierś wzdęta uczuciem ledwo nie pękła... Ach! jakże ją kochał!

— Jeźli odejdziesz — mówił Józef — pójdę za tobą. Czy serca nie masz Ewelo?

— Zdaje mi się, że Aurelja mię woła...

Rzuciła spojrzeniem rozpacznem na drzwi, lecz Józef jej nie puścił.

— Odkąd ujrzałem cię — mówił dalej nie zważając, że się odwracała — stałaś się jedyną panią mego serca...

— Ależ to słońce tak mię razi!... — i odsunęła krosna.

Pogonił za nią. Oczu jej nie mógł widzieć uparcie spuszczonych, za to na szyjkę patrzył ponętną.

— Cóżem winien, iż oddałem ci się cały?! Wzięłaś duszę moją, zbudziłaś, gdy spała spokojnie! Nie myślałaś o tem, ja wiem, ale to się stać musiało!... Dziś nie dałbym uczuć moich, tego szczęścia patrzenia na ciebie, za dawną spokojność... Urok na mnie rzuciłaś, czar jakiś, słodki czar, pod którym innym stałem się człowiekiem, którym upojony marzę inaczej o życiu, widzę je z całkiem nieznanej przedtem strony!...

Teraz konie Stanisława w ulice miasta wbiegłszy, mijały jednę za drugą dążąc do celu. Trzeba było

je wstrzymywać, by kogo nie roztratowały. Ale jak wstrzymać serce co się rwało do Ewy? Staś wstrzymywał je dłonią... jeszcze kilka minut, a zobaczy okna dobrze sobie znane, skoczy na wschody i znajdzie się tam, gdzie go ona wyczekuje może...

— Czyżeś nie dostrzegła, że ja ciebie kocham?! Zdradzało mię przecież wszystko! i spojrzenia, i pospiech, z jakim tu szedłem, i ociąganie, z jakiem odchodziłem... I tyś niedobrą nie była dla mnie!... Wstrzymałaś nie raz, uśmiechałaś się często...

Ewa drżała i zmięszana nie zdolna była słowa przemówić.

– Nigdy dotąd jednak nie mogłem zapytać cię, nie mogłem znaleźć odwagi, by o twoich dowiedzieć się uczuciach.

Milczeniem niejako ośmielony, ciągnął dalej roznamiętniając się coraz p. Józef.

— Kocham cię, ach, kocham! Jesteś dla mnie tą ubóstwioną, przed którą kolano samo się zgina, dla której nie masz nic trudnego, nic przykrego... Nie podobna, aby miłość moja nie wzbudziła w tobie choć odrobiny uczucia, jeżeli nie zupełnie podobnego mojemu, to pokrewnego litością... Wszak mówią, że silna miłość musi wywołać wzajemność! Powiedz słówko Ewelo... chcesz mnie za męża? Będziesz mieć najposłuszniejszego sługę, najtroskliwszego opiekuna. Wymów to słowo, abym padł ci do nóg, droga, piękna moja, i w szczęściu najwyższem mógł cię błogosławić, stopy twoje całując...

Na dole stał powozik i czwórka gniada, która prychała wesoło. Staś wyskoczył, rzucił lejce woźnicy, spoglądając w okna pierwszego piętra. Nie było w nich nikogo, wiec wpadł do bramy pospiesznie, wesoły, drżący cały. Gdy zobaczył się przed drzwiami na górze, musiał chwilę przystanąć, aby tchu zaczerpnąć. Wszedł po chwili, w przedpokoju zrzucił płaszcz, włosy ręką poprawił...

Jedno mgnienie oka jeszcze i klamka odskoczyła od drzwi salonu. Stanisław w progu stanął skamieniały.

Widok, który go uderzył, strącił go odrazu z nieba jego marzeń i nadziei w najokropniejszą rzeczywistość.

P. Józef w ogniu oświadczeń, mając ciągle przed sobą łabędzią szyjkę dziewczyny, sam nie wiedząc kiedy, usta swoje do niej przycisnął...

Ewa krzyknęła.

Od progu, jakby stłumiony jęk, westchnienie czy śmiech, echem na jej krzyk odpowiedziało. Porwała się, spostrzegła Stasia i jak winowajczyni twarz w dłoniach ukryła, padając nazad na krzesło. Stanisław chwiejąc o drzwi się oparł.

W tym momencie, ujrzawszy konie w ulicy, panna Aurelja spiesząc do bawialni, pokazała się w otwartych podwojach z drugiej strony.

Jednym rzutem oka objęła wszystkich znajdujących się w pokoju, spostrzegła drżącego Stasia, zawstydzoną Ewę i znakiem zapytania pochyliła się naprzód, wołając wzburzona:

— Cóż się tu stało na Boga?! — podczas gdy przeczucie stanowczej jakiejś katastrofy, czegoś nie-

dobrego dla Stasia, rodziło się w jej myśli i zapalało w oczach iskry szczególne.

Stanisław zdołał zapanować nad sobą i pierwszy się odezwał:

— Wszedłem właśnie w chwili, gdy pan Józef całował pannę Ewelinę. Nic więcej nie wiem!...

— Jezus Marja! — zawołała panna łamiąc dłonie i prędko przystępując do Ewy, nad którą pochylony stał ciągle Józef, szepcąc coś po cichu:

— Pocałował cię, nieszczęsna! — krzyknęła oburzona. — Więc do tego doszło?... Czujesz dobrze, żeś jest zgubioną, ale łzy nie pomogą!.. teraz — dodała ciszej — do klasztoru!

Łkaniem odpowiedziała Ewa. Czy ona czuła, że jest zgubioną, pytanie to było zbytecznem! W niewinności swej była przekonaną, że to dotknięcie ust męzkich, zbrukało ją na zawsze! Innego zbliżenia nie wyobrażała sobie.. czuła się w mocy Józefa, zhańbiona, naznaczona na żonę temu, którego na męża nie byłaby nigdy wybrała... Zgubioną była w oczach Stasia!...

Ręka jej bezwładnie spoczywała w dłoni Józefa, który pochwycił ją i trzymał uparcie, drugą zakrywała oczy. Aurelja zwróciła się do brata, marszcząc brwi i przybierając postawę obrażonej moralności.

— A więc do tego aż przywiodło cię postępowanie tej dziewczyny? Do zapomnienia się? Do obrażenia domu matki?! Ty, coś zawsze był wzorem...

Twarz Józefa wyrażała zniecierpliwienie. Przerwał jej ruchem porywczym, i pochyliwszy się ku Ewie, szepnąwszy coś i otrzymawszy nieme skinienie

głowy, odpowiedział poruszony:

— Oświadczyłem się o rękę kuzynki i mam to szczęście powiedzieć ci, żem ją otrzymał... Przedstawiam ci przyszłą bratowę!

Aurelja krokiem w tył się cofnęła, zaszumiało jej w uszach, twarz pobladła, chwyciła się za głowę obiema dłońmi i jęknęła:

— Ty żenisz się z nią? Ale to nie podobna!

— Dla czego?

— Boś za stary... Bo nikt nie przeczuwał nawet!... Zresztą to być nie może, nie powinno!

Ewa podniosła głowę. Gdyby nawet Staś nie był widział co zaszło, byłaby się czuła zgubioną. Postanowienie silne brzmiało w jej głosie gdy odrzekła:

— Ale być musi... Za Józefa pójdę, bo należę już do niego!

Józef ukląkł, biorąc i cisnąc znów z uniesieniem do ust rękę panienki. Tymczasem Staś cicho wymknął się z pokoju. Ewa z gniewem i obrazą odwróciła się od narzeczonego, gdy Aurelja wyszła, biegnąc do matki.

— Godziłoż się, godziło?! — zawołała łamiąc ręce, a łzy strumieniem pociekły jej po twarzy. — Cóżem panu zawiniła?!... czemże go ośmieliłam?!

— Daruj mi, ach daruj najdroższa! — wyjęknął. — Kocham cię, szaleję! zmysły tracę! Nie wiem jak się odważyłem, nie pamiętam nic!... Całem życiem odpłacić będę się starał.. za moje szczęście dziękować! Więc tyś moja? Nie śmię wierzyć, powiedz raz jeszcze, żeś mi przyrzekła...

Gorące wykrzykniki Józefa i jego widoczne unie-

sienie, nie pocieszyły Ewy, ale któraż kobieta nie przebaczy zbytku miłości? Westchnęła cisnąc piersi małą dłonią.

— Stało się — szepnęła schylając głowę.

— Czy mama wie co się tam dzieje? — zawołała Aurelja wpadając do matki. Starsza pani krzyknęła aż, przestraszona jej dziwnym tonem, pewna wieści niedobrej.

— Co, na Boga?!

— Józef się żeni!

— Jak? gdzie? z kim?... Chyba głowę tracisz!

— A tak, oświadczył się pannie Ewie i został przyjętym... otoż to cicha woda! A i ona!.. Stanisław nadszedł, gdy ją całował kochany mój braciszek!

Matka nie dała jej dalej mówić, zrozumiała tylko, że syn się żeni, i ręce do dziękczynnej złożyła modlitwy. Najdroższe jej marzenie ziszczało się! Zaraz też upominać się zaczęła, żeby przyszli oboje, chciała ich uściskać i pobłogosławić.

Para narzeczonych natychmiast zamieniła pierścionki, ponieważ staruszka matka domagała się tego koniecznie.

Tego samego dnia jeszcze, ks. Pafnucy i pani Herminja dowiedzieli się o zaszłem zdarzeniu. Aurelja nie mogła wytrzymać, by nie podzielić się z niemi niesłychaną nowiną. Gniew głuchy wrzał w jej sercu. Ksiądz nie podzielał go jednak i z jakimś zagadkowym uśmiechem wysłuchał opowiadania. Herminja prawie nie ukrywała radości, choć użalała się nad przyjaciółką: „czyż Ewa była dla niej bratową! to płoche dziecko stosowną żoną dla poważnego

Józefa!“ W głębi serca jednak cieszyła się. Wielkiego ciężaru i niepokoju pozbywała się, z wyjściem zamąż Ewy.

— Najważniejszem było oddalić tego pana Stanisława — powiedzieli razem Ks. Pafnucy i Herminja.

Aurelja jednak łamała dłonie narzekając. Wszystko było straconem... Ewa do klasztoru pójść nie miała!

Ksiądz trząsł głową znacząco:

— Kto wie? A zresztą, czyż i na świecie mało takich, co się zasługują Panu? Naprzykład wy panno Aureljo?

Skoro na tyle zapanować nad sobą zdołała, żeby swoją rozpaczą nie przerazić babki, Ewela obmywszy oczy zaczerwienione, zeszła na dół. Rzuciła się pani Oven na szyję jak zwykle, a potem czując łzy cisnące się gwałtem i serce słabnące w jej objęciu, odwróciła się prędko i poszła do okna, niby oglądać kwiaty i ptaszki.

— Ciesz się babciu — przemówiła po chwili milczenia, nie patrząc w jej stronę — idę zamąż... zapraszam na wesele! — Biedna udawała wesołość.

Pani Oven była pewną, że wnuczka żartuje, więc z uśmiechem zapytała:

— Cóż tak nagle? — Potem zastanowiwszy się i przypomniawszy sobie przyjazd Stanisława, którego konie widziała z rana, a któremu gorąco sprzyjała, odgadywała Ewę i spoważniawszy dodała:

— Jakże się to stało? opowiedz! A najprzód niech usłyszę imię narzeczonego — i uśmiechnęła się znacząco.

Ewa ciągle schylona, obrywała zeschłe listki, twarzą do ulicy zwrócona.

— Jest nim pan Józef babciu! — rzekła cicho głosem drżącym.

— Co ty mówisz? — postąpiła żywo ku niej i zajrzała w oczy. Z tych ócz łzy płynęły, a pierś Ewy wydęta, zdradzała jak bardzo cierpiała.

— Prawdę! — wyjęknęła.

Pani Oven przygarnęła wnuczkę do siebie.

— Mów mi wszystko! — zawołała — w tem coś jest dla mnie niepojętego.

Główka Ewy z ciężkiem westchnieniem opadła na ramię babki, zaczęła płakać mocno i siły ją prawie opuściły. Babka tuliła ją... czyż przy niej nie znajdzie zawsze pomocy? Czyż nie powinna była o tem pomyśleć pierwej? Dla czegoż nie zwierzyła się, nie poradziła?... Ewa płakała długo, póki nie przypomniała sobie, że tem babce serce rozdziera. Wzgląd na jej cierpienie łzy powstrzymał, uściskała ją i zdołała powstrzymać łkanie. Niebawem babka wiedziała o wszystkiem co zaszło.

Gdy przyszło Ewie wymówić imię Stanisława musiała usta przycisnąć chusteczką, aby na nowo łkaniem nie wybuchnąć.

— On widział wszystko! — zawołała łamiąc ręce — A choćby nie był widział, coż mnie zhańbionej pozostawało innego? Muszę zostać żoną Józefa... I... lepiej że widział!... oszczędził mi wstydu wyznania. O! bo ja nie mogłabym go zwodzić!... był by się prawdy dowiedział odemnie!

— Dziecko... dla czegoś dała słowo? Na miłość boską coś zrobiła?

— Czyż mogłam inaczej postąpić? Gdyby okno było otwarte, byłabym przez nie skoczyła bez wahania!

— Szalone uniesienie!... Pojmuję cię, rozumiem, ale czyż koniecznie masz iść za Józefa? — szepnęła babka.

Ewie opadły ręce. Nie pojmowała powątpiewań babki, tłumaczyła je zbytkiem przywiązania do siebie, trwogą o jej szczęście. Zarumieniła się poruszona.

— Mówiła mi toż samo Aurelja — odrzekła.

— Widzisz dziecko moje, kochamy cię wszyscy, pragniemy abyś była szczęśliwą

— A babcia wie co mi mówiła Aurelja?

— Czekać, niespieszyć się, nierozważnie nie wiązać swojej przyszłości! — przerwała pani Oven.

— Nie, powiedziała mi, że mnie tylko pójść do klasztoru wypada, że nie mam innego wyboru!

— Dziecko ty moje! — zawołała trwożnie babka — zaklinam cię, nie rób nic, póki nie namyślisz się dobrze!

— Jestem narzeczoną babciu, słowa nie cofnę! — odparła z dumnem wzniesieniem główki egzaltując się Ewela.

Stanisław powrócił na wieś. W tej chwili zaraz, kiedy nieprzytomny zeszedł na dół, wsiadł do powozu i popędził napowrót.

Z gorzkim uśmiechem powitał ściany swego domu. Widok jego mu przypominał z jakiemi nadziejami

żegnał go z rana. Te same wesołe promienie słońca świeciły jeszcze, te same brzęczały w winie pszczoły, ale jakże wszystko zdało się teraz innem oczom Stasia! Twarzyczka Ewy nie jaśniała już przed nim swoim uśmiechem, mówiąca o dobrej przyszłości, więc wszystko ściemniało i zbrzydło. Wstydził się ufności, gniewał sam na siebie i odtąd z rozpaczą w sercu chodził jak struty.

Stary Jerzy z pierwszego wejrzenia na pana, z tego nagłego odjazdu z miasta, odgadł, że się coś święci niedobrego. I on wzdychał kiwając siwą głową, markotny. Mijały dnie, Stanisław nie ruszał się z domu, smutek wypisany nosił na czole i jakieś zwątpienie głębokie w sercu. Z tego stanu, który graniczył z odrętwieniem, nie wyrwał go bynajmniej wonny liścik, pocztą pewnego rana przywieziony.

Liścik był od Herminji.

Rzucił go, obojętnie wzruszając ramionami. Nadszedł niebawem drugi i trzeci. Zdawać się mogło, że tylko większe rozdrażnienie wywoływały. Staś czytał namarszczony, miął i uśmiechał się szydersko; czasem sykał zniecierpliwiony, gdy pismo poznał na kopercie.

Aż dnia jednego kazał rzeczy pakować. Gdzie i dokąd miał wyjechać, nikt nie wiedzał, nie mówił nikomu. Wybierał się jednak widocznie na długo. Jerzy zaniepokojony, nie śmiąc sam się odzywać, pobiegł na probostwo.

Kanonika jak zwykle, zastał przy robocie w ogrodzie.

— Dobrodzieju, księże kanoniku — zawołał przy-

wiązany sługa — ratuj nas! Jeżeli kto, to ksiądz kanonik pomoże!

— Co się u was stało? — zapytał pleban wpatrując się jasnem okiem w poczciwego Jerzego.

— Księdzu kanonikowi wiadomo — bom się już uskarzał przed nim — że od tego powrotu z miasta, pan mój chodzi jak zwarzony...

Ksiądz ręce rozłożył i rzekł:

— Nie mówił mi nic, nie moja rzecz mieszać się w cudze sprawy! Człowiek potrzebuje nieraz sam się w sobie przetrawić, dajmy mu pokój!

Zaczął coś majstrować koło drzewa, obok którego stali. Jerzy znowu żywo podchwycił:

— Ale toby jeszcze nic nie było, że jak struty, że jak nie swój jest ciągle, teraz nowa bieda! Wybiera się, gotuje do drogi i ze wszystkiego widzę, że na długo myśli się gdzieś wybierać... Co my tu sami poczniemy? Ja bo i rządcy nie bardzo dowierzam!...

— No to cóż? — odparł ksiądz — mam że go wstrzymywać, odradzać? Jakiem prawem najprzód, a potem, czy my wiemy co lepszem? Może zdrowiej mu będzie z tąd się wydalić, coś nowego zobaczyć, zapomnieć?! Hę? wieszże napewne, że nie potrzebuje szukać dla siebie rozrywki?

Jerzy pochylił głowę zadumany.

— Toć i prawda — odparł po namyśle — lecz co my poczniemy? Gdy na chwilę wyjedzie, tchnąć nie można, trzeba ugryzać się z każdym, dopieroż gdy długo go nie będzie!...

— Ej stary — pogroził mu pleban — o sobie myślisz jeno! Godzisz się to?

Jerzy zawstydzony, w rękę go ucałował i oddalił się smutniejszy jak przyszedł. W głowie mu się nie mogło pomieścić, jak — gdy pana w domu nie stanie — da sobie radę sam jeden.

Turbował się, że żywej duszy prócz niego, nie było poczciwej przy gospodarstwie. Może — podobny każdemu staremu słudze — nazbyt był podejrzliwym i nieufnym.

Staś, jakby niedbając o to wcale, co się w domu dziać będzie, wistocie nazajutrz wyjechał.

Opustoszał dom stary, Jerzy wzdychając, drzwi za panem na klucz zamknął dwa razy.

W jakiś czas potem, przez kogoś przybyłego z miasta do rządcy, dowiedział się, że panna Ewa zamąż idzie za pana Józefa.

— Otoż wylazło szydło z worka! — pomyślał. — Biedny panicz!.. Kiedyż my go teraz napowrót ujrzymy?!

V.

Herminja wodziła po bawialni znudzonemi oczkami, siedząc na niskiej sofce, z książką w ręku. Dziecinne głosy dochodziły z dalszych pokoi, w kłótni zmięszane, i była chwila, że krzyk tak głośny, jak tylko może być wydanym z piersi małej istoty, przedarłszy się przez drzwi zamknięte, uderzył uszy pięknej pani. Nie poruszyła się nawet. Drzwi w tej chwili otwarły się z trzaskiem i p. Konrad pokazał się przestraszony.

— Zdawało mi się, że słyszałem krzyk, czym się mylił?

— A tak, krzyczą dzieci jak zwykle, coż w tem dziwnego? — odparła żona.

— Doprawdy? I jesteś tak spokojną! Nie zajrzałaś nawet, co oni tam robić mogą?!

— Ależ nie oni, tylko one! — poprawiła pani. — O dzieciach mowa.

— Oni, one, wszystko jedno! — krzyknął niecierpliwie. — Nie chodzi o gramatykę, ale o dzieci... dla czegoś nie poszła?

— Czekałam, aż ty to zrobisz, wiedziałam, że mię wyręczysz!

— Prawdziwie? Więc mam być niańką?

— Dla czegoż mnie wyłącznie ma ta rola przypadać?

— Dzieci są naszą wspólną własnością, jestem przekonaną, że tylko to co w nich jest z ciebie, krzyczy, moja część spokojnie się zachowuje.

— Dalibóg! mogłyby się pozabijać, zanim byś się ruszyła!

— Pozabijać byś się im nie dał! Nie szukaj sprzeczki... już mogłeś być z powrotem!

Coś mruknął niewyraźnego szarpiąc faworyty, poszedł jednak do dzieci. Ona czytała dalej, a raczej przewracała kartki, myślami była gdzieindziej. Spojrzała na zegarek, wstała i poszła do źwierciadła. Uśmiechnęła się do siebie.

— Dobrze dziś wyglądam! Ta suknia wcale mi się udała.. Mógł by przyjechać... powinien by nawet! Listy moje odebrał.. Czyż nie jestem piękną? Czyż nie wie, że go kocham?... Cierpliwości!... przyjdzie! może nie wypada mu zaraz?... Ale już parę tygodni minęło od zerwania z Ewą, trochę długo!... Nieodpisuje! hm! może nie chce mię kompromitować, boi się, aby list... tak, niezawodnie! — poprawiła włosów. — Brzydką nie jestem, o nie! przyjedzie.

Wyjrzała przez okno. W ulicy turkotały powozy, pył się wznosił, który złotym się wydawał w słonecznych promieniach. Dzień był przepyszny czerwcowy, domy wszystkie świeciły szybami odbijającemi czerwono od ścian białych, zabarwione odblaskami zachodu, ludzie kręcili się jakoś wesoło. Zwyczajny widok, który codziennie miała przed oczami, wydawał się jej piękniejszym i barwniejszym dzięki pogodzie.

— Tak wygląda życie, gdy je miłość opromienia! — szepnęła. — Słońce nawet proch uliczny i brudne mury maluje złotem.... nawet nic nie mające pięknego szmaty chmur szarych, zamienia w purpurę! Miłość z nami i w nas to samo czyni!...

— Ale gdy zgaśnie? — coś jej szepnęło.

Potrząsła głową, jakby zbywając się myśli natrętnej i odwróciła się od okna. Równocześnie doleciał ją z przedpokoju odgłos dzwonka.

— Ktoś nadchodzi! — zawołał pan domu, pojawiając się znowu. — Nie ma mnie w domu!... tam u dzieci już wszystko załatwione, podrapały się trochę!.. Ja wyjść muszę, sprawy mam ważne — i zniknął.

Herminja wzruszyła ramionami na słowa męża: „ważne sprawy“. Lekceważyła ona je widocznie i zwróciła oczy ku wejściu z wyrazem oczekiwania, w nadziei radośnej... Wzrok jej odźwierciedlił stan serca, przybierając odblask namiętny... ale nagle, płomień ten zgasł, czoło się lekko powlokło chmurami niezadowolenia i zawodu. Wchodził młody mężczyzna, na którego widok obojętnie zawołała:

— A to pan?!

Gość już sięgał po rękę białą i pewny siebie kłaniał się i szastał nogami, uśmiechając się i wdzięcząc. Usiadł na wskazanem krześle i chrząknął.

Był to dosyć przystojny blondyn, o niezwykle białej twarzy i jasnym zaroście, który widocznie rad swojej twarzyczce, miał się za piękniejszego jak go natura stworzyła. O wyrazie nic nie znaczącym, o swych oczach fałszywych, kocich, nic nie wiedział, owszem był przekonany, że jest miłym i rozumnym.

Czoło jego tymczasem, nie zorane żadną głębszą myślą, mówiło za niego o pospolitem wykształceniu, o małych zdolnościach umysłowych i nierozwiniętej inteligencji. Nie przeszkadzało to bynajmniej, aby około ust nieuwijał się uśmiech zarozumiały.

Musiał mieć charakter nieszczególny, i być próżnego, płytkiego umysłu. I w istocie pan Kuba, powszechnie „Pleciugą“ zwany, oprócz niepowściągliwości języka i wielkiego talentu do plotek, do mięszania się w nie swoje rzeczy, których był do zbytku ciekawym, nie posiadał innych zalet. Jednakże mimo to, a może dla tego właśnie, ludzie go dosyć lubili; znoszono go w towarzystwie, a nawet zapraszano chętnie. Bywało, że opowiadano mu umyślnie niestworzone baśnie, z któremi Kuba tak gładko się uwijał, że nazajutrz już wracały do tego, kto je wymyślił, najdziwaczniej przekręcone i tak zwiększone, że przypominały ową grudkę śniegu, co spadając ze szczytu gór alpejskich, zamienia się w swym biegu w lawinę zasypującą podróżnych, stada bydła, a nieraz wsie całe. Talent ten Kuby imaginacyjny niezmiernie bawił wszystkich, jednakże choć kłamał, wierzono mu zawsze, ilekroć z nową rzeczą przybiegał. Tak bo miło usłyszeć coś złośliwego o drugich!

U Herminji był gościem częstym, nie pogardzała nowinkami, a Kuba miał ten dar cenny, że wiedział co i jak komu podać.

— Konrada nie zastałem? — zapytał, zakładając nogę na nogę i wygodnie rozpierając się w fotelu.

— Wyszedł właśnie!

— A! a! zawsze zajęty, nigdy go w domu niema... Jak ślicznie dziś na dworze!

— Widziałam to z okna.

— Pogodną mamy porę, pewnie nie potrwa to długo!

Herminja nic nie odpowiedziała. Stłumiła ziewnięcie, on umilkł kręcąc kapelusz w rękach. Rozmowa nie kleiła się, Kuba nie stanął jeszcze na swoim gruncie. Choć czegoś gniewna, gospodyni musiała mu w tem dopomódz.

— Co pan tam słyszałeś nowego?

— Niewiele, cicho jakoś w mieście — błysnął oczami, widocznie nie to mówił, co myślał.

— Przecież? Nie podobna, żebyś pan o czemś nie słyszał...

— Hm... zapewne!... Byłem na przedstawieniu u księstwa.

— Jakże poszło?

— Grano wyśmienicie!... I mieliśmy małe intermezzo, niezapowiedziane! Pani wie, jak zazdrośną jest hrabina Leonia o młodego księcia?

Herminja wydęła usta pogardliwie.

— Taż to dawny romans!... Biedna żona... biedna księżna!

— Otóż bohatera grał książe, kochanki rolę miała panna Lunia, śliczna panna Lunia! Książe dosyć chętnie ku niej spogląda... hrabina od jakiegoś czasu już to spostrzegła. Była więc wielce niespokojną podczas przedstawienia i pod pretekstem to tym, to owym, ciągle zaglądała za kulisy. Naraz, gdy właśnie panna Lunia znajdowała się na scenie, czekając na

zjawienie się księcia, za sceną podniesione odezwały się głosy, słychać było jakąś sprzeczkę. Kilku z nas pobiegło zobaczyć, a tam kłóciła się hrabina Leonia z księciem; on jej dosyć ostro odpowiadał, a ona utrzymywała, że jej umyślnie na ogon sukni nastąpił, słowem historja! Hrabina robiła mu wymówki okropne, książe stał blady i zmięszany... nie szło tam o nastąpienie na suknię wcale — jak się pani domyśla — aż nareszcie księżna matka w to się wdała i hrabina musiała ustąpić. Sapała potem i dmuchała jak zahamowana lokomotywa. C'est un crampon! vraiment!...

Zatarł dłonie, widocznie jednak przyszedł tu z czemś innem, bo kręcił się niespokojny. Rzecz ciekawą musiał mieć na języku, bo skończył nadto prędko opowiadanie o przedstawieniu u księżnej, nie delektując się jak zazwyczaj komentarzami. Patrzył w oczy Herminji i krząkał.

— Kiedyż ślub panny Eweliny? — spytał nagle.

— Czy zapowiedzi już wyszły?

Zaczerwieniła się lekko i podniosła wzrok na niego. Wydał jej się jakiś dziwny.

— Ze ślubem nie spieszą — odparła zwolna. — Panna jeszcze młoda bardzo, może poczekać...

— Ale pan Józef? hm!... tego już na czekanie nie powinno się skazywać!... Tymczasem ludzie coś plotą...

— Jak zwykle!...

— A tak! jak zwykle... jednakże, tym razem, brzydką ukuli historją...

— Cóż znowu!

— Niestety! komuż bo spokojnie pobrać się dadzą?... Przebąkują, że umyślnie skompromitowano pannę, by pana Stanisława oddalić!... Przeznaczono ją do klasztoru.

Poruszyła się Herminja, splasnęła dłońmi, oburzona niby mocno.

— Co za historje! a już ci ludziska...

— Niepoczciwi! wiem o tem najlepiej... Jednakże słyszałem z innej strony, że w samej rzeczy kompromitacja nastąpiła... jaka, różnie utrzymują!... Tylko że panna zamiast z rozpaczy pójść do klasztoru, wolała rękę swoją oddać p. Józefowi... z dwojga złego, lepsze mniejsze!...

— Zaręczam panu, że...

— No, już to między nami powiedziawszy, coś w tem musi być prawdy, bo proszęż pani, dlaczego ze ślubem zwlekają?... A potem... — zatrzymał się, złośliwie uśmiechając, patrząc na poruszoną gospodynię.

— Wyprawa czas zabiera... trzeba przecież mnóstwa rzeczy... czyż pan nie wiesz o tem?... To niepojęta prawdziwie, jakie wnioski ze wszystkiego wysnuwacie!...

— Pani mnię najokropniej obwiniasz, a tu... same fakta mówią... Pan Stanisław w rozpaczy...

— Zkąd znowu? — oburzyła się piękna pani. — Nieoświadczał się nigdy... nie ma pewności nawet, czy się starał!...

Kuba patrzył w dno kapelusza, ciągle się uśmiechając.

— Jednakże postępowanie jego... — szepnął.

— Cóż w niem dziwnego, że w mieście nie było

go od jakiegoś czasu... bo gospodaruje .. zajęty..

— Więc pani nic nie wiesz?

Wzruszyła ramionami zniecierpliwiona, nie przeczuwając, co miał na ustach.

— Zobaczymy go znowu — rzekła całkiem pewna.

— A... tak się pani zdaje? a gdyby... gdybyśmy pana Stanisława nie prędko mieli zobaczyć?

— Gdy się z gospodarstwem ułatwi!...

— Spotkałem właśnie służącego Stasia, Jerzego... mówił mi...

— Więc pan Stanisław przyjechał?.. — Wykrzyknik ten tak się jej wyrwał mimowolnie, że zmiarkowawszy, iż się zdradza, zarumieniła się gwałtownie. Kuba rumieniec zobaczył, ale udał ślepego. Rzekł zatem najnaturalniej niby:

— Tym razem sam przyjechał!

Potrzymał ją trochę w naprężeniu, gładząc kapelusz i jakby od niechcenia, dodał:

— Jerzy mówił mi o swoim panu...

— Może chory? — zawołała, nie mogąc się powstrzymać... — Niechże już pan raz powie!

— Nie wiedziałem, że to panią tak zajmuje żywo... — odparł. I odrazu, jak by u dobrze wymierzonego pistoletu spuszczał kurek:

— Opowiadał mi, że pan Stanisław był nie swój i mocno zgryziony, a teraz... — tu urwał umyślnie.

— To wszystko przywidzenia! — przerwała. — Pewnie dostał kataru... na wiosnę o to nie trudno! A pan zaraz tłumaczysz wszystko... rozpaczą!

— A jakże pani wytłumaczysz, że pan Stanisław.. wyjechał!

— Wyjechał?! Dokąd? Na jak długo? — zawołała nieuważnie.

— Tego sam poczciwy Jerzy nie wie! Ale, że daleko i nie na krótko, to pewna.

Pobladła lekko piękna pani, ale przypomniawszy sobie znowu, że Kuba może wysnuć jakieś wnioski z jej całego zachowania, nie rada, iż się za żywo odezwała, zdradzając się prawie z przykrością, którą nowina niespodzianego wyjazdu Stanisława w niej wywołała, nie dowierzając zresztą zbytnio „Pleciudze“, odparła już spokojniej:

— Ciotka by przecież o tem wiedziała!... Zresztą różne fantazje miewają ci młodzi panowie... Nie widzę żadnej styczności między tą podróżą, a wyjściem zamąż Eweliny... Taką dobrą robi partję!

— Zapewne! — mruknął Kuba. — P. Józef dwa razy starszy od niej... Do tego zmuszona... piękne mi szczęście!

P. Herminja wzruszyła lekko ramionami.

— Gdy pan sobie już raz czemś głowę nabijesz...

— A pani znów nic bo przyznać nie chcesz!

— Mówmy o czemś innem...

— Ale ja panią pożegnać muszę! Mam być jeszcze u pani Ireny, u baronowej Karolowej, u...

— Niechże pan tej plotki nie powtarza przynajmniej!...

— Ja?... A za kogoż mnie pani masz? Ale ludziom usta zamknąć niepodobna!

— Broń że pan przynajmniej tę biedną Ewelinę!

— Pani ma tak dobre serce!...

— Ręczyć mogę, że się Stanisław nieoświadczał...

— A ja znów zaręczyć, że wyjechał!... To coś znaczy.

I pan Kuba stawszy się panem sytuacji, zwycięsko zaczął się cofać ku drzwiom.

— Niech się pani nie gniewa — rzekł, całując rękę podaną bardzo gorąco, goręciej niż należało. Uczuła to i prędko z uśmiechem odparła:

— Ależ ja się nie mam za co gniewać na pana!

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, padła pani Herminja na krzesło, chwytając się za głowę. Stanisław odjechał, nic sobie z niej nie robiąc!... Łzy gniewu i upokorzenia błysnęły w jej oczach. Po chwili zerwała się. Podejrzywała Kubę o podstęp jakiś, o powiedzenie umyślne nieprawdy. Wierzyć nie chciała... Trzeba biedz, dowiedzieć się. Listy jej nie mogły nie wywrzeć żadnego skutku! Przekonana o swej piękności, o słabości męzkiej, nie pojmowała niepowodzenia, zgodzić się z niem nie umiała.

Otarła oczy i prawie pewna, że Kuba plotkę jej przyniósł, włożyła kapelusz, wstążki związała jak zwykle z gracją i pobiegła do ciotki Stanisława.

Aurelji nie zastała w domu. Starsza pani sama ją przyjęła. Wyszła z oczyma czerwonemi, chustkę trzymając jeszcze zmoczoną w rękach.

— Wyobraź sobie — zawołała — co tu spada na mnie! Dopiero był stary Jerzy... Staś mój kochany, poczciwy... prawie chory i nie swój strasznie, wyjechał! Gdzie, dokąd, nie powiedział nikomu! Nawet ze mną się nie pożegnał. Teraz otworzyły mi się oczy! Staś kochał Ewelę... jej strata doprowadziła go do rozpaczy!... Otóż to tak zawsze, do kropli słodyczy,

którą nam życie podaje, domięszać się musi i kropla goryczy!... Czy ja go jeszcze kiedy zobaczę? Biedny mój Staś!

* * *

Ewa wyjazd Stanisława tem z początku tłumaczyła, że nie chciał być na jej ślubie, zrażony i odwracający się od niej ze wstrętem. Potem inne myśli obudziły się w sercu:

— On mię kochał! — wołała, i biedna tęskniła za nim, buntowała się przeciw losowi, któremu dobrowolnie się poddała. Różnica między gotującem się dla niej jutrem, a szczęściem straconem, stając w wyobraźni, rodziła żale i utyskiwania rozpaczne. Zdradzała się niecierpliwością, z jaką przyjmowała uprzykrzone zaloty Józefa, łzami, które obficie wylewała. Ale Józef nie zrażał się niczem. Swą pobłażliwością bez granic i miłością jawną wzruszał nieraz Ewę i zmuszał ją choć trochę być dla siebie względniejszą. Zresztą nikt nie mógł się domyśleć, jak cierpiała. Młodość ma to do siebie, że nie dozwala łzom zeszpecić świeżego lica, ani zetrzeć rumieńca. Ewa wyglądała dobrze, kwitła jak różyczka. Zwlekanie terminu ślubu, kładziono na karb panieńskiej nieśmiałości, a Józef obchodzenie się ze sobą narzeczonej tłumaczył tak samo.

Tymczasem wyprawa się przygotowywała. Winszowano zewsząd pannie młodej, unoszono się nad jej szczęściem. Herminja nie mogła dosyć nachwalić się Józefa. Bardzo serdeczna, zbliżała się teraz do Ewy, ofiarując pomoc w zakupnach, dając rady, narzucając się z przyjaźnią.

Resztka jakiegoś niedowierzania tkwiła w duszy Ewy, ale przymilanie się pięknej pani, okazywane zainteresowanie i samo zbliżenie się jej tak łaskawe, rozbrajały łatwo wierzącą. Herminja wszystko to wiedziała i umiała, co jej samej brakło. Ewa czuła się dzieckiem przy niej, głupiutkiem stworzeniem, i słuchała z przejęciem nauk, brała do serca słowa Konradowej.

— Jakąż ty kobietą jesteś! — śmiała się piękna pani. — Nie cieszysz się, mogąc tyle i tak pięknych nakupić rzeczy! To nienaturalne, wierzaj mi, chyba udajesz?... A taka miłość jak pana Józefa?! Toż każda mogła by być z niej dumną... patrz jak cię uwielbia! bije czołem!... Kamienną by poruszył!

I byłaby się łatwiej zgodziła Ewa ze swoim losem, gdyby nie insynuacje Aurelji.

— Mężczyźni — mawiała ona — sami z siebie nic nie znaczą, nic nie myślą. Do żony należy obudzić w nich myśl o Bogu, o zbawieniu duszy. Żona powinna pilnować, aby mąż pościł, spowiadał się, chodził do kościoła i na rekolekcje, powinna nawet zmusić go do tego, niezrażając się żadną trudnością, żadnym oporem, odmawiając w danym razie zadosyć uczynienia jego woli lub chęciom, jeżeli się pobożnym jej usiłowaniom nie podda. Z Józefem nie będziesz mieć trudności. Wiem najlepiej, jaki to charakter miękki i powodować się dający. Józef nie ma energji, każdy go jednym palcem prowadzić może! To człowiek słaby, nijaki, pod pantoflem będzie najszczęśliwszy! Niechże ten pantofel na dobre mu się przynajmniej obróci!... Na tobie cięży obowiązek pokierowania nim, nagięcia

do swojej woli. Powinnaś go od razu wziąć w ręce.

Niestety! Dobre te rady Ewela przyjmowała jakoś niecierpliwie, zamiast być za nie wdzięczną. Jeżeli nia miała w sercu miłości dla Józefa, pragnęła mieć przynajmniej wysokie o nim wyobrażenie, a tu wszelki urok z niego zdzierano, zaprzeczano mu zalet, które by poszanowanie wzbudziły... I to czyniła własna siostra, która go znać powinna była najlepiej!... Więc nie zasługiwał nawet na szacunek? Jakiem że będzie ich pożycie?

Ewa słyszała, że w zastępstwie miłości, szacunek obopólny daje szczęście. Uwierzyła temu biedna i poddała się losowi, skazującemu ją na życie bez miłości, ale na życie bez szacunku dla męża zgodzić się nie mogła!

— Nie mogę, nie chcę tak żyć dłużej! — zawołała raz, będąc u babki. — Napisz do Stanisława, niech powraca!

— Gdyby to nawet było możebne, jaki cel miałby jego powrót?

— Sił już w sobie nie czuję.

— Dziecko drogie, nie uchodziło by nawet...

— Ale on mię kocha!

— Kocha, gdy tak skwapliwie potępił?... Cóż by zresztą powiedział? Czy by nawet chciał powrócić?! Nie wątpisz?!... Ale ja go znam lepiej i wątpię! Jest uprzedzonym, a wezwanie z twej strony...

— Mamże się oglądać na przepisy światowe, gdy mi serce pęka? Mamże przyjąć los okropny, dlatego, że nieuchodzi próbować go zmienić? Póki czas babciu! — i złożyła dłonie błagalnie.

— Elo moja, martwisz mię niewymownie! Byłaś już spokojniejszą, dla czegożeś się zmieniła, co na ciebie wpłynęło?

— Wiele, wiele rzeczy!

— Pan Józef zyskuje tylko na bliższem poznaniu...

— Nie, ja tego człowieka znieść nie będę wstanie! Nawet szacunku dla niego mieć nie mogę.

— Dla czego na Boga?! Charakter zacny, rozum, serce dobre i wielkie, wszystko za nim przemawia... Czyżbym ci inaczej iść za niego dozwoliła?

— Ma być słabym, niezdarnym... kobietą raczej niż mężczyzną, a ja takim się brzydzę! Chciejże mnie babciu zrozumieć, nie posądzać o lekkość... Wszystko się przeciw mnie sprzysięgło! Aurelja nie rozumiejąc co czyni, całkiem mię od brata odstręcza.. Ja bym miała nim kierować? Ja?!

— Samaś rzekła, że Aurelja nie wie co czyni; źle zrozumiana gorliwość obłąkała ją. Nie będziesz mieć odwagi rozedrzeć serce człowieka, który cię kocha i liczy na ciebie... któremu dałaś słowo

— Przebacz mi babciu, ale milczeć dalej nie mogę! Przyjmowałam mój los z poddaniem, póki myślałam, że doń nawyknę. Występną bym była, idąc za innego, gdy myślę ciągle o Stanisławie, gdy nie mogę o nim zapomnieć, bo go kocham!

— Że myślisz o Stanisławie, wiedziałam. Kochałaś go, i odrazu zapomnąć nie możesz, cóż w tem dziwnego?!

Spokój, z jakim to babka wyrzekła, zastanowił Ewę mocno. Patrzyła jej w oczy badawczo.

— Ja ufam, że zapomnisz go jednak. Pomnij tylko, że już ci go kochać nie wolno! Nie wszczepiłamże w twoje serce wyobrażenia obowiązku? Nie nauczyłam szlachetności i poświęcenia?... Masz w rękach swoich szczęście człowieka zacnego, dałaś słowo, czujesz się sama związaną. Jakże możesz chcieć zaprzeć się tego coś zrobiła?... Uczciwie to będzie z twej strony, potargać dobrowolne zobowiązania? Sądzisz, że Stanisław nie wydałby wyroku, na jaki byś przez to zasłużyła? Przypomnij sobie, że już cię raz obwinił, że skłonny do złego wyobrażenia o tobie, i powiedz sobie stanowczo, iż on dla ciebie na zawsze stracony!

Jeżeli tak z jednej strony Aurelja rozdrażniała Ewę, z drugiej znów, słowa babki nie były bez wpływu. Pani Oven wierzyła w Józefa, oceniała jego przymioty, łagodność, doświadczenie, które mu sam wiek dojrzały dawał; a może to samo już, że p. Józef nie ulegał Aurelji, więcej jak co bądź innego, przemawiało na jego korzyść.

Presja wywierana na Ewę, nużyła śmiertelnie p. Oven, bigoterja Aurelji wstręt budziła, a zabiegi jasno wykazujące cel jakiś ukryty, gorąco kazały pragnąć wydania wnuczki.

Słuchała też narzekań Józefa z tajemnem zadowoleniem, gdy ten burząc się na Aurelję, swe zniecierpliwienie nierzadko głośno wyrażał. Nie mógł przebaczyć Aurelji, że mu zabierała narzeczonę, trzymała ją w kościele godzinami, ciągnęła ją za sobą do umierających, skoro dzwonek, poprzedzający idącego z wiatykiem księdza usłyszała.

— Co za sens — wołał — w tem odwidzaniu całkiem obcych domów! Kto widział komuś się naprzykrzać, i w takiej chwili jeszcze! Coby to się działo, gdyby tak każdy, rzucając swoje zajęcia, szedł za księdzem? Nie wolno by już było nawet umrzeć spokojnie.

I skarżył się na to także przed Herminją. Konradowa wiedząc, że go nie zdradzi, potakiwała mu chętnie.

— Jakżeż pan chcesz? Musi sobie wymyślać zajęcie. Rozminąwszy się z powołaniem kobiecem... zdziwaczała!

— Otóż to taka bieda ze staremi pannami! Wszystko w nich zwichnięte, zacząwszy od rozsądku! — odpowiadał.

— Ja nie wiem, jak mogliście dopuścić do takiego zwichnięcia — wzruszała ramionami Herminja.

— Przyszło to zwolna, a teraz chce nas wszystkich na swoją modłę przerabiać. Nie masz pani wyobrażenia, jak despotyczne są te bigotki! Każdy musi ulegać ich woli, inaczej życie ci strują. Ja mam wieczne sprzeczki z Aurelją. W domu niezgoda tylko, albo każdy z nas musi drugiego unikać, bo inaczej... Matka jej ulega dla świętego spokoju, ja uciekam.. Oto rodzinne szczęście! Wszystko w jej rękach, a porządku i ładu za grosz nie ma... Rządzić chce, być panią we wszystkiem, a jednak zdaje się, że to sama pokora!

— Gdybym była na pana miejscu, wiedziałabym co robić. Wszak z kobietą sprawa...

— I dla tego najgorsza! — odparł szarpnąwszy krawatkę.

Herminja śmiała się drocząc, a gdy Aurelja wracała z Ewą, gdy p. Józef biegł do narzeczonej, ona ściskała czule starą pannę i szeptała coś do ucha, spoglądając na Józefa.

Aurelja najspokojniej zasiadała do krosen rozplątywać włóczki, nie odpowiadając nawet na wymówki i pytania brata, gdzie tak długo mogły bawić z Ewą, ale przez dwa dni potem zjawiały się na stole postne polewki i potrawy, które do rozpaczy doprowadzały Józefa, a co chwila na ustach Aurelji znachodziły się słowa, które o bezbożności męzkiej i potrzebie wejścia w siebie głosiły. Józef nie wiedział już czy uszy zatykać, czy udawać głuchego, tak go one niecierpliwiły. Najczęściej, dając za wygranę, musiał z placu uchodzić, choć zarazem pozbawiał się towarzystwa narzeczonej.

VI.

Stał pustką dom Stanisława. Okna pozamykane szczelnie, patrzyły szklannemi, nieruchomemi oczyma, jakby upatrywały powracającego pana. Drzwi zaparte zdawały się zaciśniętemi usty, którym do otworzenia brakło ochoty. Ogród milczący, smutny, otaczał cmentarzyskiem zeschłego liścia mieszkanie dawniej wesołe, tylko wino na ganku kołysało się na wszystkie strony, nie poskramiane, rozbujałe swawolnie, nie robiące sobie nic z pustki, rade, że nikt się oń nie troszczył.

Jerzy chodził zafrasowany, co raz mniej pewny rychłego powrotu pana. Zrazu upatrywał go z dnia na dzień, teraz kiwał smutnie siwą głową, jakby wątpił, czy go kiedy jeszcze zobaczy. Minęło już sporo czasu, lato całe i większa część jesieni, odkąd pan wyjechał i ani wieści, by miał kiedy powrócić. Przychodziły wprawdzie listy do rządcy, ale w nich oprócz rozporządzeń nic o powrocie nie było. Listy te zabobonnym strachem napełniały Jerzego. Ich koperty zbrukane i zszarzane długą drogą i poprzekreślane różnemi znakami, zdawały mu się przygód biednego pana obrazem. Jakżeż on musiał być daleko! Pewnie czuł się zmęczonym, biednym, stęsknionym, tą tułaczką po obcych, a jeźli mimo to nie wracał, coż się tam działo w jego sercu?! Jakież straszne zwątpienie nie dozwalało mu zajrzeć do kraju, do kąta rodzinnego? Wiedział Jerzy, jak mocno Stanisław był przywiązanym do Gródkowic, do zajęć i nawyknień swoich, i oddalenie pana napełniało go strachem.

Ciotka również nic nie wiedziała o Stasiu, nie dawał znać kędy się obracał, co zamyślał.. Mówiła o nim często, wspominając zawsze czule ukochanego siostrzeńca, ale przywykała do myśli, że musiał się pocieszyć. Szczęście Józefa — teraz męża Eweli — nadzieja możebna wnuków, zwolna głuszyły niepokoje inne. W sercu najbardziej kochającem, jest zawsze trochę egoizmu.

Państwo młodzi mieszkali przy matce. Było to dziełem Aurelji. Wyperswadowała wszystkim, że tak lepiej będzie. Miała bliżej Ewę, nie wypuszczała jej z swej opieki, bo potrzebowała wpływać na młodą panię, tem bardziej, że teraz zamężna Ewela, dziwnie się emancypowała.

Nie długo po ślubie Aurelja przekonać się o tem mogła. Było to w jakąś wigilję święta Matki boskiej, zbierała się jak zwykle spowiadać, i przyszła z tem do bratowej, przypominając, że i jej wypadało pójść także. Odpowiedź Ewy przestraszyła ją niezmiernie, gdyż ta oświadczyła, że sama wie najlepiej, kiedy się ma spowiadać. Nie pomogły wyrzuty, narzekania i gniewy. Ewa pozostała przy swojem.

Odtąd Aurelja Ewę zupełnie osądziła za zgubioną.

Starsza pani szczęśliwą była z tego wspólnego za-

mieszkania, Ewa nie bardzo. Brakło jej zajęcia.

Zaparły się drzwi, za któremi zostały marzenia, a po tej stronie nie znachodziło się nic, czemby dnie zapełnić było można.

* * *

Trzymającemu kapelusz i laskę, gotowemu do wyjścia — co się co dzień powtarzało regularnie o tej samej godzinie — Ewa nadstawiła czoło do pocałowania.

— Idziesz? — spytała męża.

— Naturalnie!... Jakże się masz dzisiaj? Wyglądasz prześlicznie!

— Dziękuję ci, głowa przestała mię boleć.

Pocałował ją w rękę i rozmowa była skończoną. Dochodziła dziesiąta, p. Józef spojrzał na zegarek, ku drzwiom zdążając.

— Może masz jaki sprawunek, zlecenie jakie? Załatwię najchętniej, wszak wiesz, żem na twe usługi gotów zawsze!

Zawahała się chwilę, nareszcie odrzekła:

— Gdybyś chciał zostać trochę, chwilkę jeszcze... mam ci coś powiedzieć.

— Czy to coś ważnego?... O jedenastej muszę być w biurze, a przedtem...

— Tak, wiem, że przywykłeś przechadzać się przedtem!... Ale mam cię prosić o radę. Przy obiedzie nie jesteśmy sami, potem czytasz gazety, więc nie chciałabym ci przeszkadzać... potem kasyno... wracasz o północy! — spojrzała na niego prosząco.

Westchnął, tak mu trudno było odstępować od raz powziętego trybu. Od lat wielu rozłożył swój czas

systematycznie i przywykł do tego. Odłożył jednak kapelusz i usiadł przy Ewie. Nie mógł odmówić, choć mu żal było przechadzki.

Ewa milczała spoglądając na męża. Słuszny, poważny, miał postawę wspaniałą, prawdziwie szlachetną. Twarz jego, o myślącem, wysokiem, trochę łysem czole, zdawała się napiętnowana siłą i męzkością, nie uśmiechające się usta, ośmielać nie umiały, ale nakazywały poszanowanie; słowa, które z nich wychodziły, powinne były być słowami mającemi wagę... Szerokie barki zdradzały siłę, na ramieniu tem można się było oprzeć z ufnością, a w dłoń tę męzką, włożyć bezpiecznie małą rączkę kobiecą, aby nią pokierowała i powiodła po drodze życia.

Pani Ewa z zadowoleniem przyglądała się panu Józefowi, nareszcie odetchnęła jak dziecko, co się bezpiecznem czuje, i głowę z przymileniem położyła na ramieniu męża.

— Chcę cię prosić o radę, lecz najprzód zapytam się o jedną rzecz: dla czego nie pytasz mię nigdy, co ja z całym dniem robić zamyślam? Czy chociaż zadawałeś sobie samemu to pytanie? Wszak ta rzecz powinna interesować męża, tak jak żonę interesuje co mąż robi!... Ja n. p. wiem zawsze na czem czas spędzasz, o każdej chwili dnia twojego gotowam zdać sprawozdanie... Czyż i ty to samo mógłbyś uczynić?

Pewne zakłopotanie i jakby zdziwienie razem, odbiło się na twarzy pana Józefa.

— Nie rozumiem.. przecież mi nie chcesz zarzucić, że mię nie obchodzisz?

— Nie! o nie, bynajmniej, ale...

— Ale moja duszko, wszak rzecz nie trudna wca domyśleć się co porabiasz!

— Naprzykład?

— Rzecz prosta! Wychodzę, ty się ubierasz, wy chodzisz do Herminji lub po sprawunki... Jemy obia potem... w istocie, cóż ty po obiedzie robić zwykłaś Aha, haftujesz!...

— Tak, haftuję i słucham rozpraw Aurelji o ka zaniu najświeższem, relacji o śmierci lub chorobi tego lub owego księdza, o zapowiedzianym jubileusz i t. p. co razem wziąwszy znaczy, że nie robię nic — zawołała z jakąś rozpaczą w głosie.

— Nic? — powtórzył, i poprawił krawatkę — w istocie — rzekł — nie wiele robisz, bo słuchan rozpraw Aurelji... — machnął ręką — wiesz, że wca nie życzę, abyś była do niej podobną! Powinna by wymyśleć sobie jakieś zajęcie. Widzisz mnie...

— Ach, żebyś ty mi powiedział, jakie ja ma zajęcie sobie wymyśleć! — zawołała. — Męczę s tak okropnie, zupełnym brakiem tegoż!... przyznam się nawet, że się często nudzę.

P. Józef, który sto mil był od przypuszczenia, ż się żona nudzić może, oniemiał.

— Wiesz — rzekł po namyśle — ja się nigd tem nie zajmowałem co robią kobiety, ale poradź s Herminji, Aurelji, matki...

— Herminja mi radzi stroić się i bawić, Aurelj pilnować kościołów, matka... a tej niechcę martwi naprożno... Ciebie pytam o radę, bo...

— Ale najgorzej się udałaś! Cóż ja wiem? Moż

chcesz lożę na wieczór duszko moja? Może książek nowych?

Spuściła głowę.

— Zmiłuj się... ja nie wiem, proszę cię, myśl koniecznie sama. masz carte blanche odemnie. Jedno tylko sobie wymawiam: niech już nigdy tego szkaradnego słówka „nudzę się“ nie usłyszę... Przyrzekasz? Więc mogę odejść? Już też późno!... Proszę mi się nie nudzić i być wesołą.

Wyszedł, nie słysząc jak głęboko westchnęła.

Od tego dnia, Ewa zaczęła gwałtownie czytać. wszystko, co jej pod rękę podpadło. Ale z książek płynie w nas zazwyczaj to tylko, co z nich sami bierzemy. Zresztą troskliwy mąż o rozerwanie żony, kazał znosić z księgarni li treści belletrystycznej utwory, nie czyniąc w nich żadnego wyboru, nie znając nic z tych, dla niego obojętnych rzeczy. Ewa pochłaniała je chciwie, i z rozbudzoną myślą spoglądając na świat teraz, szukała odbicia scen ruchliwych i opisów fantazyjnych w rzeczywistości. Tem bardziej, że życie jej nadto bezbarwnem się zdawało, zaczynała ciekawie przysłuchiwać się Herminji, gdy ta powtarzała:

— Świat ci się uśmiecha, a ty siedzisz jak zakonnica! Nie masz obowiązków domowych, masz czas wolny... Ja bym na twojem miejscu inne prowadziła życie!

— Naprzykład jakie? — zapytyła ją Ewa pewnego razu.

— Sprowadzałabym suknie od Worth'a, bywałabym jak najwięcej, przyjmowała...

Ewela wzruszyła ramionami.

— Tu? Wyobrażasz że sobie żywych i wesołych ludzi wśród ścian salonu naszego, który jak grób wygląda?

— Bynajmniej! Powinna byś mieć dom własny.

— Pragnęła bym tego pewnie! — odparła Ewa, której stanęły w myśli odrazu różnorodne zajęcia gospodyni, zaprzątnienia własnem ogniskiem. Aż oczy jej błysnęły. Herminja zrozumiała ten błysk wcale inaczej i poderwała żywo:

— Chcesz? Ja sama biorę na siebie poddanie tej myśli p. Józefowi? Ty bo nic nie próbujesz.

— Nie przyszło mi to do głowy. Tak, masz słuszność, gdybym mogła być u siebie....

— Dlaczego nie? Pomnij, co za roskosz rządzić się samowładnie, mieć meble śliczne, służbę... Przyjmować i ton dawać innym!

I rozdmuchiwała w Ewie kobiecą słabość, odegrania jakiejś roli. Z pod oka spoglądała na zamyślającą się, i wciśnięta w róg kanapki, otulona fałdami udrapowanego szalu, uzbrojona we wszystkie gustu i mody ponęty, siedziała godzinami z Ewą, rozmawiając o szczęściu błyszczenia w świecie, z pokusą na ustach, sama jak żywa pokusa, przemawiająca do ócz niedoświadczonych, mamiąca je świetnemi pozorami, kryjącemi... nicość. I często, jakby od niechcenia, napomykała o Stanisławie.

Na to imię rumieniec zawsze oblewał twarz Ewy, a Herminja zaciskała dłonie i brwi jej ściągały się dziwnie.

— Pan Stanisław nie darmo tak długo siedzi za

granicą — rzekła dnia jednego. — Od dawna mógł już powrócić!

— Trzeba każdemu zostawić swobodę robienia co mu się podoba — odszepnęła Ewa.

— Tobyśmy nie powinne nigdy zajmować się drugimi!... Ty go bronisz, a on nie wart tego prawdziwie...

— Zmiłuj się, ani bronię ani potępiam, ale dlaczegoż by nie był wart obrony?

— Dlaczego? dlaczego? — odparła niecierpliwie, podczas gdy końcem palców swoich odrzucała z kolan swoich koniec szalu, którym na wzór jej obwijała się teraz Ewa, jakby znieść nie mogła nawet tego dotknięcia. — Żal mi cię pozbawić dobrego mniemania o nim...

— Nie myślę o panu Stanisławie — rzekła cicho młoda pani Józefowa.

— Ktoby to wierzył! nie udawaj że też, proszę, przynajmniej ze mną. Nie jestemże najlepszą twoją przyjaciółką? — dodała, przymilając się zdradliwie. — Musi cię przecie zaciekawiać zagadka odjazdu p. Stanisława i długiego pobytu w obczyźnie? Powiedz... A możeś ty już sobie wytłumaczyła w jakikolwiek sposób tę... jego ucieczkę? Przyznaj się, nie wydam cię z sekretu. Wyobrażasz sobie może, że z rozpaczy oddalił się?

Ewa stanęła w płomieniach, potrząsła przecząco głową odwracając się, ale zmięszanie jej odpowiedziało za nią.

Herminja złośliwie uśmiechnęła się za jej plecyma, i najniewinniej, najserdeczniej na pozór znowu zaczęła:

— Żałuję cię, moja biedna, naiwna Ewelo! Mężczyźni to niecne stworzenia, najgorzej wychodzą z nimi łatwowierne, niewinne — jak ty — istoty! Moim obowiązkiem oczy ci otworzyć. Pan Stanisław na serjo rzeczy nigdy nie bierze. Aurelja opowiadała ci podobno, co ze mną było?... Niby to i o ciebie się starał, a jednak w nieskończoność przeciągało się staranie... Jego bawiło, żeś się nim zajęła, a teraz czeka, aż wasze miodowe miesiące przeminą...

— To być nie może! — żywo, z oburzeniem przerwała jej Ewa drżąc i blednąc. — Czemu tak źle o nim sądzisz?

— Bo mam prawo do tego — poderwała tamta — i... dowód na sobie!

— Boże mój!

— Ty bo nie masz wyobrażenia jaką ci mężczyźni posiadają zarozumiałość olbrzymią. Jest on pewnym, że o nim dotąd jeszcze pamiętasz, za to ręczę! Zobaczysz, powróci, i jakby nigdy nic, zbliży się do ciebie...

— Słyszałam, że zimę zamierza w Paryżu przepędzić — odrzekła z wysiłkiem Ewa.

— A jam przekonana, że nic z tego nie będzie!. Gdy wróci, strzeż się okazać mu życzliwość choćby najmniejszą. „Une bonne fortune“ — jak ty — to rzecz ponętna, nie daj się złowić!...

— Nigdy w świecie! Gdyby takim Staś się okazał, znaćbym go nie chciała!

— Tylko żadnych ostateczności!... Lekceważenie i przenoszenie towarzystwa innych nad jego, najlepszem ukaraniem. Ty masz potężną broń w rękach swoich,

ostrą broń... jesteś piękną, pamiętaj o tem trochę!

Staś znajdował się rzeczywiście w Paryżu. Od paru tygodni bawił już tam, nie wiedząc co dalej ze sobą pocznie, znudzony włóczęgą bez celu, nie czujący się na siłach powrócić do kraju. Czasem marzył o wyjeździe do Ameryki, to znów o zakopaniu się na wsi, żeby go ludzkie nie widziało oko. Wystawa powszechna zwabiała do stolicy Francji legiony ciekawych. Powlókł się za nimi. Gwar się wzmagał w ogromnem mieście, huczało w niem i wrzało życie zdwojonem tętnem, co chwila twarz znajoma migała przed oczyma Stasia, ginąc w tłumie, budząc w sercu jego wspomnienia i myśli, które odwracały uwagę od nagromadzonych cudów przemysłu i sztuki. Roztargniony, szedł oglądać wystawę, często nic nie widząc przed sobą. Gdy patrzył na wschodnie tkaniny, snuły mu się po głowie obrazy łąk kwiecistych, zalatywała go woń świeżo skoszonego siana polskiego; w obec wspaniałych kiosków marzył o swoim białym dworze w Gródkowicach, a kobiety przypominały Ewę... Nie raz na widok podobnej figurki, chodu, ócz, odwracał się prędko, drgnąwszy boleśnie, lub patrzył z wytężeniem, póki nie znikło z przed oczu jego zjawisko, własną wywołane fantazją. Często jakiś dźwięk, słówko, scena widziana, budziły w nim wspomnienie i niepokoić zaczynały serce.

Nużył go tłum i życie bez zatrudnienia. Szedł jednak ogłuszać się, rozrywać myśli, tysiącom nowych przypatrywać się widoków. Co dzień wracał zniechęcony, mimo to nazajutrz znów wychodził z hotelu,

aby coś z długim dniem zrobić.

Pewnego rana, gdy podług zwyczaju stanął na progu swego mieszkania, namyślając się, w którą uda się stronę, zobaczył najniespodziewaniej biegnącego ku sobie Kubę.

Pleciuga znalazł się w Paryżu sam nie wiedząc poco i naco Nic go nie obchodziła wystawa, dzieła sztuki i przemysłu zostawiały go obojętnym, ale jechali wszyscy, pojechał i on. Nie bardzo zajęty wystawą, którą dla uspokojenia sumienia oglądnął, zupełnie nie ciekawy muzeów, galeryj obrazów i architektonicznych stylów w środku Paryża wzniesionych budowli i kościołów, poszedł szukać znajomych, bo w towarzystwie zawsze weselej, rozmówić się przynajmniej można, gdy z Francuzami szło mu jakoś trudno.

Dowiedziawszy się w policji gdzie mieszka Stanisław, pobiegł do niego. Zobaczywszy Stasia, rozkrzyżował ramiona z okrzykiem, jakby nie wiedzieć jak go kochał. Poczciwym tym zwyczajem polskim witał tak każdego znajomego w obczyźnie. Wzięli się obaj pod ręce i poszli razem na śniadanie, którem go Staś przyjmował. I on rad był może usłyszeć coś o swoich i o mieście swojem. Nie potrzebował nawet pytać, bo Pleciuga rozpuściwszy język, próżnujący w Paryżu, mówił za niego i za siebie. Staś dawał mu unosić się werwą opowiadania, gdyż zajmowało go wszystko, a Kuba, który przyniósł mu z sobą jakby woń rodzinną, który świeżo przybywał z tamtąd, dokąd mimo wszystkiego tęskno było Stasiowi, większą budził w nim sympatję niż kiedykolwiek. Nie przyznawał się przed

sobą, jak był nowin spragniony. Na ustach mu wisiały natrętne pytania, ale powstrzymywał je, nie chcąc się zdradzić.

Tymczasem szczegóły rozmaite, plotki i komentarze — widocznie powstałe w obfitującym w pomysły różnego rodzaju mózgu Pleciugi — sypały się jak z rękawa.

— I o tem nie wiesz? — wykrzykiwał co chwila. — Poczekajże, opowiem.

I idąc co raz dalej, postępując w górę wypadków, zaszłych od wyjazdu Stasia, wpadł z koleji na gadaniny po mieście krążące o zamążpójściu Eweliny i zaczepił o panią Konradowę.

— Wyobraź sobie — mówił — pani Herminja nie chciała wierzyć, żeś wyjechał za granicę. Jam pierwszy przyniósł jej tę wiadomość... Powiadam ci, myślałem, że mi oczy wydrapie! Czerwieniła się, bladła, oburzała, jakbyś zbrodnię popełnił, i co najmniej potrzebował jej pozwolenia!... Wiesz co mi wówczas przyszło do głowy? Choć przyznam ci się i dawniej o tem myślałem... że Herminja ma się ku tobie..

— Dałbyś pokój przypuszczeniom!

— Ba, kiedy tak mi to jakoś podejrzanie wyglądało. I dla czegoż, proszę cię, nie chciała wierzyć, że się starałeś o pannę Ewę? Dla czego zaprzeczała wszystkiemu? Ja jej mówię: wyjechał — a ona: nie może być! — woła. — Powtarzam: że wiem z pewnością i że to wydaje mi się całkiem naturalnem, a ona znów: że nie wiedzieć co sobie wyobrażam!... że pan Stanisław nie miałby żadnej przyczyny uciekać.

— Więc pani nie wie — rzeknę rozgniewany — o czem całe miasto mówi?... Że pannę Ewelinę umyślnie skompromitowano, aby za niego nie poszła... Ludzie przecież wiedzą od dawna, że do klasztoru zamknąć ją usiłowano, a gdy się wzbraniała, podstawiono Józefa, myśląc, że zrozpaczona biedaczka, da z sobą zrobić, co zechce szanowna jej opiekunka. Stanisław stał na przeszkodzie, trzeba go było usunąć. Aurelja ułożyła całą komedję, rozkochanego brata namawiając...

— Wszystko nieprawda! — zawołała znów pani Herminja. — Stanisław ani się starał, ani myślał oświadczyć.

— To niechże mi pani wytłumaczy, dla czego tak nagle wyjechał? — odparłem, ale nie umiała jakoś nic wymyśleć. Widziałem tylko, że strasznie jej to poszło po nosie.

— Żałowałem cię wówczas serdecznie — dodał Kuba, ściskając dłoń Stanisława — a i ją biedaczkę, pannę Ewę, która — mówiono — wypłakiwała za tobą oczy, wyobrażając sobie, że musi iść za pana Józefa, zostawszy jego pocałunkiem shańbioną! niewinniątko! Z jednej rzeczy cieszyłem się tylko, że nie wybrała klasztoru z rozpaczy i osadziła Aurelję na koszu z pięknemi nadziejami! Dalibóg, należało się to starej, nieznośnej pannie.

Śniadanie było skończone. Stanisław wstał, zapłacił, i czując się dziwnie poruszonym, rzekł do Kuby:

— Przepraszam cię, przypomniałem sobie interes

nie cierpiący zwłoki, daruj, muszę cię opuścić... Do widzenia!...

— Ależ dokąd?... Czekaj! Pójdę z tobą słowo honoru! — krzyczał Kuba, ale nim zdołał wydobyć nogi zaplątane w krzesła, Staś już był daleko.

— Zawsze dziwaczysko! — mruknął niezadowolony — a tak nam dobrze było razem... Cóż ja teraz sam pocznę?!

Myślał, że go jeszcze na ulicy dogoni, wybiegł, ale w tłumie nie sposób było dojrzeć kogokolwiek.

— Człowiek tu jak szpilka w furze siana! — narzekał.

Kilkakrotnie potem usiłował pochwycić znów Stasia, chodził do niego, wypytywał portiera, ale zawsze odbierał odpowiedź, że tego pana nie ma w domu.

Wpłynęło to znacznie na skrócenie pobytu Kuby w Paryżu. Wyjechał, nie widząc się już więcej ze Stasiem.

Teraz w sercu Stasia utkwiło przekonanie, że sam dobrowolnie wyrzekł się swego szczęścia, że za porywczo postąpił. Słowa Kuby, choć czuł w nich wiele dodania — rozjaśniły zagadkę postępowania Ewy, łzy niemęzkie ciekły mu z ócz, musiał być sam, by je cudzy wzrok nie podpatrzył.

Więcej jeszcze niż dawniej powracać mu nie wypadało, czuł, że kocha Ewę ciągle, a z jaką siłą!... Samo opieranie się pokusom Paryża o tem świadczyło.

Nic go nie kosztowało odwracać się od nich, choć młodemu i jak on przystojnemu, nasuwały się przy-

gody różne i nie te pospolite przygody, w które obfituje każde większe miasto, ale niezwykłe, okraszone wszelkim urokiem wytwornego smaku i elegancji.

Kilka domów otwarło się dla niego w Paryżu. Znalazł w nich towarzystwo wykształcone, przyjęcie miłe i chętnie widzące go panie. Wszystko razem mogło być rozrywką zabijającą tęsknotę, odwracającą myśl od smutku i żalów daremnych.

Pewna śliczna, młoda wdówka, dawała mu nie dwuznacznie do zrozumienia, że go przenosiła nad innych... Zbliżyła się sama do niego i żywa nadzwyczaj kokietowała go najnaiwniej, z widoczną chęcią podbicia serca.

Całe jej postępowanie, zdradzając żywe zajęcie, było z tych, co mężczyźnie każdemu musi — jeżeli nie więcej — to przynajmniej głowę zawrócić. Pewnego dnia wygadawszy się przed nią, że wybiera się do Wersalu, Staś zręcznie wybadanym został o dniu i godzinie, w której pojechać tam myślał i nieco zdziwiony, zobaczył — siedząc już w coupé — zbliżającą się ku sobie piękną wdówkę. Czy zobaczyła go, o tem nie wiedział. Szła wsparta na ramieniu niemłodego mężczyzny, który coś żywo mówił do niej — i obcierała oczy chusteczką, jakby płakała. Doszedłszy do wagonu Stasia, wsiadła, nie uważając na niego, a towarzysz pozostał, żywo zatrzaskując drzwiczki. Był on widocznie w złym humorze, i oddalił się zaraz. Ona chustką oczy zakryła.

Po chwili dopiero, jakby przypomniała sobie, że ktoś patrzyć może, otarła łzy i mnąc chusteczkę w rękach, widocznie wzburzona jeszcze, rozglądnęła się.

Staś się skłonił; byli sami.

— Niech się pani nie przymusza — rzekł. — Widzę, że masz smutek, nie uważaj proszę na mnie i wypłacz się do woli. Wiem z doświadczenia, jaką ulgę łzy przynoszą! — odwrócił się do okna, przypatrując się niby z wielką uwagą widokom naddrożnym, migającym w pędzie.

W tem uczuł lekkie dotknięcie. Spojrzał, siedziała przy nim i uśmiechała się. Ruch jej poufały musiał być chyba mimowolnym, bo zarumieniła się ślicznie i cofnąwszy dłoń położoną na ramieniu Stasia, rzekła szybko:

— Oui, je sais que vous êtes bon! Aussi vous m' inspirez une confiance, qui m'étonne et dont je chercherais en vain la source, puisque je vous connais à peine. Mais c'est qu'il y a dans vos procédés, dans votre manière d'agir, et jusque dans l'inflexion de votre voix un charme, dont je subis l'influence, et qui envahit mon coeur. O! vous ne me gênez pas! Je veux vous faire le récit de mes peines, je suis persuadée, que vous n'y serez pas insensible. N'est-ce pas que vous aussi, vous avez dû souffrir? J'en suis sûre! j'ai même besoin de le croire, car il n'y a que ceux, qui ont été éprouvés, qui soient capables d'adoucir la douleur des autres, et le malheur, qui me pourvsuit avec tant d'acharnement, me donne le droit d'espérer, que vous compatirez à mes peines!

To wypowiedziawszy jednym tchem — z dziwną mięszaniną uśmiechów i westchnień — zaczęła znów na dobre płakać jak dziecko.

— Voyons, voyons, il ne faut pas se désesperer ainsi! — pocieszał ją Stanisław. — Vous êtes jeune et l' avenir est à vous! Les larmes ternissent les plus beaux yeux... cessez donc de pleurer.

— Ah! si vous saviez — odparła żywo, ocierając oczy, już spokojniejsza — mais enfin, pourquoi ne pourrais je vous le dire? J'ai une telle confiance en vous!

I zaczęła mu opowiadać, jak ją zmuszano do wyjścia powtórnego zamąż. Brat jej nieboszczyka męża namawiał i groził — ot i dziś, odprowadzając ją, pożegnał przykremi słowy: że ostatecznie namyśleć się musi i tylko pod tym warunkiem może powrócić do Paryża — a ona nie chce, nie, nigdy nie przystanie! woli zostać w Wersalu u ciotki!

— Car j'aime ailleurs! — dokończyła, pokazując ząbki i patrząc w oczy Stasiowi.

— C'est un heureux mortel, celui que vous aimez! Soyez persuadée, qu'il vous payera de retour....

— Impossible, puisqu'il n'en sait rien!

— Dites le lui alors — odparł Staś, nie domyślając się, że o nim mówiła.

— Porquoi ne veut il le déviner! — odrzekła z wyrazem powagi i uczucia.

— Est il au moins digne de vous?

— Je n'en doute pas! mais est-il libre? Je n'en puis rien dire... cependant, il n'est pas marié.

— Que voulez-vous dire par cela?

— Que je me trompe fort, s'il n'a, lui aussi, un amour dans le coeur, un amour, qui le rend malheureux! Rien qu'à son air, cela se devine!

— Il est donc taciturne, morose?

— Non aucunement! C'est le plus aimable des hommes! il est même gai, mais quoique sa bouche rie, ses yeux trahissent la tristesse de son âme. Tenez, je puis dire, que vos yeux, ont la même expression, que les siens!

Stanisław udał że nierozumie. Mówili tak długo, i coraz bardziej się przekonywał, że nim była zajęta. Całą drogę przymilała się i wdzięczyła. Tragiczności w swem usposobieniu nie miała nigdy, to też prędko przeszła w ton wesoły, żartobliwy, w którym i on był mistrzem, zapomniała o smutkach. Dowiedział się, że w Wersalu ma ciotkę, do której jedzie. Prosiła by ją odwidził, co przyrzec musiał, nie chcąc być niegrzecznym... Obiecała, że przedstawi go ciotce, ręcząc za dobre przyjęcie.

Tak się też stało. Stanisław mając zamiar zabawić dłużej w Wersalu, nową znajomość zrobiwszy, pozyskał i tu łaski niezwykłe. Krewna wdówki, polubiła grzecznego młodzieńca, który słuchał jej cierpliwie gdy mówiła, a mówiła dużo.

— Il a des manières tout-à-fait françaises! — wyrażała się o nim. Bywał u niej na wieczorach i spotykał oprócz tego wszędzie piękną siostrzenicę, tej gadatliwej cioci. Ciocia musiała coś wprędce zmiarkować, wywiedziała się zręcznie, że był szlachcicem, miał znaczny majątek i podejść go umyśliła, nie mogąc wprost narzucić mu siostrzenicy, która zdawała się tak mocno nim zajęta, że cioci aż żal się jej robiło..

Rzekła mu tedy poufnie niby, zaczynając od słów „ma nièce est une petite folle“, że bardzo świetną od-

rzuca partję młoda wdówka.

— Je vois que vous avez ses bonnes grâces — dodała konfidencjonalnie — donc, profitez en, pour lui faire entendre raison, et sur ce point, je compte sur vous! Son prétendant est un homme de coeur et d'honneur, qui laren dra heureuse! Il n'y a pas longtemps elle même en était persuadée, maintenant qu'une mouche l'a piquée!... Mais elle a foi en vous, et je suis sûre, que de votre main, elle acceptera son prétendant. Veuillez seulement lui en parler.

Staś spełnił zlecenie w ten sposób, że nakierował rozmowę z wdówką na swoją przeszłość, wyspowiadał jej się z miłości dla Ewy i wyznał, iż czuje, że ją jeszcze kocha...

W parę dni potem młoda pani wyjechała z powrotem do Paryża, choć odgrażała się, że nie prędko ją tam zobaczą tyrani, co się na nią uwzięli!

Wprędce jakoś Staś na ślub zaproszonym został, a gdy winszował, przyjąwszy zaproszenie:

— C'est à vous que je dois mon bonheur! — rzekła mu z tęsknym trochę uśmiechem. — Vous m'avez fait, comprendre, que vous ne m'aimerez jamais! Eh bien! j'épouse mon mari... Il a bien fallu passer par là!...

* * *

Stary Jerzy — odkąd zima nastała — chodził skłopotany i smutniejszy niż kiedy. Dom zawilgocić się mógł, bo sągów do opalenia pokoi nie było. Rządca sprzedawał wszystko, zacząwszy od drzewa. Postępowanie jego coraz bardziej nie podobało się uczciwemu

słudze. Zjawiali się ciągle żydzi, z którymi zamykał się na długo, potem przed gumna zajeżdżały fury i wynoszono co się dało, do ziarnka. Gdy nie stało zboża, przyszła kolej na stajnie.

Rządca tłumaczył się listami pana, upominającego się ciągle o pieniądze.

Jerzemu nie zdawało się to do prawdy podobnem. Miał on o zamożności Stanisława inne wyobrażenie i nie przypuszczał, aby ogałacać się ze wszystkiego potrzebował; ale prawdopodobieństwo było... zaprzeczyć głośno nie mógł. Milczał więc, gryząc się po cichu. Dopiero pewna okoliczność otworzyła mu oczy i upoważniła niejako do jawnego posądzenia rządcy, za późno jednak!...

W stajniach stało dużo koni, między temi dwie klacze po rodzicach Stanisława, które szczególniejszem otaczano staraniem. Były one drogą pamiątką i jako takie przez właściciela cenione. Staś często się odzywał, że za nic w świecie rozstać by się z niemi nie chciał, i że żadne złe interesa — gdyby takowe miał — do sprzedania tych koni zmusić by go nie mogły.

Gdy zaczęto inwentarz sprzedawać — dziwnym trafem — dwie stare klacze, najprzód wyprowadzono ze stajni.

Tu już Jerzy nie był zdolnym wstrzymać oburzenia. Wpadł do rządcy z wymówkami, że chyba omylić się musiał, bo pan nigdy rozkazu pozbycia się pamiątkowych koni wydać nie był w stanie. Rządca zmięszał się widocznie, zająknął się, niby list jakiś wydobył i cofnął rozkaz, tłumacząc go nie jasnem pismem pana.

Jerzego posądzenie zmieniło się w pewność. Nie zręcznie dosyć, odgrażając się i nie kryjąc, że do miasta, do krewnych pana myślał wybrać się nazajutrz, posłał na wieś wynająć podwodę, której mu rządca uparcie odmawiał. — Chciał panu Józefowi opowiedzieć wszystko i prosić o radę i pomoc.

Ale na złodzieju czapka gore... Już się Jerzy zbierał — wstawszy raniej niż zwykle — gdy do jego stancyjki wpadł zadyszany chłopak, dodany mu do pomocy w kredensie, z wiadomością, że tej samej nocy, pokryjomu — zabrawszy z sobą najlepszą czwórkę i powozik — rządca umknął z Gródkowic.

Tembardziej potrzebował Jerzy zobaczyć się z panem Józefem. Gospodarstwo bez nadzoru, ogromne nadużycia — nie małą szkodą będąc — groziły na przyszłość gorszemi następstwami, jeżeli by im się wcześniej nie zapobiegło.

Pierwszą myślą Jerzego było, że pan musi powrócić!

W istocie nie było innej rady, jak telegrafować do Paryża... Pan Józef nie mógł wszystkiemu zadosyć uczynić, nie znał się nawet tak dalece na rzeczy, a przytem nie czuł się zdolnym opuścić miasta. Wyprawił depeszę do Stasia, a tymczasem podjął się załatwić co najpilniejsze.

Pokazało się spraw zawikłanych mnóstwo. Zaraz tedy na głowę Józefa spadły rozmaite pretensje, procesa. Żydki udawali się do niego z lamentem, że ich rządca oszukał, nie jednemu sprzedawszy zboże, którego już w szpichlerzu nie było. Poczciwy umawiał się z kupcami, wypychał za drzwi natrętów, łagodził,

biegał do sądów i... całem sercem modlił się o powrót Stanisława.

Czas upływał, odpowiedzi z Paryża nie było, pan Józef wyprawiał depeszę za depeszą daremnie.

Biła trzecia godzina. W okropnym humorze, zły, bo głodny, pan Józef chodził wielkiemi krokami po pokoju, co chwila wyciągając zegarek. Nareszcie chwycił za dzwonek. Wszedł służący.

— A cóż tam dziś z tym obiadem?! Powiedz kucharzowi, że go napędzę za to guzdralstwo...

— Kucharz gotów proszę wielmożnego pana, tylko panny Aurelji nie ma w domu!

Pan Józef mruknął niechętnie:

— Zawsze się spaźnia! tego już nadto! Przecież wie, że od rana jestem na nogach, dziesięć piąter schodziłem za interesami, a nie miałem nic w ustach oprócz filiżanki kawy... Do tego te sprawy Stasia... o czwartej punkt adwokat czeka. Już czego nadto, to nadto! Ona, jakby droczyła się umyślnie... Codziennie co innego, a zawsze ma sposób taki dokuczliwy! I tych postów mam już dosyć i tych nauk moralnych, trzeba za swoim kątem się oglądnąć, dobrze mówi Ewa!

Pchnął drzwi i wyszedł do żony, ulżyć sobie skargą.

U Ewy zastał Herminję. Obecność jej wcale nie przeszkodziła żalom. Miał mało władzy nad sobą, gdy czuł głód, zresztą piękna pani w łaski jego wkupiła się dawno, nigdy mu nie przecząc.

Wzruszyła ramionami i teraz.

— Ja bo państwa nie pojmuję — zawołała żywo —

dla czego nie wyprowadzicie się, nie zamieszkacie osobno? Ewa umiała by panu dogodzić...

— A choćby dziś, gotowym doprawdy! — odparł — tylko... mam tyle do roboty za Stasia, że nie wiem, jakbym czas znalazł. Za pomieszkaniem trzeba pochodzić!

— O! to mniejsza! Gdy chcecie, ja się tego najchętniej podejmę!... Obie z Ewą znajdziemy jak najlepsze...

Józef wahał się jeszcze. Konserwatysta z natury i nałogów, nienawidził zmiany.

— Dobrodziejko moja! jakżebym śmiał?!

— Ależ owszem, ośmiel się pan, ja pozwalam! Proszę tylko o słowo, że gdy znajdziemy...

— Matce będzie przykro...

— Panu się tak wydaje... Jakże nieznośnie jesteś trudny! No, słowo? Trzeba przecież być mężczyzną, nie dawać się tyranizować Aurelji.

— Prawda, że te dewotki są prawdziwą plagą! — załamał ręce. — Nie jestem swobodnym u siebie; co robię, wszystko źle! Musiałbym ciągle tylko klepać pacierze, żeby ją zadowolnić, reszta u niej znaczenia nie ma! Czy pani wyobraża sobie, że ja w jej oczach jestem grzesznikiem niepoprawnym? Ja! A prawdziwie — wzruszył ramionami i roześmiał się poczciwie — nic na sumieniu nie czuję!

Herminja zaśmiała się również.

— Ewelko — zwróciła się do pani Józefowej, niemięszającej się dotąd wcale do rozmowy — powiedz że i ty słówko swoje! Życzysz sobie domu własnego?

— Bardzo!

— Widzisz pan, uszczęśliwisz i żonę, sobie zapewniając spokój!... Ja szukam od dzisiaj!

— Niech i tak będzie! — odparł zmiękczony pan Józef. — Daję słowo!

— Brawo! Otoż nam jeden miły dom przybędzie! — zawołała pani Konradowa, klaszcząc w ręce.

— Czy pani dziś u nas na obiedzie?

— Nie, wbiegłam tylko na chwilę przypomnieć Ewie, że u nas już zadecydowany wieczorek i spytać o suknię... Ale, à propos, jakież nowiny z Paryża? Kiedy wraca pan Stanisław? Chciałabym mieć go na wieczorze, choćby przyszło odłożyć...

— Nic nie wiem! Zgłaszałem się tyle razy i żadnej nie otrzymałem odpowiedzi. Może nie chce powrócić?

— Powróci! powróci! ja ręczę, niech pan będzie spokojnym... Po co by miał jeszcze tam siedzieć?

Ewa poruszyła się niecierpliwie. Gniewało ją natrętne dopytywanie o Stasia. Dobry humor Herminji drażnił ją niewypowiedzianie. Odkąd powrót Stasia stał się prawdopodobnie bliskim, zdradzała się Herminja niezwykłem rozpromienieniem, a Ewa znachodziła tę radość zupełnie nie na swojem miejscu, nawet rażąco nieprzyzwoitą. Cóż on ją mógł i powinien był obchodzić?

Herminja jeszcze raz zwróciła się do Józefa.

— Nie zapomnij mię pan zaraz zawiadomić, skoro list nadejdzie...

Przerwał jej służący, zapraszający do obiadu. Żywo chwyciła za płaszczyk, żegnając się serdecznie.

Zupa dymiła się z talerzy. Na nieszczęście była to postna zaciereczka na wodzie!

Józef skrzywił się okropnie.

— Czy dziś piątek? — spytał siadając i rozkładając serwetę.

Aurelja udała, że nie słyszy.

— Wie mama, umarł pan X... Dowiedziałam się także, że pani P. dogorywa, męczy się strasznie. Ma raka w żołądku. A N. właśnie ostatnie przyjął pomazanie... kona już trzeci dzień, nie pomagają dzwonienia ani gromnice święcone. Kazaliśmy dzieciom modlić się o prędsze wyzwolenie jego duszy; najskuteczniejsza to rzecz na takie ciężkie konanie. Musiał być grzesznikiem wielkim!

— Dałabyś pokój tym wesołym nowinom! — przerwał siostrze p. Józef, podczas gdy na twarzy Ewy i starszej pani, widocznie odbijała się przykrość i przymus. — Nie hygienicznie wcale mówić o takich rzeczach przy stole. Czy nie wiesz o niczem weselszem?

Podano śledzie i sztokfisza. Podziękował, uchylając półmisek. Aurelja dalej wyliczała choroby znajomych.

— Pan Krzysztof niebezpiecznie zapadł, mama słyszała? Karafarosz, który ma willę na Nowym świecie, mówią, że jest sparaliżowany. Nie wiele mu się już należy... A Bękalskiego pogrzeb dzisiaj...

— Na Boga! — zawołał więcej jeszcze porywczo, podrażniony śledziem pan Józef. — Dokądże będzie tego wyliczania?

— Memento mori! braciszku... Nadto zapominamy...

— Ależ nie jesteśmy u Trapistów! zmiłuj się!... Czy

dziś mięsa nie będzie? — dodał, widząc niesioną kaszkę z grzybami, której nigdy nie jadł, bo mu szkodziła.

Skrzywiona Aurelja nie raczyła nawet odpowiedzieć.

— Pytam, czy mięsa nie dacie dzisiaj? — głośniej powtórzył.

— Nie! — odparła nareszcie, zatykając uszy zgorszona.

— Dlaczego?

— Bo post! przedsięwzięłam nowennę...

— A jeżeli ja pościć nie mogę? Przecież wiesz o tem...

— Nie pojmuję, co to znaczy „nie mogę“ w rzeczach religji...

— A dajżeż mi pokój z morałami! Lepiej byś zrobiła, niedoprowadzając mię do gniewu...

— Ja?! Czyż każę ci się unosić?... Ja, co modlę się do Boga o twoje nawrócenie, o to, abyś wszedł w siebie...

— Słyszałem o nawracaniu Chińczyków — odrzekł ironicznie, już do reszty zniecierpliwiony p. Józef — ale żebym ja potrzebował nawracania?! W naszem stuleciu i cywilizacji?

— Otóż to, że nadto dufacie w rozum, w tę przemądrą cywilizację, którą tłumaczycie odszczepieństwo, herezję i wszelkie niecnoty! — swoją drogą unosząc się, odrzuciła Aurelja.

— Jestem uczciwym człowiekiem! Nikt i nic zarzucić mi nie może...

— Nie dosyć na tem...

— Przepraszam, dosyć! Może bym nie mógł powiedzieć tego o kimś, którego ty jednak czcią otaczasz wszelką.

Zaczerwieniła się panna z oburzenia i zacisnęła usta dotknięta, nie racząc nawet podnieść tego bluźnierstwa. W tem matka — z niezmierną zawsze przykrością częstych sprzeczek między rodzeństwem słuchająca — prędko wmięszała się, odzywając do syna:

— Zaraz dostaniesz cielęcinę. Kazałam upiec pieczeń, wiedząc, że nie możesz pościć. Chwilkę tylko zaczekaj... ale otóż ją niosą!

Pannie Aurelji przeciągnęła się broda; nie znosiła mięszania się w swój departament; rządy należały do niej wyłącznie. Matka mogła się spodziewać srogich wymówek i heroizmem prawdziwym była u niej dyspozycja tej potrawy.

Rozchmurzyła się zaraz twarz Józefa, nabrał na talerz sporo pieczeni, namawiając żonę, ale ledwo do ust włożył kęs jeden, rzucił widelcem.

— Twarda jak kamień! Chyba to wół ze starości zdziecinniały, ale nie cielę! Otóż, wydajesz późno, drzewa skąpisz i nic w usta wziąć nie można! Nie lepiejże to pilnować trochę domu i o drugich pamiętać, niż gniew budzić niemiły, męcząc nim siebie i drugich?!

Aurelja oczy wzniosła w sufit i rzekła, nie zważając niby na brata:

— Żeby mama wiedziała jak cudownie, z jakiem namaszczeniem, mówił dziś ksiądz Pafnucy o umartwieniu ciała, o postach!

Pan Józef chciał wstać, ale starsza pani powstrzymała go skinieniem i schylając się do ucha synowej, szepnęła:

— Moja ty, zbiegnij na dół i poproś, może by tam coś dostać się dało dla Józia? Jak mię kochasz!

Ewie nie potrzeba było tego dwa razy powtarzać. Umęczona temi obiadami, rada zawsze wymknąć się jak najprędzej i odetchnąć, szybko podniosła się z krzesełka. Przebiegła pokoje, zeszła ze schodów, nie zarzucając nawet chustki i znalazła się w przedpokoju babki. Służąca, która jej otworzyła, oznajmiła zarazem, że pani w salonie i że ma gościa. Ewa nie pytając nawet, kto to taki, weszła żywo, ze śmiałością dziecka rozpieszczonego, któremu tu wszystko było wolno.

Przed godziną, wcale niespodzianie, odwidziny te spotkały p. Oven.

Gościem jej był nie kto inny, tylko Stanisław.

Temu parę dni jeszcze, znajdował on się w Paryżu, nie czując się zdolnym powrócić, opierając naleganiom Józefa i własnej korzyści, a dziś już siedział naprzeciw babki Ewy, gdzie niemyślał, że kiedykolwiek noga jego postanie.

Kto wie, czy nie rad był nawet w duszy okolicznościom i stratom znacznym, które stały mu za wymówkę i usprawiedliwienie? Ludzie słabymi są! Nie bez trwogi jednak wyobrażał sobie chwilę powrotu, nie bez ociągania sposobił się do drogi.

W tem leżała przyczyna długiego nieodpowiadania Józefowi.

Zatrzymywał się, wahał i w drodze już chciał za-

wracać, dniami całymi przebywając tam, gdzie najmniej miał chęci zabawić.

Wstąpił także do owej blondynki wdówki, która wyszedłszy zamąż mieszkała w Strasburgu, gdzie jej małżonek wysokie zajmował stanowisko.

Znalazł ją zupełnie uleczoną z miłości dla niego, wesołą jak zawsze, ale niemniej radą, że sobie o niej przypomniał i nieominął.

— Je ne saurais demeurer qu'en France! — rzekła mu, dowiedziawszy się, że powraca do kraju i ze szczerą otwartością dodała:

— Jak to dobrze, żeś mię pan nie chciał!

Staś zapewnił ją ze śmiechem, że i on nie umiał by żyć nigdzie, tylko w Polsce.

Spytała potem o Ewę.

— Je souhaite que son mari meurt le plus tôt possible! — zawołała ze śmieszną przymieszką serdeczności i płochości.

I tak się rozstali.

Mimo tych zwłok rozmaitych, Staś musiał stanąć nareszcie w mieście, gdzie Ewa mieszkała.

Ciągnęło go tam i odpychało razem. Lękał się i pragnął ją zobaczyć.

Chciał zrazu prosto na wieś jechać, ale przemogła chęć dowiedzenia się o niej. Mówił sobie, że do Józefowstwa nie pójdzie, ale dlaczegoż nie miał pójść do p. Oven, która go pewnie nie zdradzi, choć zapytać o wnuczkę, czy zdrowa.... Tyle wolno mu było wiedzieć! Wybrał godzinę obiadu na górze, by z nikim się nie spotkać, a znał porządek domowy na palcach.

Szedł trochę niepewny, czy zostanie przyjętym, ale potrzebie serca oprzeć się nie był wstanie.

— Gdy znalazł się koło domu, gdzie tyle razy przychodził wesoły i szczęśliwy, serce mu się ścisnęło. W bramie musiał zatrzymać się, by tchu zaczerpnąć i wzrokiem powiódł po schodach, wiodących na pierwsze piętro. W tej chwili uczuł ciężar taki, jakby te stopki —które po nich deptały często zapewne — stanęły całym ciężarem na jego piersiach. Drzwi stały otworem, kilka kroków dzieliło go tylko od ciotki, a wiedział, jak tam byłby przyjętym! Mgnienie oka, pokusa ustąpiła, otrząsł się i oddalił od schodów zawracając na lewo — ale był blady i drżał cały, pociągając za dzwonek u drzwi p. Oven.

Trochę zdziwiona go przyjęła. Dawniej miała wielką życzliwość dla miłego młodzieńca, a choć chowała dlań skrytą urazę za wnuczkę, za jej łzy i cierpienia, pobłażliwa dla wszystkich, nie umiała być srogą. Dobroć serca przemagała zawsze. Wyszła do gościa, li lekkim odcieniem większej ceremonialności dając mu poznać, że stosunek ich obopólny uległ znacznej zmianie. Nie podała mu ręki, on skłonił się z uszanowaniem zdaleka, mimowolnie wzrokiem zataczając do koła. Czy szukał kogo? Czy witał kąty dawniej miłe, a tak znane?... Skinęła by usiadł; potrzebował tego, bo nogi uginały się pod nim.

— Kiedy pan wróciłeś? — zagadnęła łagodnie. — Józef już tracił nadzieję, byś go pan zechciał uwolnić od trudzenia się interesami pańskiemi.

— Interesa te właśnie spowodowały mój powrót.

Nie miałem zamiaru... Chciałem jeszcze zabawić w Paryżu..

— Miło panu czas schodził za granicą?

Staś smutno się uśmiechnął.

— Każdemu — ktoby o to pytał — odpowiedziałbym potakująco, ale przed panią nie chcę kłamać... Nie pani, czas mi nie schodził miło w obczyźnie, nie bawiłem się tam wcale!

— A toż czemu?

— Pani nie chcesz mię rozumieć, ale gdybyś bez uprzedzenia o mnie myślała...

— Zkądże pan wiesz, że mogę być uprzedzoną?

— Sam nieszczęśliwy zbieg wypadków nie przemawia za mną, ale, łaskawa pani, zechciej mię wysłuchać... będę szczery, bo panią czczę i szanuję, i nie lękam się przed nią otworzyć serca, czego — wierzaj — przed nikim bym nie uczynił!

Zmięszała się trochę pani Oven, pocóż to tłumaczenie?

— Wyjechałem z kraju rozczarowany, dotknięty do żywego, zawiedziony w najdroższych nadziejach! Ta, w której złożyłem całą ufność moją, obrała mię z ufności...

— Za porywczo sąd swój wydałeś! — przerwała pani Oven, nie mogąc się powstrzymać.

— Ach! jakżem ciężko za to odpokutował! jak strasznie zostałem ukarany!.. Błąd to już mego charakteru, że na ideałach moich nie znoszę plamki, a zamiast starać się mgłę uprzedzeń rozprószyć, odwracam się zaraz zrażony.

Przesunął ręką po czole.

— Wiem — dodał — że była niewinną... Sam stałem się sprawcą swojego nieszczęścia... Jakaż to rzecz straszna, łaskawa pani!

Pani Oven mimowoli wyrwało się z ust zapytanie:

— Dlaczegożeś pan nie powrócił?

Zakrył twarz i pozostał tak chwilę długą nieruchomy, milczący, opanowany boleścią.

Niespokojnie patrzyła nań p. Oven. Tysiące myśli krzyżowało się w jej głowie i przeszywało ją trwogą. Co on pocznie? Czy zdoła niezdradzić się przed Ewą? Jak przeszkodzić zbliżeniu się jego do niej?

Powstał i podszedł ku oknu, aby ukryć wzruszenie, którego już nie był panem.

P. Oven zwróciła się do niego.

— Młodym pan jesteś — rzekła łagodnie — rana twoja prędko się zabliźni. Powinieneś o ożenieniu pomyśleć, a czem prędzej, tem lepiej!

Staś zrozumiał, schylił głowę, ale nic nie odpowiedział.

— Cóż teraz zamyślasz? — badała trwożnie.

— Sam nie wiem, chcę na wieś jechać... muszę. a może znów wybiorę się... uciekać!

— Nie pójdziesz pan na górę?

— Nie, nie czuję się na siłach.. Mógłbym panią Ewę zobaczyć! Nikt nie wie, żem tutaj, i wiedzieć niepowinien.

Gdy to mówił, drgnął i podniósł oczy do góry. Nad sufitem przebiegały jakieś lekkie kroczki. Odgadł Ewę. Ciemny rumieniec na twarz mu wytrysnął, a krwi ta fala, cofnąwszy się prędko do serca, zdwoiła

jego bicie. Zdawało mu się, że ono z piersi wyskoczy. Nagle pobladł, prędko chwycił za kapelusz — chcąc uchodzić — wpół przytomny żegnając p. Oven.

W tem zaszeleściła suknia, głosik znany odezwał się za progiem i we drzwiach stanęła Ewa.

Ani przez myśl jej nie przeszło, kogo zastanie u babki. Zobaczywszy Stanisława krzyknęła.

Znalazłszy się tak nagle w obec tej, której widoku pragnął i bał się, Staś skamieniał.

Stanęli naprzeciw siebie — oboje zarówno zmięszani — spojrzenia ich się zbiegły, oczy błysnęły.

Z ust Ewy wyrwało się tylko jedno słowo: „Stanisław!“ ale w niem zamknęło się tyle, że dźwięk tego imienia rozbrzmiał jak chór zmięszanych uczuć, radości mimowolnej, zdziwienia, ukrywanego przywiązania, uniesień...

Zapomniała o wszystkiem, czuła tylko, że widok jego napełniał ją niewymowną radością.

Patrzyli na siebie. Oczy Stasia dawny miały wyraz. Wyciągnęła obie dłonie do niego. Łzy zalśniły w czarnych jej źrenicach.

Cóż się z nim działo?! Ręce jego spoczywały w rękach Ewy. Stała blisko, wypiękniała jeszcze, z czołem swem jasnem, na którem żadna wina nie ćmiła dziewiczego wyrazu, ze wzruszeniem widocznem, w czarnej, gładkiej, skromnej sukience, przypadającej jej ślicznie do twarzy. — Taka sama jak dawniej!

Staś patrzył, nie mogąc napoić się tym widokiem. Dziwnym trafem, Ewa miała dnia tego we włosach gwoździk ponsowy, kwiat ulubiony Stasia.

Nie mógł oczu oderwać od niej. Wyrażały tak

jawnie co się w sercu działo, że Ewa aż spuściła swoje.

Jak długo to trwało?... Nagle Ewa cofnęła ręce. Zdało jej się, że śmiech szyderski Herminji rozbrzmiał w pokoju.

To głos pani Oven zbudził oboje. Pierwszy Staś odpowiedzieć zdołał, gdy Ewa jeszcze nie mogła pozbierać myśli. Parę słów tych — które wymówił — zmusiły go wejść w siebie... oprzytomniły całkiem... Jak woda zimna spływa po rozpalonem żelazie — gasząc żar — tak one spłynęły po sercu, przywołując do opamiętania.

Babka pospieszyła podtrzymać rozmowę.

Wnuczki powitanie Stasia nie uszło jej uwadze. Zaniepokojona, starała się pokryć swój niepokój obojętnem zagadywaniem gościa, który też niedługo znów chwycił za kapelusz.

— Idziesz na górę kuzynie? — spytała Ewa. — Jakżeż się ciotka ucieszy i... — nie dokończyła, trudno jej przychodziło powiedzieć: — Józef.

— Pójdę zaraz! — odparł, nie mając już powodu unikania domu ciotki. — Gdzież państwo mieszkacie? — spytał, zdławionym głosem wymawiając to słowo: „państwo.“

— My?... Ależ razem, na górze! — odpowiedziała. — Nie wiedziałeś?

— O niczem! Zapominasz kuzynko, że przyjeżdżam z daleka. Więc pozwolisz służyć i sobie?

— Idź najprzód do ciotki, o! jakże się ucieszy!... ja tu mam jeszcze interes do babci... zostanę.

Schyliła się do ucha pani Oven. Ta poruszyła się żywo.

— Co oni sobie tam pomyślą — zawołała babka — czekając daremnie! Zaraz poszlę pieczyste.

Staś odchodził, pożegnała go i wyszła.

— Kuzynko, mam cię prosić o przebaczenie! — odezwał się, wracając od progu. — Nie odejdę inaczej!... Byłem szalony, gdym ciebie obwinił... Daruj mi!

Chciał klęknąć, ręką wstrzymała go żywo z głębokiem wzruszeniem.

— Przebaczyłam dawno! — szepnęła.

— I nie obwiniasz mię o nic?

— Życzę, abyś był szczęśliwy!

Jakże dobrą była! Jak anielsko dobrą! I on mógł posądzić ją o fałsz i obłudę! Mógł uwierzyć, że w niecnej intrydze jakąkolwiek odegrała rolę!

Objęty znów nieposkromionem wzruszeniem schylił się ku niej — tak, że oddech jego przeszedł po jej twarzy — i rzekł głosem namiętnym, który drżał:

— Daj mi ten gwoździk, niech mi będzie rękojmią przebaczenia, a zarazem dowodem, żeś pamiętała o mnie! Wszak to kwiat mój ulubiony...

Ewelina cofnęła się zmięszana, jakby nastąpiła na żmiję.

Ruch jej zawstydził Stanisława. Jeszcze raz objął ją wzrokiem i wyszedł w milczeniu.

Ewa załamała ręce.

— Co on sobie myśli? — zawołała — co sądzi o mnie!... Byłożby to prawdą, co mówiła Herminja?

Ciotka na widok siostrzeńca, okazała radość nad-

zwyczajną. Józef przyjął go jak zbawcę.

— Czekałem na twój przyjazd niecierpliwie — rzekł zaraz na wstępie — bo rady sobie dać nie mogę! Dobrze żeś się już raz zjawił! Ot, do czego doprowadziły cię te włóczęgi za granicą!

— Ależ nie to przyczyną, że niepoczciwy ograbił mię rządca!... Trzebaż rozerwać się trochę, przewietrzyć!... nie sądziłem...

Stanisław chciał się dalej uniewinniać, ale Józef mu przerwał:

— A tymczasem ślicznie przewietrzono ci szpichlerze! Szkodę masz ogromną... I gdyby nie poczciwy twój pleban — który tam objął gospodarstwo — wszystko by się było dotąd rozprzęgło.

— Kochany kanonik kłopocze się za mnie!

— Tak, i ja z nim... A ty bawisz się w Paryżu jakby nic! Czyś sądził, że ja na żarty telegrafuję codziennie?

— No, nie gniewaj się! Jakoś się teraz na wszystko poradzi.

— A zapewne!... Nie trzeba jednak szukać po świecie, czego się nie zgubiło, i fałdów trochę przysiedzieć.

— Ja też zaraz myślę się wybrać na wieś...

— Pokutować! — wtrąciła ciotka.

— Ale ja cię nie puszczę! — zawołał Józef. — Tu procesów co nie miara, termina sądowe, protesty... Od dziś zdaję wszystko tobie, żebyś nie miał do mnie pretensji. Oho! na wieś jechać bratku nie możesz! Rozpatrz no się tu pierwej!

— I tam jednak zajrzeć muszę. Proboszcz...

— Zazieraj, ale wracaj zaraz! proboszcz da sobie radę i bez ciebie... Zresztą musisz go uprosić, by jeszcze trochę trudnił się zarządem, póki kogoś nie wyszukasz. Zobaczysz, że tu siedzieć trzeba i opędzać się. Pięknie ci się ten twój rządca przysłużył i Paryż kosztował!

— Nie strasz no go zbytnio Józefie! — wtrąciła matka. — Niech odpocznie. Dobrze, że nam zdrów powrócił! Ależ naturbowałam się o ciebie mój Stasiu! Chwała Bogu daremnie — bo widzę, żeś wesół jak dawniej — dodała, widząc uśmiech na twarzy Stasia, którym się zawsze maskował. — Godziłoż się to? Nie pisałeś nawet...

— Nie sądziłem, że cioteczka się mną turbuje, a „bawiąc się“ i jeżdżąc z miejsca na miejsce, czas tak szybko uchodzi, że na list nie ma chwili...

Przyciągnęła go do siebie starsza pani i za całą odpowiedź ucałowała serdecznie.

— Cicho już, cicho! co było to było! Rada jestem, że cię znowu widzę, żeś się zabawił i żeś nam powrócił w dobrym humorze.

Łza zakręciła się w oczach Stasia, ale tej nie dostrzegła ciotka. Trzymał oczy spuszczone, kręcąc cygaro.

— I ja się serdecznie z tego cieszę! — dorzucił Józef z całem wylaniem poczciwego serca, obejmując go i ściskając. — I nie myśl, że tylko dla tego, że się mogę zbyć kłopotu!

Tymczasem Ewa siedziała w swoim pokoju. Nie chciała iść do salonu, nie chciała już widzieć Stasia. Była mocno poruszona i dla tego zrazu nie mogła

pamiętać o tem, co by matka, co mąż pomyśli o unikaniu kuzyna. Musiała go przecież przyjąć, jak krewnego i gościa, być naturalną i zachować się względem niego neutralnie. Gdy to rozważyła, powiedziała sobie, że spotkanie z nim jest nieuniknionem. Poprawiła włosów, kołnierzyka, zarumieniła się dostrzegłszy gwoździk warkocz zdobiący i wyjąwszy go delikatnie, włożyła w wodę.

— Niech on go więcej nie widzi na mej głowie! — rzekła i wyprostowawszy się trochę dumnie, przybrała postawę poważną i poszła do salonu.

Usiadła milcząc przy matki fotelu, i zaraz wzięła do rąk robótkę, zajmując się nią pilnie, i oczy trzymając spuszczone. Nużby błądząc, zabłądziły ku niemu? Nie, tego dopuścić nie mogła!

Gdybyśmy sobie mniej dowierzali, było by to daleko lepiej. Ewa i Stanisław znachodzili się właśnie na tym punkcie, gdzie jedno i drugie powiedziało w duszy: potrafię zwyciężyć!

Staś w objęciu pana Józefa, przyrzekł sobie niezdradzać się więcej, w piersi zamknąć uczucie. Zawstydził się na wspomnienie przywitania z Ewą i obiecał w duszy okazywać się życzliwym, ale tylko życzliwym...

Ewa tęż samą myśl powzięła. Oboje spokojni o siebie, wystrzegać się nawzajem już niewidzieli potrzeby.

Stanisław opowiadał właśnie o swojej podróży:

— Ujrzenie Wenecyi uczyniło na mnie niezatarte wrażenie! Pociąg — któren mię przywiózł — stanął na dworcu o rannej bardzo godzinie. Już z daleka

rosła we mnie chęć poznania niezwykłego miasta. Przelatywaliśmy mosty, rzucone na szeroko rozlanych wodach, przez równiny mknęliśmy jakieś dziwne, na których szeregami stały małe, w równych odstępach sadzone drzewka. Okolica była do innych całkiem niepodobna, smutna, płaska, ale za wszystko miała nagrodzić Wenecya. Gdym wysiadł w obszernym i okazałym dworcu, znalazłem się nad brzegiem wody. Tuż kołysały się gondole i zapraszali do nich gondolierzy. Oglądnąłem się, nie było żadnych innych wehikułów, wstąpiłem więc w jedną, zaczynając od nowego dla mnie sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce szereg wzruszeń, które mię czekały. Lekkie, długie czółenko, sunęło po wodzie bez szmeru. Mogłem swobodnie oparty, niewstrząsany, spoglądać w około. Po obu stronach wody stały pałace, milczące i uśpione; nad licznymi kanalikami, dzielącymi je, były mostki; czasem puste placyki i ścieżki... a nigdzie żywej duszy. Cisza taka, że słychać własne serce bijące, plusk wody o brzeg czarny, lub o schody pałacu, a każden z tych pałaców cudny taki, że zda się epopeją kamienną, opowiadającą dzieje dni minionych, zaklętą w marmurową pieśń bez słów, której koniecznym akompaniamentem... cisza. Jednakże okna z powybijanemi szybami i drzwi zamknięte mówią, że to nie cisza zachwytu, ale cisza śmierci. Królowa Adryatyku na martwej już skroni niesie dawnego przepychu przepaskę, i życie z niej uciekło na zawsze. Bogata to jednak korona! Tegoczesnych miast budowle — choćby najpyszniejsze — przy tych pałacach wyglądają na ironję. Któraż stolica może się podobnym

pochlubić stylem, wdziękiem i doskonałością?

Około pałaców, sterczą z wody szeregi pali, dla wygody gości dostojnych, aby było gdzie gondole uwiązać... ale patrycjuszów już od dawna nie ma! Jeżeli gdzie całe okna, oznaka życia, firanka kołysana wiatrem, to tam pewnie hotel lub fabryka, skład albo sklep jaki.

Pytałem gondoliera, czy tu zawsze tak cicho? Skinął głową, i uśmiechnął się; ci ludzie nawet nie czują śmierci, która ich otacza; przywykli, nie wyobrażają sobie, by było kiedyś inaczej. Wpatrywałem się w pałace, odtwarzałem przeszłość, zaludniałem w wyobraźni tłumem różnobarwnym ciasne uliczki i szeroki kanał. W tem o uszy moje odbił się dźwięk dzwonów. Najprzód jeden się zbudził, potem odpowiedział drugi, trzeci, dziesiąty.... znów zwróciłem się do gondoliera:

— Co to znaczy, ktoś umarł, czy święto jakie?

— Taki tu zwyczaj — odparł. — Słuchamy dzwonów, bo nic więcej usłyszyć nie można. Dzwonią za umarłych i są fundusze zapisane na to umyślnie od dawna...

Pomyślałem, że ten jęk poświęcony nieboszczykom, to właściwy akompaniament dawnej świetności! — Smutek niezmierny płynął z głębokimi tonami powietrzem, i odtąd zdawało mi się, póki bawiłem w Wenecyi, że jestem ciągle przytomny jakiemuś pogrzebowi wielkiemu, bo te dzwony nie cichły nigdy.

Gondola przybiła do schodów jednego pałacu. Był to tylko hotel, urządzony jak każden inny. Marmury dawnej siedziby książąt, oddane na posługi turystów,

pod stopy komiwojażerów i znudzonych Anglików... Kufry zakrywały mozajkę posadzki sieni; dywan zaścielał białe schody do góry wiodące, jakaś przepyszna rzeźba trzymała nad głową wzniesione płomienie gazowe... Upomniałem się o pokoje wychodzące na kanał wielki i mogłem całemi godzinami spoglądać z okien moich na wieże św. Jerzego, Panny Marji, komory celnej, rzadkie śledzić gondole, i grę promieni słońca odbitych w wodzie — innych rozmaitości nie było... Trzeba chyba urodzić się w Wenecyi, aby do niej przywyknąć. Czasem zazdrościłem ptakom skrzydeł ich, tak mi tu było nieswojsko, ckliwo... Gdym szedł w ciasne uliczki, patrzyć na ludzi, widziałem zlewek wszystkich typów i narodowości, figury czarne, brudne, tłum leniwy i nieporządny... Zdawało mi się, że długo tu nie wytrwam, że lada chwila ucieknę od tych uliczek, gondoli, spiącej wody i martwych pałaców, gdzie zapomnąć można, że się żyje, że się ruszać wolno i posługiwać nogami... a jednak, potrzebowałem tylko otworzyć okno wieczorem, zobaczyć księżyc odbity w kanale i złocący cudownie koronkami kamiennemi zdobne pałace, usłyszyć śpiewy płynące ku mnie w ciszy, aby godzić się znów z Wenecyą. Cały dzień prześladowała mnię cisza, brak przestrzeni i dzwony jęczące bez przerwy, za to noce i serenady wieczorne nagradzały za wszystko!... A! te śpiewy tak cudnie rozlegające się po wodzie, tak czarownie płynące po szerokich kanałach. Ja ich zapomnąć niemogę!... Upajają one i rozmarzają, duszę przenikając do głębi!

Ewa słuchała z zajęciem. Wiedziała jak czułym

był Staś na muzykę, jak ją lubił zawsze, jak ona silnie nań działała, i podniosła w tem miejscu opowiadania oczy na niego, zapominając robótki...

— Serenad słuchałem codziennie — mówił dalej. — Wyprawiali je to gondolierowie, chórem śpiewając „*Santa Lucia*“, to donny jakieś, na wzór słowika, w szarym zmroku, jak on w szarych piórkach ukryte. Najniespodziewaniej, nie raz, gdym zatopiony w marzeniu patrzył z okna paląc cygaro, stawała barka wśród kanału, rozlegały się akordy fortepianu, i głos silny, dźwięczny, rozbrzmiewał w nocnej ciszy, podczas gdy na tle ciemnem, błyszczącem wody, kołysały się latarnie kolorowe, jak fantastyczne nocne motyle, i po chwili barka sunęła dalej, głos cichł w oddaleniu, rozpływając się, mięknąc, zdając ulatywać w niebo. Jeszcze pocieszyć się nie mogłem, że śpiewy te umilkły, a tuż drugie, zbliżają się, rosną, porywają serce, i nowem marzeniem napełniają duszę... Czasem całe orkiestry dawały dla mnie koncerta wodne. Na szerokiej łodzi płynęło towarzystwo śpiewaków i muzykantów, a za tą łodzią cisnęły się gondole tłumnie... Brałem jedną i dawałem się unosić w kraj zaczarowany... Wenecya zmieniała się w cudowny salon, którego posadzką była woda, oświetleniem księżyc, a sklepieniem niebo, zasiane gwiazdami... Uroku tych koncertów nie jestem wstanie oddać!...

— I długo bawiłeś w Wenecyi? — spytała Ewa.

— Długo — póki mię nie wyprawiono do kąpiel morskich.

— Byłeś więc chorym? — żywo zagadnęła wzruszona.

Jakby nie słyszał jej słów, mówił znowu:

— Udałem się do Ostendy. Przejechałem Tyrol, Bawarię, Belgię. Widziałem już morze w Wenecyi na Lido, ale ten cichy, spokojnie oddychający Adryjatyk, jakżeż niepodobnym był do Oceanu! W nocy zaraz po mojem przybyciu do Ostendy zbudził mię huk niezwykły, a że położyłem się był znużony podróżą i twardo usnąłem, nie mogłem pojąć co by znaczył? To wicher się zerwał i tak morze ryczało, że aż biło o brzeg piersią wzdętą... Patrząc nań przedtem, nie umiałem zdać sobie sprawy z niezmierzonej jego wielkości. Słuchając, zrozumiałem dopiero, co to jest morze. Ocean grzmiał o potędze i nieskończoności swojej, a głos ten przychodził gdzieś aż od krańców ziemi. Ileż razy potem szedłem nad brzeg wsłuchiwać się w wspaniały hymn ów natury, wspaniały a straszny razem, zawsze ten sam, a nie mogący spowszednieć nigdy.

Nużyło mię życie w Ostendzie, tłum różnobarwny, goniący li za rozrywką, stroje kobiet, które siliły się na jak największe wydatki w tualecie, stek mężczyzn, którzy przyjechali tylko używać. Jedno morze wynagradzało za wszystko! Zamykałem oczy i słuchałem wiekowej jego pieśni, myśląc, że z nim jestem i z Bogiem.

Podczas opowiadania ciotka zasnęła, a Józef po cichu wysunął się. Byli jakby sami. Kilka godzin upłynęło nie spostrzeżenie, a Ewa uspokojona całkiem zachowaniem Stasia, z przyjemnością już słuchała i godziła się z obecnością jego.

To samo powtórzyło się i dni następnych. W stosunku młodych ludzi harmonia panowała zupełna... Staś baczny na każde swoje słowo, bawił długo, mówił wiele, ale zawsze tylko o podróży swej i rzeczach obojętnych. Ewa przyjmowała go życzliwie... Weszło w zwyczaj, że ze sobą spędzali prawie czas cały. Zdawało się to wszystkim jak najnaturalniejszem. Staś miał czynności w mieście, przychodził odpoczywać u ciotki. Na wieś, raz tylko i to na parę godzin zaglądnął, i znalazłszy tu nadspodziewanie wielki ład i porządek, przywitawszy się z proboszczem, ucieszywszy swym powrotem Jerzego, napowrót do miasta pospieszył. Kanonik rzekł mu na wstępie zaraz:

— Uspokójno się wpierw z żydami, a o Gródkowice się nie troszcz! Damy sobie tu radę z Jerzym! Nie przyjmuj szczególniej byle jakiego rządcę, dobrze wprzód wypytaj o niego! Nie żałuj czasu. Na mnie przecież spuścić się możesz!

Zburczał go w dodatku, że zaczął dziękować i przepraszać.

— Na tośmy ludźmi i braćmi, byśmy pomagali jedni drugim! — zakończył. Siedź że sobie spokojnie w mieście.

Herminia nie łatwo poddawała się zwątpieniu. Nie znać też było nigdy na niej, aby ufności w siebie nie miała aż nadto!...

W rannej tualecie, niezmiernie gustownej i pięknej, nie bez myśli włożonej, bo co chwila spodziewała się odwiedzin Stanisława, należących się jej po powrocie do kraju, rozmawiała ze swoim lekarzem.

— Pani bo mnię przeraziłaś na prawdę wezwaniem tak naglącem. Dzięki Bogu, że widzę ją śliczną i zdrową...

— Zdrową! chciałżebyś, żebym chorą była?

— Broń Boże! królowo moja!

— Dla was, moi panowie, choroba zaczyna się dopiero wtedy, gdy z łóżka wstać nie możemy... Ach! moja ręka!

— Co? zwichnięta, złamana?!

— Patrz pan i osądź sam! To okropność!

Lekarz ujął białą, miękką jak aksamit rączkę; obejrzał, za puls chwycił. Wyrwała ją niecierpliwie.

— Nic pan nie widzisz?! Ależ to w oczy bije!... moje paznokcie! — I podniosła dłoń do góry, pod same oczy doktora. Różowe pazurki długich paluszków szpeciły jakieś czarne plamy. Lekarz z razu myślał, że łatwa do zaalarmowania się pacjentka, wzięła to za oznakę gangreny. Chciał już uspakajać, gdy zawołała:

— Radź pan, zmiłuj się! Wycieram, myję, nic nie pomaga! Przecież tak zostać nie może...

— Zapewne, królowo moja, ależ to bagatela!...

— Bagatela?! Trzebaż mieć zaraz delirium tremens lub raka, żeby zasłużyć na wasze leki?! Fe, szkaradny doktorze!... Niespodziewałam się tak mało współczucia!

— Niech że się pani uspokoi... trochę cierpliwości... to samo przejdzie!...

— A! zapewne!.. Ależ ja potom pana wezwała, abyś radził... Od czegożeś lekarzem?

— No, królowo moja, proszę się nieirytować,

pięknej płci zaszkodzisz!... Zapiszę, zapiszę... ale nie ręczę...

— Trzeba, owszem, abyś pan mi zaręczył, że zaraz plamy te znikną! Nie zniosę takiej ręki — a! to bieda, dotknęłam kamienia piekielnego przypadkiem... cóż poczne teraz..

— Ubierz pani rękawiczki!... do nóg upadam! Chorzy na mnie czekają...

Chciała już Herminia z cierpkiem odezwać się słówkiem gdy dzwonek w przedpokoju oznajmił wizytę. Pożegnała prędko doktora.

Spojrzała w źwierciadło, poprawiła stroju i zwróciła ku wejściu oczy błyszczące. Za drzwiami słychać już było głos Stanisława. Ileż zmian od ostatniego z nim widzenia!... Na drodze swojej nie dostrzegała już żadnej przeszkody, z trochą zręczności mogła być pewną zwycięztwa. Zarumieniona podeszła do wchodzącego Stasia.

— A! nareszcie widzimy pana znowu! — zawołała. — Nie wyobrażasz sobie nawet, jak nam tu pana brakowało!..

I zaczęła pytać o podróże, ani słówkiem o przeszłości nie wspominając.

Rozmowa potoczyła się łatwo; z kolei przyszło zaczepić o znajomych, potem o blizki wieczorek, któren dać myślała. Musiał przyrzec, że będzie na nim.

— Miałam zamiar odłożyć go. Przyrzekłam sobie, że na pana zaczekam.

— Pani zawsze łaskawa.

— Jakżeś pan znalazł Ewę? — przerwała mu szybko... — Ciekawam zdania pana, bo co do mnie, wolałam ją,

jaką była dawniej. Coś naiwnego, dziecinnego miała w sobie!... Mężatce urok taki już nieprzystoi... to też dziś... Ale nie uprzedzam pana... osądzisz ją sam, bo będzie u mnie na wieczorku. Kobieta każda najlepiej daje się poznać wśród większego zebrania, gdy ją zabawa ożywi, odbierze moc panowania nad charakterem... gdy główka trochę się zawróci hołdami, wtenczas staje się dopiero sobą!

— Zdaje mi się, że tylko kobiety bez charakteru, stają się sobą wśród zabawy. Inne, nie zmieniają się nigdy! — odparł żwawo.

— Pytanie, czy Ewa do tych ostatnich należy! Ręczyć pan za nią nie możesz! Ładniutka, pozbawiona rozrywek!... Zresztą, zjawiskiem będzie nowem, a jako nowość, mężczyznom głowy łatwo zawróci... Hołdy smakują każdej z nas, i ona nimi upoić się jest zdolną...

— Inaczej sądzę o pani Ewelinie.

— Grand bien vous fasse!... Uważaj pan jednak na siebie — i pogroziła mu niby żartem!

— Nie należę do tych, którym głowy zawracają się łatwo! — odparł podrażniony. — Kokieterją wszelką brzydzę się.

— Ach! pojmuję! — szepnęła. — Stałe, silne uczucie, przyciągać ma prawo, ale rozdrobienie łask na wszystkich.... to już chyba tylko zrazić jest wstanie.

VIII.

Dzień urodzin pani Herminii, niezmiernie uroczyście bywał obchodzonym. Pani lubiła owacje, panu pochlebiały one. Od rana zaczynały się sypać karty wizytowe, telegramy, bukiety, muzykanci wygrywali pode drzwiami... Pan Konrad biegał zajęty, rozdając „na piwo“ grajkom, których sam sprowadzał, służbie, która nie z własnego natchnienia składała pani owacje. Przychodziły dzieci z bukietami i wierszami, wyuczonemi mozolnie na pamięć. Z tem najczęściej niewiodło się bonom i niańkom. Mały Henryś zaczynał płakać, Janusi wypadało utrzeć nosek, do uroczystości niestosownie zakatarzony, starsza Helenka jąkać się lubiła fatalnie, z młodszych dwoje sprzeczać się o pierwszeństwo... powstawało takie zamieszanie, że pani Herminia zatykała uszy, a całe grono popychane, wynosić się musiało za drzwi wśród płaczu i utyskiwań.

Inne przyjemności czekały na solenizantkę. Przez parę godzin bez przerwy, nie zamykały się drzwi salonu, a Herminia nie zmęczona, przyjmowała stereotypowe życzenia, z uśmiechem coraz żywszego zadowolenia. Dla niej nie tyle miały uroku szczerość i prawda, ile ilość odwiedzających. Im więcej było

gości i biletów, tem czuła się szczęśliwszą. Między przysłanymi upominkami, odznaczał się tego roku olbrzymi bukiet. Stanisław, poczuwający się do pewnych obowiązków względem pięknej pani, czy też usiłujący nagrodzić grzecznością chłodną, brak żywszych uczuć, obdarzył nim solenizantkę...

Na widok bukietu, rozpromieniły się oczy Herminii. Myśl jej zwróciła się do Ewy zaraz, i przytulając do ust piękne kwiaty, napawając się ich wonią, roskosznie szepnęła: „biedaczka!“

W buduarze pani, odosobniony i jakby wyróżniony od innych, stanął ów bukiet, prawdziwie doborem kwiatów, rzadkością ich, wielkością zresztą swoją, niezwykły.

— Przyznaj no się, od kogo go masz? — pytały więcej z nią zażyłe panie. — Widzieć trudno coś piękniejszego!

Drożyła się Herminia, zaciekawiając jeszcze bardziej gości swoich, póki ktoś z mężczyzn nienapomknął, że widział z rana bukiet ów u ogrodnika. Tajemnica przestała być tajemnicą, za to imię Stanisława przechodziło z ust do ust.

Gdy przybyli Józefowstwo, Ewę zaraz zaprowadziła Herminja do buduaru.

Muszę ci się pochwalić! — zawołała.

— Prześliczny! — pochwaliła Ewa, pochylając się nad bukietem.

Gospodyni obracała go na wszystkie strony, wskazywała ilość i dobór kwiatów, aż nakoniec:

— Od p. Stanisława! — szepnęła.

Ewę, jakby coś odtrąciło od bukietu, wyprostowała się nagle.

— Mówiliśmy o kwiatach... że je lubię — ciągnęła Herminja, ale gdybym była wiedziała, że takie szaleństwo popełni!... nie wspominałabym o mojem upodobaniu. Czy nie znajdujesz, że za piękne dla mnie? —

— Bynajmniej! — odpowiedziała Ewa ze słabym uśmiechem, odwracając się zaraz i wychodząc z buduaru. Woń kwiatów zdała się jej za silną.

Konradowa objęła ją długiem, niedobrem wejrzeniem, i wróciła na swe miejsce do salonu.

Goście płynęli coraz liczniejsi. Po dywanie, całą pokrywającym posadzkę, suwały się ogoniaste suknie i stopy mężczyzn w ukłonach. Górą biegały uśmiechy i spojrzenia, słówka grzeczne a czcze. Gwar napełniał pokoje, wesoły gwar zebrania licznego.

Przez drzwi otwierające się co chwila, widać było w przedpokoju tych, co tam zdejmowali okrycia, gotując się wejść. Witani oni byli wrażeniem miłem za progiem jeszcze, mimowolnie zazdroszcząc pięknej gospodyni.

Gwar, wonie, uśmiechy, eleganckie pomieszkanie, składały się na atmosferę szczęścia, jak je świat rozumie. Nie jedna westchnęła skrycie, aby szczęście podobne stało się i jej udziałem.

Towarzystwo zmieniało się co chwila, a zawsze pełno było w pokojach. Gospodyni przechodziła od jednych do drugich, rzucając słowo, uśmiech, podając cukry, które z otwartych pudełek brano końcami palców w rękawiczkach, mężczyźni ze spojrzeniem błyszczącem na piękną solenizantkę, panie z nie-

z miernie słodkim uśmieszkiem.. Na schodach tymczasem robiono złośliwe uwagi.

— To jakby odpust! — śmiał się mały brunet, dopiero co komplimentami zasypawszy Herminię.

— A pani domu, wygląda na obraz cudowny, któremu wota wszyscy składają! — odparł inny.

— Uważałeś pan — zaśmiała się blondynka pulchniutka, rada pokazać w uśmiechu ząbki perłowe — jak ona to wszystko przyjmuje, jakby doń należną! A jednak zkąd te atencje? Oto nie jeden potrzebuje protekcji, nie jeden ma sprawy rozmaite z p. Konradem, Są i tacy co od niego pożyczywszy pieniądze, pani przychodzą się pokłonić.

— Mais dites donc — przerwała hrabina X., którą z wielkiemi atenciami przyjmowała Herminia; — nie należy do naszego obozu, ale elle est parfaite de tenue! Zkąd się nauczyła tego!?

Brunecik wzruszył ramionami, za plecami hrabiny.

— Co bukietów! co cukrów! — mówiła wzdychając gruba mama do córki.

— Głowa jej się zawróci! — odparła córka. — Uważała mama, jak jej nadskakiwał p. Kuba?... albo i ten bukiet od p. Stanisława?! Bezwstydnie się nim pyszniła! To skandal prawdziwy!

— Tak! tak! kokietka! — oburzyła się przekonana mama. — Jeźli mężatki wabią kawalerów, cóż dla was zostanie?

— Ma być obiad o czwartej — szepnął słuszny mężczyzna z brzuszkiem, do drugiego, z którym szedł pod rękę — proszono najserdeczniejszych... czy się liczysz do nich?

— Ma foi! non!... — nieukontentowany drugi odrzucił. — Za to będzie Stanisław!

— Widziałeś bukiet? oto się wysadził! Jakżesz jego akcje stoją u pani Herminji? Dawniej bywał bardzo częstym jej gościem.

— Ba! zapewne dobrze stoją! nie trudno zgadnąć! Zazdroszczę mu. Kobieta śliczna, a ten mąż...

— Może byś chciał spróbować? — złośliwie uśmiechnął się słuszny.

W tem zetknęli się ze Stanisławem. Właśnie wysiadał z powozu na dole. Zamilkli, spojrzeniem goniąc za nim, gdy wymieniwszy ukłon, poszedł na górę.

Zamyślony był, głowę miał zwieszoną, ale krok szybki i pewny, bo wrodzona żywość czyniła takim chód jego. Panowie obaj mrugnęli do siebie.

— O! jak się spieszy! — niecierpliwość go pędzi!

Ukłoniwszy się Staś, powinszowawszy solenizantce, która spojrzeniem mu zapłaciła wymowniejszem, niż pragnął, wmięszał się zaraz między gości, uchodząc na bok, rozpatrując się, czy Józefowej nie ujrzy. Wiedział, że tu być miała, spodziewał się, że zaproszoną zostanie na obiad, na który i on także obiecał się stawić.

W jadalni już nakrywano do stołu, zapuszczona portjera drgała lekko, słychać było brzęk szkła cichy i chodzenie służby. Szaro robiło się w salonie, meble ponsowe czerniały, kwiaty pachły silniej, zmrok zapadał. Ściany zdawały rozsuwać się, pokoje powiększać. Goście oddalili się i zostawali tylko zaproszeni. Zmęczona gospodyni siadła spocząć na fotelu, podczas gdy p. Konrad ostatnią damę odprowadzał

do przedpokoju. Rozmowa zwolniała, przechodząc w poufniejszą pogadankę.

Kilku mężczyzn w krochmalnych koszulach, i we frakach szeroko roztwartych na piersiach, stało sztywnie po kątach, uważni na gorsy, aby ich nie zmiąć. Kilka pań wachlowało się leniwo.

Na tacy przyniósł służący jeszcze parę nadeszłych telegramów. Odczytywała je Herminia z lekkiemi wykrzyknikami zadowolenia, z uśmiechem pochylając się do kobiet.

Konrad odprowadziwszy damę, powracał głodny. Rzuciwszy się w najbliższy fotel, zapytał zaraz, czemu obiadu nie dają.

— Czekamy na siostrę twoją — odpowiedziała żona.

— A, na Elżusię! Że też ona zawsze musi się spóźnić!...

Właśnie gdy te słowa wymawiał, z za portjery wychyliła się niemłoda i niepiękna osóbka.

— O wilku mowa! — zawołał dosyć naiwnie. Wysilał się już tak długo na grzeczności, że teraz już mówił co myślał, po prostu.

P. Elżbieta uśmiechnęła się jak na najpiękniejszy kompliment i zwróciła sią ściskać bratowę. Dość było spojrzeć na te czułości, żeby odgadnąć, co się pod niemi kryło.

Nie lubiły się wcale. Elżbieta znajdowała bratowę nadto światową, Herminja utrzymywała, że Elżusia strasznie pospolitą była.... Nad to jednak, nic więcej zarzucić jej nie mogła, gdy siostra męża wiele miała do wytknięcia pani Konradowej!

Znała jej słabe strony, i dokuczała Herminii, ile razy się spotkały. Nie wchodziła nigdy n. p. przez przedpokój do bratowej, tylko zawsze prywatnymi zakamarkami, tak, że co oczom ludzkim najpilniej się ukryć chciało, ona zawsze wyszperała. Wciskała się umyślnie w kąty wszystkie, i niemiłosiernie wskazywała na braki różne, których dopatrzyć się nie było trudno.

Dziś oglądnęła już kuchnię, garderobę, sypialnię, była u dzieci, wiedząc, że wśród uroczystych przygotowań, najmniej znajdzie tam dbałości, i nim doszła do salonu, po drodze nazbierała spory zapas wiadomostek, mogących zniecierpliwić i mniej niż Herminią drażliwą kobietę.

Samo jej wejście przez jadalnię, nic dobrego nie wróżyło. Herminia zagryzłszy wargi, gotowała się usłyszyć nie jedno.

— Życzę ci — odezwała się p. Elżusia, ściskając ją znowu — życzę, abyś miała jak najwięcej takich dni wesołych, ale razem, wiesz co moja droga? możeby nie zawadziło ci życzyć, żebyś miała także trochę więcej czasu?... Wszak tam dzieci płaczą, bo głodne, a w sypialni nieposprzątano nawet, woda brudna w miednicy...

— Myślałam, że nie przyjdziesz — wymijająco odparła Herminja.

— Ach! gdzieżbym mogła dopuścić się takiego zapomnienia! Owszem, jestem już tu od chwili... ale wiesz, zaglądnęłam do kuchni. Jacenty pjany jak sztok, boję się, by obiadu nie zepsuł, i wiesz, w przedpokoju ogromna plama na murze, nafta

cieknie, czy co? Przy tem okropnie nie pachnie! Każ zakadzić radzę ci.

— Zakadzić! może jeszcze trociczkami!... — oburzona wyrwała się z objęć kochanej siostry Herminja i poszła użalić się przed Stanisławem.

W tem służba rozsunęła portyery i blask świec uderzył oczy. Ogromny wieniec kwiatów, cukrów, owoców, środek stołu zajmował; drugi, zastawy wspaniałej, biegł brzegiem. Dymki, wznoszące się z talerzy napełnionych zupą pachły; zaczęto siadać; panie zdejmowały rękawiczki, panowie rozkładali serwety, łokcie przyciskając do siebie, ze spojrzeniem w prawo i w lewo, z rozkosznym uśmiechem, niewiadomo do sąsiadek czy do rosołu? Ten i ów przypominał sobie jakieś nawyknienia, nieuchodzące wśród ceremonialnego zebrania. Łyżki dzwoniły, rozmowy przerywane płynęły cicho. Stanisław siedział koło gospodyni, dalej Kuba, pani Elżbieta, mająca obok siebie bardzo grubego jegomości, potem Konrad, przy nim mocno ponsowa na twarzy brunetka, mająca za sąsiada znanego z wilczego apetytu p. Ignacego, o sumiastych siwych wąsach, który żałował tylko, że nie będzie mógł sosów wymaczywać bułką; zamyślał się widocznie, dla czegoby to nie wypadało? Ponsowa pani nic nie jadła, piła wodę, wachlowała się i co chwila podstawiała szklankę panu Ignacemu: służyć zmuszony, niecierpliwił się, psuła mu humor, przeszkadzała w spożywaniu dobrych rzeczy; chciał jeść spokojnie Z drugiej strony Stanisława zajmowała miejsce bardzo ładna blondynka, tłuściutka, wesoła i natrętnie spoglądająca na sąsiada.

W miarę następujących po sobie potraw i kieliszków dobrego wina, gwar się wzmagał. Mężczyźni szersze mieli uśmiechy, panie rumieńsze twarze. Herminia tymczasem szeptała Stanisławowi:

— Coś pan dzisiaj nie w humorze! dla czego? Przykro mi widzieć pana takim... mnie, co bym dała pół życia, abyś pan był szczęśliwym...

Stanisław schylił się po serwetę, zsuniętą z kolan. Zrobiło mu się gorąco.

— Zkąd posądzenie, że nie jestem w humorze?

— Żadne udawanie mnie nie zwiedzie! patrzę głębiej — odczuwam rzecz każdą, która pana obchodzi... i widzę, żeś pan nie swój powrócił. Czy zostawiłeś kogo za granicą? tęsknisz do pięknej jakiej Włoszki lub Francuzki? Spojrzała nań bystro.

— Nie pani!

— Wyglądasz mi jednak na... zakochanego.

— Pani chcesz wmówić we mnie, co nie jest.

— Więc się mylę? W istocie, tylko od pana zależy znaleźć szczęście...

— Któżby szczęśliwym być nie chciał!

— Co państwo mówią o szczęściu? — wmięszała się ładna blondynka, i jej zapytanie tak w porę przyszło Stasiowi, że skwapliwie obrócił się ku niej. Spotkał jej wzrok utkwiony w siebie, zaczepny. Śmiać się zaczęła, pokazując ząbki, i zaczęli rozmawiać żywo, podczas gdy Herminia brwi marszczyła nieukontentowana.

— Dziwię się, że nie ma tu Józefowstwa — rzekła blondynka, patrząc na Stanisława figlarnie — czy ich

nie proszono? — i przechyliła się w stronę gospodyni, pytając.

— Prosiłam ich na jutro, dziś jesteśmy w familijnem kółku.

— A... a... — zaśmiała się blondynka. — Êtes-vous cousin, vous aussi mr. Stanislas?

— Non, que je sache! — odparł śmiejąc się, i żartowali dalej wesoło. Blondynka lubiła złośliwe robić uwagi.

Herminia coraz więcej posępniała. Dla czego się Stanisław tak blondynką zajmował a jej unikał widocznie? Czyżby się bał?... Włożyła mu kawałek najlepszy pasztetu na talerz i zmuszając go tym sposobem do zwrócenia się ku sobie, zagadnęła:

— Niedobrym pan jesteś! zapominasz, że masz dwie sąsiadki, a nie jedną!

W tej chwili właśnie śmiech zabrzmiał głośniejszy; zaczęto nalegać, aby Kuba powtórzył opowiedzianą historję. Zaraz też Kuba głos podniósł zadowolony, nie dając się prosić.

— Wyobraźcie sobie państwo, co mi się zdarzyło. Byłem wczoraj u księstwa, rozmawiałem najspokojniej z gospodarzem domu, gdy patrzę, wchodzi do pokoju teściowa jego. Znałem ją trochę z oryginalności i namiętności do gry.

— Niech panowie zrobią ze mną partyjkę — zagramy wiseczka — mówi. Po mnie mróz przeszedł; bałem się przegrać, bo gra wysoką być musiała; nie dała przyjść do słowa jednak; chciałem odejść, wymówić się — nie puściła. — Cóż robić? Siadam tedy, wzdychając. Zaraz za pierwszym robrem poznałem,

że strachu wielkiego nie będzie. Grała nieszczególniej, zapalała się strasznie i myliła coraz lepiej. Myślę tedy, wynudzę się, ale choć wygram. — Idzie gra dalej — godziny mijają — chcemy przestać — ani mówić o tem daje!

— Przecież muszę się odegrać!

— Ha! zapewne, jest w prawie żądać tego, bo coraz więcej przegrywa. Perswadujemy jednak, że późno — że szczęścia dziś nie ma, ale to nic nie pomaga! Wpada w gniew, bije pięściami o stół, czepek zdjęła... dusimy się od śmiechu... Przegrała już ogromną sumę, ale tem mocniej się tylko zapala... Nareszcie około drugiej po północy, rzuca kartami.

— Dosyć tego! trzeba iść spać! Dziękuję wam! Ależ mi nie szło! gdybym była grała o pieniądze, sporo bym wam była winna!... Adieu!

Zaśmieli się wszyscy...

Gruby jegomość obrócił się do p. Elżbiety.

— Zdrowo uśmiać się przy stole... ale patrz pani, sąsiadka pana Ignacego nic nie je, tylko ciągle wodę pije...

— Szkoda miejsca! — odparła p. Elżbieta.

— I ja mówię to samo!

— Nie pojmuję przyjemności, jaką pan masz ze swoją sąsiadką — szepnęła Herminia Stasiowi, który znowu z blondynką rozmawiał. — To gąska!

— A! pani, i gąski bywają smaczne...

— Zdawało mi się, żeś nie gustował w nich dotychczas, choć prawda, żeś o mało z jedną z nich nie ożenił się!...

— Pan się myślisz żenić? — podchwyciła blon-

dynka, niedosłyszawszy dobrze. — Ale ludziom jak pan, lepiej by było uczynić jak najpóźniej podobne salto mortale!

— Dla czego? — zwrócił się ku niej.

— Bo ich nadto psujemy!... Przyznaj się pan, dużoś też miał w życiu awanturek miłośnych?

— Ani jednej!

— Nie wierzę. Najlepszym tego dowodem, żeś pan dotąd kawalerem.

— Bo wymagania mam ogromne! Nie znalazłem panny, którąby zgodzić się na nie lub odpowiedzieć im zechciała.

— Cóż tak strasznego?

— Szukam kobiety, którąby nie starała nigdy podobać się komuś prócz mnie jednemu.

— Prawda, że to ciężki warunek! — musiałbyś i pan dużo się odmienić!...

Ledwo obniesiono wety, Herminia podrażniona powstała. Stanisława ramię wzięła i drżąca sparła się na nim.

— Czegożeś mi pan popsuł dzień ten, który powinien być tak wesołym? — szepnęła z wymówką.

— Pani, nie miałem zamiaru...

— Zazdrośną jestem panie Stanisławie...

— Pani, do której stopek dziś spieszył każdy, za obowiązek sobie poczytując złożyć u nich hołdy swoje?!

— Jeźlibym miała pana bukiet uważać jako obowiązkowy — przerwała mu żywo i namiętnie — w tej chwili wyrzuciłabym go za okno, choć taki piękny!

* * *

Ewela powróciła do domu od Herminii jakaś podrażniona i niechętna. Widok szczęśliwej solenizantki widocznie podziałał na jej nerwy.

Czyż byłaby zazdrośną? Lecz o co? wszak nie zazdrościła dotąd nikomu, ani piękności, ani wziętości, ani niczego zgoła! Dla czegoż dziś, czułaby się usposobioną zawistniej względem Herminii?

Zrzuciwszy kapelusz i okrycie, zaczęła przechadzać się po pokoju. Nie mogła spokojnie usiedzieć w miejscu, a co chwila ręką przesuwała po czole, jakby chciała odpędzić natrętne jakieś myśli.

Coś ją bolało, coś martwiło, z czego sobie sprawy nie zdawała. Najtrudniej jest zrozumieć samego siebie, a najtrudniej wtedy, gdy się jest młodą, dzieckiem prawie jeszcze, i niedoświadczoną. Wtedy niczemu zgoła pilno nie przypatrujemy się, niczego nie roztrząsamy. To więc działo się i z Ewą. Czuła tylko, że miała dziwne w sercu rozstrojenie, że z czegoś zadowoloną nie była. Czuła i to także, że żadnej przyczyny jasnej, nie umiejąc znaleść na wytłumaczenie tego stanu, powinna była otrząść się z niego, jakimkolwiek bądź sposobem... Rozrywka zdałaby się pewnie! Gdyby Staś nadszedł?... tak, ale Staś nie mógł nadejść, bawił u pani Herminji! „Niechże sobie tam siedzi!“ — zawołała z gniewem, „obejdę się bez niego!“

Wzięła książkę do ręki i próbowała czytać. Sztuczny świat powieściowy nie raz ją oderwał od rzeczywistości, i za nią stawał. Wybornie bawiła się w towarzystwie bohaterów i bohaterek wyśnionych. Tym razem jednak zaczęła ziewać. Czczem i bladem

wydało jej się tło powieści, zużytemi pomysły autora... Rzuciła książkę na kanapkę, podparła główkę, i zadumała się. W pamięci jej stanęły dnie dzieciństwa, przeszła potem do dni niedawnej przeszłości... Widziała Stasia, słyszała go mówiącego do siebie, głosem który jej serce przenikał... i nagle, przypomniała sobie powitanie jego u babki, gdy powrócił.

W tej chwili wniesiono ogromne pudło ze suknią z Paryża, którą dla niej zapisała pani Herminia na wieczór do siebie.

Z gniewem spojrzała nań, i kazała postawić w kącie.

— Nie, nie pójdę! — szepnęła, zaciskając usta. — Nie chcę widzieć tego faryzeusza, nie mogę patrzyć na nich oboje!

I cały świat wydał się jej niemiłym, wszystko wstrętnem i nieznośnem!...

Dzień wlókł się jak żaden. Gdy ktoś drzwi otwierał, Ewa nadsłuchiwała, jakby spodziewała się kogoś!

Stanisław nie przyszedł, jako miał w zwyczaju. „Cóż u niego znaczą krewni? Jeśli nie ma nic lepszego do czynienia, przychodzi do nich, ale nie wtedy, gdy go piękna zatrzymuje pani!“ pomyślała smutnie i uczuła się obrażoną.

Jak to szczęśliwie, że nareszcie znalazła wyraz swojemu niezadowoleniu! Była obrażoną, dotkniętą lekceważeniem całego domu, bo i stara ciotka pokrzywdzoną została... Teraz już się nie dziwiła, że czuła żal do Stasia. Wytłumaczonem miała wszystko!

* * *

Stanisław nazajutrz zaraz w południe przybiegł do ciotki.

— Nie widzieliśmy cię wczoraj — rzekła mu starsza pani na wstępie — dla czegożeś o nas zapomniał?

— Ciocia żartuje, mógłżebym zapomnąć? Byłem na obiedzie u Konradów, obiad przeciągnął się do późno... — to mówiąc oglądał się po salonie. Ewy nie było.

— A!... opowiedzże mi, kto tam się znajdował? Coście jedli?... Jak się feta udała?

Uczynił zadość ciekawości ciotki, opowiadał i patrzył ku drzwiom, prowadzącym do pokoju Ewy.

Zazwyczaj zastawał ją w salonie, lub widział zjawiającą się zaraz; nie dawała czekać na siebie. Dziś daremnie wyglądał, wiedział jednak, że w domu była, bo pytał służącego. Może nie ubrana? Zrazu czekał cierpliwie, nie domyślając się, że siedziała u siebie i słuchała jak wesoło opowiadał, żartował, śmiał się, a im okazywał się swobodniejszym, tem marszczyła się bardziej.

— Miał się z czego weselić, prawdziwie! — myślała mnąc chusteczkę w rękach niecierpliwie... — Ale czyż on zawsze takim nie był? Mógł że cośkolwiek brać seryo, czuć głębiej? Człowiek, który wiecznie się śmieje, musi być lekkomyślnym, to konieczne!

Po daremnem długiem czekaniu, Staś pożegnał ciotkę. Nie był w stanie dłużej bawić ją pogadanką, smutek jakiś wcisnął mu się do duszy, a gdy ciotka zatrzymywała go na obiad, obiecał że powróci, bo miał nadzieję zobaczyć Ewę.

Ledwie znalazł się w ulicy, gdy z drugiej strony ujrzał idącą Herminię, która z daleka dawała mu znaki głową i ręką. Zbliżyła się i stanęła, zaczepiając go żywo. Chwilę trwała rozmowa. Staś pochylony uśmiechał się, dziękować się zdawał, podniósł jej dłoń do ust i pocałunek na niej wycisnął.

Ewa z za firanki widziała całą tę scenę, widziała uśmiechy, poufałe zbliżenie, nareszcie pocałowanie rączki.

Herminia mówiła Stasiowi:

— Zostawiłam dla pana pierwszego kadryla.

— Niezmierniem wdzięczny...

— I nie dziękujesz mi pan? Wypadałoby w rękę mię pocałować przynajmniej...

Oczy jej, widzące bystro, dostrzegły Ewę ukrytą w oknie za firanką. Kilka razy potem na pożegnanie podawała dłoń swą Stanisławowi, uśmiechała się, aby i on się odśmiechnąć musiał. Zdaleka wyglądało to na serdeczność wielką. Odegrawszy doskonale, co chciała aby odegranem było, uwolniła nareszcie Stasia i wbiegła do bramy.

Ewa cofnąwszy się prędko, przybrawszy, jak się jej zdawało, wyraz obojętny, z książką pochwyconą w ręku, siedziała już na kanapce, zaczytana niby, gdy przyjaciółka rozpromieniona, wesoła, wpadła do pokoju.

— Czy suknia twoja nadeszła? — zawołała od progu.

Uściskały się, Konradowa siadła.

— Czy nadeszła? — powtórzyła.

Herminia była piękniejszą niż kiedykolwiek,

przynajmniej w oczach Ewy, z ożywieniem swem i zarumienioną twarzą. Przez chwilę Ewa nie mogła zdobyć się na słowo żadne; odwrócona bawiła się kutasem wiszącym przy kanapce.

— Nadeszła jeszcze wczoraj — odrzekła na koniec — ale czuję się tak jakoś cierpiąca, żem jej nawet nie oglądała... Nie będę u ciebie.

— Nie pojmuję cię!... Chyba Worth nie dotrzymał słowa? — Powiedz szczerze, masz suknię? bo widzę żeś nie swoja i zmartwiona.

— Ani jedno, ani drugie, po prostu jestem cierpiąca! Suknia jest, ale nierozpakowana.

— Nie może być... nierozpakowana?! Arcydzieło Worth'a! Bój się Boga kobieto! nie masz że krwi w żyłach?! Prędzej daj ją, pokaż! niech się choć widokiem tym nasycę!

— Nie widziałam jej jeszcze sama. Czuję się niezdrową...

— Ależ widok sukni uleczy cię, zaręczam! — Gdzież ona?

— W pudle.

Załamała ręce Herminia z komicznem oburzeniem.

— A już też wybaczysz, że każę to pudło przynieść. Umyślnie przybiegłam, aby zobaczyć suknię. Nie darowałabym ci odesłanie mię z niczem! — Pochwyciła za dzwonek. Ewa obojętnie kazała pudło podać.

— Bawiliście się dobrze wczoraj? Udał się obiad? — pytała, podczas gdy Herminia razem ze służącą rozcinała sznurki i zrywała pieczątki.

— Wyśmienicie, oby tak się udał i wieczór dzi-

siejszy! Wiesz? mam pierwszego kadryla z p. Stanisławem.

Ewela zarumieniła się lekko.

— Tak? — rzekła przeciągle.

Uśmiech dziwny przewinął po ustach Herminii.

— Ach! jakiżto bałamut! — paplała dalej. — Wyobraź sobie, wczoraj szeptał i śmiał się ciągle z ładną Lisią. Rozprawiali o miłości, małżeństwie, mówił jej o swoich wymaganiach, że je ma okrutne i tylko tę wziąłby za żonę, któraby dla niego li chciała być piękną!

— Cóż w tem dziwnego?

— A któraż by zrezygnowała z podobania się wszystkim?

— Ja pierwsza!

Wyrwało jej się to jakoś żywo, mimowolnie, zmięszała się też, zająknęła.

Herminia niedobrem spojrzeniem odpowiedziała.

— Nie radzę ci odzywać się z tem... podchlebiało by to komuś zanadto... a i tak, mój Boże, dosyć ma zarozumienia! Wytłumaczyłby sobie takie słówko korzystnie, pobałamucił trochę i... wyśmiał potem!

— O! za pozwoleniem, ja się bałamucić nie dałabym!

— Ej, Ewelko! mnie się zdaje, że ty masz słabość do p. Stanisława.

— Zupełnie się w tem mylisz!

— Radzę ci, bądź ostrożną! — Jestem twoją przyjaciółką, mam doświadczenie, wolno mi mówić szczerze Twój spokój mię obchodzi. Nie chciałam o tem wspo-

minać... ale teraz powiedzieć muszę, pan Stanisław żywi przekonanie, że mu sprzyjasz, że wszystko między wami nie jest skończonem... Okazujesz mu życzliwość, która...

— Ja?! Ja nienawidzę go!

— Brawo! tylko trzebaby mieć odwagę okazać mu, iż o niego nie dbasz, dać mu jakąkolwiek nauczkę!... prawdziwie zasłużył na nią! Dziś miałabyś ku temu sposobność doskonałą! Bądź na moim wieczorze i bądź wesołą, piękną. Nie patrz na niego, zajmuj się zabawą z całej duszy, staraj się podobać, ale nie jemu! Będzie to najlepszą karą dla takiego trzpiota! — Ale... otóż i pudełko rozpakowane... Ach! grzechem by było nie włożyć tej śliczności! Szczęśliwa istoto, która możesz czemś takiem pochwalić się przed ludźmi! — I znów o Stanisławie mówić zaczęła.

— Żeby tylko nie myślał, że dla niego będziesz tak piękną! Wiesz? gotów, jak cię kocham!... Na twojem miejscu, starałabym się dokładnie pokazać mu, że nic a nic mię nie obchodzi. A przytem, że nie tak mi trudno o hołdy...

Przymierz proszę cię, tę suknię cudowną...

Ewa już się nie opierała, dała włożyć na siebie suknię, której widok mógł rozchmurzyć i więcej stroskane czoło, wlać ufność w siebie i w mniej piękną kobietę.

Herminia podziwiając, unosząc się, pociągła ją przed źwierciadło. Ale ledwo w nie Ewa spojrzała, krzyknęła zaraz:

— Nie będę śmiała tak ubrana pokazać się ludziom!

— Jesteś dzieckiem? Wszak to moda! śmieszne masz skrupuły... przecież wszystkie będziemy podobnie ubrane!...

Ewa czuła, że miała coś nadto wyzywającego w tym stroju, ale dała w siebie wmówić, że arcydzieło krawca, ubierającego elegantki paryskie, było tylko wyrazem mody. Tak pragnęła być piękną!

— Więc nie znajdujesz nieprzyzwoitym tego stanika, wąskiej spodniczki, braku rękawów?

— Quelle idée! — wzruszyła ramionami piękna pani. — Ależ przypatrz się tylko, jak ona leży, jak tobie w tem wszystkiem do twarzy!

Uśmiech pojawił się na ustach Ewy. W istocie piękną była w tej sukni, i czem więcej przypatrywała się sobie, tem więcej oswajała się, godziła z jej krojem. Po głowie jej zaczynały już latać myśli dziwne...

— Masz słuszność — rzekła — szkoda jej nie wziąć. Będę zdrową, i pójdę na wieczór twój!

— Otóż tak lubię! Pamiętaj jednak o czem rozmawiałyśmy.. Stanisław wart nauczki, a łatwo przyjdzie ci dać mu ją, piękniejszą będąc dziś, niż kiedykolwiek! To bałamut!

I ostatnie żądełko wpuściwszy w serce Ewy, pożegnała ją serdecznie na pozór, spiesząc do domu.

Przy obiedzie Ewa nie pokazała się wcale. Za wymówkę posłużyły włosy zapieczone na wieczór. Staś w głowę zachodził, czem się jej mógł narazić? Spodziewał się, że na wieczorze u Konradów zagadka mu się rozjaśni, i jeden z pierwszych pojawił się w salonie państwa Konradowstwa.

Już ubranie Ewy gotowe — piękną jest, ale serce

jej bije jakimś lękiem, za który gniewa się na siebie. Czyż nigdy nie pozbędzie się trwóg dziecinnych? Nie będzie umiała chcieć jak kobieta?

Pan Józef przychodzi prosić, by mu guziki do rękawiczek przyszyto, które pękły w ostatniej chwili... ledwo ma czas podać Ewie bukiet prześliczny. Dziesiąta pewnie już minęła, trzeba jechać! Ewę otulają pięknym szalem, znoszą za nią powłokę sukni, powóz czeka w bramie od dawna. Wsiadają.

Pełno u Herminii w salonach. Pan Konrad stoi przy drzwiach wyprostowany, gładząc lśniące faworyty, uśmiechem więcej niż słowem, witając wchodzące pary. Za to pani Konradowa dla każdego ma miłe i mądre wyrazy na ustach. Mnóstwo osobom ściska ręce, prawi grzeczności, prawie w jednej i tej samej chwili jest wszędzie.

Stanisław już jest tam także. Patrzy on stale na drzwi wchodowe, jakby nie widział nikogo, patrzy i czeka. Wsunął się w najciemniejszy kątek, rad uniknąć uwagi gospodarstwa, którzy muszą go zostawić samemu sobie, bo nadto zajęci. Oczy jego liczą wchodzących. Myśl jego, bardziej niż kiedy, przy Ewie się znajduje, serce bije mocniej niepokojem i niecierpliwością. Gdyby nie przyszła?

Na to przypuszczenie, czuje jak mu brzydnie zgiełkliwość balu; gotów porzucić zaraz salony pani Herminii i uciec, by go niczyje niedojrzało oko!

Nareszcie szmer, szept w tłumie, przynosi mu imię Ewy. Odgaduje jej zbliżenie po szeleście sukni, po zapachu znanym, i z drzeniem, którego już panem

nie jest, które mu oddech zabija, podchodzi bliżej ku drzwiom, rozsuwa stojących na drodze.

Ale zaledwie Ewę okiem obrzucił, cofa się i blednie... Od razu stracił chęć pomówienia z nią; słowa uczuł zamierające w piersiach, i zimno jakieś przechodzące go wskróś.

Jestże to Ewa?... Widzi ją na ramieniu męża wspartą, rozpromienioną, piękniejszą niż kiedykolwiek, ale jakże inną, jak inną!

Rumieńcem okrywa mu się twarz. Za nią się rumieni! Odsłonione ramiona, kształty wszystkie cudnego ciała na widok publiczny wystawione, okryte zaledwo przylegającą suknią, z przodu niesięgającą ziemi, w górze wyciętą niezmiernie, czynią z Ewy kobietę zupełnie różną od tej, którą znał dotąd, którą w wyobraźni swej wystawiał sobie zawsze zdobną we wszystkie cnoty niewieście!

Gdyby mógł zakryć oczy tym, co na nią patrzą! Ale cóżby to pomogło!... Chęć pokazania się wszystkim, pozostałaby ta sama; brak wstydu, brak poszanowania dla siebie, zostałyby u niej te same!

Stanisław uczuł ból w sercu, i zwolna cofając wysunął się z salonu, by z przyległego pokoju znaleść łatwiejsze wyjście, by uciec.

Ale ktoś zastąpił mu drogę i głos zadźwięczał tuż przy nim, podczas gdy ręka jakaś lekko na ramieniu jego spoczęła.

— Pan nie tańczysz?

Herminja stała obok niego. Spostrzegł dopiero teraz, że była w bardzo pięknym stroju, który umiała skromnym uczynić, choć wyglądał nader ponętnie

Miała śliczną minkę madonny; oczy, uśmiech, wyraz cały, słodki, jasny, dziecinny prawie.

Jakież porównanie nasunęło mu to na myśl! — Głębokiem westchnieniem odpowiedział mimowolnie, a potem coś bąknął nieprzytomny, zmięszany.

— Szukam wszędzie pana — dalej mówiła Herminja, jakby niczego się niedomyślając — zaczęłam już niepokoić się na serjo. Może ten miły dziwak umknąć nam zamierza? — pomyślałam, i puściłam się w pogoń za panem!

— Ależ pani, bynajmniej!... zkąd to posądzenie?...

— Czyż nie wiem, że zgiełkliwych zebrań nie lubisz? — A przytem... gdy bardzo a bardzo na kimś zależy... lęki napadają różne! — Dla czego pan stronisz od balowej sali?

— Nie stronię... tylko... na cygaro szedłem!

— Już! brzydkie przyzwyczajenie! — I nawet okiem pan nie rzucisz na piękne panie?... Przecież warte tego! Mamy dziś kilka prawdziwie ślicznych twarzyczek, a między temi najładniejsza pani Ewa!... Tłum już ją otacza... les fins connaisseurs, poznali się na jej wdziękach!

— Zdaje mi się, że walca grają? — przerwał żywo Staś — służę pani! — I czując, że blednie, podał czemprędzej ramię Herminji, nie chcąc ją mieć naprzeciw siebie, jak dotąd, patrzącą mu prost w oczy...

Muzyka w istocie grała walca, i nuta jego rozbrzmiewała roskosznie. Zdawało się, że w powietrzu drgają wyrazy: taniec to życie!

Staś chciałby o swym bolu zapomnąć, chciałby także nie widzieć Ewy; — dla tego patrzył wciąż

na Herminję, i uśmiechając się, żartując, rozmową stara się zagłuszyć samego siebie, wydać się bardzo wesołym koniecznie.

Dopiął tego w zupełności. Któż widząc go nadskakującego pani domu, tańczącego z nią ciągle, siedzącego przy niej, i z taką żywością prowadzącego pogadankę, posądzić by go mógł o smutek jakiś?... Nie posądziła go też o niego bynajmniej Ewa, której uwadze nic nie uchodziło. Wiedziała, porównywała, przypominała sobie, i... serce jej się ściskało okrutnie, gorączka obejmowała. Nie mogła patrzyć na nadskakiwania Stasia... Gdyby dla innej był tak uprzedzająco grzecznym, kto wie, byłaby spokojniejszą — ale u boku Herminji znieść go nie mogła!

Gniew jakiś budził się w niej, nielogiczny, niewytłumaczony, ani upoważniany niczem, zmieniał się po chwili w żal okrutny, potem w niechęć do całego świata, potem w pragnienie odwetu... Mścić się chciała? Za co? Były to dziecinne pragnienia, śmieszne, szalone, niebezpieczne! Niedoświadczona, z rozkołysaną wyobraźnią tem, co w książkach czytywała, ze słowami zręcznej Herminji w pamięci, trochę upojona swą pięknością i szeptanemi, niezmyślonego jak jej się zdawało, podziwu, za którym nic nie widziała, oprócz szczerego hołdu oddanego jej wdziękom, zaczynała nienawidzieć Stasia, zapominając, że to uczucie było tylko wyrazem silniejszym, wzbronionej dziś już miłości!

Choć łzy kręciły się w jej oczach, udawała i ona wesołość. Spojrzenia jej nabierały blasku, śmiech stawał się coraz głośniejszym.. Mężczyzni jednogłośnie przyznawali, że piękność pani Ewy była dla nich rewelacją, przy czem szeptali znacząco o wyciętym bardzo staniku.

W pierwszym zaraz kadrylu dwie pary, pani Herminja ze Stanisławem, Kuba z Ewą, znalazły się naprzeciw siebie przypadkiem. Stanisław Kubie obiecał służyć za vis-à-vis, nie spytawszy z kim tańczy.

Gdy zobaczył naprzeciw siebie Ewę, drgnął, ale nie czas się było cofnąć. Zapanował też zaraz nad sobą — bladość przeminęła niepostrzeżona, nie spojrzał, nie przywitał się nawet, udał jakby jej nigdy nie widział. W figurach, ręka jego ledwo dotykała palców Ewy, opadając zaraz, lub cofając się niegrzecznie, omal że nie ze wstrętem wyraźnym. — Rozmawiał z Herminją odwrócony całkiem. Zdziwiłaby się pewnie Ewa, dowiedziawszy się, że wszystko widział co robiła, że żaden ruch jej nie uszedł jego oczom, które w miarę jej zachowania napełniały się błyskawicami dzikiego prawie gniewu, podczas gdy usta zaciskały się mocniej i wykrzywiały wyrazem ironji.

Ewa bawiła się bukietem, słuchając pilnie Kubę, który coś prawił, bardzo, jak się zdawało, zajmującego i miłego. Pochylała się ku niemu, śmiała się głośno niemal, i zdarzyło się nawet, że bukiet swój zostawiła w jego rękach przez dłuższą chwilę, bukiet, który trzymała przy ustach dopiero.

Kiedy Staś cofał dłoń swoją, podnosiła wyżej jeszcze piękną główkę, przechodząc koło niego dumnie, chłodno, zachowując dla Kuby całą swoją uprzejmość i uśmiechy wszystkie. A łaska, jaką ob-

darzała młodego człowieka, charakterem i przymiotami stojącego tak nisko, tem bardziej uwydatniała jej kokieterję i pragnienie hołdów. Znać nie pogardzała żadnym...

Kuba pokręcał wąsika, prostował się, spoglądając zwycięzko na około. Wierzył w swój tryumf i przypisywał go wymowie, twarzyczce swojej, a po części ślicznie leżącemu ubraniu, i lśniąco białej, doskonale wyprasowanej koszuli. Cóż dziwnego, że się p. Ewie podobał? Wprawdzie miał on o niej inne wyobrażenie, nawet z pewnem wahaniem i nieśmiałością zbliżał się do niej, ale koniec końcem przekonał się, że chcieć i módz to jedno, i że najstraszniejsza z daleka kobieta, wcale nie straszną jest w bliskości!

I po kontradansie rozsiadł się wygodnie, rozparł obok krzesła pani Ewy, nie wypuszczając już z rąk bukietu, bawiąc się nim roskosznie, nachylając się ku niej, szepcąc coś ciągle. Zdaleka, wyglądało to na miłośne oświadczenia, choć w istocie Kubcio powierzał pani Ewie tylko spostrzeżenia swe balowe, mówiąc właśnie arcyzłośliwie o śmiesznym birecie pani Elżbiety!.. Nie śmiał posuwać się zbyt daleko, mimo całej pewności siebie. Bał się stracić co zyskał: miejsce uprzywilejowane przy najpiękniejszej pani z towarzystwa, które go w świetle bardzo korzystnem stawiało!

Ośmielenie Kuby i innych ośmieliło.

Kilku mężczyzn otoczyło kołem Ewelę. Między tymi znajdował się pan Erazm, znany podbijacz serc. Jego grzeczności już były ubliżeniem dla tej, która

je słuchała. Ewa nie wiedziała o tem, a miła powierzchowność pana Erazma, jego niezwykła zręczność w prowadzeniu rozmowy, wytworna elegancja i umiejętność chwalenia w żywe oczy, bez uchybienia najwytworniejszym formom towarzyskim, podobały się jej i podchlebiały bardzo... Co było zrazu grą tylko, zwolna stawało się przyjemnością, zmieniało w prawdziwe upodobanie. Do głowy uderzały podchlebstwa i zawróciły ją... Być piękną, słyszeć mówiących o tem, widzieć się otoczoną i na wyścigi zapraszaną do polki lub walca, stanowi szczęście, którem żyje, do którego wzdycha nierozsądnie a gorąco bardzo wiele kobiet... Ewa smakować w niem zaczynała dopiero. Serce jej biło dumą roskoszną. Godziła się już na to, że wyszczególnienie, które ją spotykało, stanowić mogło szczyt przyjemności życia. Nie kochana (pan Józef ze swoim chłodem i sztywnością, kryjącą najlepsze serce, wydawał się mężem bardzo obojętnym) nie kochająca nawzajem, czyż nie powinna była zastąpić sobie szczęścia domowego ogniska, którego zresztą nie zakosztowała bynajmniej, tem innem szczęściem, składającem się z tryumfów światowych? I hołdy, uprzejmość mężczyzn, piękne stroje, świetne przyjęcia, zabłysły przed wzrokiem jej duszy, jako nieprzerwany szereg dni roskosznych, zapełnionych po brzegi, i myśl o przewyższeniu Herminji, po głowie się plątała, a niezdrowa atmosfera świata wsączała się w żyły — podczas gdy majaczył w wyobraźni niewyraźny obraz żałującego Stasia, jakby we mgle jakiejś, której nieśmiały wzrok nie chciał przebijać jeszcze. Zamarzyła o koronie, którą

się zdobywa nie zasługą, ale uśmiechem ślicznych ust, o tej koronie, która zdobi skronie pięknych światowych kobiet, noszących na czole wyraz kokietka. Czyż to co złego? Odbierać hołdy, okrzyczaną zostać za piękną, jeźli myśl zostaje czystą, a serce chłodnem i niewzruszonem?

Z kółka, które się utworzyło z wielbicieli wdzięków pani Ewy około jej krzesła, słyszeć się dała niebawem głośna rozmowa i śmiechy, które o dobrej zabawie w tem towarzystwie świadczyły. Ewa jakby odcięta od reszty kobiet, sama jedna wśród mężczyzn, przetańcowując z tym to z owym, zawsze na swoje miejsce wracała, a ściana czarnych fraków zamykała się za nią. Żywa, dowcipna pogadanka pana Erazma, coraz milej pieściła jej ucho; rodzaj wyścigów o lepsze między innymi, podniecał jej dobry humor, a Kuby nadskakiwanie i zarozumiałość, śmieszyły w najwyższym stopniu, gdy tymczasem widok jej białych ramion i parę kieliszków szampana, całkiem temu ostatniemu zakręciły głowę. Brał wszystko do siebie, co nawet nie było jemu przeznaczone, a w dziurce od fraka zatkniętym kwiatkiem tak się pysznił, jakby nie sam był go z bukietu zrabował.

Podczas tego Herminja mówiła do Stanisława:

— Patrz no pan, patrz! jaka kokietka z Eweli! Nie dosyć jej jednego Kuby, całą sobie teraz utworzyła świtę! Przypomina Sfinksa, co sprzykrzył sobie wreszcie nieruchomość swoją i odkrył jakim jest w istocie! Zagadka rozwiązaną została... czarem uśmiechu i zręcznością spojrzeń!..

I głębiej chcąc jeszcze wepchnąć mu pocisk w piersi, dodała:

— Nie tylko moje wino zawróci dziś głowy!

Stanisław siedział teraz w oddalonym pokoju. Przyszła aż tam, by mu to powiedzieć.

— Dla czego pan nie tańczysz? — spytała czule, widząc że milczy i słabym odpowiada jej uśmiechem... — Co panu jest? takiś był wesół niedawno?!

— Głowa mię boli trochę — z gorąca pewnie!

— A! głowa? Może kolońskiej wódki?... wody szklankę?.. Ach! cóżbym dała, żeby panu ten ból uśmierzyć! Czy wierzysz mi pan?

— Dla czegoż miałbym nie wierzyć?

— Udawałeś dotąd... a raczej, nie chciałeś mię zrozumieć... Myślałam zawsze, że nie masz serca!

— Serca?.. Kto wie? Są ludzie, co się rodzą bez serca. Może ja do nich należę!

— Nie żartuj pan! Wiesz dobrze i od dawna, że cię kocham!

— Pani...

— I cóż pan teraz zrobisz panie Stanisławie? Potępisz mię, czy uniewinnisz, wiedząc dobrze, że sercu nie można rozkazać, że uczucia są silniejsze od woli i rozumowań naszych? Nic mię nie zraża... jesteś mi droższym tylko, odkąd cierpisz! Chciałabym ulżyć pańskiemu cierpieniu.. Zwróć się ku mnie, zapomnij mrzonki, która cię nieszczęśliwym uczyniła... ja życie gotowam dać za twoje szczęście i spokój! Lecz nie sądź mię fałszywie, bezlitośnie!... Czyż nie przekonałeś się już dostatecznie, żem zawsze mówiła prawdę,

ostrzegała z miłości? — Usiadła przy nim.

— Na Boga pani! dosyć!

Złożyła dłonie; on je wziął w swoje, zatrzymał chwilę i do ust przycisnął. Serce miał przepełnione boleścią, nie chciał, by i ona cierpiała, nie chciał też, by dorozumiała się, że cierpiał. Pragnął przedewszystkiem zaprzeć się niedawnej miłości ku Ewie, zatrzeć ślad jej wszelki, posądzenie każde nawet, w umyśle jasnowidzącej Herminji. Gdy powstali razem z kanapki, podał Herminji ramię i poprowadził napowrót do sali.

Tam zawsze w otoczeniu swojem królowała jego kuzynka. Zacisnął zęby. Doprowadziła go do tego, że winszował sobie, iż los nie dozwolił mu niegdyś złożyć w ręce jej życia całego. Miałby za żonę kobietę, którejby się wstydził!... Jakżeby wyglądał przy niej? Jakby znosił ten szmer pochwalny, który ją otaczał teraz?

Już przed chwilą, gdy siedział w ciemnym, oddalonym kącie, rumienił się, jakby dotknięty policzkiem! Młodzi ludzie na głos rozmawiali o piękności Ewy.. Dochodziły go słowa pochwalne (z jakichże ust, o Boże!) zdania rozmaite, swobodnie rozbierające jej wdzięki... Poruszył się nawet raz, porwał drżący cały, chcąc w gardło wcisnąć zuchwalca jakiegoś, śmielszego od innych, wyrazy bezwstydne, które wyrzekł śmiejąc się cynicznie, ale pomiarkował się zaraz: cóż go to obchodziło? Ewa sama pracowała na rozgłos podobny!... Śmiesznością by było ujmować się za nią! Kruszyć kopię, za tę, co poddawała pod rozbiór publiczny wdzięki swoje, uśmiechem dając poznać, że

wejrzenie żadne ubliżyć jej nie mogło!

Oparta na ramieniu Stanisława, promieniejąca, Herminja zwolna szła przez bawialnię. Ewa z przeciwnej dążąc strony, umyślnie może, uwolniwszy się na chwilę od swoich chwalców wiernych, zetknęła się z nią na środku.

— Śliczny twój wieczór! Bawię się wybornie! — rzekła, stając obok idącej pary.

— Cieszy mię to niewymownie, droga moja Ewo! — odparła Herminja... — Tem bardziej, że wyglądasz cudownie!

— Zapewne dla tego, że szczerej przyjemności doznaję, i to po raz pierwszy w życiu!.. — dodała Ewa z przyciskiem patrząc na Stasia.

W odpowiedzi na te słowa jej, Stanisław rozśmiał się głośno, dziwnie. Oczy jego i Ewy spotkały się, zamieniły błyskawiczne spojrzenie i Józefowa zaczerwieniona, gwałtownie zawołała:

— Kuzynek nie może pozbyć się swego miłego zwyczaju śmiania się zawsze i... bez przyczyny! — W głosie jej drżał gniew namiętny.

— Śmiać się ze wszystkiego najlepiej! — odparł Stanisław spokojnie, bo hamując się całą siłą woli, choć w nim wrzało.

— Czasem bywa to niebezpiecznem! — żywo odcięła Ewa urażona.. — Można zostać wyśmianym nawzajem! — Rzekłszy to, odwróciła się pogardliwie i prędko odeszła.

Stanisław okiem za nią pogonił. Zobaczył, że weszła do przyległego pokoju sama jedna, i niezmięszany rozmawiał dalej z Herminją, która ramionami

ruszyła i szydziła lekko z uniesienia Eweli. Podzielał jej zdanie, że p. Józefowa była trochę za nerwowa, i nie pochwalał tego bynajmniej... Po chwili jednak poprosił piękną gospodynię o uwolnienie go na mgnienie oka i wybaczenie, że ją musi odstąpić... Przypomniał sobie, że obiecał Kubie przedstawić go pewnej damie i nie dotrzymał dotąd przyrzeczenia. Biedny chłopiec szukać za nim musi!

— Pójdę go odnaleźć, a tak prędzej się zbędę pańszczyzny mojej i wrócę — rzekł, oddalając się spiesznie. W tej chwili muzyka grać zaczęła, pary stawały do mazura. Staś przecisnął się przez tłum mężczyzn, którzy drzwi zastępowali, spoglądając ku sali z innego pokoju, przeszedł ten pokój, i znalazł się w drugim, oświeconym jedną tylko lampą.

Oglądnął się, był pusty. Postać w rogu małej kanapki, gdzie niedawno on sam siedział pogrążony w gorzkich myślach, była właśnie tą, której szukał, którą pragnął zastać, z którą chciał się rozmówić teraz bez świadków.

Ewa nie widziała nadchodzącego Stasia. Z głową pochyloną, zdawała się czemś przygnębiona i smutna. Cicha, otulona fałdami jakiegoś okrycia, przypominała dawną Ewę, którą tak mocno, tak długo kochał. Przystanął, wpatrzony i nieruchomy jak ona, z uczuciem litości dziwnej w piersiach. Ale nagle głowę podniosła i żywym ruchem wstała z siedzenia, okrycie spadło z białych ramion, piersi błysnęły obnażone... Zmarszczył czoło, skinieniem prosząc by została. Chciała odejść. Zachował jednak władzę nad nią jeszcze; posłuszna usunęła się napowrót w róg ka-

napki, i zdawało mu się, że rumieniec okrył jej czoło, gdy drżąca usiadła na dawnem miejscu.

Jak dziecko, które czuje swą winę, nie zdolna słowa wymówić czekała Ewa, co on jej powie. Staś stanął tuż przed nią, poważny. Spróbowała odeprzeć wzrok jego surowy, zbuntować się przeciw wymówkom, które przeczuwała, bo z czemże innem byłby tu przyszedł? ale wszystkie usiłowania jej nie dopisywały... Wszystkie urazy, dotąd w sercu żywione, jakoś nagle zmalały do zera, i gniew nawet umilkł. Spuściła powieki.

— Przychodzę i proszę tylko o chwilkę cierpliwości — rzekł nareszcie głosem stłumionym. — Gdyby nie ostatnie odezwanie się pani, byłbym tego nie uczynił, ale wyzwałaś mię, powiedziałaś, że mogę zasłużyć na wyśmianie... Cóżeś pod tem rozumiała? Czy nie to, żem godny twojej ironji, pogardy może?

Uśmiechnęła się słabo i odparła:

— Tłumaczenia żądasz? Prawa nie masz doń żadnego! Może i ja bym zresztą coś umiała i znalazła zarzucić... Ale zostawmy rozmowę do swobodniejszej chwili. Wszak nie widzimy się po raz ostatni!

— Kto wie? — odparł zwolna. — Drogi nasze rozeszły się tak daleko od siebie!

— Czy szły kiedy razem?

Chciała żartem pokryć wzruszenie; siliła się na obojętność, choć serce jej biło.

Usta Stasia drgnęły. Przesunął ręką po czole, zbladł jeszcze mocniej, choć już był bladym. Milczeli oboje, a tymczasem skocznego mazura nuta, docho-

dziła do nich i tupanie nóg ochocze. Ona znów powstać chciała.

— Nie, nie jeszcze! Chcę, żebyś poznała mię całkiem, nim rozstaniemy się na zawsze — odezwał się znowu — abyś nigdy nie myślała, że śmiać się ze mnie możesz. Posłuchaj mię pani:

Gdym cię poznał, byłaś dzieckiem. Takiem już wkradłaś się do mego serca. Znalazłaś je otworem stojące za powrotem z klasztoru, czekające cierpliwie. Nikt, wierzaj mi, nie mógł powiedzieć, żem się ideałowi memu sprzeniewierzył.. chowałem całego siebie dla wymarzonej, jedynej, którą nazwać miałem żoną moją... wierzyłem, że nią ty będziesz... Widok twój, jako panny dorosłej utwierdził mię w mojej wierze, pozwolił w rzeczywistość sny zamienić. Mimo zabiegów Aurelji, twoje jasne czoło, spojrzenie, jak mi się zdawało niewinne, przymioty, któremi cię stroiłem, uczyniły ze mnie szalonego głupca, nie słuchającego przestróg niczyich, ufającego sobie i tobie. Sądziłem, że z ciebie będzie kobieta, jakiej pragnąłem, że zalety, których szukałem w żonie przyszłej, znajdę wszystkie w panience skromnej, wykształconej i pięknej. Jeźli ociągałem się z oświadczeniem swojem, to tylko ze względu na bliższe i lepsze poznanie twych przymiotów, na uwieńczenie szczęścia mego twoją miłością bezwzględną, głęboką, podobną mojej miłości... O! bom cię kochał wszystkiemi siłami duszy!.. Wiesz, co z tego wynikło... Później wytłumaczyłem sobie zachowanie Józefa... i niedowiarek do końca, wystawiłem sobie Ewę niewinną, ofiarą tylko intrygi niecnej!.. Ale to są dawne dzieje!... Dziś, wiem czego

się trzymać... poznałem cię. Postarałaś się rozczarować mię zupełnie, zostawiając mi na pociechę przekonanie, żem sobie winszować powinien, nie dostawszy za żonę... kokietki!

Nie zakrywaj oczu! Między nami nic już nie ma wspólnego!... Usłyszałaś, czem byłaś dla mnie, a teraz, zechcesz że się jeszcze śmiać z tego, który cię kochał prawdziwie i szczerze?

. . . . . .

Gdy od oczu odjęła ręce łzami zwilżone, nie było już Stanisława w pokoju.

Słyszała słowa pogardy z ust jego, i dotąd brzmiały one w powietrzu... czyż mogła je już kiedykolwiek zapomnieć? Czuła, że nie. Pogarda jego przygniatała ją, gnębiła strasznie! Wstyd rumienił czoło spuszczone, na które występował pot strasznego cierpienia! Zdawało się Ewie, że żyć nie będzie mogła z myślą o jego potępieniu... tymczasem musi je nosić na sobie niezmazane niczem, i uśmiechać się, tańczyć...

— Pani nie dobrze? takaś pani blada! — zawołał nadbiegający Kuba, zgrzany tańcem. — Szukam panią wszędzie do wybieranego... ale pani naprawdę zmieniona. Może przynieść wody?... soku? limoniady? — Pytał natrętnie, zaglądając w oczy, chodząc do koła pani Ewy. Narzucanie to oprzytomniło ją. Zebrała siły, i oburzona rzekła prędko:

— Tak, proszę o wodę! Przyszlij pan przez służącego, gdyż chcę być samą...

Pobiegł... Miałaż prawo oburzać się? pomyślała. Ośmieliła go przecież; teraz dalszy ciąg następuje, co wywołała sama!... Ach! uciec, uciec czemprędzej!

To, co on powiedział, mówią pewnie i inni zenie wszyscy muszą widzieć na jej czole wypisany wyraz: kokietka! — Zmazać, zatrzeć ten wyraz, nie jest już w jej mocy!...

Kuba powrócił ze szklanką wody. Wypiła i zrobiło jej się lepiej.

— Potrafisz już pani tańczyć? — spytał. — Służę.

Spojrzała dziwnie. Tańczyć! z nim do tego jeszcze! Wstrząsła się cała i odwróciła głowę.

— Idź pan poprosić mego męża — pragnę odjechać. — Kuba poleciał, roztrącając wszystkich po drodze. Niebawem zjawił się znowu, ciągnąc za sobą wystraszonego pana Józefa.

— Cóż ci to duszko? Niedobrze ci? Mdłości masz? — rzekł ten ostatni

— Zmęczona jestem, chcę wracać do domu!

— Właśnie robra skończyłem, więc się składa wybornie! Chodźmy! — Podał ramię żonie; Kuba, przodem pobiegł do przedpokoju, gdzie stosy futer zaczął przewracać, szukając okrycia pani Ewy.

Wyrwała mu prawie szal jakiś z ręki, okrywając się nim pospiesznie, z gorączkową niecierpliwością.

— Jedźmy! Jedźmy!

Ledwo drzwi się za Józefowstwem zamknęły, Kuba już z powrotem znalazł się w bawialni, opowiadając co zaszło.

— Wystawcie sobie! — wołał do każdego — pani Ewa już odjechała! Nie dobrze jej się zrobiło.

— A tyś ją odprowadził?

— Aż do powozu!... Ledwo szła, biedna!

Tak rozpowiadając, dodając, przekształcając fakt,

swego widzimisię, trafił na Herminję.

— Wie pani co się stało?

— Co takiego?

— Pani Ewa zemdlała!

— O mój Boże! biegnę zaraz!... Gdzież? gdzie?

— Niech się pani nie trudzi! — pojechała!

— Jakto?

— No, znieśliśmy ją na rękach do powozu!

Herminja nic nie odpowiedziała.

* * *

W karecie Józef mówił do żony:

— Śliczny był wieczór! choć nie mogę powiedzieć, żebym rad nie był znaleść się u siebie i... w łóżku; tylko mi dla ciebie szkoda go! Miałaś wyglądać jak nie można lepiej... dochodziły mię różne pochwały... Wiesz co duszko? Skoro najmiemy osobne mieszkanie, będziemy wydawać także bale... Ty lubisz taniec.. ja znów lubię, gdy moja pani zbiera laury jej godne... No cóż? nie odpowiadasz? Czy ci znów nie dobrze?...

— Tak — potrzebuję spokoju!.. — odrzekła Ewa, w głosie jej zadrżała jakaś niechęć. Mąż, który tego nie widział, wzbudził w niej uczucie żalu do siebie. Wcisnęła się głębiej w kąt karetki, z westchnieniem.

W pokoju sypialnym Ewy, czekała służąca zbudzona dzwonieniem u bramy, i turkotem powozu... Przygotowane stało łóżko, o wonnej pościeli, miękkiej cienką bielizną okrytej, która napełniała zapachem cały powietrze pokoju. Lampa paliła się u sufitu.

— Rozepnij mi suknię tylko — szepnęła Ewa i

odprawiła służącę. Potem rzuciła się na siedzenie, czując się wreszcie samą, mogącą zagłębić się w sobie.

Myślała długo, głowę wciskała w poduszki siedzenia, to ją podnosiła znowu, patrząc przed siebie. Nie raz łzy zwilżyły jej oczy, pierś podniosła się westchnieniem mocnem. Gdy oczy przymykała, widziała nieustannie przed sobą Stanisława, gdy je otwierała, widziała siebie. Wstyd ją rumienił! Słowa jego brzmiały w pamięci. Gdyby mogła go przekonać, że nie była taką, jaką sobie wystawił? Że nie czuła się ani złą, ani zepsutą? O tak! bo szał tego wieczoru dalekim był od niej teraz, bo tryumfy, które przez mgnienie oka nęciły ją, zdawały się już blademi bardzo, nie godnemi kobiety z sercem i charakterem! Wspomnienie spojrzeń mężczyzn, paliło jak ogniem; ileżby dała, żeby nie spoczęły na niej nigdy!... A te nadskakiwania Kuby... wstrząsła się. Mógł sądzić się w prawie czynienia grzeczności jej, która go do poufałości ośmieliła!... Kuba... ten człowiek tak nisko w oczach wszystkich stojący... za ledwo na miano mężczyzny zasługujący!... Oh! gdzie byłaby zaszła, gdyby nie gorzkie prawdy Stasia?!

Oczy jej błysnęły, otarła z nich łzę - ostatnią, powstała z kanapki.

— Do mnie jutro, do mnie przyszłość należy. Odrobić co się stało nie mogę, ale zetrzeć z czoła znamię kokietki potrafię... i muszę!... O Stasiu! to dla jeszcze i to będę winna!

Zapaliła świecę przed biurkiem, usiadła, i bez namysłu pochyliła się nad ćwiartką papieru. Pióro zaczęło posuwać zaczęło się szybko, na myśl czekać nie

trzebując; była ona w duszy, i szczera płynęła w wyrazach na papier.

Napisawszy, złożyła list i wsunęła go do koperty, zapieczętowała, a potem adres skreśliła: „Do wielmożnego pana Stanisława Kiślewskiego w Gródkowicach.“

To uczyniwszy zadzwoniła; list jej palce parzył. Oddając go, jakby w drodze go już widziała, a tak pragnęła by odszedł! Tylko nie chciała posłać go do hotelu Stasia; wolała, by odczytał go na wsi, u siebie, sam jeden, a przeczucie jej mówiło, że odjedzie niedługo, może tego dnia jeszcze! Czyż nie rzekł: „nie zobaczymy się nigdy?“ Unikać ją miał teraz, na zawsze! Sobie to przyrzekał i jej powiedział w oczy, choć innemi słowy.

* * *

Na dworze dniało, poranek bielił krańce nieba i noc ta kończyła się już w ciszy narodzin dnia nowego. Miasto spało. Z oddali dochodził głuchy turkot wozów toczących się po bruku, po rogach ulic płomienie gazowe bladły, mgła spuszczała się w ulice i budowle znikały w niej jak widziadła nocne, uciekające przed słońcem, rozpływały się, niby miękły, jak szkic narysowany leciutko.

Ewa już spoczywała na łóżku. Oddech podnosił jej pierś. Niesłychać go było w pokoju — spała, a rozrzucone meble zdawały w popłochu rozpowiadać coś sobie, podczas gdy lampka w różowej kuli wyglądała tak, jakby figlarnie mówiła mrugając: com widziała nie powiem!...

Dzień coraz bielszy, jaśniejszy, rozświecał okna. Gwar się wzmagał, psy ujadać zaczynały, wojsko przeciągało przy odgłosie bębna. Ewa spała jednak snem kamiennym po wzruszeniach i zwycięztwie...

Tak, zwycięztwie!... Nie wiadoma życia, pod wpływem czytanych bez wyboru książek i rad fałszywych Herminji, z wyobraźnią rozgorączkowaną i podnieconą, próżniacze prowadząca życie, a w sercu posiadająca chęć niespokojną zapełnienia jej czemś koniecznie — Ewa wchodząc w siebie, powstrzymując się na fałszywej drodze, głęboko uczuwszy prawdę słów Stasia, zrobiła to, co powinna była, ale razem zawracając na miejscu, złożyła dowód wielkiej mocy nad sobą, i z siłą niezwykłą pokonała budzące się w sobie skłonności... Dla czego? bo w duszy Ewy było uczucie słuszności, silniejsze nad wszystko, a może coś więcej jeszcze...

W tej właśnie chwili, gdy Ewa list pisała, Stanisław wychodził dopiero od pani Herminji. Goście jednakże dawno już byli się rozeszli, pan Konrad nawet, w pilnym interesie, wyjechał był z domu... Jak się to stało? Na to nikt, a tem mniej Stanisław, byłby mógł odpowiedzieć! — Dość że dnieć zaczynało na dworze, gdy wymknął się, piechotą dążąc do hotelu, wśród mgły i chłodu rannego. Tu, nie rozbierając się nawet, rzucił się zaraz na łóżko i czując ogromne zmęczenie, zasnął od razu, jak rozbitek po burzy.

Pamięć i gorycz przyszły dopiero, gdy oczy otworzył. Najprzód przypomniał sobie, że nie kochał już Ewy, potem, że należał do innej .. Jednakże

wspomnienie niedawnych chwil, spędzonych przy tej innej, słodkich słów jej i zaklęć, choć dźwięczały mu jeszcze w uszach, nie wzruszały go bynajmniej. Nie czuł przyspieszonego tętna serca, za to czuł w niem jakąś straszną próżnię. Zdawało mu się, że życie jego jest jak głęboka otchłań, w którą daremnieby silił się coś wrzucić, aby ją zapełnić, która odtąd straszyć go musi ciągle czarnem swojem pustkowiem... Dziwił się, że to, co się stało, stało się dopiero tej nocy. Czuł się od wczoraj starszym nagle o lat kilkanaście, bo zobojętniałym i rozczarowanym dziwnie. Zdawało mu się, że na świecie istnieje sama obłuda i fałsz, że nie ma już ludzi uczciwych, kobiet szczerych, przestawał wierzyć w przyjaźń, miłość, szacunek!... Ocieranie się o istoty, które grały jak sądził komedję tylko, udając to, czego w nich nie było, stawało się nieznośnem, wytrwanie wśród miasta, męczarnią. Musiał od wszystkiego uciec, co ludzkie, aby przetrawić w sobie żal do ludzi. Na wsi, w samotności, zapewne wprędce potrafi odzyskać równowagę dawną; zbierał się zaraz odjeżdżać, w nadziei, że gdy go otoczą przywyknienia drogie, gdy nad głową uczuje dach rodzinny, jakby błogosławiącą dłoń ojca, gdy pracą zwalczy szczególniejsze swoje rozdrażnienie, wszystko samo z siebie się ułoży i minie! Tak minie! Wszak dla jednej kokietki nie rozgoryczeje na zawsze i nie stanie się dziwakiem. Wmawiał w siebie, że potrzebne mu są leki, bo nie chciał się przyznać, że go serce bolało. Nadto wiele by tem wyświadczył honoru Eweli, nadto nisko w oczach własnych by stanął. Między nią a nim, nie było, nie mogło być

już nic wspólnego. Kokietka! a on zawsze kokietkami pogardzał.

Zaśmiał się na głos, przypomniawszy Kubę, pana Erazma, wesołość jej i odkryte ramiona. Ha! ha! i on kiedyś wierzył, że godną siebie i swej miłości mieć będzie z niej żonę? I on kiedyś z rozpaczą w duszy uciekał z tych miejsc, gdy go ta nadzieja zawiodła?!...

Jak to wszystko wydawało mu się dziś śmiesznem! Nie, jego wcale nie bolało serce, bo za czem i po kim boleć miało?...

A ta druga, co mu się sama na szyję rzucała?... Ta lubiła, by ludzie skłaniali głowy przed nią z uszanowaniem, by żaden cień nie padł na sławę jej dobrą. On wziął ją jednak, bo sama mu się oddała! Czyż nie wiedziała, że nic dla niej nie miał w sercu?... I tej także ciężyła szata cnoty, w którą otulała się umiejętnie, i ta także pokazała mu się taką, jaką była w istocie! — O! kobiety! wierzyć żadnej z was nie można! — „Niech was tu pan Bóg ma w swojej opiece, ja uciekam i nie chcę słyszeć już wcale o was!...“ To rzekłszy Stanisław zadzwonił, żeby konie mu zaprzągł woźnica. Ani mu na myśl nie przyszło, co powie p. Herminja o jego ucieczce, i że pewne prawa do rozporządzania nim, rościć sobie będzie lub może...

* * *

— Tfu! do licha — głośno zaklął stary Jerzy, który w obu rękach z tacą pełną naczynia, stał nad kanapą, zajmującą jeden róg pokoju jadalnego we

dworze Gródkowieckim i kiwał głową siwą. — Odkąd pan szafę kredensową kazał przestawić, a tę sofę tu przysunąć, nie ma dnia, żebym nie zalazł w to miejsce, zamiast tam, gdzie teraz kredens stoi! Wczoraj, to cudem tylko, żem całego stosu talerzy nie stłukł, myśląc, że je wstawiam w dobrem miejscu. Prawda, że ciemno było, i ja kanapy nie widziałem... ale dziś znów mi się zdarzyła pomyłka, i... w biały dzień... Ot! co znaczy przyzwyczajenie, człowiek... jak kot z przeproszeniem!... Boże! Boże! musi się to dziać i z moim panem!... Jeździł dawniej do miasta... no! wiedziało się chociaż po co! ale, że dziś jeździ?... dalibóg, ani pojmuję!... Taki go zawsze tam ciągnie, choć nie wyjeździł nic, tylko biedę, nieszczęście!... Nie siedzieć mu w domu!... niby panien w sąsiedztwie nie ma!... Tu byłoby i to i owo do zrobienia... a tam pani Ewa... tfu! co mi też do głowy przychodzi!... ale pan... siedzi i siedzi w mieście, a tu człowieka gryzą... ot! i złe myśli przychodzą... Ta klucznica!...

I zwolna, posunąwszy się w drugi róg jadalni, zaczął składać naczynie w szafie kredensowej, pomrukując dalej i rozmawiając z sobą, a rozwodząc użalenia... aż nagle zamilkł, bo turkot dał się słyszeć w dziedzińcu. Po pod okna mignęła czwórka pańska, i stary rzuciwszy żywo serwetę, którą obcierał talerze, podreptał na ganek, mrucząc:

— A tu klucznicy nie ma w domu! a mówiłem, nie odchodź waspani... ale... czy posłucha kto?... I bułki wyszły!... Żeby choć Ignacy nie zapomniał o drożdżach... — I drzwi otworzył przed Stanisławem,

z uśmiechem na ustach witając go, bo zapomniał na widok jego o troskach i kłopotach swoich.

Twarz Stanisława jednakże nie była z tych dzisiaj, które rozjaśniają choćby nie wiedzieć jak ponurego domu ściany!... Otulony futrem, z kołnierzem podniesionym wysoko, który zakrył go przed wzrokiem sługi, wszedł ciężkim krokiem na próg rodzinnego swego dworu i nic nie widząc przed sobą, szedł dalej przez szereg pokoi, z głową w dół schyloną, ciężką, podczas gdy Jerzy z powozu wyjmował pakunki i okrycia, gawędząc z woźnicą obcierającym ręką i rękawem zamarznięte wąsiska.

— No cóż Ignacy? Dobrzeście się tam zabawiali w tem przeklętem mieścisku?... Powróciliście jednakże prędzej, niż myślałem... chwała Bogu!... a przywieźliście o com prosił? hm? herbaty, cukru, kawioru, a przedewszystkiem drożdży?!... Jakto, nic? piękna rzecz! na czemże teraz upieką się bułki? U żyda w karczmie drożdży nie dostać... ślicznieście się spisali, nie ma co mówić!...

— Nie gderalibyście panie Jerzy! — odparł Ignacy, z kozła niecierpliwie oglądając się, czy powóz już próżny — cóż ja temu winien? Pan kazał dziś zaprzęgać piorunem, musiałem słuchać, choć konie były zmęczone. W nocy stałem z niemi do rana na mrozie, o czwartej musiałem tego tam pana, gdzie mój pan był na balu, odwozić na kolej, po ślizgawicy okropnej... a myślicie, że dał na piwo?... Kontent byłem, że choć pan nasz nie kazał już wracać po siebie, bom zmarzł jak pies!

— Więc piechotą z balu poszedł do domu? A to

ślicznie Ignacy! nie spodziewałem się tego po was!... Nie mogliście też zawrócić jeszcze po pana z kolei?... On zawsze taki dobry, myśli o drugich nie o sobie... Gdybym ja tam był, wrócić byś musiał, choćby pan nie kazał! — dokończył ciszej pod nosem.

Rzeczy już były na ganku wszystkie. Ignacy cmoknął na konie i ruszył z przed dworu, nie odpowiadając Jerzemu. Rad był znaleźć się w domu, gdzie go ciepła izba, i młoda żonka czekała... konie też rwały ku stajni. Stary, pokiwawszy głową, zaczął dźwigać po jednemu pakunki, do pokoju Stanisława.

Tam siedział teraz, głęboko w sobie pogrążony, jakby zmęczony mocno, odrętwiały, pan gródkowieckiego dworu, i Jerzy zadziwił się najprzód, dlaczego go o nic nie spyta. — Miał zwyczaj Staś rozmawiania ze starym, dowiadywania się o wszystko, co zajść mogło podczas jego niebytności. Jerzy rozpakowując kuferki, czekał, chcąc zdać sprawę z drobnych, ale w oczach swoich ogromnie ważnych wydarzeń domowych. Stanisław milczał jednak. Na poczciwej twarzy sługi, odmalowało się zafrasowanie smutne; baczniej spojrzał na pana, i teraz dojrzał znaczną w nim zmianę. Przypisał ją nocy nieprzespanej, zmęczeniu z podróży, choć na to nie uskarzał się nigdy Stanisław... Po długiej chwili dopiero Staś opamiętał się, otrząsł, przypomniał sobie może, że mógł zaniepokoić sługę wiernego i odezwał się:

— Co tu słychać?

Ale jakby myśl odbiegła daleko, nie słyszał opowiadania Jerzego, który przystępował do szczegółowych

skarg na klucznicę i ekonoma, narzekając, że pierwsza kłóciła się z nim nieustannie, a drugi słuchać nie chciał, gdy mu mówił, że trzeba po drzewo do pieców fornalki posłać do lasu... i dokończył:

— Tak to, gdy wielmożnego pana w domu nie ma, wszystko na opak idzie! Ładu ani za grosz!

— Masz słuszność! — odparł Staś — więc też odtąd nie myślę wyjeżdżać zgoła! — Westchnął, głowę oparł o poręcz fotelu i oczami utonął w suficie.

Jerzy znów spojrzał uważnie na pana i coś mu się w jego twarzy nie podobało. Może chory? — pomyślał.

— A co wielmożny pan jeść będzie? — zapytał troskliwie. Był to jego sposób badania pulsu. — Zły znak! — rzekł do siebie, gdy Stanisław odparł niechętnie:

— Wszystko mi jedno! Mogę i bez obiadu obejść się. Jeść mi się nie chce!

— Każę kurę na rosół nastawić! — Chory ani chybi — mruknął stary. — Zbliżył się jeszcze i troskliwie: — Jakoś wielmożny pan nie swój wygląda — szepnął. Stasiowi na ustach pojawił się dziwny uśmiech, wstał, ciężką dłoń spuścił na ramię sługi i rzekł:

— Cóż chcesz, stary! — Hulało się noc całą... Zmęczony jestem, ot! i po wszystkiem! Zmęczony!.. Idź! potrzebuję spoczynku!

Drzwi zamknęły się za natrętnym świadkiem, i Stanisław z głową zwieszoną, z rękami przyciśniętemi do piersi, chodzić zaczął po pokoju, roztrącając

sprzęty po drodze. Niecierpliwość ogarniała go jakaś — zupełne zniechęcenie, a przytem jakby gniew głuchy, gorycz nieposkromiona! Zdawałoby się, że biegając tak gorączkowo, chciał uciec przed sobą, a nie mógł. W miarę jak szedł i wracał, myśli jego szły z nim i wracały, niepozbyte, uparte! Oto co w nich było:

— Szuka się za czemś, goni za czemś całe życie, a po co? aby dojść do rozczarowania, pochwycić to, co tylko zdaleka nęcące i piękne, bo zbliska prochem jest, zgnilizną! — Życie nic nam dać nie może... szaleństwem żądać odeń szczęścia!... Trzeba raz oswoić się z tą myślą — zżyć z nią, przejąć nią zupełnie. — Lżej będzie wtedy, po ślimaczemu pełzać po ziemi!

Ha! ha! nie pomaga filozofja! serce boli... Głupie serce! z przyczyny jednej kobiety tak boleć!... Alboż innych nie ma na świecie? Są, są, i piękniejsze, i... zręczniejsze jeszcze! Nie, rozczarowywać się nie chcę więcej... nadto cierpię!...

Ale dla czego cierpię? Czyż ona warta tego?... Czyż i tak nie była straconą dla mnie od dawna?... Prawda! ale lubiłem marzyć o szczęściu, które byłbym mógł zakosztować przy jej boku, wierzyć w to szczęście, które byłaby mi dała, gdyby została była moją żoną!... Wiara w nią, budziła wiarę w możliwość szczęścia... niewiara w nią, zabiła odrazu we mnie wszystko!.. nie ma szczęścia, nie ma miłości, ideałów, kobiet, które warte są oddania im życia! Skończyło się marzenie! Powinienem powiedzieć sobie, że przepadło wszystko, i iść dalej, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo... byle do końca!

Ale czemże jesteśmy, nie kochając... nie spodziewając się niczego?.... Mamże jak potępieniec żyć z oczami zwróconemi na niebo, które odtąd dla mnie będzie na zawsze zamknięte? — Ba! jeźli przestałem wierzyć, że ono istnieje?! Tęskni się tylko do tego, czego się pragnie, w co się wierzy... we mnie pragnienie wszelkie umarło!... Jestem na zawsze wyleczonym z miłości...

Jerzy tymczasem pilnował, aby panu smaczny rosół z kury ugotowano. Zdawało mu się, i sądził poniekąd słusznie, że dobry rosół wielką odegrać może rolę w życiu i usposobieniu człowieka. Pan jego był nie swój, gotów rozchorować się jeszcze, trzeba mu było pokrzepić się i wrócić do dawnego apetytu i humoru! Posilna i smaczna potrawa pierwszy i drugi pobudzić mogła, byle tylko nie wracał więcej do tego mieściska, którego Jerzy z całego serca nienawidził, a które stało się przyczyną wyjazdu pana za granicę i tak znacznej straty materjalnej, z powodu niebytności przydługiej w Gródkowicach, a jeszcze do tego teraz, choroby!

Stanisław biegał ciągle po pokoju... Za kim i po kim żałował? Mimo powtarzania pytania tego, czoło jego pozostawało chmurnem. Daremnie nazywał się szalonym, daremnie jak starzec szydził, a miotał się i walczył jak młodzieniec. Obraz Ewy prześladował go uparcie. Stawała przed nim ciągle taka, jaką ją widział na balu. Oczy zamykał, zaciskał pięście, pozbyć się nie mógł wspomnienia tej, którą dawniej kochał, którą pogardzał teraz. Stała przed nim, śmiejąca się, w balowym swym stroju, wyzywająca, echo jej

głosu rozbrzmiewało mu w duszy, i szarpało nią boleśnie...

I wiele, wiele dni minęło, a w usposobieniu Stasia nic się nie zmieniło. Daremnie Jerzy wzdychał, żeby choć wygładziły się zmarszczki, które czoło mu zorały!... Zdawało się przeciwnie, jakoby coraz głębszemi się robiły. Na ustach uśmiech znikły, nie pojawiał się wcale; dawniej tak żartobliwe i wesołe, teraz zaciskały się smutnie, a oczy patrzyły obojętnie, bez wyrazu i ciekawości, jakby nic spotkać nie mogły, coby je ożywić i rozjaśnić było w stanie.

Proboszcz znalazł wielką zmianę w swym kollatorze... Przyszedł go odwidzieć jak zwykle, i porozmawiać. Staś oddał mu wizytę, ale widok tego starca, którego kochał i czcił, bez wpływu pozostał na nim... Dawniej Staś czerpał wiarę w dobro wszelkie przy jego boku, wiarę w ludzi i w siebie, dziś zraniony, zazdrościł mu tylko, że znaleźć potrafił coś, co mu wystarczało i zapełniało życie!... Swoje własne tak pustem widział!.... Godziny wszystkie spędzał samotnie, unikając widoku sąsiadów, a gdy kto przyjechał, krył się jak dziki, każąc mówić, że go nie ma w domu... Cicho, pusto było we dworze. Niekiedy nie wychylał się wcale z pokoju, to znów dosiadał konia i po gościńcu pędził jak wicher. Wówczas zarówno i koń i jeździec powracali potem okryci, ledwo trzymający się na nogach. Po takiem zmęczeniu Staś spokojniejszą noc miewał, a Jerzy uważał, że w pokoju pana światło nie błyskało jak zwykle, do rana.

Gospodarstwem mało się zajmował. — Dawniej pracował z upodobaniem, dziś jednak i to się zmieniło.

Nie obchodziło go nic — widocznie żył bez celu i chęci...

Wtem zima, dotąd łagodna i bez śniegu, rozszalała się na dobre, wiatr dął od północy, niosąc tumany białego puchu. Świstało i huczało na świecie, a wielkie zaspy zaległy tak drogi, że już o jeździe konnej nie mogło być mowy. Ludzie zaledwie torowali sobie ścieżki bokami; około budynków łopatami musiano odrzucać masy śniegu.

Stanisław uczuł się więźniem na długo. To go widocznie podrażniło, stał się gniewliwym, złorzeczył zimie, klimatowi naszemu, śniegom i wichrom... i bardziej niż kiedy chmurny, spędzał czas cały na dumaniu przy kominku, lub patrzeniu przez okno na szary widokrąg i śnieżycę, zakrywającą chwilami i niebo i ziemię. — Nie był to widok przyjemny, ani ciekawy, jednakże Staś uparcie stał przy oknie, jakby w pędzących płatkach śnieżnych, wirujących w powietrzu i ginących w zbitych zaspach, gdzie jednolitą stawały się masą, upatrywał jakieś podobieństwo z przeznaczeniem człowieczem, i bawił się smutnie porównywaniem siebie do tych nędznych gwiazdeczek białych, gonionych wiatrem, nie mogących nawet wybrać sobie miejsca na spoczynek i gdzie je wnet inne przygniatały, kładąc się jedne na drugich...

Szary zmrok zapadał. Ogień trzaskał na kominku, oświecając jeden kąt pokoju, którego reszta ginęła w tem posępniejszym cieniu. Koło kominka siedział Stanisław, poprawiając ogień, dorzucając drewek, gdy

przygasał. Posępniejszy, zadumany bardziej niż kiedy, chmurny, jak ta noc, co się zbliżała, marszczył brwi z drgnieniem nerwowem, właściwem mu teraz, a które za każdym trzaskiem głośniejszym, za każdą boleśniejszą myślą, wstrząsało nim całym. Wiatr świstał na różne tony, szyderczym zawodząc śmiechem, może z jego stanu dziwnego... Chichot szatański to był na każdy sposób, co przeciągał się, przechodził najdzikszą skalę tonów, a nie ustawał nigdy... Szyby od niego drżały; na dachu, od chwili do chwili, pociśnięte silnym mrozem, wzmagającym się pod noc, z trzaskiem pękały gonty. Wszystko razem, zmrok, świst, huk głuchy i syczenie ognia, zdawało się wtórować smutnemu rozmyślaniu Stanisława, raz zastosowaną doń nutą, to znów naigrawaniem szalonem...

Drzwi otworzyły się cicho; Jerzy ostrożnie wsunął się do pokoju, lampę postawił na stole, obejrzał się na siedzącego, potrząsł głową i westchnął. Światło lampy, czy szelest obcy, wyrwały z zamyślenia Stasia.

Obrócił się.

— A co tam?

— Nic, wielmożny panie!... przyniosłem lampę i torbę pocztową!

— Dawaj! — syknął niechętnie.

Wyciągnął rękę. Wytrząsł stos gazet, pism i listów. Zmarszczył się bardziej i cisnął torbę o ziemię...

W apatji Stanisława bywały takie chwile, gwałtownie napadającego go, a bez przyczyny na pozór, gniewu. Tem dziwniejszymi były wybuchy owe, że zwykle łagodny, nie przyzwyczaił do nich nikogo, a najmniej Jerzego, który pana nie widywał nigdy

w złym humorze, w uniesieniu jakiemkolwiek.

Przesyłki pocztowe szczególniej bywało wywoływały wzburzenie, które czyniło go opryskliwym na długo... I teraz, ledwo okiem rzucił na listy, gniew go zdjął nagły, widoczny.

Cisnąwszy torbę, w rękach zmiął papiery na stole rozrzucone i odezwał się opryskliwie do Jerzego:

— Czegoż czekasz? Idź sobie!

Stary smutnie, w milczeniu, cofnął się za drzwi.

— Znowu od niej! — zawołał Stanisław. — Cóż chce odemnie? Jakież prawa do mnie sobie rości?! Niechby mnie zostawiła w spokoju! Czy zrozumieć tego nie może?... wszak wie, że jej nie kocham, nie kochałem nigdy!... a teraz przesyła mi wymówki, żale, groźby nawet!... Dwa naraz listy! Dwa, jakby jednego nie było już za wiele! — To mówiąc rozerwał kopertę. Na wonnym papierze, jakby makiem siał, cisnęły się słowa, które przebiegał niedbale oczyma. Było tego cztery całe stronnice; na dole stał podpis „twoja H“, ostrożny, nie zdradzający piszącej, ale dostatecznie wymowny dla Stasia.

Przeczytawszy wzruszył ramionami.

— Zobaczmy drugi! — Zaczął się śmiać. — Prawdziwie, ciekawemi istotami są te kobiety! Ktośby z tych listów sądzić mógł, żem najostatniejszy podlec, uwodziciel, zdrajca!... Pani Herminja widocznie zapomina, że sama mi się oddała... A może już i nie pamięta o tem? Ja teraz w jej oczach uchodzę za przywłaszczyciela, wydziercę, niegodnego jej cnoty zwycięzcę! — I chce to wmówić we mnie... jak w siebie już wmówiła... Ale... cóż to znów nowego?...

Pisze, że mi daje czas ostateczny, trzy dni... poczem jeśli nie przyjadę... a do djabła! gotowa to zrobić na honor! Nie znamże jej ztąd, że nie cofa się przed żadną manifestacją?... Przyparła mnie do muru!... Odwrócił list, spojrzał na datę, potem na znak pocztowy. List dwa dni był już w drodze; śniegi, przerwawszy komunikację, spowodowały opóźnienie.

— Chce tu sama przyjechać! — zawołał, i zerwał się z siedzenia na równe nogi — tylko tego brakowało jeszcze!... A może grozi daremnie?... Tak, ale trudno czekać na wyświecenie tej prawdy! Nadtobym wiele ważył!... A ten biedny Konrad, który nic nie winien... Muszę jechać! Oto postawiła na swojem!...

Zadzwonił zaraz, jakby się lękał, by później nie miał już energji dosyć, aby zdobyć się na krok stanowczy, konieczny choć przykry, bo sama myśl pojechania do miasta, tak była mu nie miłą!...

— Czy podać herbatę? — spytał zjawiający się Jerzy.

— Później! jeść mi się nie chce! — Każesz tam mieć konie gotowe na jutro rano.

— Ale proszę wielmożnego pana, burza szaleje ciągle! zimno okropne, może lepiej poczekać... Dziś tam drogi mają być nie do przebycia! Ekonom, który powrócił, ledwie żyw dobił się do domu. Naciera tam teraz uszy śniegiem w przedpokoju... Chciał się widzieć z wielmożnym panem. Był u starszej pani, u której jego siostra służy. Kazała się kłaniać wielmożnemu panu, i pytała, czemu wielmożny pan nie przyjeżdża.. Wiele się tam zmienić miało!... Starsza pani mieszka sama teraz z panną Aurelją. Państwo Józe-

fowie najęli mieszkanie na Nowym świecie, w willi pana Karafarosza... Dobra to także pani, pani Ewelina!...

Nagle stary przestał mówić. Twarz Stasia zmieniła się, poczerwieniała, oczy błysnęły.

— Słuchaj stary! — krzyknął, spozierając tak groźnie, że reszta słów na ustach gadatliwego sługi zamarła — zawsze paplasz, co nie potrzebne! Czy mię obchodzi, co ktoś tam gada?... Na drugi raz ugryź się w język wpierw, nim zaczniesz powtarzać niedorzeczne uwagi!

Jerzy cofnął się przerażony.

— Otóż masz! — mruczał za drzwiami — człowiek radby go rozerwać... Cóżem powiedział tak złego? Aż trząsł się od gniewu! Nienaturalne to, nie! Widocznie chory... nigdy na mnie jeszcze nie krzyczał.

I poszedł markotny, łzę obcierając z oka, spełnić pana rozkazy w stajni.

Nazajutrz, wbrew wszelakim oczekiwaniom, niebo wyjaśniło się, wiatr ustał i śnieżyca. Ilość śniegu była wprawdzie taką, że rano musiano posłać sań parę dla utorowania drogi, aby czwórka Stanisława nie zatratowała się wśród zasp, mróz podwoił się jeszcze, Stanisław gotował się do wyjazdu jednak i Jerzy nie śmiał ust otworzyć... Ludzie rozpowiadali sobie o zamarzniętych tej nocy cyganach w lesie, ale stary nie poszedł już z nowiną do pana. Bał się nowej bury, zwłaszcza, że pan chodził chmurny strasznie, rzucający o ziemię co mu pod ręce podpadło.

Około południa stały sanie przed gankiem, Jerzy wyniósł lekki pakunek, Stanisław rzucił się na siedzenie, każąc jechać do miasta.

Tego dnia dopiero z poczty przyniesiono list Eweliny, ów list, który pisała w nocy, powróciwszy z balu. Nie zastał już Stasia w domu. Razem z innymi papierami położył go Jerzy na biurku pana...

Dla czego pismo Ewy tak się spóźniło? Upłynęły już były miesiące, odkąd w drogę wyprawionem zostało, ale z przyczyny małego zapomnienia, trafić nie mogło ono do miejsca swego przeznaczenia prędzej, aż po długich dniach i dłuższej jeszcze podróży. Ewa nie położyła na kopercie nazwiska poczty. Wzruszoną była nadto, żeby o tem pamiętać, i tak list chodził po świecie, szukając Gródkowic, to w Czechach, to w Rossji, odsyłany z miejsca na miejsce, przekreślany, mazany, z dopiskami na wszystkie strony, pod któremi prawie adres pierwotny ginął. Ewa sądziła, że oddawna znajduje się w rękach Stasia, gdy wałęsał się ciągle jeszcze i błądził, odrzucany z rąk do rąk, jak piłka. Aż ktoś nareszcie położył na kopercie: „może Gródkowice obok miasta X. w Galicji?“ i tym sposobem znalazł się, gdzie znaleść się był od dawna powinien!

Bawialnia Herminji przedstawiała ten obraz wesołego nieładu, który liczne grono odeszłych gości, zostawiać zwykło po sobie. Sprzęty rozsunięte były wszystkie, albumy i kosztowne ryciny pomięszane razem i bez porządku żadnego na stołach. Srebrna zastawa do kawy czarnej, zajmowała róg jeden pięknej konsoli, na której drugim rogu, zepchnięte, tuliły się rozmaite cacka... Wśród dzienników mód, stały niedopite kieliszki likieru i kosz z cukrami. Lekki

dymek cygaret unosił się w powietrzu, czepiając się kwiatów i firanek, a mnóstwo rurek cygaretowych, zapełniało eleganckie popielniczki...

Pani Herminja w stroju obiadowym, bardzo wyciętym i pięknym, znajdowała się właśnie przed dużem zwierciadłem i nuciła coś półgłosem, zadowolona z siebie i z udałego przyjęcia. Długi ogon jedwabnej sukni, kładł się za nią na dywanie, a ona bacznie przyglądała się swej twarzy, i gładziła ręką włosy nad skronią. Potem z szelestem jedwabiów posunęła dalej, przeszła całą długość bawialni, tu i owdzie popchnęła krzesło na miejsce, złożyła kilka numerów pisma illustrowanego, sięgnęła po cukierek, i zwracając się ku oknu — szepnęła:

— Dziś, musi przyjechać! Wiem, że tylko co go nie widać! — i uśmiechnęła się roskosznie. Nie potrzeba było i tego znaku dobrego i swobodnego usposobienia, aby nie wyglądała przygnębiona lub smutna. Wszystko w niej mówiło i zdradzało zupełną pewność siebie, a strój staranny, sztucznie ufryzowane włosy, płeć świeża, dawały świadectwo o przespanych spokojnie i niezamącanych niczem dniach i nocach. Nie dawno odeszli goście, po których oddaleniu się, p. Konrad zostawiając żonę samą w domu, na kolej podążył, mając znów pilny jakiś interes, (zawsze miał ich, jeśli nie swoich to cudzych pełno, bo nim posługiwali się wszyscy, a on spełniał ochotnie wszelkie nałożone na siebie zadania, będąc najlepszego serca) przemawiali także za tem, że o żadnym szalonym kroku, tak zwanym „coup de tête“ nie było mowy. P. Herminja jeźli groziła, z pewnością nie myślała wy-

bierać się w drogę. Był to wybieg kobiecy, aby sprowadzić zbiega. Znała nadto Stanisława i nie wątpiła, że zagrożony w ten sposób, przyjedzie, przelękniony jej szaleństwem, nie chcący brać go na swoją odpowiedzialność... I tak była nawet pewną, że przyjedzie, iż go oczekiwała lada chwila, zbrojna we wszystkie wdzięki i ponęty swoje. Jeźli zniecierpliwienie jakieś przebijało w jej ruchach, w oczach ognia trochę więcej, a na twarzy blask rumieńca żywszego niż zwykle, to zapewne z tąd, że będąc samą, chciała, żeby teraz przyjechał, nie dał czekać na siebie, bo chwil oczekiwania nie było już czem zapełnić, ani ubieraniem, które dawno ukończonem zostało, ani przyjęcia obmyślaniem, ani zabawą z gośćmi, którzy już odeszli!...

Dźwięk licznych dzwoneczków srebrnych w uprzęży przystających przed bramą koni, uderzył ucho nadsłuchującej pani Herminji. Wychyliła się przez okno, poznała sanki Stasia i prędko poprawiła coś około ubrania, co się nie dość dobrem wydało.

Stanisław wyobrażał ją sobie rozdrażnioną, niespokojną i na wszystko zdecydowaną. Zdziwił się, stanąwszy na progu i jednym rzutem oka objąwszy: bawialnię z licznemi śladami gości i proszonego objadu, panią domu w tualecie i zgoła niezmienioną twarzyczkę Herminji.. Uśmiechnął się trochę wymuszenie.

— Pani miała gości? — zapytał.

— Konrad zaprosił — musiałam! Pocieszała mię tylko myśl, że mogę się ubrać piękniej dla pana, dla ciebie Stanisławie!... Nareszcie, tak długo upragnionego, witam!... Niedobrym byłeś... ale ja wiedziałam, że przy-

jedziesz... Jakiś pan blady... czy byłeś cierpiącym?

— Tak — istotnie chory byłem!...

— Ach!... trzeba mi było napisać... a ja nic nie przeczuwałam!...

Rozmowa w ten sposób zaczęta, nie zaczepiła nawet o projekt przyjazdu p. Herminji do Gródkowiec. Projekt ten, jakby się rozwiał w powietrzu, ani śladu po nim nie było! Staś zapewniał siebie w duszy, że nie powinien niczemu już się dziwić, dziwił się jednak zręczności pani Herminji; nie mógł też odmówić sobie zadowolenia, aby nie natrącić o czemś wśród toku pogadanki, i odpowiadając na wyrzut Herminji i pytanie, czemu tak długo nie przyjeżdżał:

— Nie mogłem! — rzekł — byłbym jeszcze nie przyjechał, gdyby nie list pani ostatni.

— A toż szczęście, żem go napisała! — splasnęła rękami Herminja nie zmięszana, i obrzuciła gradem wymówek Stasia.

Był winnym na każdy sposób, że nie dawał znać o sobie, że nie przybywał, że zmusił ją do napisania szaleństwa, o którem nie myślała na serjo...

Dzwonek oznajmujący kogoś obcego, przerwał jej namiętną wymowę. Zwróciła do Stasia z prośbą, by powrócił wieczorem, a widząc, że zrywa się do odejścia — dodała:

— I tak teraz godzina wizyt, nie dadzą nam spokoju!... Zapewne ktoś się pomylił, dzwoniąc u drzwi moich, lub ze sklepu coś przynieśli, kiedy nikt się nie zjawia, ale niebawem nadejść bądź kto może... Konrad wyjechał, będziemy sami wieczór cały, a potem... znasz zwyczaje domu... pamiętasz po balu?...

— Zarzuciła mu ręce na szyję, przycisnęła się doń, podnosząc twarz i oczy promienne ku niemu. Była tak piękną, Staś był tak młodym, tak pełnym ognia i siły, że krew w nim zagrała. Nie miał żadnego obowiązku w sercu, wolnym się czuł zupełnie. Gdyby kochał inną, to co innego, ale że nie kochał, śmiesznością by było odtrącić śliczne usta, które same do niego się schylały... Przyrzekł powrócić.

Baczna na wszystko Herminja nie spostrzegła, że portjera, dzieląca bawialnię od gabineciku, gdzie się znajdowali teraz, poruszyła się lekko przed chwilą, jakby w skutek przeciągu, spowodowanego wejściem czyjemś do bawialni. Szelest wyrwał ją dopiero z odurzenia, rozplotła ramiona, odepchnęła Stasia i skoczywszy, znalazła się odrazu w salonie... Stanisław drugiemi wyszedł drzwiami.

Jeszcze drżąca od wzruszenia i uścisku, ledwo przytomna, Herminja oko w oko stanęła z Aurelją, która piorunującem mierzyła ją wejrzeniem. Ale Herminja nie traciła nigdy krwi zimnej, chciała już witać, całować, mniej niż kiedykolwiek pożądanego gościa, gdy ją panna Aurelja gestem dziwnym przykuła do miejsca, pokazując na wiszące obok siebie zwierciadło... Mimo wiedzy, posłusznie, za tym ruchem wspaniałym, mającym tragiczność wyroczni, poszła oczyma Herminja, i w mgnieniu oka zrozumiała.. W zwierciedle odbitą zobaczyła kanapkę, na której przed chwilą oboje ze Stasiem siedzieli, a odbitą tak dokładnie, że nie mogła ani cienia zachować nadziei, żeby Aurelji wyperswadować, iż się jej coś przewidziało!

— Pojmiesz — zaczęła poważnie Aurelja...

Lecz nie potrafiła dokończyć; — uczuła się nagle objętą, i łkaniem przerywane usłyszała następujące nie pojęte wyznanie, które ją tak zdumiało, że wysłuchała do końca wszystkiego, nie zatykając uszu, ani usiłując uwolnić się od uścisku Herminji.

— Droga! święta moja! — wołała płacząc pani Herminja (czy to był płacz wywołany grozą sytuacji, czy udaniem, trudno mi rozstrzygnąć) pojmuję twoje oburzenie! Anioł taki jak ty splamił się widokiem tyle dla niego okropnym, niskim, ohydnym!... Ach! cóżbym dała, żeby ci go z pamięci wymazać!... Czy mi darujesz, że byłam mimowolną sprawczynią tego skalania twego?... Nie mówię o sobie, myślę tylko o twojej świętej, czystej duszy, i serce się we mnie kraje, umiera, że zbrukaną się uczułaś, choćby na chwilę, spojrzawszy w to żwierciadło!... Widziałaś w niem, nieprawdaż? obraz gorszący! Dwoje ludzi splecionych w uścisku?... Ach! Aureljo moja, muszę ci wyznać, że to on, Stanisław (możeś go nie poznała, ale ja przed tobą żadnej tajemnicy mieć nie chcę!) jedynie był tu winnym! On mię przyciągnął do siebie niespodzianie, obejmując ramieniem silnem... skorzystał, żeśmy byli sami..

— Czemużeś się nie broniła? — nie krzyczała? — spytała Aurelja jakby mimowolnie, a Herminja odgadła, że stara panna już czuła się zniewoloną, podbitą, słowami oddającemi jej cześć tak wielką... więc nabrała ufności i zawołała w tym samym tonie:

— Broniłam się z całej siły, mogę ci zaręczyć! Ależ co to znaczy siła kobiety, w obec męzkiej przemocy?... Chciałam i krzyczeć, wstyd mi jednak zamykał usta... a potem — tu spuściła oczy pani Konradowa i zrobiła minkę niewinną — już sama nie wiedziałam, co się ze mną działo!... Kosztuje mię wiele mówić ci o tem, ale żeby pokuta była zupełną, nic nie chcę zataić; ty nie znasz, święta moja, pokus... nie znasz zapomnienia... zrozumieć mię nie potrafisz, ale ulitujesz się może, będąc dobrą, miłosierdziem będąc samem!... Żebyś wiedziała, jak zręcznym jest szatan!... Ile takie usta męzkie mają uroku... jaki czar przeklęty!... Co się kryje w tym uścisku silnych ramion, które oplątują i w przepaść ciągną, które wstrętne zrazu, trzymają nas potem nieruchome, pod potęgą czaru, jak węża wzrok trzyma biedne ptaszę, niewiadome niebezpieczeństwa... — i bacznie patrzyła na mieniącą się na twarzy Aurelję. — Słabym jak ja istotom zsyła Bóg pokusy, tyś wyższa nad nie!... — I Herminja ukrywszy twarz w dłonie, jakby żalem i wstydem zwalczona, usunęła się na kolana. Wiedziała, że ongiś ta święta Aurelja sama doświadczyła podobnej pokusy, ale udając niewiadomość tem pewniej ją podbijała... Szczere przyznanie do chwilowego zapomnienia, więcej niż zapieranie się zupełne, wpłynęło na złagodzenie Aurelji; uwierzyła w skruchę; przytem głos namiętny Herminji, gdy opisywała, co się z nią działo, trochę zaniepokoił starą pannę. Zatkać miała ochotę uszy sobie, chciała parę razy zawołać „cicho!“ krew jej uderzyła do twarzy, i machając prędko rękami, jakby oczyszczała powietrze około siebie, wstrząśnięte wyrazami dziwnemi — zawołała:

— Trzeba się modlić Herminjo! Tak, szatan krążyć nie przestaje, jak lew ryczący, widzisz o mało

cię nie pożarł. Umie chwilę wybierać, aby napaść bezbronnych...

— Ale Bóg przysłał mi ciebie na pomoc! — odparła składając ręce Herminja, jak przed ołtarzem, i szatan pierzchnął...

— Widzę, że żałujesz — obiecaj mi, że zwalczysz odtąd pokusę wszelką, że nie poddasz się, a czuwać będziesz...

— Pokusa już znikła! twoje przyjście szatana przeraziło... czuję się teraz silniejszą, a będę pewną siebie całkiem, gdy mi powiesz, że przebaczasz...

— Do spowiednika to należy, nie do mnie. Ks. Pafnucy potrafi cię umocnić lepiej odemnie... pójdź do niego jutro zaraz, nie zwlekając...

— Zrobię wszystko co każesz, odtąd oddaję się w twoje ręce! — wiedź mię, prowadź, kieruj mną!...

Aurelja zawsze biorąca jeszcze całą rzecz na serjo, położyła rękę na głowie klęczącej i jak prawdziwa opiekunka i święta, zapewniła Herminję, że uczyni o co jest proszoną... Nie mogło już być mowy o piorunach pogardy i gniewu, skoro pod tak pewnym puklerzem pani Konradowa, miała postępować odtąd!

— Dziękuję ci! ach dziękuję! miłosierną jesteś! — wykrzyknęła przejęta niby do głębi wdzięcznością, piękna pani, powstając z klęczek; w istocie wielkiego zbywszy się niepokoju, by odwrócenie się od niej Aurelji, nie sprowadziło na każdy sposób bardzo niepożądanego zwrotu w opinji, którą jej była winną, i dodała:

— Ale jeźli umocnioną się już czuję samem twem słowem, jeźli ufam, że odpokutować potrafię czemże

wygładzę z pamięci twej, to na coś patrzyła? Myśl zbrukania twego, prześladować mię nie przestanie!... boli mię ono więcej niż wszystko!...

— Postaram się zapomnąć!...

— Czy zdołasz?

— Z boską pomocą!... i ty zapomnij to, o czemś mi mówiła... Wspomnienie pokusy, jest także pokusą...

— Ach tak! Ale nigdy, już nigdy!... rozumiesz mię?...

— Rozumiem — przerwała prędko Aurelja.

Na szczęście dla p. Herminji, dzwonek dający się znów słyszeć w przedpokoju, przerwał tę rozmowę. Panna Aurelja powtórnie poleciwszy spowiedź, wsunąwszy w rękę pokutnicy obrazek swój, wycofała się pospiesznie z salonu.

Dzień ten jednak, był dniem samych niespodzianek.

Do uszu ledwo zaczynającej oddechać Herminji, doleciał głos dobrze znany, wcale niespodziewany teraz i jeszcze mniej pożądany, głos Konrada, umawiającego się na całe gardło, jak to miał w zwyczaju, gdy nie był w obec żony, o coś z dorożkarzem, który go widocznie przywiózł z dworca napowrót...

Co się stało, że powrócił do domu, Herminja domyśleć się nie mogła! Wytłumaczył jej to wprędce mąż, wchodzący do salonu, tak słodki i pokorny przed jej obliczem, jak przed chwilą groźnym się chciał okazać w przedpokoju.

— Śniegi, zaspy ogromne! — zawołał — kolej nie idzie! I nie mogli mi to zaraz wytłumaczyć?! Musiałem czekać godzinę na dworcu, zanim wyjaśniło

się, że pociąg wcale nie odejdzie dzisiaj... Zmarzłem okropnie... każ dać wcześniej herbatę... pójdę do kasyna potem

— Poczekasz trochę, bo będziemy mieć gościa. P. Stanisław obiecał się na herbatę.

Oczy Konrada zaświeciły radośnie. Jak inni, co się czują swobodni w domu sam na sam, on dopiero czuł się swobodnym prawdziwie przy gościach. We dwójkę z żoną był zawsze nie swój. Gdy ktoś się zjawiał, odzyskiwał humor, dla tego lubił towarzystwo, i w obec gości stawał się sobą. Prawdą było, że zbytnio nie zadawał sobie z nimi trudu, spuszczając się z tem na panią. Często nie żenując się nawet wcale: ziewał, wyciągał się, drzemał nawet, gdy mu się na sen zbierało, słowem jednem było mu z ludźmi lepiej, niż z Herminją. Wybaczali mu obcy wiele, gdy żona nic zgoła...

— A! Stanisław!... Chwała Bogu, że się raz zjawił! — zawołał i poszedł do dzieci.

* * *

Wieczorne cienie zaczynały spuszczać się w ulicę, gdy Stanisław wyszedł od p. Herminji. Dzień był mroźny ale pogodny, słońce schowawszy się, w purpurę przyodziało nieba część zachodnią, i na tem tle białe dachy domów rysowały się wybitnie... Suche trotuary zapraszały do przechadzki, również jak dizwnie ciche a jasne powietrze. Staś czuł potrzebę ruchu, może i zimno robiło mu wrażenie przyjemne. Szedł bez myśli zdawało się przed siebie, szybko oddalając się od domu Konradostwa. Żalu nie było

S 2/5
1 21
4 5-6

w jego sercu po roskosznej chwili, jak nie było niecierpliwości doczekania godziny powrotu. Gdy nie widział Herminji, zapominał o jej wdziękach. Ledwo przeszedł kilka ulic, inne wspomnienia zaczęły mu się cisnąć jedne za drugiemi... Nadto zrosła się myśl o Ewie z tem miastem, aby teraz nie stanął jej obraz przed nim, gdy deptał tak bruk dobrze znany.. Może nawet nie potrzeba było miasta, do obudzenia pamięci? Trwała ona w nim ciągle! Nie przyznawał się tylko do niej.

Krok jego stawał się coraz szybszym; miałże cel, do którego dążył?... Nagle otworzyła się przed wzrokiem jego daleka perspektywa szerokiej ulicy... Zwolnił swój chód, i rozpatrywać zaczął się uważnie. — Po obu stronach drogi, stały dwa szeregi drzew okrytych szronem; gdzieniegdzie przeglądał z po za nich, to mały dworek, to dom większy, świeży; — na prawo stał gmach okazały, wznosząc wysoko wspaniałe mury, jak pierwsza strażnica miasta, które rosnąc coraz, zaznaczyło nią nowe swe zabory. Coraz dalej mniejsze już widniały domki; biedactwo spłoszone, uciekające, ustępujące miejsca innym, piękniejszym, usuwające się w miarę jak ulica zmieniała się z cichego przedmieścia, w część miasta ożywioną.

Dotąd było tu coś jeszcze ze wsi, w obfitości ogródków i drzew, mimo murów rozrastających się. Tylko szerszy widok pozostał, miejsca więcej, powietrze czyściejsze, prawdziwy „Nowy świat“ jednem słowem, niepochłonięty dotąd przez ruch, nie przerobiony na arterję hałaśliwą, tuż wrzącego życiem, miasta.

Stanisław poznał gdzie się znajduje, zawahał się, chciał zawrócić, wzruszył ramionami i... poszedł dalej. Cóż szkodziło przejść koło willi, gdzie mieszkali Józefowie? Pamiętał, że była dawniej nieszczególnem domostwem, wiedział jednak, że kupił ją bogaty Karafarosz i zapewne nie musiał pozostawić taką, jak była wprzódy. Uprzedzony, gotował się na szyderstwo... Siedziba Ewy musiała odpowiadać jej charakterowi i stosunkom ze światem teraźniejszym. Coś bardzo wykwintnego dla oka, urządzonego na pańską i światową stopę miał zobaczyć... Szukał wzrokiem odpowiednej budowli, przeszedł do końca ulicę, zawrócił, i niepewny znów przeglądał domy, gdy koło niego przebiegł chłopczyna. Zatrzymał go, pytając o willę. Malec otworzył usta i oczy a po chwili dopiero wskazał palcem na bramę, przy której znajdowali się obaj.

— Nie mylisz się? — rzekł Stanisław.

— Jakżeby? Taż tatuś mój służy u pana Karafarosza za stróża. Tylko jeźli jegomość chcecie do mego taty, to go nie ma teraz w domu.

— Powiedz mi, kto u was mieszka?

— Kto? — najprzód na dole nasz pan, ale ten zwykle na wsi, a na pierwszym państwo jacyś, niemłody pan i młoda pani, bardzo dobra, bo dostałem od niej surducik i buty!

To powiedziawszy, jak strzała wpadł we wrota.

Stanisław zdziwiony opatrywał dworek. Skromnym był bardzo. Mogła go w lecie upiększać zieleń drzew, których wierzchołki widne były nad dachem, i róże w dziedzińcu, sądząc po wielkich kupach słomy, okry-

wających klomby. Za bramą i ogrodzeniem drewnianem, ciągnęła się nie wielka przestrzeń, teraz śniegiem pokryta, a w głębi stał jednopiątrowy dom. Stasiowi zdawało się, że choć kilka ujrzy pojazdów gości przybyłych, lecz nie ujrzał ani jednego, nawet na drodze śladów kół nie dostrzegł... Cicho było do koła; otwartem oknem płynęła przyciszona pieśń fortepianu, tęskna, miękka... poznał ją, ulubioną dawniej, tę samą. Ktoś zamknął okno niebawem, muzyka uwięziona przestała go dochodzić, urwała się nagle, lecz jemu się zdawało, że ją ciągle słyszy... Drzwi skrzypnęły na dole, wyszedł sługa w czarnej, skromnej barwie, wyciągnął się ziewając, popatrzył na drogę i znikł zaraz. Ostatnie blaski różowego nieba w szybach odbite, barwiły okna, które spoglądać się zdawały, jak oczy zacnego człowieka, spokojnie, odbijając niebo. Żaden zamęt, żaden hałas, ni pospiech bezładny, nie rozlegał się tutaj, nie trzaskał drzwiami, ani mącił ciszy ścian, co stały w milczeniu, kryjąc widocznie w swem wnętrzu życie skromne, w sobie skupione całe...

Stanisław zwolna oddalił się, unosząc obraz tego, co widział, i echo pieśni, którą usłyszał... Daremnie oglądał się na przechodniów, daremnie najludniejsze wybierał ulice, wrażenie doznane szło z nim niepozbyte, przyczepiwszy się jak bodiak do sukni... Przypomniał sobie, że go Herminja już czeka zapewne, ale krok jego pozostał leniwy i ociężały, choć mówił sobie, że powinien pospieszyć, i gonił wzrokiem roztargnionym zapalające się latarnie gazowe, porównywał je do rodzących się coraz liczniej, w miarę rozwijania się władz umysłu, myśli płomiennych, które rozświecają wnętrze

duszy ludzkiej, jak te światełka rozświecały pomrokę ulic... Robił filozoficzne uwagi, a tymczasem myślał o willi o cichych oknach, a w gwarze potrącających go ludzi nie słyszał nic, prócz nuty znanej pieśni, którą Ewa grała.

Tak doszedł do drzwi mieszkania Herminji. Stanąwszy przy nich uczuł, jak serce mu mocno biło. Zdziwił się, że biciu temu nie towarzyszy żadna głębsza radość lub wzruszenie, jednakże wyraźnie i głośno biło, słyszał je i skwapliwie przyjął to za dowód, że obojętnem mu nie było rendez-vous z Herminją..

— A! jak się masz! nieoszacowany, najukochańszy, dawno nie widziany! — zawołał Konrad otwierając drzwi sam, i przyjmując w ramiona zdziwionego Stasia. — To mi niespodzianka! Bodaj ci Bóg dał zdrowie, żeś przyjechał! a wiesz, ja dopiero wracam ze dworca, szczęściem te zaspy... Ale jakżeś ty się tu dobił? Taż to śniegi, że pociągi nie idą... No, ale mówże mi mów, co u ciebie słychać, czyś zdrów, co porabiałeś?... Ja nic nie wiem, gadajże na miłość boską!

— Czekam aż ty skończysz! — odparł Stanisław, który oddając uścisk Konradowi, nic a nic nie miał doń żalu, że mu swoim powrotem niespodziankę sprawił.

— Stawową rybą się stałem w tych czasach — pomyślał śmiejąc się z bicia serca swego, że nagle jakoś ucichło. I siadł na wskazanem krześle wprost Konrada, rozciągającego się na sofie w szlafroku, z fajką na długim cybuchu.

— At panie! — westchnął z zadowoleniem gospodarz — nie ma jak w domu! Radzę ci, żeń się!

Kawalerskie życie djabła warte! Prawda, że czasem nie wiesz, na której nodze stanąć, by żonie dogodzić, ale gdy wracasz, zastajesz ciepły kąt, miłych gości i.... nadzieję doskonałej wieczerzy! Jak dziś naprzykład! — pogładził się po żołądku, i mrugnął na Stasia. — kapłonik będzie wyborny, i to co lubisz: kawiorek, ozorek, do tego winko... — cmoknął. — Ślinkę naprzód łykajmy — dodał — wierz mi!

Stanisław słuchał, uśmiechał się, ale dreszcz czuł przechodzący go od czasu do czasu. Coby się było stało, żeby ten człowiek tak spokojny, tak ufny, o parę godzin tylko później powrócił do domu? Żeby zamiast wprost z dworca, kilka stacyj ujechawszy, (a mogło tak być łatwo z powodu śniegów) napowrót znalazł się w mieście?!

Myśląc o tem, patrzył na Herminję, a jej spokój zupełny przerażał go, wstrętną mu ją czynił. Przyszedłszy niebawem, przywitała go bez zmięszania najmniejszego, i siadła pomiędzy mężem a nim, jakby nic. Czasem rzucała mu spojrzenia palące, to usiłowała coś szepnąć... Konrad ziewał szeroko, przeglądając gazety, mięszając się do rozmowy, gdy go zajmowała, lub nie słuchając jej wcale, gdy coś innego miał na myśli...

W jednej z takich chwil, Herminja zdołała powiedzieć Stanisławowi:

— Aurelja nas widziała, była w salonie, zwierciadło nas zdradziło!

— Aa... — odpowiedział lakonicznie.

— Bądź spokojny, ona nie powie nic. Co do zwierciadła, kazałam je gdzie indziej zawiesić!

Staś rzucił niespokojne wejrzenie na Konrada. Mało go obchodziło, czy Aurelja będzie mówić, lub nie, więcej daleko, czy mąż nie słyszał, co żona mówiła. Raziła go swoją śmiałością i nieuwagą. Uderzyła go jednak pewność milczenia Aurelji, i ciekaw był, jak się wykręciła Herminja, ale nie badał.

Wstał, oddalając się po cygaro, które długo zapalić mu się nie chciało i zatrzymało go dobrą chwilę w drugim kącie pokoju.

Konrad zdawał się drzymać.

— Czemuż nic nie mówicie? — zagadnął nagle, otwierając oczy.

— Nieznośne masz cygara! — odrzekł, odwracając Stanisław.

— Ale boś wziął nie dobre!... Tam, w pudełku zamkniętem, są inne... dla przyjaciół... te dla kupców i arendarzy. Traktuję ich zawsze... nie wyobrazisz sobie, jak ich za serce tem chwytam! — zaśmiał się kontent, i zapalił zgasłą fajkę na nowo. — Kiedy jedziesz do domu? — spytał.

— Dziś dopiero przyjechał p. Stanisław, a ty już o powrót badasz! — wtrąciła niezadowolona Herminja.

— Ja bo widzisz — rzekł mąż — mam swój własny w tem interes! Jutro wybieram się znowu, może wybralibyśmy się razem? Podwiózł by mię do Kwaśnickiego, jemu po drodze, a mnie wygoda! Ztamtąd dalej odeszlą, i nie będę potrzebował wyczekiwać na te przeklęte pociągi!

— I owszem! — poderwał skwapliwie Staś. — Ja i tak muszę jutro w domu być z powrotem — dodał, nie zważając na wyraz niechętny pani domu.

— Nieodwołalnie? — spytała z przekąsem.

— Nieodwołalnie!... Termin mam! — odparł, choć mówił nieprawdę...

Zamilkła nadąsana, gniewna widocznie. Bynajmniej go to nie tknęło.

Zaczął mówić o czemś innem. Potrafił być miłym jak zwykle, i jak zwykle panem siebie, nie zdradzającym się z tem, co było w duszy. Ale gdy wieczór się skończył, gdy wyszedł, obiecując Konradowi podjechać po niego zrana, odetchnął pełną piersią dopiero! Uczuł się swobodnym na długo... Myśl ta lekkim uczyniła krok jego i spokojniejszym sen, wśród którego, dziwną rzeczą, zobaczył się znów przed bramą willi na „Nowym świecie“, z tą tylko różnicą, że ta brama otworzyła się przed nim i ręka Ewy znalazła się w jego ręku, podczas gdy coś mu w duszy mówiło: „jeszcze raz omyliłeś się!“

* * *

Powróciwszy na wieś, czy skutkiem przejażdżki odbytej, czy dla innej jakiejś ukrytej przyczyny, Stanisław nie tyle czuł się zgorżkniałym i okazywał się chmurnym... Bywają chwile bielsze, nawet wśród najczarniejszych chwil; może jedna taka wybiła teraz dla niego. Bądź co bądź, ręką mniej roztargnioną i spokojniejszą, przerzucił swoje papiery na biurku i listy otwierał jedne po drugich. Przyszła kolej na list Ewy. Leżał pod spodem ostatni.

Pismo Ewy nie było znanem Stasiowi, nie mieli sobie nigdy nic do pisania, i dla tego nie domyślając się, od kogo by pochodził list ów, kopertę rozciął i ćwiartkę w niej będącą rozwinął.

Ledwie jednak okiem rzucił na podpis, wstrząsł się i pobladł.

Może wczoraj jeszcze, byłby nie czytając list ten odrzucił; — dziś zacisnął tylko silniej dłoń, która drgała i zaczął przebiegać szybko wzrokiem pismo, jakby od razu chciał treść jego przeniknąć.

Czoło w grube zbiegło się fałdy, i okryło potem; czytał:

„Czuję, żem zawiniła bardzo... złą obrałam drogę! Ukarałeś mię, i twoje słowa zaciężyły srodze nademną, ale otworzyły mi oczy! Nie potępiaj mię jeszcze całkowicie! wstrzymaj się z sądem ostatecznym! Daj mi czas! Usiłowaniem mojem będzie, żebyś mógł mi powrócić swój szacunek. Myśl, że mną pogardzać możesz, straszną jest! Przypomnij, że już w dziecińśtwie mojem, twoje nieukontentowanie było dla mnie największą karą! Przypomnij także, jakeś mię bronił zawsze!... Nie proszę o wyrozumiałość, nie żądam abyś zapomniał, proszę tylko o czas i cierpliwość. Zobaczysz. Ela.“

Skończył, przycisnął list do czoła, i pozostał tak długo zadumany, aż dwa strumienie łez spłynęły po twarzy. Potem znów zaczął czytać, i obracał ćwiartkę na wszystkie strony, każdy punkcik, każdą literkę oglądał... Uderzyło go, że koperta była zamazana i zbrukana dziwnie. Wprędce też doszedł, że list nie dostał się wprost do niego, ale długą odbył drogę. Poszukał daty. Wiele tygodni upłynęło od dnia wyprawienia go... Teraz zrozumiał, co widział w mieście!... Zerwał się z krzesła. Słowa jej przeniknęły go do głębi; były proste, bo były prawdziwe! Tak! ona

czuła co pisała, i nie czekając na żadną z jego strony zachętę, zaczęła żyć jak obiecała... Uczucie okropne, które dotąd uciskało mu piersi, zniknęło! Uwierzył znowu w ludzi, w piękne i dobre ich strony.

* * *

I znowu w pokoju panny Aurelji paliły się lampki przed obrazkami, a na środku pokoju wśród ołtarzyków i klęczników, stał stół zastawiony jadłem.

Zwyczajny gość siedział i zajadał, słuchający gospodyni z ciekawością... a w oddalonym pokoju, sama jedna, opuszczona, znajdowała się biedna starsza pani; nikt o niej nie myślał, nikt się nią nie troszczył; ważniejsze były sprawy, które zajmowały p. Aurelją!

Pobożna panna musiała wyspowiadać się przed księdzem z całego zajścia u pani Herminji, musiała uspokoić swe sumienie, odkrywając mu tegoż najdrobniejsze szczegóły. Ksiądz, mrużąc przenikliwe oczy, wypytywał czasem, gładząc się po brodzie... W pokoju było ciepło, cieplej niż w konfesjonale, winko stare (z piwnicy matki) smakowało wybornie.

— Mogę powiedzieć — odezwał się — że rzecz cała jak najlepiej się złożyła... zyskaliśmy wpływy pewne... Nie masz też nic do wyrzucenia sobie, szanowna pani! Wybaczać zawsze potrzeba, jeśli się widzi, że to na dobrą sprowadzić może drogę... wyrozumienie pewne jest potrzebą... — wyciągnął się w fotelu i dodał: — Pani Konradowa była już u mnie u spowiedzi.

— A ja ją codziennie spotykam z książką w ręku, dążącą do kościoła! — zawołała radośnie panna Aurelja.

— Czego, zdaje mi się, nie możesz pani powiedzieć o swojej wychowance, nie prawdaż, o pani Józefowej?

— Niestety!... zawsze, a kto wie, czy nie więcej obojętna!...

— Nie pojmuję tego! — wzruszył niecierpliwie ramionami. — Nie umiecie chyba wziąć się do niej. Są przecież sposoby... Mnie ten upór zdaje się niezrozumiałym!...

— Nie daje kierować sobą. Robi, co się jej podoba! Zajęła się całkiem domem, mężem; utrzymuje, że to jej pierwszy obowiązek, jakby najpierwszym nie była praca dla kościoła!... Nie widzę u niej jednego zaczętego ornata, jednej poduszki nawet.. Józefowi wcale pościć nie każe, modli się tylko rano i wieczór, książek, które przynoszę, nie czyta... mówi, że ich nie rozumie, albo, że ci co je piszą, nie rozumieją co piszą... Ubogich wspiera tylko takich, którzy się jej podobają, a wszystkich „naszych“ poczciwych nazywa próżniakami, bo siedzą po kościołach, a nic nie robią, jak mówi! — i wzniosła ręce ku niebu z oburzeniem.

— Zatem — rzekł — zarozumiałością się rządzi!... Bunt to jest!... ohyda!... Wiem, że żadnego nie wybrała kierownika swego sumienia, że spowiada się rzadko i zawsze przed innym księdzem... Wiem, że głosić śmie, że miejsce duchownych tylko w kościele, nie uznaje zwierzchniej naszej władzy we wszystkiem... odsuwa nas na plan drugi!... uchyla od rad i mięszania się w życie prywatne!... A czemże ono, jeśli świątobliwa ręka nie pokieruje niem? Czemże, pytam, jeśli nie roztrwanianiem tego, co słusznie

najpierw kościołowi się należy? Bo usiłowanie każde, majątek, siły, czas, wszystko danem zostało ludziom, nie w innym celu, jeno, aby je obrócić na pożytek duchowny...

— Święta prawda!...

Ksiądz zmienił ton i po chwili milczenia:

— A bywa tam pan Stanisław? — zapytał.

— Nie, niebywa wcale!

Znów pomilczał, przeszedł się po pokoju, potarł brodę, i odezwał się:

— Nie trzeba wątpić do ostatniej chwili, ani rąk opuszczać! Cuda się dzieją! a niedocieczone są drogi, któremi Pan wiedzie nas do zbawienia... przykładem pani Herminja! – Może przyjść skruchy czas i na panią Józefowę, czas, w którym słowo prawdy dostanie się do duszy i przeniknie ją... Żelazo mięknie pod ciągłemi uderzeniami młota, kropla wody dziurawi skały... walka z nią nieskończona jeszcze! Widziałem ja nieugiętych, w prochu u nóg moich! Musi dojść tam, gdzie chcemy!... Nie ustawajcie w usiłowaniach, macie książki, które zbawienne przerażenie w sercu najtwardszem obudzić zdołają, macie potęgę groźb w ustach... Czyż tak trudno przerazić duszę słabą, postrachem zakrytego jutra? grozą mściwego bóstwa? obrazami mąk wiecznych i kar na grzeszników? Czyż tak trudno mówić o piekle, które na nią czeka? Ona mniema się silną! Jest siła na siłę, a nasze ramię potężne i sięga daleko!... Gdy w sumieniu zaniepokojoną zostanie...

Nie dokończył, bo nie chciał przed Aurelją odkrywać całej myśli swojej... Dopił prędko wina i polecając

ją Chrystusowi, do progu podążył.

Aurelja odprowadziła go aż do drzwi. Potem zdjęła z kołka długi różaniec, owinęła się nim, klękła, i zaczęła odmawiać pacierze. Te same słowa powracały ciągle w jednostajnym szepcie; spieszyła się, bo rożaniec był ogromny... I długo nic słychać nie było, prócz westchnień nabożnych, które zwolna przeszły w jakiś szmer niewyraźny. Aurelia, znużona, z głową o łóżko opartą, zasnęła.

Opuszczona, smutna, sama jedna, siedziała ciągle jeszcze w ciemnym salonie stara matka.

X.

Więcej niż rok upłynął od chwili, w której Ewa list swój napisała do Stasia.

Józefowie mieszkali od dawna osobno. Ewa miała swój dom własny, zajęcie, obowiązki gospodyni i pani, i już nie nudziła się bynajmniej.

Herminja i wszyscy ci, co liczyli na zabawę u niej, omylili się i zawiedli bardzo. Państwo Józefowstwo o bawieniu siebie, ani gości, nie myśleli wcale. On był pochłonięty biurem, kasynem i dziennikami, ona obowiązkami domowemi. Karnawał spędziła cicho; spoważniała, nie bywała prawie nigdzie. Kółko ich znajomych składało się z paru osób, i mało u nich widywano ludzi. Paru kolegów męża, państwo Konradowstwo, familja, oto wszyscy, których przyjmowano w willi na Nowym Świecie.

Było przecież wielu, co się kusiło o bliższą znajomość z piękną panią Eweliną. Ci, wprędce się przekonawszy, że zabiegi na nic się nie zdały, cofnęli się, zmieniając swe zdanie o tej, którą poznali świetniejącą na wieczorze Herminji. Jeden Kuba uparcie oddawał wizyty. Wprawdzie nigdy prawie nie bywał przez panią domu przyjmowany, ale z panem potrafił

stanąć na pewnej stopie poufałości. Śmiano się z niego, że nie może sobie z głowy wybić mniemanego tryumfu, że ciągle jeszcze myśli o grzecznościach Ewy; on zaciskał usta dziwnie i odpowiadał, że wcale co innego ma w głowie! Znajomi żartowali z zarozumiałości Kuby, jemu błyskały oczy...

Pani Ewelina myślała często o Stasiu, i ze spokojem, które jej zadowolenie ze siebie samej dawało, mawiała w duszy:

— Powinien by być ze mnie kontent!

Nie widziała go jednak, nie słyszała nic o nim. Stanisław nie bywał u nich, nie dawał wiedzieć o sobie. Dwa razy przez ten cały czas odwidził ciotkę starą; może i u państwa Konradowstwa był, ale umknął zaraz na wieś, gdzie stale przesiadywał, nie pokazując się w mieście. Zrobił się teraz nadzwyczajnie czynnym i pracowitym, pozaprowadzał ulepszenia rozmaite w gospodarstwie, należał do wszelkich narad i zjazdów obywatelskich, i postępował tak, jakby gwałtownie potrzebował zaprzątnąć się, myśli swe skupić wszystkie w punkcie jednym, uczynić się jak najmniej swobodnym, i tak ciężkim balastem obciążyć statek życia, ażeby płynąc poważnie nie dał się unieść prądowi lub wiatrom tam, gdzie nie powinien był podążyć.

— Czy też on wie co o mnie? — myślała z początku Ewa.

Dla tego mówię „z początku“, bo później, prawie pewną była, że nie tylko wiedział, ale i interesował się nią. Parę rzeczy pozwalało jej się tego domyślać.

Otrzymała raz na przykład list, którego treść tem

była dziwniejszą, że żadne tłumaczenie ani objaśnienie nie towarzyszyło mu, i nie miał podpisu nawet. Przeczucie jej mówiło, że nikt inny tylko Staś mógł go napisać. Dlaczego tak jej mówiło przeczucie? Nie umiała wytłumaczyć! Jednakże uparcie trwała w swojem mniemaniu.

Pismo było następującej treści, która na list wcale nie zakrawała, a zamiast zwykłego nadpisku: Wielmożna lub Szanowna, albo też Kochana pani, nosiło nagłówek taki:

Rozmowa podsłuchana.

Miejsce: coupé pierwszej klasy, parę stacji od miasta; czas: godzina wieczorna; mówiący: trzej mężczyźni: pan Kuba, pan Erazm i pan Jarosław; czwarty słuchacz milczący.

W coupé powietrze przepełnione dymem, co słabo świecącą lampkę jeszcze ciemniejszą czyni. Siatki i siedzenia zarzucone strzelbami i torbami. Humory podniecone trochę winem, wypitem na polowaniu. Swoboda najzupełniejsza.

Trzej panowie rozmawiają głośno, czwarty usiłuje drzymać; nie zwracają nań najmniejszej uwagi. Krzyczą, śmieją się głośno, jakby u siebie, ledwo wiedząc, że ktoś jeszcze, oprócz nich, znajduje się w coupé.

Świadek milczący, wciśnięty w swój kąt, zakryty czapką i kołnierzem, mimowolnie zmuszonym jest przysłuchiwać się rozprawiającym panom, których przechwałki, szczegóły o polowaniu i osobiste różne przygody, wcale nie są ciekawe. Nagle rozmowa staje się dla niego bardziej zajmującą.

— Cóż mówicie? — odzywa się pan Erazm — o pię-

knej pani Ewelinie? Czy zgadzacie się ze mną, że zawód, który nas spotkał z jej strony, wcale był niespodziewanym?... Świadkiem Kuba! ten dotąd pocieszyć się nie może i przetrawić.

— Bynajmniej! — ruszył ramionami zagadnięty. — Ja tylko nie mogę wierzyć, aby to była zmiana stanowcza! Nie cierpię hipokryzji...

— Nie irytuj się kochanie! Wiemy, że masz żal do pani Józefowej. Złość przez ciebie mówi... Ona cię umyślnie w pole wywiodła...

— Bez tych żartów, proszę! To ja z niej zażartowałem.

— Oto filut z tego Kubcia! Chce w nas wmówić nie bywałe rzeczy...

— Nie wmawiam! Samiście patrzyli.. a ja jeszcze raz powtarzam, że w jej spoważnienie nagłe nie wierzę...

— Pleciesz! — Ot i ja zrazu sądziłem, że zdobyczą będzie łatwą. A jednak teraz nie wzdragam się wyznać, żem się pomylił!... I ty także Kuba!

— Daj-że mi pokój!

— Oto zawzięty!... Na imieninach u pani Herminji kręciliśmy się koło niej wszyscy... Teraz sądzę ją więcej pochlebnie — głowę schylam!

— A wiesz Erazmie — zawołał pan Jarosław — że w twoich ustach coś warte słowa takie! Ty się znasz na kobietach!

— I dla tego, że się znam, nie waham się twierdzić, że pani Ewelina stracona dla nas na zawsze! — J'en fait mon deuil!...

— Ha! ha! czy trzeba ci wierzyć zaraz, gdy ogłosisz, że któraś tam jest cnotliwą, nie zwyciężoną,

doskonałą?! — zaśmiał się Kuba. — Masz być nieomylnym?

— Ty sam wiesz o tem najlepiej, że pani Ewelina należy do liczby rzadkich, jeśli nie doskonałych kobiet... Czyż od owego wieczoru nie odmieniła się całkiem?

— Tego nie dosyć... choć przyznaję!

— Odmiana trudną jest rzeczą, mój Kubciu, świadkiem ty sam, co nie możesz pozbyć się przywyknienia obmawiania... Aby odmienić się, trzeba dużo serca, albo wiele rozumu...

— Więc ja nie mam ani jednego ani drugiego? — zawołał Kuba.

Erazm wzruszył ramionami.

— Ależ nie unoś się — nie zaprzeczam ci nic zgoła! — Taki człowiek jak ty, sam wymownie świadczy o sobie...

Skłonił się; Kuba wziął to za kompliment, uspokoił się i rzekł:

— Trochę cierpliwości! Pokażę wam jeszcze wszystkim, że pani Józefowa nie jest zacnością samą!...

— Kubusiu, nie wiedziałem, że jesteś do tego stopnia niebezpiecznym człowiekiem!...

Końca żadnego nie było. — Ewelina schowała to do biurka, zamknęła na klucz, i nie raz wyjmując i odczytując, zamyślała się głęboko.

* * *

Pan Józef był szczęśliwym zupełnie. Odkąd zamieszkali osobno, nie zdarzyło mu się ani razu odczuć jakiegokolwiek niezadowolenia. Jakże różnem było teraz jego życie, od dawniejszego, pod jednym dachem

z Aurelją! Miał wszelkie wygody, godzin trzymała się gosposia punktualnie, za czynności, uczucia, słowa swoje, odpowiadał li przed sumieniem własnem, które nie mogło mu robić wyrzutów żadnych, bo na nie nie zasługiwał. — Z drugiej strony z mieszkania był kontent, nikt mu nie chodził nad głową, nikt nie wygrywał na fortepianie godzinami, co także należy do stron mniej miłych miastowych mieszkań. Pan Karafarosz nie zawadzał wcale, przyjeżdżał rzadko i na krótko. Żonę zaś widział spokojną, zadowoloną, zajętą i jak mu się zdawało, więcej doń przywiązaną, odkąd przybyła im maleńka córeczka.

W samej rzeczy, gdy nad kołyską pochylona, Ewa uczuła w sercu nie znaną dotąd roskosz macierzyństwa, uczuła zarazem, że to serce dla męża zabiło żywą wdzięcznością. Dziecię zbliżyło ją do niego, bo zasłoniło sobą wszystko, co nie było szczęściem rodzinnem, bo dało szczęście, którego nie zakosztowała jeszcze i stało się punktem, ku któremu biegły myśli obojga, gdzie spotykały się z sobą i łączyły małżonków marzenia i zabiegi. Dziecię kochane przez wszystkich, rosło. Pani Oven przepadała za Anielcią — starsza pani również. Ta, że już nie wychodziła wcale, podupadłszy na zdrowiu, rzadziej maleńkę widywała. Musiano wybierać dnie piękne, aby ją przynosić babce, ale Ewelina drżała zawsze o dziecię, choć nic nie usprawiedliwiało jej bojaźni. Ze zbytku miłości trwożyła się, nie odstępowała Anielci na krok, dnie i noce spędzała u kołyski, zapominając o wszystkiem.

Starsze obie panie uśmiechały się na to łagodnie, jedna Aurelja gniewnie się chmurzyła... Zaprzątnienie

się obowiązkami domowymi, dziecięciem, mężem, nie było w jej oczach zasługą żadną. Ewa nie dosyć przesiadywała po kościołach, księdza Pafnucego przyjmować się wzbraniała, książki rozmaite, które jej znosiła pobożna panna, nie czytane oddawała, utrzymując, że czasu nie ma, lub za słabe nerwy.

— Nie mogę znosić opisów mąk i piekła — mawiała łagodnie — to mi psuje moje wyobrażenia o Bogu — wolę wierzyć, że jest miłosierniejszym niż ludzie go zrobili...

— Aby broić bezkarnie! — odpierała Aurelja.

Ewa wzruszała lekko ramionami.

— Sumienie mam spokojne! — szeptała.

— Zobaczysz — wołała wtedy Aurelja — że cię Bóg skarze! Nie myślisz o Nim tak, jakeś powinna! Chcesz być mądrzejszą od sług Jego!... Nie słuchasz rad dobrych, odtrącasz zbawienne książki, bo sądzisz, że dość być taką, jaką jesteś... a ja ci mówię: Bóg chce jedynie panować w naszem sercu. Jeśli pragniesz cieszyć się Anielcią, jeżeli wychować ją chcesz, nie przy kołysce, lecz w kościele pracuj na to... z czołem w prochu!... Nadto starasz się o rzeczy doczesne...

Gdy Ewa głową potrząsała, dodawała gniewnie:

— Pamiętaj, by cię Bóg nie skarał!

— Ale za co, za co ma mię Bóg karać? — pytała Ewa pani Oven, rozdrażniona tymi wykrzyknikami Aurelji. — Mógłże by być o miłość dla dziecięcia zazdrośnym?

Babka uspakajała ją, upewniając, że pierwszym obowiązkiem jest czuwanie nad dzieckiem, oddanie się mu, przywiązanie doń, pierwszym, zajęcie się domem...

— Ja bo się boję wszystkiego! — wołała Ewa. — To całe moje szczęście! – i obejmowała kołyskę ze łzami.

— Nie przywiązujże zbytniej wagi do słów Aurelji!

— To prawda, że kocham Anielcię nad życie! Czyżby Bóg tego nie lubił?

— On! co jest miłością samą!

— A jednak zdaje mi się nie raz, że jest może takim, jakim go Aurelja maluje! Ona mię uczyła zawsze, że trzeba lękać się i drżeć przed Nim... może dla tego przestrach mnię ogarnia?! Świat jest miejscem niedoli i łez... Ludzie skazani są na cierpienia i próby!... Zamiast cieszyć się mojem szczęściem, winnam Aurelji, że trwożę się wielkością jego mimowolnie... Nikt nie ma prawa doń na ziemi... nikt się niem pochwalić nie jest zdolny... Dla czegoż bym ja jedna?..

— Oto wpływ nierozsądnych nauk i postrachów! — wołała pani Oven.

A w tem Anielcia budziła się, wyciągała rączki, uśmiechała się, i obie kobiety zachwycone, zajęte, zaczynały unosić się nad nią, pieścić, cieszyć maleństwem i o Aurelji zapominały.

Anielcia rozwijała się cudownie. Józef sam dziwił się, jaką mądrość okazywała... Gdy po raz pierwszy złożyła usta do wybełkotania jakiegoś wyrazu, którego nikt nie zrozumiał, ale każdy tłumaczyć pospieszył, z radości sam stał się dzieckiem. Biegał, klaskał w ręce, wołał, aby się przysłuchiwano... Uśmiech małej, rozjaśniał czoła wszystkich, zacząwszy od matki i ojca, jedno jej skrzywienie sprowadzało smutek i niepokój na dom cały. Nie potrzeba było pytać,

jak się mają rodzice, bo jeśli zdrową była Anielcia, i oni zdrowi byli. Znajomi wiedzieli o tem, dowiadywali się też najprzód o zdrowie dziecka. Do Anielci stosowało się wszystko, ona stanowiła teraz o życiu całem w willi Józefowstwa, stała się jego sprężyną, osią główną, około której obracały się czynności Ewy, myśli Józefa, troskliwość obojga.

Pan Krzysztof Karafarosz, właściciel willi, był dosyć ciekawą osobistością. Śmiesznostek miał dużo, próżności pysznienia swym majątkiem, jeszcze więcej, a rozmaitych oryginalności, do których należało noszenie rąk w kieszeniach i pobrząkiwanie nieustanne w nich pieniądzmi, prawie tyle, ile dobroduszności i wylania poczciwego dla tych, którzy go o coś prosili i cokolwiek (byle nie wiele) od niego potrzebowali...

Przytaczano chętnie jego wyrażenia, sposób mowy, śmieszną polszczyznę, śmiano się z pretensji do szlachectwa i przodków, czem bynajmniej zresztą pan Krzysztof krwi sobie nie psuł. Poprawić go w czemkolwiek było niepodobna, dać mu do zrozumienia, że grzeszył przeciw gramatyce, smakowi dobremu lub ogólnie przyjętym formom, taką trudnością, jak doprowadzić głuchego do zrozumienia dźwięków muzyki... Humoru mu nic nienadwerężało, ani cokolwiek zbić go z tonu potrafiło.

Była to tłusta figurka, wyglądająca tak zupełnie, jakby na nóżkach krótkich ktoś osadził dynię wielką, a potem na tej położył mniejszą. Głowę miał ogromną i w górę ją zadzierał, zaczesując nad czołem w czub ogromny włosy, stojące prosto jak druty.

Oczy cebulowate, usta o wargach mięsistych, wiecznie śmiejących, bo prawie zawsze był zadowolony ze siebie i w dobrym humorze, rysy wydatne, grube, a ręce i nogi jak u słonia. Gdy raz znalazł się na wystawie płodów rolniczych i modnie ubrawszy się (był wtenczas młodym jeszcze) włożył krótką kurtkę, odsłaniającą figurę, nie jeden go brał za należącego do okazów wystawowych, tak był okrągłym...

Teraz znajdował się już w latach dojrzałych, pretensji się zbył, utył jeszcze, i gospodarując, robił majątek zawzięcie a szczęśliwie. Ceniono go już na miljon.

Willę kupił dla tego tylko (jak mówiły złe języki) aby módz zadość uczynić marzeniu posiadania wymalowanego herbu, który by wszyscy oglądali... Mury willi były jego własnością, wolno mu było robić z niemi co chciał — kazał je więc od góry do dołu okryć herbami — jak o tem wszyscy mogli się przekonać, odwidzając willę. Malarz nie żałował farb, świeciły złoto i czerwono na każdem miejscu, nawet na takiem, gdzie najmniej ich można się było spodziewać, uderzały oczy i nie podobna ich było nie widzieć... Pan Krzysztof zazwyczaj skąpy, nie żałował pieniędzy tym razem dla malarza, suto mu zapłacił, a kto pragnął jego łaski pozyskać, powinien był chwalić tylko herby.

Pan Józef, oglądając pomieszkanie, nie szczędził tych pochwał i tak go tem ujął, że Krzysztof nazywał go odtąd swoim najlepszym przyjacielem i pozwolił mu pokoje wytapetować i piece popostawiać w nich, za własne ma się rozumieć pieniądze, bez

najmniejszej za tę rujnację pretensji.

Podczas wprowadzania się do willi, gospodarza nie było w mieście, ale wprędce jakoś, jednego dnia po obiedzie, w godzinie przybycia pociągu Stanisławowskiego, zatrzymała się przed domem jednokonka z kufrem na koźle, i pan Krzysztof wygramoliwszy się z niej i zapłaciwszy nie bez targów i stękania, co się należało, posunął prosto na górę powitać nowych lokatorów, po drodze przyglądając się z lubością herbom swoim.

Zastał tylko samą panią Józefowę. Trochę już uprzedzona, wyszła zagryzając wargi, nie dość przygotowana jeszcze na widok gościa i rozmowę z nim, gdyż oryginalniejszym się jej wydał niż myślała.

Pan Krzysztof wtoczył się poważnie boczkiem przez drzwi, ze śmiechem głośnym sunąc prosto po rączkę Ewy. W dłoni niósł spore zawiniątko, sznurkami obwiązane, włosy miał sterczące jeszcze bardziej z drogi, a twarz zaczerwienioną od gorąca. Pocałowawszy głośno rękę pani domu, położył swój pakunek na stoliku i odezwał się głosem lekko nosowym:

— Komenderuję się pani dobrodziejko! jezdem Krzysztof Karafarosz, gospodarz i właściciel willi, a że lubię spełniać swoją powinność, rychtyk jak żołmirz, przychodzę nie zwlekając zapoznać się z państwem, przytem przywiezłem gościńca!...

I zaczął rozwijać pakiet z zadowoleniem. Najprzód z niego wyjrzały jakieś szpony, potem pióra, nareszcie wspaniały błysnął indyk! Ewa zaczerwieniła się jąkając, ale przyjąć trzeba było i do tego dziękować! On z tryumfem złożył swój upominek na

albumie w eleganckiej oprawie i przyglądając się mu z lubością, a mlaskając językiem, rzekł znowu:

— A co? jaki duży!... Ha! ha! moja żona, to fajna gospodynia! Warto mu dać gęby... ja też zapraszam się na kolację, bo to między nami, nie powinno być ceregielów — nieprawdaż? Samą kukurydzą karmiony, jak Boga kocham!... Mostrum pani dobrodziejko, co? he?

I śmiać się zaczął, włożywszy ręce do kieszeni, w których odzywały się pieniądze.

Ewa, żeby coś powiedzieć, zaczęła chwalić widoczną znajomość gospodarską pani Krzysztofowej...

— Et! ja padam pani, że nima takiej na sto mil wokoło! Całyj dzień na nogach, wszędzie zagląda i ciągle sztrykuje pończochy, aby na chwilę nie próżnować. Ja, pani moja, tylko jej roboty noszę pończochy — słowo daję! A czy ona to potrzebuje? Broń Boże! Już taka natura! ma przeciek kim się wyręczyć i zapłacić... — i znów brząknął pieniądzmi.

— Już ja to widzę... — zaczęła Ewela.

— Ależ pani nic nie widzi jeszcze! Moja Rypsyna, to taka, jak żadna inna! Księżna Sapiehowa ją chwali, a panna Walezoskówna, gdy była u nas na Wielganoc, sama przyznała, że nikt takich nie potrafi robić placków i kilbasów co ona!

— Winszuję panu!

— Tylko niech pani nie myśli, że Rypsyna nic innego nie potrafi! ho! ho! Jak zacznie opowiadać o Mickiewiczu, co go Olgenbrand napisał, o komedjach Fredrego, to ja się tylko dziwię, jak Boga kocham! Wszyscy roztwierają gęby słuchając!... Ale ja

gadam, gadam, a do miasta mi czas! Muszę skoczyć jeszcze do banku rolniczego, to kawałek! a potem odszukać pana Stanisława z Gródkowic; interesów ma zawsze człowiek huk!... Lecz się stawię punkt na kolację, aby dać gęby indykowi... Padam pani i sprawunków jest pełno... taż on (oznaczało to służącego) wczoraj jeszcze stłukł lampę, co kosztowała dwadzieścia reńskich... a parę dni temu, dwie filiżanki od serwisu, com go z Kalisbatu przywiózł...

Od chwili odebrania owego pisma tajemniczego, Ewelina z pewnem zastanowieniem badała Kubę. Dotychczas zdawał się jej głupim tylko, teraz odsłaniało się oczom jej coś więcej w nim jeszcze: był złym i skrycie przebiegłym. Widocznie niechęć żywił ku niej i jakieś zamiary zemsty, lecz jakie, odgadnąć dotąd nie mogła, ale chciała, jawnie postępując z nim, pokazać, że nic do ukrywania nie ma, że się go nie boi i unikać jak dotąd nie myśli. Przy każdej też sposobności, zdawała się odważnie mówić mu w oczy, że go się nie lęka, własną go biła często bronią, zmuszała do tłumaczenia każdego słowa, które jej się niepodobało, a gdy przychodził odwidzać Józefa, przyjmowała go zawsze teraz. Kuba korzystał z tego, aby ją szpiegować. Raz zeszła go w salonie niespodzianie i spostrzedz zdołała, jak myszkował wszędzie, ciekawie zaglądał w każdy kąt, podnosił gazety i książki, jakby szukał śladów jakichś ukrytych. Oburzona, zaczerwieniła się gwałtownie, co widząc Kuba uśmiechnął się tylko, gdyż widocznie inaczej zrozumiał ten rumieniec. Odtąd jeszcze

bardziej utwierdziła się w mniemaniu, że ją o coś podejrzywa i za czemś śledzi i szuka.

Pewnego dnia po obiedzie znów oznajmiono Ewie wizytę Pleciugi. Nie mógł lepiej się wybrać. Kazała go prosić. Wczoraj właśnie powtórzył Eweli pan Józef, co słyszał od Kuby, oburzając się strasznie i dziwiąc się sobie jak pozwolił, aby Kuba z czemś podobnem przed nim się odzywał i drugim opowiadał; odgrażał się nawet poczciwie, że nieomieszka dać plotkarzowi nauczkę! Ale Ewa wiedząc dobrze, że do tego nigdy nie przyjdzie, sama umyśliła zastąpić męża. Józef nie umiał zdobyć się na surowość żadną, a za parę godzin zapomniał wszystko, jakby o niczem nie słyszał i gotów był zawsze Kubę przyjąć po dawnemu, serdecznie.

Stojąc na środku swego salonu, trochę blada, czekała na Kubę i serce jej biło. A jeźli tak jest? — myślała. — Musiała wybadać Pleciugę koniecznie i przekonać się, czy mówił choć raz w życiu prawdę! Nie lubiła jednak wdawać się w podobne rzeczy, a przecież coś ją przynaglało i zmuszało do postąpienia jak zamierzyła... Siłą woli opanowała wzruszenie swoje. Kuba wchodził.

Po kilku słowach o tem i o owem, bojąc się, by ktoś nie przerwał rozmowy, nagle go spytała:

— Coś to pan wczoraj mówił w kasynie? Józef powtórzył mi jego słowa. Jestem krewną Stanisława... Złączyłeś pan jego imię z nazwiskiem Konradowej, a i tę liczbę do moich przyjaciółek! Mam prawo żądać tłumaczenia.

— Ja? mówiłem? Nie przypominam sobie! — zaczął wykręcać się Kuba (nie lubił być przypartym do muru).

— Jakto? mógłbyś pan tak prędko zapomnieć?

— Ach! szanowna pani! mówi się o tylu drobnostkach!....

— Nazywasz pan drobnostką uchybienie sławie czyjejś, zarzut ciężki?

— Czemże mogłem uchybić pani Herminji i kuzynowi pani? Robiłem wnioski... proste wnioski!

— Ależ pan obwiniałeś Stanisława o rzecz nie uczciwą!

— Ja? pana Stanisława? może żartowałem!

— Głosząc, że ma romans z zamężną kobietą?

— Widzi pani — nie ubliżyłem mu tem bynajmniej... taka piękna kobieta!

Ewa brwi zmarszczyła:

— Masz pan dowód?

Kuba uderzył się po kolanie.

— Zanadto pani żądasz odemnie!...

— Jakto? niczem pan nie możesz poprzeć swoich posądzeń?

— Na Boga! pani, ja nie posądzam.. nie obwiniam... cofam com rzekł, milczę... To są „des on dit“ które się o tak na wiatr powtarza. Ręce umywam!

— Więc pan nie masz pewności żadnej?

— Najmniejszej! jakże pani chcesz, bym ją miał? Ludzkie języki, nic więcej.

— Cofasz pan oskarzenie?

— Cofam! cofam! (Gotowa Herminji nagadać na mnie — pomyślał — a tego wcale sobie nie życzę!)

— Cieszy mię, że mój kuzyn już nie będzie po-

trzebował sam upominać się o zadosyć uczynienie.

W miarę jak Kuba się mięszał, Ewie przybywała odwaga, uśmiech jej zarysowywał się jaśniej.

Kuba pobladł trochę, bo nie grzeszył zbytkiem odwagi, i złośliwie przygryzł usta, które mu się trzęsły.

— Zdawało mi się — podchwycił — żeście państwo z sobą w niezgodzie? Czyby już nastąpiło porozumienie — i oczy mu błysnęły.

Ewa milczeniem odpowiedziała, a w tem drzwi się otworzyły przed Aurelją. Kuba porwawszy się żywo, żegnać się zaczął, rad przerwanej rozmowie. Kobiety zostały same.

W dziedzińcu odwrócił się ku oknom i pięścią ściśniętą willi pogroził, szepcąc:

— Już, że ja ci za wszystko zapłacę, zobaczysz! Chyba bym Kubą nie był, czuję, że mój czas przyjdzie... Hm! niby ja nie wiem, dla czego broniłaś kuzynka?!...

Przed bramą spotkał się z p. Józefem, który rozmawiał z jakimś człowiekiem w wiejskiem ubraniu, który trzymał wielkiego psa na sznurku. P. Józef pochwalił się Kubie zaraz, że psa mu przysłał Stanisław, chciał Kubę zatrzymać, ale ten pożegnał się i odszedł, nie życząc sobie powracać Wrzał jeszcze cały gniewem.

— Otrzymałaś zaproszenie na konferencje, które nowo zorganizowała pani Jerzowa? — mówiła tymczasem do Ewy Aurelja. — Zaczną się od jutra, przyjdziesz, naturalnie!

— Nie wiem jeszcze! Cóż to mają być za konferencje?

— Pobożne, wszystkie znajome i nieznajome mają wstęp na nie... Pani Jerzowa będzie nas zapoznawać wzajemnie, nastąpi krótka modlitwa, potem rozmowa. Ksiądz Pafnucy odczyta coś budującego — i rozejdziemy się...

— Jakiż cel? Nie widzę żadnego!

— Ależ łączenie się, gromadzenie, w duchu zgody i miłości! Wszystkie przystępujące do tego stowarzyszenia, zwać się będą siostrami między sobą i baczyć na siebie wzajemnie... Jeśli gdzie jakie zgorszenie się dzieje, będą starały się mu zapobiedz. To też mamy członków o wszystkiem wiedzieć obowiązanych i składających sprawozdania tygodniowe, potem na wspólnej naradzie rozstrzygamy o środkach.

— Czy to trochę nie zakrawa na... plotki? Daruj mi, ale sądzę, że tylko komeraże urosną z waszych dobrych chęci. Mam przekonanie, że jeśli dobrze jest nie odmówić pomocy, gdy ktoś o nią prosi, najgorzej narzucać się z nieproszoną radą... Trzeba każdemu zostawić odpowiedzialność za czynności własne. Sumienie to najlepszy doradca a sędzia najsurowszy!...

Aurelja poruszyła się niecierpliwie.

— Rób jak chcesz, trudno gwałtem nawracać nieprzejednanych... Kwestować będziesz, spodziewam się!

— Jeśli nic w domu nie zajdzie i Anielcia pozwoli...

— To dziwna, jak tobie o każdą rzecz trudno! Dla czegóż Herminja znachodzi czas na wszystko? A przyznasz, że ma więcej od ciebie obowiązków....

— Herminja może lepiej umie radzić sobie, bo

doświadczeńsza! — odparła spokojnie Ewa. — Ja dopiero się uczę.

— Ciągle ci powtarzam, że nadto troszczysz się o to, co nie warto! Ptacy niebiescy nie sieją ani zbierają, a ręka Pana żywi je!

— Radabym tylko dogodzić mężowi, ład mieć w domu i wychować zdrowo Anielcię. Zadość uczynienie obowiązkom żony, matki i gospodyni, jest mojem najwyższem pragnieniem.

— Wyobrażenia masz dziwne, spaczone, oto co ci powiem! — zawołała Aurelja. — Ale pomnij, że mądrość wszelka głupią jest! Pokory ci trzeba, posłuszeństwa! Przyniosłam ci szkaplerz otarty o obraz cudowny... Zawieś go na szyi, nowennę odpraw do przemienienia pańskiego! A czy też pościsz w piątki i soboty?

— Karmię Anielcię, postów lekarz zakazuje.

Twarz Aurelji wyraziła oburzenie. Ewa spokojnie szkaplerz położywszy na stoliku, robiła dalej robótkę jakąś. Był to dziesiąty już, który dostawała od zamążpójścia. Brak oznaki żywszego zadowolenia z niego, nad wyraz dotknął Aureljȩ. Chciała już z ostrą nauką się odezwać, wystąpić z kazaniem długiem, gdy w tem głos Józefa zabrzmiał na progu:

— Jak się macie? Gościa wam prowadzę, zgadnij Ewo jakiego? A co porabia Anielcia?

— Anielcia spi teraz, to jej godzina, babcia jest przy niej... Kogoż to prowadzisz? — i nadstawiła Ewa czoło mężowi, podbiegając skwapliwie. Aurelja chłodno powitała brata, miała go za bezbożnika jak i Ewę. Nauk jej oboje nie słuchali.

— Sa tu! Tygrys! — zawołał pan Józef i wielki pies trzymany za obróżę przez służącego, pokazał się we drzwiach. — A co? — dodał — dostałem go nareszcie! Wiesz też Ewo od kogo? Nigdy byś nie zgadła... Przyda się tu, dom trochę odosobniony, dawno pragnąłem mieć stróża! Szukałem długo daremnie, a dziś wracam, patrzę, stoi człowiek u bramy i trzyma tego oto poczciwego Tygrysa, naturalnie nie wiedziałem wówczas, że się tak nazywa. Zkąd? do kogo? Człowiek oddaje mi kartkę; Stanisław pisze, że dowiedział się od naszej matki, że potrzebuję psa i swojego mi przysyła... Cieszę się podwójnie!.. Może też nareszcie przestanie boczyć od nas, kiedy taki łaskaw!.. Słowo daję, że ani wiem, za co on ma żal do mnie!... Przyjąłem tedy psa z radością, odpisałem, obdarzyłem posłańca i oto przedstawiam nowego mieszkańca willi!

— A pfe! — zawołała Aurelja — któż widział psa do pokoju wprowadzać.

Ale Ewa zbliżyła się i głaszcząc Tygrysa, przytuliła go do siebie.

— Poczciwe ma i mądre oczy! — rzekła — patrz Aureljo, jak się nam przygląda! Poznał, że mu dobrze życzymy. W zwierzęciu jest przecież także jakaś cząstka duszy, jak w ludziach, myśmy powinni kochać zwierzęta, pamiętać, że czują i...

— Dałabyś pokój bluźnierstwom. Dusza w zwierzęciu?... Co też wymyślisz jeszcze? — i z gniewem pozbierawszy swoje rzeczy, szalik, który była na stole złożyła, worek z książkami, nie skinąwszy nawet głową Ewie, Aurelja wybiegła z pokoju.

Józef wzruszył ramionami, potem oczy podniósł do góry.

— Bóg świadkiem — rzekł — że ani wiem, kiedy się i za co rozgniewa!... Jedyna siostra, a... — machnął ręką i westchnął. Widocznie przykrym mu był stosunek, jaki istniał między nimi.

— Miałam gości — odezwała się Ewa, chcąc męża rozchmurzyć.

— Kogo?

— Był p. Karafarosz, który obiecał się na herbatę, potem pan Kuba.

— Trzeba było i jego zatrzymać, mógł się złożyć wiseczek! Jam go w bramie spotkał, namawiałem, ale ceremoniował się, szkoda! — I rozmawiając, poszli oboje do pokoju Anielci. Matce zdawało się, że wieki już dziecka nie widziała... Pani Oven z uśmiechem ku nim podchodząc, wskazała na otwierające się oczki maleństwa, które z kołyski rączki wyciągnęło. Rodzice pochylili się skwapliwie, uradowani, nadsłuchując szczebiotu niewyraźnego. Anielcia zdawała się witać oboje, uśmiechając się do nich... Od różowej jej buzi, oczu oderwać nie mogli...

Wieczorem punkt o siódmej zjawił się zaproszony pan Karafarosz, a oprócz niego stawiła się także pani Herminja. Ta wziąwszy na bok Ewelę, zaczęła jej opowiadać, że była u niej Aurelja, obdarzyła ją szkaplerzem i namówiła do przystąpienia do konferencji pobożnych u pani Jerzowej....

— Między nami powiedziawszy — śmiała się piękna pani — nudne okropnie będą i nie do rzeczy, ale co mię to obchodzi? Nasłucham się plotek i...

zadowolę Aurelkę. Patrz — dodała, wyjmując z za sukni sznurek czarny — jej się zdaje pewnie, że ja szkaplerze noszę na piersiach — a to... mój pince-nez, z którym się chowam!... Zdziecinniała! ale po cóż ją mam drażnić?... Wiesz, na ciebie żaliła się okropnie! dla czegoż ty bo dla niej nic zrobić nie chcesz?... Oszczędzać ją trzeba, bo niebezpieczna rzecz, mieć świętoszkę przeciw sobie!... Żal mi cię prawdziwie, że nie umiesz udawać!...

— Nie, udawać nie umiem — odparła Ewa.

— Najgorzej na tem wychodzisz, z ludźmi trzeba i to umieć, aby ich pozyskać!... Aurelja ma do ciebie żal taki, że sądzi cię zdolną do wszystkiego złego!... Gdybyś zabiła męża własnego, nie dziwiłaby się! O mnie zaś posłuchaj, jak się wyraża! Wierzaj mi, bądź jaką chcesz, ale okazuj się, jaką ludzie mieć cię chcą — wtedy tylko wygrasz... Inaczej...

— Winnaś jej za to choć wdzięczność, nie szyderstwo!

— Wiem ja dobrze, że nie powtórzysz tego, co ci mówię, a choć pośmiać się wolno mi z Aurelji, gdy mię tak ciągle zamęcza!

I Herminja odwróciwszy się z lekceważeniem od Ewy, poszła ku panom.

— Nie prawdaż — rzekła do Józefa — że Aurelka nudna okropnie? Właśnie mówiłam Eweli, że trzeba ją jak dziecko traktować. Nie rozumie życia, świata, sama jest jak dziecko... będąc tylko pół kobietą.

Pan Józef westchnął za całą odpowiedź.

— Kto to? — spytała go po cichu, wskazując na

Karafarosza oczami. P. Krzysztof, nie bez pretensji do świata, mimo swej okrągłej figurki, raz wraz zaczesywał do góry czuprynę, kładł ręce w kieszenie, wyciągał kołnierzyki i mankietki, i suwał najzabawniej nogami, niby to kłaniając się szarmancko.

— Nasz gospodarz i sąsiad, miljoner, i jak pani widzi, ciekawie bardzo przyglądający się pani — odparł p. Józef.

— Przedstaw że mi go pan, muszę go oczarować!

I zabrała się do biednego pana Krzysztofa tak, że ten aż spotniał.

Przedmiotem będąc uprzedzeń i grzeczności pięknej pani, uczuł się niezmiernie chwyconym za serce. Dawno nie spędził tak miłego wieczoru. Herminja bawiąc się nim, obsypywać nie przestawała komplimentami, na których złośliwości nie poznawał się wcale Uśmiechał się, tarł czuprynę, a przy kolacji jadł za dwóch. Widząc jego apetyt, pani domu, grzeczna i uprzejma zawsze, skinęła na służącego, by mu znów podał indyka, nalegając i zapraszając.

Nie dał sobie mówić dwa razy, odebrał z rąk służącego półmisek, i zagarnął resztę bez ceremonji na talerz. Zdawało się, jakby go nalegania pani Ewy drażniły.

— Miedzy nami mówiąc — rzekł nareszcie — pani dobrodziejka właściwie nie potrzebuje mnie tak zapraszać... mam i ja do niego pewne prawo!

XI.

Naprzeciw mieszkania p. Józefowstwa, odgrodzony wązką uliczką i spoglądający swemi oknami pierwszego piąterka, po nad oparkanienie w głąb ogrodu i podwórza sąsiedniej willi, stał domek niewielki, którego powierzchowność nie uderzała niczem, prócz tem jedynie, że okna górne wiecznie a ciekawie były otwarte, i zapełnione kwiatami, wcale ładnie i świeżo utrzymanemi. — Zapach silny ztąd szedł w uliczkę a białe firanki z pewną kokieterją chwiały się za kwiatkami, jakby ktoś za niemi nieustannie ruszał się i kręcił. Rano, rączka kobieca, dość mała i kształtna, podlewała zawsze starannie wazonki, obrywała listki zeschłe, a ładna twarzyczka schylała się nad niemi z lubością, a w pół zalotnie, a w pół ciekawie, zaglądając w ulicę i ogród sąsiedni. Całe dnie zresztą, właścicielka tej twarzyczki, o oczkach świecących, nic nie mając do roboty innego, siadywała w oknie, uparcie spozierając na świat boży. Częsty i głośny śmiech jej dawał się słyszeć, a wieczorami śpiewka wesoła, niezupełnie w dobrym tonie, rozbrzmiewała w cichej i pustej uliczce. Mieszkanka małego domku, nie wychodziła prawie nigdzie, i z nudów

śledziła co się działo naprzeciw, nie mając innej zabawy. Wiedziała też o rozmaitych drobnych szczegółach, odnoszących się do mieszkańców willi, znała ich życie, ich zwyczaje, stosunki, a przez samo patrzenie ciągłe, wtajemniczoną była w rzeczy, które dla innych niedostrzegalnemi pozostawały i to tak, jakby, co najmniej, u Józefowstwa bywała. Aż do nazwiska każdego ze sług, psa nawet, nic jej obcem nie było... Nie raz Tygrys spuszczony z łańcucha, gdy w wesołych skokach przebiegał ogród, używając wolności, nagle stawał uszy podnosząc i nadsłuchując, bo w powietrzu rozbrzmiewało wołanie, i zdziwiony długo czekał, aż głośnem nareszcie odpowiadał szczekaniem. Rózia śmiała się klaszcząc w ręce i psa drażniąc dla żartu... Zrazu, rozmaite przychodziły jej do głowy kombinacje. Widząc ładną panią Ewę, a starszego znacznie męża, podejrzywała, że Kuba, który był jedynym młodym mężczyzną, uczęszczającym do willi, musiał przy Ewie pewną rolę odgrywać. Później, gdy nic nie przyszło stwierdzić podejrzeń, z jakimś tajemnym podziwem przyglądała się spokojnemu życiu Eweliny, które dla niej było zagadką... Majętna, młoda, piękna, nie szukająca rozrywek, ani goniąca za ponętami, tak łatwo znachodzącemi się pod ręką, cała w obowiązkach swoich, dobra i litościwa dla wszystkich Ewa, w oczach Rózi była czemś odrębnem, wyższem, nad czem się nieraz zamyślała wzdychając, choć zamyślenie u niej, zwykle krótko trwało...

Że Kuba przechodził tędy często, a Rózia szczerzyła

śmiało ząbki, nie obeszło się, żeby nie zauważył domku i jego mieszkanki. Ona nawzajem zauważyła Kubę. Przyglądali się sobie czas niejaki, potem samo widywanie się częste znajomością się stało, uśmiechnęli się do siebie, zamienili ukłony, aż jednego dnia Kuba, obejrzawszy się, że nikt nie widzi, wpadł do drzwi, na wschody, i dostał się na górę. Piękna Rózia otworzyła mu sama. Odtąd przychodził codziennie, i nieraz przesiadywał do późna. Dziewczę było ładne i wesołe, nie bardzo wymagające... zgadzali się z sobą wybornie, ona się śmiała, on rozpowiadał... podziwiała zawsze jego rozum i dowcip, co lubił bardzo, przytem i ta rzecz obojętna mu nie była, że z okien Rózi doskonałe miał obserwatorjum, bo mógł z nich widzieć cały ogród i podwórze willi, sam nie będąc wcale widzianym. Zakrywały go kwiaty.

Dziwili się zrazu wszyscy, gdzie się Kuba podziewa. Nie jedna z pań narzekała na brak nowinek i nowiniarza... zaczęto mówić, że na Nowym świecie gdzieś przepada, i nie wiele brakowało, (bo Kuba prześladowany, uśmiechał się tajemniczo), żeby nie przyjęło się mniemanie, że u Ewy cały swój czas przepędzał... Zdaje się, że Kuba miał zamiar taki, ale mężczyźni domyśleli się wprędce prawdy, i zamiar ów spełzł na niczem... Musiał się pocieszać znajomością Rózi, nie mogąc skompromitować Ewy. Dziewczyna była jak kwiatek, weselszej też i więcej nieopatrznej nie widział nikt. Siadywali do późna razem, a że pora była letnia, najczęściej w oknie. Gdy się Kuba zdrzymnął, Rózia budziła go, chwytając za ramię; przywidywali jej się wiecznie złodzieje i strachy

w pustej uliczce, na którą stojące drzewa za parkanem willi cień gęsty rzucały, nie bardzo rozświecany migocącą naftową latarnią, w rogu stojącą, jakby na szyderstwo. Zdarzyło się jednego wieczora, że znów w oknie Rózia z Kubą usiedli, jak to mieli w zwyczaju. Noc była cudowna choć ciemna. Kuba później przyszedłszy, po herbacie u Józefowstwa, cygaro palił, a Rózia wypytywała o szczegóły przyjęcia... Wybiła północ, czarność cicha otuliła ziemię. Na tle nieba rysowały się niewyraźnie drzewa willi, której ogrodzenie w zmroku ginęło. Uliczka wyglądała jak przepaść, straszna oczom zabobonnej Rózi. Wzrok od niej odwracała, drżąc, by upioru jakiegoś nie zobaczyć, to znów, pociągnięta mimowolnie grozą cieniów, tonęła w niej okiem przerażonem. Psy naszczekiwały głośno... słychać było i Tygrysa, jak niespokojnie biegał za parkanem... W willi ciemno już było, stróż od godziny pozamykał wszystkie drzwi i spuścił psa, służąca rozmawiająca na progu z lokajem weszła do wnętrza, w kuchni światło nawet zagasło, tylko za oknem Ewy migała lampka nocna, którą Rózia znała dobrze, jako zapalaną co noc regularnie przy kołysce dzieciny.

Kuba dopalone cygaro wyrzucił w ulicę, wyciągnął się i ziewnął... Rózia szczebiocąca zwykle żwawo, zamilkła... Może stanęły jej w pamięci dawne dzieje jakieś, może wspomnienie z dzieciństwa, budzące się w piersi pod wrażeniem ciszy i uroku nocy letniej... Westchnęła. Cicho siedzieli oboje. W tem zdala dał się słyszeć głuchy turkot powozu; zbliżał się, rósł, i nagle, jakby powóz stanął gdzieś blisko, turkot

ucichł... Po chwili, zdało się Rózi, że szelest słyszy w uliczce, coś mignęło w ciemnościach; — drgnęła, i serce jej bić zaczęło... Byłże to duch, czy złoczyńca? — Niewyraźna postać stała, przytulona do parkanu. Rózia trąciła Kubę i cicho:

— Spojrzyj no pan, co to być może? — szepnęła.

— Przywiduje ci się, jak zwykle!... — odparł. — Masz pasję widzieć wszędzie nieboszczyków.

— Niby to nieboszczykowie nie pojawiają się oczom naszym, gdy chcą! Ale niedowiarkiem jesteś... Tym razem jednak widzę wyraźnie, aż nazbyt wyraźnie...

— Jakby w tych ciemnościach można coś widzieć!

— Przekonaj się sam! — odparła urażona, wskazując palcem.

Kuba wzrok wytężył i dostrzegł poruszający się cień jakiś. — Coś migało wśród nocy pod parkanem — postać niewyraźna ruszała się, która od razu, jakby rość zaczęła od ziemi w górę, coraz wyżej. — Samego Kubę mrowie przeszło.

— Co to jest? — zawołał cicho, niedowierzając swym oczom.

Postać rosła dalej, aż przerosła parkan. Teraz, na tle trochę jaśniejszem nieba, zarysowała się u góry głowa mężczyzny.

— Rozumiem! — mruknął przez zęby Kuba — — hultaj ma drabinkę!

— Złodziej jak Boga kocham! Trzeba krzyknąć, to ucieknie — szepnęła drżąca Rózia.

Kuba trącił ją tylko.

— Cicho! — tam jest pies.

Rzeczywiście, gwałtowne ujadanie Tygrysa dało się słyszeć. — Ogromne psisko w kilku skokach dopadło ogrodzenia.

— Nie chciałbym być na jego miejscu teraz! — bąknął Kuba.

Ledwo te słowa wymówił, Tygrys umilkł od razu, pomimo, że nocny gość w głąb ogrodu z parkanu skoczyć musiał, bo znikł, jakby zapadł się w ziemię.

— Nie do pojęcia! — szeptał Kuba — a jednak... tak, może się nie mylę! — uderzył się w czoło — pies zna go jednego! — Wychylił się, wytężył słuch i oczy.

Dwa cienie mknęły po ogrodzie; mężczyzna nieznajomy, a obok niego pies, jak wierny towarzysz, w wesołych, przyjacielskich podskokach. — Tajemniczy przybysz kierował się wprost ku domowi; białe ściany willi, dozwalały choć z niemałym wysiłkiem śledzić Kubie ruchy jego. Zobaczył, że zatrzymał się w niewielkiem oddaleniu. Z gorączkowym niepokojem nie spuszczał zeń oczu, choć mu mgłą zachodziły, ocierał je i dalej patrzył w ciemność. Rózia nie pojmując nic, przestraszona milczała, zabobonnym lękiem opanowana.

Myśl jakaś nie dawała ustać na miejscu Kubie. To sykał, to się porywał jakby biedz chciał, to pochylał cały naprzód w gorączce niecierpliwości.

— Czy wieki tak stać będzie? — mruczał.

— Może ktoś ze służby? — szepnęła po chwili Rózia.

— Hm! nie potrzebowałby drabinką się posługiwać!.. Amator którejś z panien służących, nie narażałby się na złamanie karku!

Oczy mu świeciły, jak u drapieżnego zwierzęcia. Ręce drgały i zaciskały się mimowolnie.

— Na co on czeka? — syknął niecierpliwie.

Upłynęło pół godziny. Wprost Kuby znajdowało się okno z lampką i balkon Ewy. Pilnował czy nie wyjdzie kto na balkon. Nic, żaden szmer, żaden ruch, nie dochodził jego uszu. Lampka paliła się zawsze jednakowo w oknie Ewy. Drzwi na dole i na balkon wychodzące, ciemniały nieruchome, w otaczającej je ścianie białej.

— Możeby wartało w uliczce pochwycić ptaszka? A nuż dostanę po łbie?! Zresztą, Bóg wie, jak tam długo zabawi, i co robić myśli!.. Czekajmy!.. Ztąd, choć nie narażając się na szwank żaden, wszystko widzieć mogę i nie spuszczać willi z oka -- mówił jeszcze w duchu Kuba, gdy postać poruszać się zaczęła znowu, na chwilę między drzewami zniknęła, potem mignęło coś nad parkanem, kroki zaszeleściły w uliczce, i zaturkotało zdala po chwili.

— A! tożem na wieki zapomniała! — splasnęła rękami, zupełnie do siebie przychodząca Rózia. — Słyszałeś powóz odjeżdżający?... jam go przyjeżdżającym słyszała! Ani chybi, że ten ktoś powozem jeździ, zatem nie jest złodziejem!.. Ale kim że jest na Boga? — Zamyśliła się, poruszając główką. — Zagadka! jakby w romansie! słowo daję!...

Kuba zatarł dłonie.

— Jeźli jest tym, co myślę, nie ostatni raz on tu dziś przyszedł! -- Dowiemy się wkrótce!.. Już, że ja go złapię, to pewna... Hm.. ptasio, po nocy! pa-

trzajcie go!... — I nagle obracając się do Rózi: — A tyś nigdy wpierw nic nie dostrzegła? pewnie?

— Nigdy! Przecieżem nie raz, i do północy, siadywała w oknie!...

Kuba pokręcił głową niedowierzająco...

— Na każdy sposób, zobaczymy!... Ujść mu nie dam... co nie, to nie! Jakem Kuba!

— Komu? — spytała zaciekawiona.

— Co tobie do tego!

— A toś grzeczny! Nie ma co mówić!... Chcesz mieć dla mnie tajemnicę? Wola twoja! Ale, że ja się wpierw dowiem od ciebie, to pewna! Jutro... zobaczysz, wiedzieć będę!... I nie powiem, nie! — Tupnęła nóżką zagniewana.

Zaczął przepraszać, udobruchał ją ledwo przyrzeczeniem, że przyszle zaraz zrana cały kosz owoców, za któremi przepadała...

Nazajutrz, Kuba nic nie miał pilniejszego do roboty, nad odwidzenie pana Józefa.

Zastał go nieubranego jeszcze w ogrodzie.

Zaczął pytać jak się ma, czy spał dobrze?

— Mówił mi stróż — dodał — że pies dziś w nocy strasznie ujadał... hm, o złodziei tu nie trudno, w tym oddalonym kącie! No zbudził-że pana niepokój Tygrysa.

— Może, nie pamiętam!... Ale jestem pewny, że Tygrys nikogo nie wpuści. Pies dziwnie czujny, a odkąd jest tu, jakby z tęsknoty za dawnym panem, bo wiesz, że go mam od Stasia, zrobił się złym takim, że nikogo nie lubi, oprócz jednej Ewy... Nie

radziłbym obcemu z nim spotkać się, a do tego w nocy!

— Prawda, że warczy i szczeka, gdy koło budy jego przechodzę... a przecież nieraz mię widzi! — odrzucił Kuba ze złośliwym uśmiechem — i chodząc z panem Józefem spoglądał po ścieżkach i trawie, rozpatrując się bacznie. — Spostrzegł też niebawem, że przybysz nocny nie musiał być obznajomiony z miejscowością, bo w grządce jednej znaczne porobił nadwerężenia; kwiatki były połamane, i głębokie ślady nóg, w miękkiej ziemi pozostały.

Ogrodnik już poprawiał szkodę zrobioną, mrucząc coś niezadowolony, i tuż stała Ewelina. Przywitała nadchodzącego męża i Kubę skinieniem głowy. Zauważył zaraz, że nic nie wspomniała, nie użaliła się nad szkodą... Była różowsza niż zwykle, i w oczach miała pewne zamyślenie.

Zamieniali dzieńdobry. Kuba usprawiedliwił swe odwidziny przechadzką i śliczną pogodą, a potem zaraz napomknął, że Stanisława widział... gdzie, nie dodał. Czekał i był pewnym, że wywoła u Ewy zmięszanie. Spojrzała mu wprost w oczy chłodna, zagadała o pogodzie, cieple i odeszła ku domowi. Skwaszony Kuba pożegnał się, nie czekając. Nie miał co tu robić dłużej. — Przechodząc koło domku w uliczce, ciche pst! zniewoliło go podnieść głowę. Zobaczył Rózię w oknie, dającą mu znaki. Oglądnąwszy się poskoczył na górę. Wybiegła naprzeciw niemu klaszcząc w ręce.

— A co? nie mówiłam, że dowiem się pierwsza? — zawołała. — Wiem już, po co przychodził ów gość tajemniczy! Ależ to historja romansowa! Zaraz mi

się też to tak wydało! — rzekłszy te słowa, rozpowiedziała mu jednym tchem, że rano okna roztwierając, zobaczyła na balkon wychodzącą panią Ewę, która stanąwszy na balkonie, po chwili schyliła się, i podniosła z ziemi ogromny bukiet. Trzymając go już w ręce, chciała widocznie kogoś zawołać, czy zapytać, bo o krok się cofnęła, zawahała, ale namyśliwszy się snać, pozostała na balkonie, przyglądając się kwiatom. Po długiej chwili dopiero weszła nazad do pokoju, zabierając z sobą bukiet! — Miałam ochotę zawołać, że wiem zkąd on się tam znalazł, ale wstrzymałam się naturalnie, bo i na cóż ją biedaczkę niepokoić?

— Myślisz ty, że ona nie wie zkąd ten bukiet pochodzi.

— Że nie wie, na to bym przysięgła! Kto, jak ja od roku śledzi co się tam dzieje, ten może być pewnym niewiadomości pani Ewy!

— Komedjantka! — nic więcej.

Zachmurzyła się Rózia.

— Fe! złym jesteś! — krzyknęła. — Dla czego potępiasz, nieprzekonawszy się wprzódy? — Cóż w tem złego, że ktoś bukiet rzucił na balkon?...

Kuba ruszył ramionami tylko.

— Gotówbyś może kiedy i mnie posądzić jeszcze! — zawołała unosząc się wielce oburzona. — Jak Boga kocham, ten bogacz Karafarosz, od dawna słodkie miny do mnie robi daremnie!

Kuba zaczął się śmiać ucieszony.

— Karafarosz, słowo daję, a to mi się podoba! Ej-że Róziu, niedaj mu się! to człowiek niebezpieczny!

Włożył kapelusz na głowę, posłał jej od ust całusa i wyszedł.

— Potrzebna mi teraz, a raczej jej okno! — myślał wychodząc — inaczej!... — machnął ręką.

XII.

W mieście panowała dyfterja. Straszna ta choroba zabierała mnóstwo ofiar. Codziennie po kilka pogrzebów szło przez ulice. Były domy, gdzie naraz wymierały dzieci wszystkie. Ileż matek okrytych żałobą złorzeczyło niebu, ileż innych, wymawiając drżącemi usty „bądź wola twoja!“ uczyło się najwyższej cnoty, jaką jest rezygnacja chrześcijańska. Pierwszym dziwić się niepodobna, przed drugiemi schylać czoło wypada. Zgadzać się z beznadziejnem „dzisiaj“ gdy „wczoraj“ jeszcze mieściło tyle szczęścia, marzeń tyle, przyjmować życie, gdy nie ma już żyć dla kogo, gdy pierś pęka z bolu, a przyszłość zdaje się być pustynną drogą, wiodącą bez celu przez smutne krainy osamotnienia zupełnego, zaiste, jest rzeczą trudną, i wielkiej duszy wymagającą! Nie każdy zdobyć się na to może.

Ewa ginęła z trwogi o Anielcię. — Na wieść o dyfterji zadrżała do głębi, a choć starano się przed nią ukrywać prawdę straszną, choć lekarz zapewniał, że nie ma się czego lękać, że powietrze na Nowym świecie, o wiele lepszem jest i czyściejszem, niż w środku miasta, ona lękać się o życie dziecka nie

przestawała... Nie miała wcale już chwili spokojnej straciła zupełnie sen, apetyt — nie można jej było nawet namówić, aby się czemś posiliła, lub na łóżku spoczęła. — Gdy zmęczona długiemi naleganiami poddawała się im wreszcie, ledwo znalazła się na pościeli, zrywała się znowu biegnąc do kołyski Anielci i schylała się nad nią cała drżąca, nadsłuchując oddechu spiącej dzieciny. Zdawało się Ewie ciągle, że teraz nadeszła chwila spełnienia się jej lęków tajemnych, że to, czego od dawna się bała, stało teraz blisko tuż za drzwiami, czekało tylko, rychło li ona odejdzie, aby dziecko porwać i zdusić. Zasłaniała je zatem kochającą piersią, broniła je z niewyraźnem jakiemś przekonaniem, że onieśmielona śmierć nieustannem matki czuwaniem, cofnąć się będzie zmuszona od progu. Czyniła z siebie tarczę, zagradzającą drogę chorobie, ofiarując swoje życie, w zamian za życie Anielci, cichem tem poświęceniem jakoby zażegnując niebezpieczeństwo. — Cierpienie nieustanne, z lęku pochodzące strasznego, stało się Ewy udziałem — nocy długie, wśród których okropniejszem jeszcze wydawało się wszystko — dni długie, wśród których każde drzwi otwarcie zdawało się zarazie drogę torować; z niewymowną trwogą przebywała godziny panującej choroby, z rozpacznem przeczuciem w piersiach myślała, że nie doczeka szczęśliwie końca epidemji groźnej. — Nie mogła rozmawiać o niczem innem prócz dyfterji, ciągle liczyła zmarłe dzieci, płakała nad osieroconemi matkami. Gdy zagadywano czemkolwiek, chcąc ją rozerwać, gniewała się i powracała do smutnego przedmiotu... Strwożona, roz-

paczała już naprzód, choć nic nie zdawało się jeszcze zapowiadać nieszczęścia... Anielcia zdrowo wyglądała, bawiła się, szczebiotała jak zawsze. Tylko, jeźli pierwej, szczebiot jej wywoływał uśmiech szczęścia na promienne lica Ewy, teraz łzy lały się strumieniem z oczu matki, gdy dziecina rączki wyciągając, kładła usta na jej ustach, i przytulała się do niej. Namówiono lekarza, by utrzymywał przed Ewą, że epidemja znacznie się zmniejszyła, że straciła już swój groźny charakter, ale ona trząsła głową uparcie powtarzając:

— Czuję niebezpieczeństwo! Spokojną być nie mogę!

Pani Oven nie odstępowała Ewy, gniewała się na wnuczkę, i strofowała ją, przemawiając do rozsądku...

— Po cóż — mawiała — ta rozpacz i zwątpienie, kiedy nie ma do nich żadnego powodu? Przewidywać złe niepotrzebnie, to gorsze jeszcze, niż je lekceważyć... Rozstrajasz się, tracisz zdrowie, a tu prawdziwie nie widzę żadnej, by najmniejszej do niepokojów i udręczeń przyczyny!...

Ewa milczała.

Dnia jednego, dziecko nagle posmutniało, pokaszliwać zaczęło, główkę miało rozpaloną. Pod wieczór leżało już w gorączce. Dostało dyfterji.

Ewa upadła na klęczki, suchemi oczyma wpatrzyła się w dziecko i szepnęła: Stało się!... Potem już nic nie mówiła. Gdy lekarz zapowiedział dyfterję, nie krzyknęła nawet. Od czasu do czasu słyszała tylko pani Oven, jak Ewa szeptała: o Boże!

Milcząca ta rozpacz przerażała wszystkich... Nie straciła jednak Ewa przytomności, nie odstąpiła kołyski. Wypełniała polecenia lekarza, zadawała lekarstwa dziecku sama, siliła się robić, co do niej należało... Ale myśl w niej widocznie słabła; pytała się ciągle pani Oven „która godzina?“ jakby trudno jej przychodziło miarę czasu pochwycić!... Chwilami z cichym jękiem chwytała się za głowę, czując jak wszystko się tam mięsza... Ile minęło tak dni, czy godzin, Ewa nie wiedziała wcale. Męka jej zdawała się trwać wieki! Anielci pogorszało się... dziecko walczyło ze śmiercią, dusiło się, konało... ona patrzyła ciągle na to suchem okiem, z dziwną, skamieniałą spokojnością. Może myślała, że nie będąc już potrzebną, dopełniwszy co do niej należało, i ona umrze razem z dzieckiem? Serce jej pękało, dla czegożby pęknąć nie miało?... Straszne cierpienie, widocznie chwilę każdą ryło na jej twarzy bruzdą nową. Wyglądała tak, jakby lata przeżyła, w krótkich tych dniach paru.

Aurelja przychodziła namawiać bratowę do kościoła; nie miała pociechy innej dla niej, a gdy Ewa nie słyszała nawet, co do niej mówiono, zwracała się do pani Oven.

— Trzeba, żeby poszła — niech ją pani nakłoni.

— Nie podobna! gdyby tymczasem pogorszyło się Anielci, cóżby się działo z Ewą? — odpowiadała cicho p. Oven.

— Wola Boga! nie odwrócimy jej przecie! — uparcie powtarzała Aurelja.

— Ewie niepodobna nawet mówić o opuszczeniu dziecka... dajmy jej pokój! — szeptała babka.

— Lepiej by zrobiła, zamiast klęczyć przy dziecku, żeby do kościoła poszła! — I pochylała się ku Ewie, usiłując odciągnąć ją od Anielci.

Ewa nieruchoma stała, zasłuchana w ciche jęki swego dziecięcia. — Słowa Aurelji nie dochodziły do jej uszu. Nie rozumiała zresztą jak można odstąpić chorą dziecinę — czuła, że miejsce jej było tutaj.

Pan Józef w drugim pokoju, łamał ręce, rozpaczając nad dzieckiem i żoną, której stan go przerażał.. Bał się o Ewę. Tego łatwo bardzo opanowywała Aurelja; — kazała mu iść za sobą. Z kościoła uchodził w pół mszy, choć modlił się przejęciem, bo niepokój silniejszym był i ciągnął go do domu. Nieprzytomny biegł napowrót, zapominając o świecie całym... podczas gdy Aurelja za bratem zgorszone wysyłała spojrzenia.

Co się działo z Ewą, gdy dziecię skonało, opisać nie podobna. Rzucała się na ciałko, to do nóg lekarzom, głową biła o ściany... szalała... Józef usiłował zrazu żonę odciągnąć od kołyski, ale wszelkie słowa zamierały mu na ustach... Czyż mógł mówić o pociesze, biednej, zbolałej matce, co swoje wszystko straciła?! Chodził blady od żony do dziecka, i głębokie przywiązanie jego zdradzało się boleścią silną. Ewa mdlała co chwila... po strasznych, rozpaczliwych szamotaniach, uchodziły siły. Zrywała się jeszcze i biegła do Anielci, ale wnet na ziemię bez zmysłów padała. Widoku tej śmierci znieść nie mogła, jak nie mogła pogodzić się z myślą, że Anielcia nie żyje... Wołała na nią po imieniu, zaklinała pieszczotliwemi wyrazy, by jej nie zostawiała samej, budziła jak dziecię uspione. — Ostatniego dnia ocuciła się nagle, przyszła jej myśl, że pogrzeb się zbliża, że zabiorą Anielcię. Musiała się jeszcze napatrzyć na nią... I myśl ta, że pogrzeb nastąpić musi, że chwila nadejdzie, w której wyniosą z domu trumienkę małą, przemogła w Ewie ból straszny, dała siły, wróciła przytomność. Chciała być do końca z dziecięciem swojem, odprowadzić je na miejsce wiecznego spoczynku, pamiętać tylko o niem.

I spokojna na pozór, sama ubrała ciałko.

Widzieliście kiedy matkę, wkładającą do trumny dziecię swoje? Jak je bierze drżąca w objęcia, podnosi na rękach, czesze włosy, całuje w usta sine? Żadne pióro nie odda tego, coście widzieli — nieprawdaż?

Ewa usiadła znowu obok Anielci, strzegąc jej ostatniego snu, jak strzegła życia.

I stało się z nią to, co się dzieje z każdym z nas, w chwilach choćby największych boleści. Spodziewała się, że jej serce pęknie, a ono nie tylko nie pękało, ale pozwalało czuć, myśleć, pamiętać jak zwykle, pozostając mimo wszystkiego tem samem sercem ludzkiem, małem, dziwnem, co umie odrazu boleć całem sobą, i snuć dalej wątek myśli powszednich, jakby nie zaszło nic! — Bo czyż nie zaczynało ono na przekór otwartej trumny dziecka, wywlekać z zakątków pamięci Ewy, jakichś obrazów i wspomnień dawno zapomnianych, niezgodnych bynajmniej z chwilą obecną — odtwarzać zrosłych z niem dziejów przeszłości — co budziły się nagle z niezwykłą mocą w piersi biednej kobiety, choć odtrącane po-

wracając uparcie i ciągle? — Och! jakże nienawidziła się za to — jak obwiniała srodze — jak dziwiła nieczułości swojej! Wszak powinna była tylko o swej boleści pamiętać?! — Zapominała, że przeznaczeniem naszem pogubić na ścieżce żywota wszystko, co drogie i miłe, i iść dalej i żyć do końca... i wyrzucała sobie, jak grzech ciężki, że coś jeszcze odzywało się w niej, jakby tęsknoty echem, za minionem, za niezakosztowanem — i czołem bijąc o ziemię wołała z głębi duszy: Bóg mię karze!

I żeby wyrwać się z zaczarowanego koła myśli, które w obec świeżego bolu wstawały z martwych, one co wypływały z pierwszego rozdarcia, a teraz łączyły się z tym drugim ciosem w jeden łańcuch uczuć i cierpień serdecznych, dowiadywała się o szczegóły pogrzebu, rozporządzała, zmieniała rozkazy — wypytywała babkę o rzeczy maleńkiej, życząc sobie, by nic z nich się nie zapodziało - - wskazywała p. Oven gdzie znajdzie kluczyki, aby Józef mógł mieć obiad swój i wygodę wszelką — przypominała sobie, że musi być głodny i że dla siebie nie poleciła jeszcze zrobić żałoby.

Ten pozorny spokój omylił męża; przyszedł namawiać żonę, by się posilić zechciała, przedstawiając, że o sobie pamiętać powinna.

— Jest przecież tu Aurelja — dodał — jeźli ona wśród żywych do niczego, zda się przynajmniej pilnować umarłych. — My więcej jeszcze dzieci mieć możemy.

Ewa spojrzała na męża dziwnym wzrokiem, potrząsła głową, załamała ręce i odtrącając Józefa — zawołała:

— Ty myślisz, że gdybym ich miała nawet kilkoro, mniejbym uczuła stratę jednego?!

Józef widząc, że nic nie poradzi, namyśliwszy się, posłał po Herminję.

— Zmiłuj się pani! — rzekł gdy przyszła — trzeba coś robić! — Ewa słuchać mię nie chce — gotowa zmysły stracić!

— Powiedz pan, że ja tu jestem, przecież przyjąć mię musi — wymagają tego najprostsze prawa grzeczności. Do pokoju dziecka wejść się boję... mogłabym się zarazić.

Ewa jednakże widzieć Konradowej nie chciała. — Tem mocniej zaczęła Herminja tedy, żałować męża tak dziwacznie nierozsądnej kobiety. Jak mogła Ewa podobne komedje wyprawiać?

— Ja także straciłam dzieci kilkoro, a przecież nie zapominałam nigdy, com drugim była winna! — mówiła oburzona

Aurelja potakiwała. — Obie utyskiwały jednakowo, gorsząc się i ganiąc Ewę — i szeptały długo z sobą' aż wyczerpawszy ten temat, o czemś innem mówić zaczęły... Trzeba było przecież tego biednego Józefa trochę rozerwać! Nieznacznie zatem przeszły w ton pogadanek codziennych, głos podnosząc. Herminja zwróciła się uśmiechając do pana domu. — Na odchodnem ścisnąwszy mu ręce szepnęła:

— Przyjdę znowu, bo mi żal pana!

Pomyślał wzruszony, że dobre bardzo miała serce.

A tymczasem biedna matka przy trumience małej płakała. Chwilami podnosiła głowę, z za łez patrzyła na dziecię i pytała siebie, jak żyć potrafi?

Straciła wszystko, co było jej szczęściem — zdawało się jej, że pozostała sama zupełnie, bo czuła się tak samotną! — Na co Bóg dał jej dziecię? Czy po to, aby tem mocniej ręka Jego zaciężyła na niej?

— Gdy wóz czarny stanął przed domem, a do pokoju weszli ludzie, obojętnie spełniający służbę śmierci, gdy zamknęli wieko i wzięli na ręce, żeby unieść daleko i na zawsze, Ewa sądziła chwilę, że serce jej własne wydzierano z piersi i zabierano z trumną — zdrętwiała cała, chciała krzyknąć, głosu dobyć nie mogła — i jak automat, nie wiedząc już co czyni, z widokiem tym jednym przed oczyma trumny unoszonej, która ją ciągła za sobą, ruszyła się z miejsca i poszła nieświadoma siebie, wzroku nie odrywając od bolesnego przedmiotu, co nie należał już do niej, a tak zupełną był jej własnością! — Ktoś ją pochwycił, wsparła się bezsilna, idąc ciągle, choć nogi odmawiały posłuszeństwa. Z jednej strony prowadził Ewę mąż, z drugiej Stanisław, a ona nie spostrzegła tego nawet.

Józef posłańcem umyślnym zawiadomił był kuzyna o nieszczęściu, napisał mu, że Ewa niepokojem nabawiała go wielkim, prosił by przyjechał, i nie opuszczał ich w chwili okropnej, w której wszelkie (jeźli miał jakiekolwiek) niechęci i żale, umilknąć były powinny!...

Stanisław przybył na pogrzeb. Ewę ujrzał dopiero w chwili ostatniej, i przerażony został wyrazem boleści i obłąkania, które w jej oczach ujrzał.

Około wykopanego dołu, ciekawi cisnęli się, wspinając na palce, garnąc jak najbliżej, aby lepiej widzieć. Co? czy łzy matki, czy w ziemię spuszczaną trumienkę? Ksiądz Pafnucy czekał z kropidłem, zmęczony gorącem i długim pochodem. Grabarze głośno wołali na siebie, służba pogrzebowa spieszyła się. Ewa przyklękła nad otwartym grobem, w którym znikała trumienka, i musiano odnieść ją do powozu zemdloną.

Stanisław po lekarza poleciał, i z nim razem dopiero wrócił do willi. Nie wypadało mu być przy tej, którą otoczyli mąż, babka i służba, na łóżku składając, ale pozostał w drugim pokoju. Tu nadsłuchując, czekał długo, zanim Józef wyszedłszy, zobaczył go i wyciągając ręce ku niemu — zawołał:

— Otworzyła oczy nareszcie! — Ale stan jej okropny... lekarz... — tu łzy odebrały mu mowę — lekarz lęka się o nią! Chodź, zobacz!...

Na palcach zbliżyli się obaj do leżącej Ewy. Gdyby nie oczy roztwarte szeroko, byłaby mogła się wydawać umarłą. Staś wziął na bok lekarza i usiłował zapytać spokojnie.

— Cios był straszny! — odrzekł mu tenże — boję się... trzeba, żeby płakać mogła... inaczej! — zrobił rękami ruch zwątpienia. — Robię co mogę.. Zresztą, wątpić się nie godzi, do ostatniej chwili..

Józef znów przywołał Stanisława.

— Patrz, jaka zimna — i włożywszy rękę Ewy w dłoń Stasia, cofnął się do okna, oparł czoło o chłodną szybę, i szlochać zaczął głośno.

Spojrzenie Stanisława spoczęło na twarzy marmurowo nieruchomej i bladej Ewy. Nie mógł oczu od widoku tego oderwać. Z ręką Ewy w swojej dłoni, stał zapatrzony, a dziwne, szalone myśli cisnęły mu

się do głowy, strasznem, rozpaczy pełnem uczuciem biła i wzbierała pierś jego... Nie wierzył, by ona mogła umrzeć, całą siłą gorącego pragnienia przywoływał ją do życia, a jednak radby był w tej chwili umrzeć z nią razem. Czuł, żeby jej nie przeżył! — Gorąca ręka jego cisnęła zimną dłoń nieszczęśliwej, a serce zdwojonem tętnem uderzało w łonie.... I coś magnetycznego musiało być w dłoni jego, jakaś cząstka gorących, głębokich uczuć, z ręki jego płynąć musiała w obumarłe ciało, bo najprzód drgnienie nieznaczne wstrząsnęło nieszczęśliwą, potem wzrok jej zwolna tracić zaczął swą nieruchomość i szklistość, powieki poruszyły się, po twarzy przemknął słaby odcień życia, usta zaciśnięte kurczowo rozwarły się, oczy zaczęły patrzyć przytomniej, i na Stasiu spoczęły. Poznałaż go, czy nie? — nie mógł tego odgadnąć — widział tylko, że na niego spoziera ciągle... Patrzyła, patrzyła, jakby sobie przypominała coś, jakby myśl jej powracała ze zmroków, w których dotąd się nużała, do światła dziennego, do życia. Aż nagle, dwie łzy dobyły się z pod powiek, i zwolna pobiegły po twarzy... za niemi potoczyły się drugie... Ewa łkać zaczęła i wstrząsana tem łkaniem cała, z głową zanurzoną w poduszki, zbudzona cierpieniem, oddechała, żyła...

Lekarz polecił, żeby niczem wybuchu boleści uspakajać się nie starano.

I wziął za kapelusz — mówiąc:

— Teraz już możecie być państwo spokojni! Ja powrócę za godzinkę, bo mam chorych innych, którzy czekają.

Józef odprowadzić go ofiarował się, chcąc wstąpić

do matki i uspokoić staruszkę.

Przy Ewie została babka i Stanisław.

Spojrzał błagalnie.

— Niech mi pani pozwoli zostać — rzekł — zdać się mogę!

Skinęła przyzwalająco, złamana. Przysunął jej fotel, przyniósł szklankę wody i podnóżek... Ewa ciągle łkała... Wyszedł na palcach... Z jakiemże uczuciem w piersiach przechodził teraz przez pokoje, gdzie nic przedtem nie widział! — Rozglądał się w około, jakby przesiąknąć pragnął wrażeniem mieszkania Ewy. — Widne były tu przyzwyczajeń codziennych ślady. Całe życie ciche, zajęte, rozumne, myślące, lubujące się w tem, co prawdziwie piękne i użyteczne, patrzyło z każdego kąta, witając go uśmiechem spokojnym. Ślady zwykłych zajęć, przerwanych piorunnem nieszczęściem, odźwierciadlały się wszędzie... Stały kwiaty, w grupy wdzięczne zebrane, trochę smutniejsze tylko, bo nie podlewane. Leżały książki i pisma świeże — kosze otwarte z robotą zaczętą — wypisy, notatki, gospodarskie rachunki — a dalej zabawki dziecka na ziemi, przy kanapce, gdzie matka zwykle siadywać musiała... Na stole znalazł Stanisław rękawiczek parę i bukiet kwiatów zeschłych; obok nożyczek ogrodowych i książki z przepisami kuchennemi. — Na fortepianie otwartym, leżały jeszcze nuty i ten sam utwor, który niegdyś przechodząc koło willi przez okno usłyszał. Kilka dzieł sztuki, wiele ojczystych pamiątek jako dowodów, że Ewa umiała czuć i myśleć po polsku, widniało tu i owdzie. — Duża fotografia dziecka na sztaludze, zajmowała róg

gabineciku ślicznego. Staś stanął w oknie — zkąd znów ujrzał ogród i ławeczkę, bielejącą wśród drzew, naprzeciw balkonu, i na pamięć mu przyszła noc owa, gdy za pomocą drabinki sznurowej, dostał się tu jak Romeo przez parkan, szaleńszy od Romea, bo Julia nie czekała nań wcale! Wrażenia tej nocy powróciły z siłą całą; przypomniał sobie, jak się czuł nieszczęśliwym, znalazłszy się w ogrodzie! jak gorzko powtarzał w duszy, że ani śladu po nim tu nie będzie, że Ewa ani dowie się nawet, że był jej tak blisko! — Zniknąć milcząco musiał z ogrodu, tak zupełnie, jak zniknąć ta noc czarna musiała, za nastaniem poranku! Żałował wtedy, że przyszedł... Czy zgadła, że kwiaty, które rzucił na balkon, były nieśmiałym zadatkiem jego pamięci, że czyn szalony, był owocem nieprzezwyciężonej chęci zbliżenia się ku niej! — O życie! życie! jakżeś ciężkiem i trudnem! — pomyślał.

Zwiesił głowę smutnie, a w tem uczuł lekkie na ramieniu dotknięcie.

Pani Oven stała za nim.

— Czy zechcesz pan odprowadzić mię do domu? — mówiła. — Mam kilka rzeczy do załatwienia, nie byłam tam od... dni paru! Na noc powrócić muszę tutaj. Ewie lepiej znacznie jest teraz — dodała, widząc spojrzenie pytające Stasia. — Zasnęła i Józef znajduje się przy niej... Chodźmy panie Stanisławie.

Milcząco podał jej ramię, czując na sobie jej wzrok wnikający do głębi. Wyszli.

— Biedna Ewa! — szepnęła p. Oven, pierwsza przerywając milczenie — jak ona cierpi! A jak cierpieć później będzie, gdy otoczy ją znowu codzienne życie, gdy wejdzie w nie napowrót, i znajdzie taką pustkę! Ach! niezbadane są wyroki Boga! Niezrozumiałemi one dla nas, którzy widzimy tylko jedną stronę tego, co dla Niego widnem jest całe!... Dziecko to, było wszystkiem Ewie!...

Przerwała, jakby się bojąc, że powiedziała zanadto... Ale przepełnione tak miała serce, że mimowolnie słowa cisnęły się na usta.

— Jam już stara, i dni moje policzone — rzekła znowu. — Ewie potrzeba celu do życia... Józef, choć najlepszym jest człowiekiem, ale... — znów urwała. Spojrzała na Stasia. Zdołał panować zawsze nad sobą, uśmiechał się więc i teraz, jak ktoś, co życzliwym będąc, obojętnym jest zresztą. Wyraz jego twarzy trochę ją uspokoił. Przypomniała sobie, co ludzie mówili o nim i Herminji, i z ufnością większą zwróciła się ku niemu. — Mógłby zastąpić brata Eweli! — pomyślała. — Dar ujęcia sobie każdego, oddziaływał już na nią. Coraz życzliwiej opowiadała mu o chorokie Anielci, o rozpaczy Ewy.

— Jej by potrzeba kogoś — rzekła nareszcie — żeby ją umiał rozweselić, natchnąć lepszemi myślami... Mąż nadto ponury, Aurelję pan znasz!... Pan byś powinien zaopiekować się Ewelą!

Staś drgnął.

Doszli już do pomieszkania i Stanisław pożegnawszy panią Oven, miał podążyć na górę do ciotki, którą wypadało odwidzieć, gdy głosy jakieś, dosyć żwawe, doszły go ze wschodów. Nie mając ochoty w usposobieniu, w jakiem był, z kimś się spotykać,

chciał już odejść. W tem usłyszał Aurelję, mówiącą do kogoś, którego widocznie żegnała:

— Więc we czwartek na pewne do widzenia? — pamiętaj! Ksiądz Pafnucy bardzo jest punktualnym. A każ przygotować, proszę cię, kawę mrożoną... smakowała mu ostatniego czwartku, tylko zamiast grzaneczek, coś tak... delikatniejszego, wiesz?

Drzwi się zamknęły, zaszeleściała suknia i Staś znalazł się twarzą w twarz z panią Herminją.

— A! to pan!

— A! to pani!

— Proszę — myślałam, żeś pan u Józefowej jeszcze.

— A ja nigdy nie myślałem, żebyś pani księdza Pafnucego mogła przyjmować!...

— Cóż pan chcesz? — odrzekła szybko, oglądając się ostrożnie. — Zapomniałeś pan, że nas widziała?!...

— Aha! — odparł Stanisław — rozumiem.

— Przecież to naturalne, że muszę uważać, aby w opinji świata mi nie zaszkodziła... Małe robię ustępstwo... czyż mi może kto brać to za złe?

I wsuwając rękę pod ramię Stasia, dodała:

— Spodziewam się, że mię pan odprowadzisz.

— Przepraszam! muszę ciotkę odwidzieć! Chora.

— A pan się stałeś tak miłosiernym — odrzuciła z szyderstwem.

Skłonił się, i podążył na górę, podczas gdy niezadowolona Herminja wybiegła w ulicę.

Cichy dom państwa Józefowstwa, stał się jeszcze cichszym, odkąd go okryła żałoba. Pani Ewa, odchorowawszy ciężką boleść, cudem dźwignięta z łoża, jak cień przesuwała się po swojem mieszkaniu. Pan Józef znudniał i ociężał bardziej. Pilnował już tylko swoich godzin i biura, jakby w tem jednostajnem zajęciu, szukał zabicia wszelkich myśli, z któremi nie umiał sobie dać rady....

— „Kochany kuzynie!“ — pisywał teraz często do Stanisława — „u nas tak okropnie smutno, jam tak nie zdatny do rozerwania żony, Ewa tak zrozpaczona i obojętna na wszystko, że zrobisz uczynek miłosierny, przyjeżdżając! Jesteś wesołym i zawsze w dobrym humorze; — przybądź przez litość; — może Ewę trochę rozerwiesz i pocieszysz.“

I Stanisław wzywany, przynaglany ciągle, przyjeżdżał... Zrazu Ewa przyjmowała go obojętnie, niechętnie prawie; uciekała do pokoju swego, zamykała się otaczając pamiątkami po Anielci, sukienkami dziecka i cackami, i tam płakała godzinami. Lub na cmentarzu trzeba było jej szukać, gdzie zemdloną znajdywano, na mogiłce leżącą... Szła tak, do źródła boleści swej, napić się jej, odżywić żałość ciężką, za przewinę sobie poczytując, najlżejsze rozerwanie myśli, najmniejszą niepamięć...

Długo daremnie Stanisław zaklinał, aby pamiętała o zdrowiu swojem, aby starała się nie poddawać i trochę męztwa obudzić w duszy... i Ewa, która wiedziała, jak mu bolesną jest ta jej rozpacz ciągła, błagana, odciągana gwałtem, gdy Stanisław zastawał ją w łzach nad zabawką lub sukienką dziecinną, mę-

czona naleganiami, wstrzymywać się zaczynała od płaczu przy nim, zadawała sobie przymus, który zrazu ciężki, powoli dobroczynny wpływ na nią wywierać zaczynał, i tem samem pozwalał odpocząć po łzach nieustannych.

Zwolna obecność Stanisława zmieniała się w potrzebę, przynosząc ulgę... Umiał słuchać użaleń, umiał użyć przewagi swojej, przemawiać po mężku, a Ewa posłuszna, nie uciekała już, nie unikała go jak pierwej. Rozmawiali o rzeczach obojętnych, zawsze o zdarzeniach dnia. Staś dawał myślom Ewy pokarm świeży, zwracając je na przedmioty zajmujące, o których umiał opowiadać, mieszając do opowiadania spostrzeżenia własne, zdania i uwagi tryskające takim dowcipem, humorem i rozumem, że żywą obudzić musiał uwagę. — Widywali się często, jak dobrzy znajomi tylko. Miejsce, które zajął teraz Stanisław w życiu Eweli, wpływ, jaki wywierał na niej, coraz więcej jednak nabierały znaczenia. Potrzeba widywania się u obojgu wzrastała... Spędzali ze sobą długie godziny, nie spostrzegając nawet, jak długiemi były. Brakowało im czegoś, gdy nie znajdowali się razem.

Tak minęło kilka miesięcy.

Kuba, chodzący zawsze do domku Rózi, i odwidzający ją pilniej niż kiedy — o każdej bytności Stanisława był uwiadomionym...

Donosił też o wszystkiem najregularniej pani Herminji, złośliwe dodając uwagi, i tem większy kładąc nacisk na nie, im niepokój pani Konradowej się wzmagał, i ciekawość jej chciwa szczegółów, upoważniać go zdawała się, do wzrastającej poufałości w do-

nosach. P. Herminja zapraszała go na herbatki i obiady, wiedząc, że Kuba nigdy nie przyjdzie z gołemi rękami.

Z drugiej strony znów posyłała pana Konrada do Stasia, przynaglała, obrzucała gradem wymówek, gdy się od odwidzin u nich uchylał, a gdy przychodził znów, Konrad prześladował go przesiadywaniem długiem w mieście, i częstem przyjeżdżaniem.

— Słyszałem — mawiał — że kochanego mego pana, tak tam w jego powiecie szanują, że go chcą gwałtem marszałkiem zrobić. Bieda tylko z tem jeżdżeniem twojem!... Nie mógłbyś trochę posiedzieć w Gródkowicach?... Sprawa publiczna cierpi, gdy się włóczysz, a współobywatele i sąsiedztwo waha się powierzyć ster swoich spraw, pędziwiatrowi takiemu!.. Powinieneś już trochę się ustatkować, dalibóg!

Staś śmiał się — ruszając ramionami.

— Ani im się śni wybierać mnie, ani mnie w głowie, marszałkowstwo żadne!

— Gadaj zdrów! Odkąd udało ci się pchnąć tę sprawę szczęśliwie o drogę gródkowiecką, rady dać sobie nie mogą! Polubili cię wszyscy, nie mają dość słów uznania dla ciebie!... Szlachta cieszy się, że ich dryndule łamać się już nie będą po grudzie, ani grzęznąć w błocie, nie jeden, ba! myśli już o karecie nowej! Cóż dziwnego, że za taką usługę wynagrodzić cię pragną! Wszak bezpieczni są już o resory!

— I koście swoje — dodawał śmiejąc się Stanisław. — Ale czy ty na serjo myślisz o urzędzie marszałka, jako o wynagrodzeniu dla mnie?

— Zapewne! alboż co?... Uhonorują cię!...

— Tak, a potem szarpać będą, krzyczeć i wygadywać...

— Ba! posiadasz energji dosyć, nie dałbyś się... Powiat miałby pożytek...

— Pożytek? bój się Boga! gdy się ma dłonie związane? Dajże mi ty pokój...

— Jakto, odsunąłbyś się? Otóż to tak u nas! Zaraz każdy ręce opuszcza i naokoło się ogląda...

— Powiedże mi na serjo — ty wierzysz w rady powiatowe?

— Jakto? — nie rozumiem!

— Że coś zrobić mogą?...

— Co bo wygadujesz!

Stanisław wzruszył ramionami.

— Póki egzekutywy mieć nie będziemy...

— Ależ miło módz choć się wygadać swobodnie! — zawołał Konrad. — Ja przynajmniej nakrzyczę się, gdy mi się podoba!

— Zapewne — mruknął niechętnie Stanisław.

— Ty byś wolał, żeby cię posłem wybrano, co? W miasteczku u nas byś przesiadywał ciągle.

— Nie staram się o żadne zaszczyty.

— No, nie gniewaj się! — Może zagramy w karteczki? Choć moja żona woli pogadankę, mówiąc, że karty: „cela la vieillit“, ale dla ciebie da się namówić. — Oj te baby, te baby! — powiadam ci, ani wiesz, jakie one pieprzne. — Zobaczysz, gdy się ożenisz.

— Ślicznie mnie zachęcasz, nie ma co mówić! Gdybym i miał ochotę, to by odeszła! — Westchnął, oczy mu błysnęły, jakby łzą nagle. Uśmiechem pokrył wzruszenie.

XIII.

Cichy śpiew fortepianu brzmiał w saloniku Ewy. Po raz pierwszy grała od śmierci dziecięcia.

Zmrok już zapadał; była samą. Wielkie grupy kwiatów stały w każdym kącie, w milczeniu słuchając. Postać Ewy odbijała blado na tle szarem cieniów, zalegających pokój. Pochylona, miała pozór zmęczenia i jakiegoś poddania się, ubezsilnienia zupełnego. Palce jej leniwo przebierały w klawiszach, których dźwięki smutne były, i zadumane jak ona; zdawały się jęczeć i skarzyć, nadmiar uczucia śpiewał z nich i coś ukrytego w nich drgało, bezsłownego, a przecież wymownego dziwnie. Pieśń mówiła o kochaniu czy tęsknocie rozpierającej serce, spowiadała się z miłośnych pragnień, może w duszy utajonych głęboko...

Na dole właśnie Stanisław wysiadał z powozu.

Doszła go muzyka. Tony dawniej słyszane, przyniosły z sobą nagle wspomnień mnóstwo. Zwolna szedł na górę, otwierał drzwi jedne po drugich, podczas gdy śpiew go przenikał, wciskał się w pierś, poruszając przeszłości wspomnienia, starannie zamknięte, przyłożone kamieniem silnej woli...

Dywany głuszyły jego kroki; stanął po za Ewą bez szmeru, słuchając dalej, bojąc się przerwać!

Na Stasia to prośbę próbowała teraz Ewa muzyki... Błogość dziwna napełniała jego duszę. — Muzyka i tak zawsze na nim wywierała bardzo silne wrażenie, miała moc rozstrajania go, cóż teraz mówić dopiero, gdy była dowodem ze strony Ewy słodkiego poddania się, posłuszeństwa? — Drżał cały, bo ten śmiejący się wiecznie, weselem dyszący, humorem wyśmienitym maskujący swe uczucia Staś, był w gruncie miękki jak kobieta; umiał on zaboleć, roztkliwić się, odczuć rzecz każdą głęboko, i tylko wydawać się nie chciał z usposobieniem i ciepłem swojem, a jeźli bronił się wiecznie wszystkiemu — jednej muzyce obronić się nie mógł...

Słuchał. Tęskne tony skarzyły się, a jemu serce biło. Namiętne uczucia dźwięczały w śpiewie, który cichy, wzruszający, płynął z jej duszy wprost do duszy jego. Stał wpatrzony w Ewę, i zdawało mu się, że to nie klawisze ale ona sama mówi. Muzyka jakby zbliżała ich, łączyła; nie była muzyką, lecz rozmową, którą dobrze rozumiał, na którą odpowiadał. — Nagle Ewa grać przestała i oczy zakryła; przystąpił żywo, pochwycił jej ręce w swoje i mimowolnie zawołał:

— O! nie płacz, miej litość nademną!... Wiesz, jak mi serce tem rozdzierasz! Boleść twoja czyni mnię najnieszczęśliwszym z ludzi... jesteś wszystkiem dla mnie!... Każda łza twoja spada mi na serce — o! nie płacz!

Otarła oczy, jedną dłoń zostawiając w jego dłoni.

Pierwszy raz tak do niej przemawiał. Nie dziwiła się jednak. Milczała. On pochylony i drżący, ona odwracająca twarz i bezwiednie przebierająca po klawiszach, przetrwali tak długą chwilę.

— Ewelo! Ewelo moja! — szepnął nareszcie.

Drgnęła. Wysunęła rękę, i zaczęła grać znowu. Ale tony plątały się, rwały. Ewa bladła, oddechała z trudnością, aż grać całkiem przestała. Głowa jej zbliżyła się ku niemu i opadła na ramię jego, gdy usta jej wymawiały z jękiem te słowa:

— O! jakże bardzo, bardzo nieszczęśliwi jesteśmy!

Patrzyli sobie w oczy, łzy zaciemniały ich wejrzenia, ręce pochwyciwszy się znowu, drżały. Nie potrzebowali słów, wiedzieli, że się kochają, że się zawsze kochali. Przyznawali się teraz w milczeniu do tej miłości, która tajemnicą już od dawna dla nich nie była.

— Dla czego nieszczęśliwi? — przerwał milczenie pierwszy Stanisław. — Nie Ewo, nie!... Jam nie raz myślał o tem!... Przyszłość do nas jeszcze należeć może. Zaufaj mnie.

Potrząsła głową smutnie.

— Ja już niczemu nie ufam! — Co mi tylko zaświeci, gaśnie zaraz, co nadzieją jakąś się uśmiechnie, wydartem mi zostaje... Miałażbym teraz ufać, gdy wszystko przeciwko nam się sprzysięga?! Jesteśmy rozdzieleni na zawsze!..

— Nie! — zawołał powtórnie — gdy się umie chcieć i chce się silnie a wytrwale, niepodobnego nic nie ma!...

— Unosisz się, łudzisz — odparła cicho — ja nic nie widzę! — Załamała ręce.

— Czyś nie słyszała o rozwodach Ewelo? — rzekł stłumionym głosem. — Czyż żoną moją być nie możesz?...

Ewie błysnęły oczy — słowa jego, jak iskrą elektryczną nią wstrząsnęły. Był wyrocznią dla niej, wierzyła mu, zdawało się jej, że omylić się nie mógł nigdy... A jednak:

— Żoną? — powtórzyła. — O Stasiu! Stasiu!

W tonie tych słów zamknęła wszystko, co jej pierś rozpierało.

— Ja się boję — szepnęła znowu — świat, ludzie, matka?...

— Oswoisz się z tą myślą, przywykniesz... Czekać będę, tylko się nie martw i nie płacz Elo moja...

Służący wniósł lampę i postawił ją na okrągłym stole.

Spojrzeli na siebie, jakby po raz pierwszy się widzieli. Staś zaczął ręce Ewy całować namiętnie...

Wstała, odsuwając go lekko, podchodząc do lampy i stołu.

— Mówmy jak dawniej — rzekła — czyż nam razem dobrze nie było? — O! chwile, które ci winną jestem, nie wyjdą mi nigdy z pamięci!... Tyś mię do życia przywołał... Nie wiesz może, że tylko dla tego żyję, żeś chciał!... Gdyby nie twoja obecność... wówczas... byłabym umarła...

Wzięła robótkę leżącą do ręki.

— Pamiętasz — rzekła znowu, podpierając głowę — pamiętasz wieczór u Herminji? Tyś mię wówczas także wybawił! Gdyby nie twoje słowa... kto wie, jaką byłabym dzisiaj! I jeźlim poszła za Józefa, to

także uczyniłam dla ciebie!... Czułam się zgubioną... musiałam w twoich oczach oczyścić się, podnieść. Ale... mówmy jak dawniej!...

— Wiedziałaś, żem był w ogrodzie, że bukiet odemnie pochodził? — zapytał Stanisław.

— Ach! prawda... opowiedz mi o tem. Jakżeś się dostał? Kiedy? Tak... przeczucie mi mówiło, że bukiet, który znalazłam na balkonie, od ciebie pochodził! Jakim sposobem, dojść mi było niepodobna!

I tak powracali zawsze do jednego.

Tama była zerwaną. Daremnie Ewa powtarzała: „mówmy jak dawniej!“ Dawniej, to jest wczorajszy dzień, a teraźniejsza chwila, były to dwie epoki zupełnie różne... Niepodobieństwem się stawało już dla nich, cofnąć się i zawrócić. Jeźli szli wstecz pamięcią, to tylko po to, aby poświadczyć o trwałości przywiązania swego... Gdy wybiegali marzeniem naprzód, widzieli tylko dalszy ciąg miłości swojej... Łączyli się myślami, wspomnieniami i wszystkiem. Czuli, że należą do siebie.

Jednakże Ewa, nie zdolna zdać sobie sprawy z różnicy ogromnej, która zaszła nagle w ich wzajemnym do siebie stosunku, powierzała się z ufnością Stasiowi, widząc ciągle w nim przyjaciela tylko, utrzymywała się też w granicach poufałości serdecznej i jego trzymając na wodzy... Miała coś w sobie czystego i dziewiczego, co broniło ją przed namiętnością. Nie wiedziała jeszcze, czem jest miłość każda, i dla tego nie trwożyła się, nie zastanawiała zbytnio... Spokój był w jej słowach, choć o przywiązaniu do Stasia mówiła.

Rozmawiali jeszcze, cali w uroku zwierzeń poufnych, które cisnęły się na usta długo zamknięte, gdy jak burza wpadła do pokoju Herminja.

Przypadkowem wcale to wtargnięcie jej nie było.

Przed godziną może, pan Józef wyszedłszy z biura, wstąpił do państwa Konradowstwa i tam mówiąc o tem i owem, napomknął, że Stanisław od kilku dni będący w mieście, codziennym jest u nich gościem. Dodał nawet, że i teraz pewnie przy Ewie znajdować się musi, z czego on się niezmiernie cieszy, bo ją trochę rozerwie i zabawi.

Konradowę dotknęły te słowa mocno; Stanisław nie pokazał się u niej wcale, choć bawił tutaj, a nadto miał ciągle przebywać u Ewy! Potwierdzały się więc donosy Kuby w zupełności, a ten mąż nawet był tak naiwnym, że się jeszcze cieszył z tego.

Porwała się żywo, nie namyślając długo, szepnęła mężowi, by p. Józefa na herbatę zatrzymał, a sama zebrawszy się cała wzburzona, kazała się wieść do willi na Nowym Świecie pierwszej lepszej dorożce, którą wybiegłszy spotkała w ulicy.

W przedpokoju Ewy sługa spytany oświadczył, że pani w domu.

— Jest kto z gości? — zagadnęła.

— Nie ma nikogo, oprócz pana Stanisława!

Z zaciśniętemi usty wbiegła do bawialni.

Wyobraźnia jej, miała czas poharcować, Bóg wie dokąd, na apokaliptycznym rumaku zazdrośnych podejrzeń i zdziwiła się, zastawszy siedzących przy stole. U Ewy w rękach zaraz dostrzegła robótkę, którą na widok wchodzącej niespodzianie młoda kobieta rzuciła żywo, powstając i idąc na przywitanie.

Podrażniona jednakże, ledwie skinęła Ewie głową i zmierzywszy bystrym wzrokiem Stanisława, zwróciła się od razu ku niemu.

— Słusznie pan postępujesz z przyjaciołmi! — zawołała.

— Jakto pani? — zapytał.

— Przesiadujesz pan u Ewy, a do nas nawet nie raczysz zaglądnąć?... — odparła.

— Właśnie miałem zamiar jutro...

— Jutro? A od wielu też dni bawisz pan już tutaj?!...

— Prawdziwie... nie wiem... nie liczyłem!

— Ale ja wiem! o bo przedemną nic ukryć nie można!

— Ja się kryć zupełnie nie myślałem!...

— Jednakże nie pokazywałeś się pan nigdzie!

Tych kilkadziesiąt słów, zostało wymienionych tak szybko, jak szybko przelatuje między dwoma rakietami lekki wolant, odbijany wzajemnie.

Staś widocznie był niezadowolonym. Ewy spojrzenie chodziło od niego do Herminji badawczo. Piękna pani uniesiona błyskała oczyma.

— Już to i Ewa przyzna — zwróciła się ku pani Józefowej — że moje prawa dawniejsze niż jej!... A i pan nie zaprzeczysz, że względy pańskie i pamięć jego, mnie się najpierw należą!...

Złośliwie czekała, co Ewa powie; ta oczy spuściła, unikając jej wejrzenia. Staś siłował w żartu wszystko obrócić.

— Tylko wdzięczny powinienem być pani, za ła-

skawe jej upominanie mnie.. Nie omieszkam korzystać z nauki i obiecuję poprawę!

— Rachując na nią, przyjechałam zabrać pana! Józef mówił mi, żeś tutaj — innego zamiaru nie miałam.

Ewa bawiła się jakimś dziennikiem, na którym paznokciem kreśliła rozmaite znaki. Zdawała się oczekiwać, co powie Stanisław.

— Pani daruje... — zaczął, spoglądając na Józefowę.

— Otóż to poprawa! — zawołała Herminja. — Nieprawdaż Ewo, że należy mi się więcej trochę względności? Szczerze powiedz! Spuszczam się na twój sąd!

Po chwili dopiero odpowiedziała Ewa nie podnosząc oczu:

— Jeźli masz „prawo“ — położyła nacisk na to słowo — i odwołujesz się na nie, po cóż mój sąd potrzebny? Stanisław jedynie wyrokować o tem może!

Głos jej był bez dźwięku. Stanisławowi niezmiernie przykro się zrobiło. Zniecierpliwiony zwrócił się do Herminji, która uśmieszek niedobry miała na ustach.

— Ja bo doprawdy nie rozumiem o co chodzi?! — rzekł niechętnie.

— Jedziesz pan do nas czy nie? — odparła Herminja.

— Dziś nie mogę! — odrzucił prędko i gniewnie.

Ewa zarumieniła się i podniosła oczy weselej.

— Józef nadejdzie niebawem — rzekła — przykroby mu było nie zastać kuzyna.

— Józef zostanie u nas! — zaśmiała się Herminja

zwycięzko. — A wam we dwójkę jakoś siedzieć nie wypada! Jak pan sądzisz, panie Stanisławie?

— Sądzę, że spędziwszy podobnie nie raz parę godzin, i teraz mógłbym przy Ewie pozostać, ale mając ważną sprawę, odejść tym razem jestem zmuszony.

Ewa uśmiechnęła się powtórnie. Konradowa wstała nie dając jeszcze za wygranę. Pokręciła się po salonie i zbliżywszy się do fortepianu, zagadnęła nagle:

— Grałaś? prawdziwie!... Cud się stał zatem!... No, zagraj jeszcze Ewelo!... Ja tak lubię twoje granie.

Prosiła i jakby rozkazywała zarazem. Musiała chcieć koniecznie wyrobić sobie à parte za Stasiem.

Może ją Ewa odgadła, bo potrząsła głową przeczęco.

— Zmęczoną się czuję — darujesz.

— Więc tylko pan Stanisław ma ten przywilej, że cię słyszeć może? — i zwróciła się w inną stronę, ku kwiatom.

— Chodź no pan tu! — skinęła na Stasia. — Jakże się ta roślina cudowna nazywa?

— Latania! — odrzekł nie ruszając się od stołu Stanisław.

— Ależ nie! Latanię znam, ta druga, co ma liście jak pióra.

— To Cicas — odparł obojętnie.

Gniewna, powróciła do stołu.

— Co to pani dziś tak botaniką zajęta? — zagadnął złośliwie.

— Jutro wybieram się do ogrodnika — wzięła leżące na stole rękawiczki i ubierając je: — No cóż

panie Stanisławie — jedziesz? — dodała.

— Miałem tę przykrość powiedzieć pani...

— Więc dobrze!... Sprowadzisz mię pan przynajmniej?... Ewa pozwoli?

Staś wziął kapelusz do ręki, zaciskając usta.

— Pan jesteś bez serca... bez sumienia! — zaczęła na schodach zaraz. — Co mi się działo, gdy dowiedziałam się, żeś w mieście od dawna!... Zazdrość odebrała mi wszelkie zastanowienie... Ja wiem, żeś pan niezadowolony ze mnie... że za złe mi bierzesz... lecz znać mię już powinieneś... nie umię ukryć nic..! połowicznie, chłodno brać rzeczy... Tylko obojętny panować nad sobą potrafi.

— Pani — te wymówki...

— Może nie zasłużone, co? Przesiadujesz u Ewy.

— Cóż ztąd?...

— Więc pan nic nie wiesz?... Ludzie obwiniają was... ogadywać zaczynają!

— Pani wierzysz obmowom?

— Gdybyś jej nie kochał, nie kompromitowałbyś Ewy! — zawołała gwałtownie.

Odsunął się od niej niechętnie, dotknięty. Stali przy dorożce. Wsiadła, chłodnym ukłonem ją pożegnał i drzwiczki zatrzasnął powozu.

— Do jutra! — rzuciła mu jeszcze.

— Oby nigdy! — pomyślał i wrócił na górę.

Zastał Ewę poruszoną i niespokojnie chodzącą po bawialni. Wyciągnęła, ujrzawszy go, obie ku niemu ręce.

— Ach! dziękuję ci!... Nie uwierzysz, jak się bałam...

— Czego?

— Myślałam, że z nią odjedziesz ...

— Dziecko!

— Więc jej nie kochasz? — nigdy nie kochałeś?

— Nigdy! Chcesz, abym przysiągł?...

— Nie, wierzę ci na słowo... Ależ ona ciebie kocha? — i trwożnie spojrzała w oczy Stasia. — Pójdziesz tam jutro...

— Jeźli pragniesz tego, nie pójdę nigdy... powiedz tylko, a posłucham!

Ewa potrząsła głową w milczeniu.

W jakiś czas potem, Konrad wpadł do żony, z wiadomością, że Stanisław został wybrany posłem. Zdawało mu się, że ją to ucieszy... Szereg miłych i smacznych herbatek, mignął mu w wyobraźni. Rad był, że Stasia często mieć będą u siebie.

Z wielkiem swojem zdziwieniem spostrzegł, jak się zachmurzyła i zawołała gniewnie:

— Mieli też kogo wybrać!... Wszakżeś niedawno jeszcze utrzymywał, że go marszałkiem rady powiatowej zrobią?...

— Jednakże wolimy go mieć tutaj — mruknął.

— Może ty — ja bynajmniej!

Konrad oczy roztworzył szeroko, machnąwszy ręką.

— Kto was zrozumie! — zawołał. — Myślałem, że cię to ucieszy...

— Mnie, mnie, a! przedniś mój Konradzie? Może byś jeszcze chciał tego?

— A może ty zechcesz utrzymywać, żeś go chę-

tnie nie widywała? Posprzeczaliście się, czy co? Dalibóg... nie rozumiem!

Ruszyła ramionami.

— I rozumieć nie potrzebujesz!... Zazdrości twojej nie wzbudziłam!...

— Zazdrości? pytanie, czy ja chcę być zazdrośnym!... — przeszedł się po pokoju, mrucząc niezrozumiale.

Herminja wstała, i wyszedłszy trzasnęła drzwiami za sobą.

Myślała właśnie, jak ten wybór na posła ułatwi Stanisławowi ciągłe przebywanie w mieście, a zarazem odwidzanie Józefowej...

— Nie będzie już z tamtąd wychodzić! — mówiła w duszy i zazdrość jej rosła...

* * *

Znów minęło parę miesięcy. Miłość kiełkująca dawno, tlejąca uparcie w sercu Ewy, mimo wszystkiego wybuchła teraz płomieniem silnym, rozświecającym te głębie duszy nawet, w które dotąd nie zapuszczała spojrzenia.

Nie broniła się kochaniu, bo wierzyła w Stanisława. Niepodobieństwem jej się zdało, aby ją powieść mógł na bezdroża, on, co ją lepszą uczynił, i serce jej ufnością ślepą uwiedzione, spragnione miłości, łatwo obłąkać się dawało, zapominając, że idzie wbrew obowiązkom, które podeptać musi. Dnie płynęły tak łatwo i miło, widywaniu ich tak nic na przeszkodzie nie stawało, że ukołysane sumienie w spokoju dozwalało używać niewinnej na pozór roskoszy,

patrzenia na siebie, cieszenia swem towarzystwem i długiemi rozmowy.

Stanisław, jako poseł bawiący teraz ciągle w mieście, w domu Józefowstwa spędzał cały czas wolny. Uczucie jego dla Ewy wzmagało się, rosło, zmieniało się w zaprzątnienie pochłaniające całego, graniczyło z uwielbieniem jakiemś, które niezwykle silnemi węzły przykuwało go do ukochanej.. Gdy inni uważają miłość, jako rzecz podrzędną w życiu męzkiem, on uśmiechał się na takie zdania, wiedząc, że u niego była ona osią główną, około której obracało się wszystko... Czuł się opanowanym przez nią na zawsze.

Zaczynała się jesień; druga już od śmierci Anielci.

Ponsowe ściany bawialni Ewy, przybierały kolor krwi, odbijając promienie zachodzącego słońca. Kwiaty napełniały mocnym zapachem pokoje, podczas gdy gwar gnieżdżącego się na noc ptactwa, dochodził przez otwarte okna ogrodu. Tam drzewa stały nieruchome na tle purpurowem nieba, powietrze przesiąkłe było wyziewami łąk skoszonych powtórnie, nad któremi biała mgła zaczynała zwijać się kłębami tuż przy ziemi. Z oddali głosy miasta przylatywały w jeden szum niewyraźny zmięszane... Klomby przybierały już barwy jesienne, mieniące się całą skalą żółtego koloru; koło domu wino dzikie, krwawemi strugami zdawało się ciec od góry do ziemi. Coś było smętnego w widoku tym, choć wieczór ciepły jeszcze i pogodnie zachodzące słońce, wróżyło dalsze trwanie pogody... Czuć się dawała zbliżająca się starość w naturze całej, poprzedzająca jej martwy w obję-

ciach zimy spoczynek... Jak na wiosnę budziło się wszystko, tak teraz układało się zwolna do snu, zaumierało, ostatniemi oddechy żegnało się z życiem. Człowiek smutnie patrzył na ten obraz unicestwienia i śmierci, czekających nań też niechybnie...

Jasność dzienna konała zwolna, jakby z żalem, ostatnie blaski jej świeciły jeszcze na zachodzie, gdy z przeciwnej strony podnosił się już księżyc złoty, wielki, pełny, niby lampa cudowna, przypatrując się spokojnie okiem wiernego towarzysza ziemi, oblanej rosą i spowitej mgłami.

Na balkoniku willi stały krzesła, na stoliku rzucona leżała robótka; od paru godzin chodząc razem po ogrodzie, teraz siedzieli tu Ewa ze Stasiem, dalszą wiodąc rozmowę. Zwykle swobodni i weseli, dziś oboje byli zmięszani i nie swoi, coś ciężyło im i gniotło widocznie. Smutek drżał w cichych słowach Stasia, które się rwały co chwila; ona tylko więcej mówiła niż zwykle, może nie chcąc usłyszeć tego, co wyczytywała z jego czoła ściągającego się w zmarszczki bolesne, z jego oczu patrzących na nią z wyrazem nieograniczonego rozżalenia i namiętnych pragnień.

Posłowie rozjechali się już wszyscy, sejm się skończył, powodu do dalszego przebywania w mieście nie było żadnego, a na wsi czekało gospodarstwo, siejba i opatrzenie wszelkie na zimę...

Stanisław jechać musiał, i po raz ostatni przychodził pożegnać się, spędzając chwile, które mu jeszcze zostały do końca, u boku Ewy.

Zbliżała się godzina rozstania. Ewa upierała się pozostać na balkonie, choć chłód zaczynał czuć się

dawać i wilgoć. Staś spoglądał ku niej, trzymając jedną jej rękę w dłoniach swoich...

— Spojrzyj jak dziwnie błyszczy ten księżyc! — mówiła Ewa, rozmowę zwracając ciągle na rzeczy obojętne. — Wiesz, nie mogę nigdy widzieć tej tarczy okrągłej, aby nie zdawała mi się upiorem... Mówią, że jest to świat umarły i prawdziwie wygląda jak trup błąkający się po niebie. Czyż takim ma być koniec i naszej ziemi?

— Koniec! Język ludzki posiada to słowo, bo zdaje nam się, że widzimy obraz tego końca wszędzie... bo wszystko mierzymy szczupłą miarą wyobrażeń naszych, ale końca w naturze nie ma nigdy i nigdzie! — odparł Staś, rozumiejąc życzenie Ewy, zagłuszenia myśli i uczuć, które w nich wzbierały, słowy zwykłemi.

— Jednakże i świat nasz kiedyś zginie! — rzekła znowu.

— Tak, śmierć przyjdzie i na ziemię, jak przyszła już na księżyc... Któż jednak może wiedzieć na co się ona przyda?... Czy te dwa światy trupy nie pójdą sobą rozpłomienić na nowo gasnące ognisko słońca? Czy z tej śmierci, z tego końca, nie wstanie nowe życie, światy nowe?...

— Smutna pociecha dla biednej ziemi! — usiłowała uśmiechnąć się Ewa...

— A toż nie smutne, że jesteśmy takiem maleństwem w porównaniu z wszechświatem? Duma tylko nasza uczyniła nas czemś wielkiem w wyobrażeniu własnem, ale jak musieliśmy odstąpić od mniemania, że ziemia jest środkiem i ogniskiem stworzonych do-

strzegalnych ztąd światów, tak zwolna odstąpimy i od tego, że jest jedynym punktem ważnym, na którym spoczęło oko Stwórcy, zapełniając go jestestwami żyjącemi i myślącemi o Nim! Dotąd tylko w modlitwie nazywaliśmy się pyłkiem, sądząc, że tym sposobem dajemy świadectwo pokory naszej, teraz przychodzimy do przekonania, żeśmy w istocie mniej niż pyłkiem!... A jednak, ileż kosztuje nas to przyznanie! Skupiamy wszystko w krótkiej chwili istnienia naszego, nie zdolni wznieść się wyżej... nazywamy końcem to, co jest dalszym ciągiem tylko, i odradzaniem się wiecznem, nie chcąc zgodzić się z myślą pokrzywdzenia pozornego, lekceważenia, z jakiem natura z nami obchodzić się zdaje!...

— Bo życie choć krótkie, tyle zmieścić w sobie może pięknych i wzniosłych rzeczy, że znaczenie jego tysiąckrotnie i słusznie zwiększa się w naszych oczach!

— Tyle szczególniej boleści, goryczy, cierpień i walk olbrzymich! — westchnął Stanisław, zamyślając się smutnie... — Takie przeznaczenie ludzkie! rodzimy się by cierpieć „dla czego?“ któż odpowiedzieć zdolny...

— Smutne rzeczy przez ciebie mówią dziś Stanisławie! — odparła Ewa.

— Mogę być wesołym? — zawołał nagle — o Elo moja! Czyż nie odjeżdżam jutro?! Zawsze rozłączać się! zawsze! — mówił dalej namiętnie. — Jestże możebnem tak żyć? Jam przywykł do widoku twego, zdołamże bez ciebie wytrzymać? Ty nie wiesz, co to znaczy odjeżdżać od ciebie, porzucać Elę...

— Czyż nie powrócisz znowu?

— Alboż ja wiem kiedy powrócę i czy mi wolno będzie znów widzieć się z tobą, jak dzisiaj! Może się stanie coś, co nas przedtem rzuci w dwie przeciwne strony, rozerwie, rozdzieli na zawsze! Czyż należymy do siebie? Czyż pewni jesteśmy jutra?

— Niepowinieneś tak mówić...

— Daruj mi, boleść przezemnie przemawia, to nie ja mówię, ale tęsknota moja, którą czuję już pukającą do mego serca. Jeszcze chwila, a wejdzie tam i zamieszka na długo.. Niczem jej nie wypędzę, póki nie zobaczę znów mojej Eli... Nadto ciebie kocham, abym mógł tracić cię ciągle i wyczekiwać cierpliwie na złączenie nowe. Ty jesteś życiem mojem.. oddechem moim... każże żyć nie oddechając, czy kto potrafi? Gdy myślę, że jutro odjadę i znów skazanym będę na rozłączenie długie, rozpacz mię ogarnia. O Ewo! ty mnie nie musisz kochać, boś spokojna całkiem!

Łzy zabłysły w oczach Ewy, gdy je podniosła ku niemu...

Pochwycił dłonie zimne i całując je zawołał:

— Daruj! sam nie wiem co mówię!... Nie żyłbym, gdybyś mię nie kochała!

— Ja wiem, że przyjedziesz — rzekła cicho — a wspomnienie chwil jasnych, które ze sobą spędziliśmy, da mi siłę do zniesienia tęsknoty.

— Tak! ty to umiesz... ja nie potrafię! Muszę c ę widzieć, być z tobą, słyszeć, że mię kochasz... tak rzadko mówisz mi o tem... Liczenie chwil, aż do błogosławionej, która mi ciebie wraca, jest męczarnią, co mi siły wyczerpuje. Wiem-że, kiedy ta chwila nadejdzie? Czyżem nie ten, co ukradkiem tylko chwyta

szczęścia godziny, co wiecznie ukrywać się musi jak złodziej? O Ewo, tak dłużej pozostać nie może!...

— Więc tobie nie wystarczają już słodkie nasze rozmowy?... — spytała smutnie.

— Nie, bo kocham! Chcę mieć ciebie całą na zawsze!

Spuściła głowę, on już do czoła cisnął ręce jej, jakby niemi chciał powstrzymać bicia pulsów, co mu rozrywały skronie.

— Masz gorączkę — szepnęła, czując, że rozpalone były. Cofnęła dłonie i odsunęła się trochę.

Z wyrzutem spojrzał na nią, rozżalony.

— Jutro już mnie tu nie będzie — rzekł — kto wie, kiedy powrócę?

— Powrócisz, kiedy zechcesz, wiem, że nic cię nie więzi, ani wstrzymuje. A mnie zastaniesz zawsze jednaką!... Powtarzam ci, rozpaczać powodu nie masz...

— Ciebie serce nie boli!

— Boli, gdyś takim, jak dziś, nie ufającym mi i poddającym się smutkowi... Czyż przyszłość nie do nas należy?

— Przyszłość! Ah! Elo, gdy trudno przeżyć dzień dzisiejszy!...

Weszła do pokoju nie odpowiadając, cisnąc piersi, które lęk jakiś dziwny przenikał, i żal do niego i smutek za tem, co jak widziała, przepadło już dla nich na zawsze. Jemu mało było szczęścia, które mieli dotąd. Miłość mężczyzny nie mogła iść spokojną ścieżynką kobiecego uczucia.

Przeszła kilka pokoi, nie zatrzymując się aż w bawialni, gdzie sądziła się może bezpieczniejszą w obec sprzętów, przypominających ciągle świat i ludzi, go-

towych potępić. I skwapliwie zadzwoniła, by podano lampę.

Staś wzburzony chodził tam i nazad, nie zbliżając się już do Ewy.

— Ostatnie chwile! — powtarzał ciągle — jesteś nie dobrą, bezlitośną!

— Dla czego mówisz tak, gdy sądzisz zupełnie przeciwnie? — odparła. I znów łzy potoczyły się z jej oczu...

Na widok płaczu Ewy, Staś przypadł na kolana, całując jej ręce. Miała nad nim dziwną moc, wpływ potężny. Zaczął obwiniać się, błagać, by zapomniała wymówek.

— Bądź zdrowa! — zawołał — a myśl o mnie i kochaj mię!

Ku drzwiom podążył, ale wrócił się jeszcze raz od progu. Zwykle tak szedł i wracał, nie mogąc oderwać się, nie umiejąc odejść od niej. W tem dzwonienie mocne do bramy, doszło przez okna otwarte... Nawet ostatnie ktoś mu kradł chwile! — Uchodzić musiał, pozbawiony jeszcze jednego uściśnienia jej ręki, z uczuciem wyraźnem, że był obcym tutaj, że chwile, które spędzał przy Ewie, nie należały do niego, że daremnie chciałby je był przedłużyć choćby ceną tych lat, które dalekie, żadnego dziś znaczenia nie miały! Zrozpaczony, porwał się uciekać raczej, niż odchodzić, gdy Ewa, litościwa jak każda kobieta, i więcej wzruszona jego boleścią, niż okazywała dotąd, zawołała za nim:

— Zobaczymy się jeszcze u ciotki! Idź do niej i czekaj!

A tu już drugiemi drzwiami wtaczał się sapiący Karafarosz, którego trzeba było uśmiechem przyjmować.

— Pani dobrodziejka daruje — zawołał przez nos, podczesując do góry włosy — ale Kuba mi powiedział, że zastanę tutaj pana Stanisława.

— Pana Kubę nie widziałam dzisiaj...

— Ale ja jego widziałem! Spotkaliśmy się rychtyk koło uliczki, a że szukam od rana za p. Stanisławem, wszędzie już byłem i wracam do domu zmordowany, zawołałem na Kubę, czy nie wie gdzie się obraca Kisielecki. A on mi na to: ta idź pan do pani Ewy, tam go znajdziesz!... Ucieszyłem się i... ot! daremnie! A to mostrum mociu dzieju! ten Kuba. W pole mię wyprowadził!...

— Jakże mógł pan Kuba, nie będąc u mnie!...

— Nie był? no proszę!... Ale gdzie ja teraz znajdę pana Stanisława? Chciałem spytać, czy przystąpi do naszego banku... nie dał jeszcze pieniędzy .. a jutro, słyszę, odjeżdża! — i tarł czuprynę. — Bo to panie — dodał — nie ma interesu, gdy nie ma pieniądzów... rozumie pani? — i westchnął.

Ewelina jednakże spytała:

— Czy pan Kuba ma tu jeszcze kogo znajomego około nas?

Karafarosz cały w swoim kłopocie, zrazu wypatrzył się na nią zdziwiony, aż zrozumiawszy:

— Czy kogo ma? — powtórzył — a ma! — wskazał palcem w stronę domku Rózi i prychnął. — Znajomą! piękną znajomą! bo co ładna, to ładna! ale psst... miałbym się z pyszna, gdyby moja Rypsyna

słyszała!... Zaraz płacze i nazywa mnie ladaco — zatkał usta kułakiem, uśmiechając się i chichocząc zadowolony.

— Na długo pan przybyłeś do miasta? — odwróciła rozmowę pani Ewa.

— At! na dni parę tylko. Trza jechać siać, choć i tu jest co robić! Teraz bank zakładamy. A przytem wybrano mię prezesem izby handlowej, a do tego prezesem towarzystwa dobroczynności.

— I pan na wszystko starczysz?

— A głowa od czego? he? zresztą widzi pani, kiedy się ma milion, to trza i drugim dać coś oblizać... Ale byle pieniądze były... reszta głupstwo!... na wszystko czas się znaleść musi.. Naprzykład, przeszłej jesieni, tom jeszcze i do Włochów pojechał z żoną!... I wystaw sobie pani, ja com słyszał zawsze, że Włochów już nie ma, bo porozłazili się het po świecie, ba z małpką, ba z myszką, ba z katarynką, tom się przekonał na własne oczy, iż to kraj jak i inne! a Włochów w nim mnóstwo, słowo daję!... Moja Rypsyna przywiozła sobie ztamtąd całą pakę prawdziwego... ale niech pani zgadnie, co przywiozła?

— Może jakie dzieło sztuki? Coś z marmuru, mozajki, z malowideł pięknych a rzadkich...

— Nie... nie!... coś do domu...

— Stolik... rzeźbę... zwierciadła lub weneckie świeczniki?...

— Ha! ha! ha!... nie, tylko ogromną pakę prawdziwego makaronu! Słowo daję! Będzie tego mieć na całe życie!... Widzę, że pani ani ma wyobrażenie, jaka to gospodynia!

— W samej rzeczy! nigdybym nie zgadła!

Na to nadszedł pan Józef i uwolnił żonę, od zajmującej pogadanki z Karafaroszem. Pan Krzysztof wyciągnął zaraz ramiona do serdecznego uścisku, poprowadzili się do pokoju pana domu, gdzie znów zaczęły się wypytywania o Stanisława i użalenia, że pieniędzy nie dał... Pan Józef obiecać musiał, że kuzyna wynajdzie dziś jeszcze, i na wszelki wypadek jego adres napisał panu Karafaroszowi. Uspokojony tem p. Krzysztof pożegnał się utrzymując: iż strasznie jest zmęczony i buchnie zaraz do łóżka! a pan Józef powrócił do Ewy.

Zastał ją zbierającą się do wyjścia.

— Właśnie chciałem się spytać, czy nie zechcesz przejść się trochę — rzekł — wieczór śliczny, a mnie te uderzenia do głowy dokuczają! Lekarz zalecił ruch i świeże powietrze... Gdzież się wybierasz?

— Do matki! Czy pójdziemy razem? — rzekła z wahaniem.

— Obiecałem Karafaroszowi wyszukać Stasia. Może wiesz, gdzie wieczór dziś spędza?

Zarumieniła się mocno.

— Nie wiem! — szepnęła.

— A więc, odprowadzę cię do matki, i pójdę do niego... Zostawię mu kartkę, jeźli go nie zastanę.

Ubrała się — wyszli.

Przechodząc około małej uliczki, Ewa rzuciła niespokojnym wzrokiem na domek ów, którego okna jak zwykle otwarte, zdawały się patrzyć ciekawie na stojącą naprzeciw willę. Złośliwa twarz Kuby mignęła jej w wyobraźni, a myśl o jego słowach, nie mile

zaciężyła na duszy. Zaprzątnięta tem, nie spostrzegła, że mąż się zachwiał. Znajdowali się obok parkanu jakiegoś, oparł się o deski plecami, aby nie upaść, czując zawrót głowy. Odwróciła się, ujrzała stojącego i prędko podbiegła, pytając co mu się stało.

— Nic, nic! to przejdzie. Już przeszło, poczekaj jeszcze trochę, pójdziemy dalej...

— Czyś chory? Może lepiej do domu?...

— Zwykły mój zawrót głowy.

— Nie wiedziałam, że tak silne miewasz... o mój Boże!

— Lecz zapewniam cię... proszę... nie trwoż że się daremnie! Bałem się upaść, wszystko kręciło się koło mnie, w oczach mi pociemniało... ale teraz czuję się lepiej. — Zdjął kapelusz chłodząc głowę, zaczerpnął oddechem powietrza i dodał:

— Chodźmy! — jest mi teraz całkiem dobrze!

— Weźmy lepiej dorożkę.

— Nie, nie, siedzę i tak zanadto w biurze!...

Doszli tak do mieszkania matki. Józef pożegnał żonę, polecając, by się do domu kazała komu odprowadzić...

Spokojna o niego już całkiem, wbiegła Ewa lekko po schodach. Pokój Aurelji zastała ciemnym; lampki palące się przed obrazami, prawie nic nie dawały światła; długie cienie tańczyły na murach, a wśród tych cieni mignęła czasem jaśniej twarz lub ręka wzniesiona do góry, z ram czarnych błyskając nagle. Jedna z lampek gasła, skwiercząc głośno, i pobłyskiwała co chwila... Ewa zdejmowała okrycie, kapelusz, bezwiednie oglądając się po pokoju, którego

powietrze przepełnione wyziewami oleju i knotków dymiących, dusiło. Pytała siebie, jak można żyć, jak Aurelja, odwrócona całkiem od świata, i czuła lęk przed takiem zobojętnieniem na wszystko, co ludzkie i codzienne, co innych poruszać musi i zajmować może... Nie patrząc, potrąciła krzesło, stuknęła głośno i prawie zaraz zaszeleściła portjera, a z za wpół uchylonej Stanisław się odezwał, sądząc, że mówi do Aurelji: — Ciotka prosi do siebie.

Ale poznał, że to nie była Aurelja, inny szelest, inny zapach, oznajmił mu Ewę.

— Tak długo już tu czekam! — zawołał z wymówką.

I jednym skokiem znalazł się przy niej. Ewa uczuła się objętą silnem ramieniem i usta gorące uczuła na twarzy. Krzyknęła słabo. Stasia już nie było.

Zwolna, zamyślona, zapinała warkocz, który się zesunął. Nie śmiała wejść teraz do matki, zdawało się jej, że ślad pocałunku pozostał, że każdy go ujrzeć musi... Nie znane uczucie podnosiło pierś... oczy przymykała, opierając się o łóżko, przy którem stała drżąca. Gniew zdejmował ją dziwny. Lampki mrugały, jakby oczka za czemś śledzące, coś podpatrujące ciekawie, i zdawały się niecierpliwić, że nie szła ztąd; znaglały ją do tego natrętnem mruganiem.

— Cóż, Aurelka przyszła? — pytała starsza pani powracającego Stasia.

— Nie ma jej jeszcze!

— Zdawało mi się jednak, że ją słyszę. Gdzie też ona może tak długo siedzieć!...

— W kościele może.

— Kościoły wszystkie dawno zamknięte!

— U księdza Pafnucego...

— Co?!

— Żartuję cioteczko, gdzieżby też panny odwidzały mężczyzn.

— No, tak znowu źleby nie było; ksiądz Pafnucy nie to, co inny mężczyzna...

— Myślałem!... Ale jeżeli ciocia utrzymuje, że nie taki jak każdy...

— Co bo wygadujesz bałamucie!

— Może jest u pani Konradowej, dziś właśnie czwartek.

— Nie wspominała mi, by we czwartki koniecznie odwidzać miała Herminję!

Staś się uśmiechnął i rzekł:

— Żartuję cioteczko!

— Jak zwykle, kocham cię za twą wesołość.

— Tylko za to?

— I za wiele, wiele innych rzeczy! Poczciwy z ciebie... chciałam powiedzieć chłopiec! Ale mój drogi Stasiu, tyś dawno nim być przestał, a szkoda, że o tem nie myślisz!

— Dla czego cioteczko?

— Bo powinienbyś się już ożenić. Uszczęśliwiłbyś jaką panienkę; dobrym nie wątpię byłbyś mężem; czas zrobić wybór; umarłabym spokojniej.

— Śmierć i żona, od Boga przeznaczona! Dla cioci za wcześnie mówić o pierwszej, mnie jakoś nie w smak myśleć o drugiej. Dajmy temu spokój! Przeznaczeniu swemu nikt nie ujdzie!

Weszła Ewa nareszcie, i rozmowa stała się ogólniejszą.

Gdy po kolacji Staś odprowadzał Józefowę, życzeniem było obojga, żeby Nowy świat na końcu ziemi się znajdował. Zdało im się, że nadto prędko stanęli u bramy; Stanisław pociągnął za dzwonek, otworzyła się i za Ewą zapadła. Tygrys przybiegł w podskokach przywitać dawnego pana, wsunął głowę między kraty, skowycząc z radości, a po nad nim jeszcze raz ścisnęły się podane dłonie. Usta Stanisława, dotknąwszy ręki Ewy, otarły się o zimne, żelazne pręty... pomyślał i przypomniał sobie o tem, co ich dzieliło, zupełnie jak ta brama zamknięta! i oddalił się prędko z sercem, które bolało.

Nazajutrz Józef leżał bardzo chory. W nocy jeszcze dostał gwałtownego uderzenia na mózg. Staś wyjazd odłożył. Pobiegł na Nowy świat, ale tam zastał drzwi zamknięte. Pani była przy łóżku chorego, który jej nie puszczał od siebie ani na chwilę i nie kazała nikogo przyjmować.

To samo powtórzyło się drugi raz i trzeci; za każdym Stanisław dobijał się, z nadzieją ujrzenia Ewy, i odchodził zrozpaczony. Ewa od męża nie oddalała się wcale, stan jego był groźny i wymagał troskliwości największej.

Gdy po raz już nie wiem który odchodził odprawiony ode drzwi willi, na dole zetknął się z wysiadającym z powozu lekarzem. Myśl, nadzieja jakaś, błysnęły mu nagle. Wziął pod rękę Eskulapa i wszedł z nim razem na schody.

— Powiedz pan — rzekł, przestępując próg pokoju

— że proszę kuzynkę o chwilę rozmowy. Zaczekam tutaj.

Ewela wyszła zaraz do niego.

— Dla czego mnie widzieć nie chcesz?! — zawołał. — To już więcej niż okrucieństwo!

— Nie mogłam — odrzekła krótko. — Muszę być ciągle tam — wskazała na drzwi.

— A mnie skazujesz na niepokój bez nazwy... dla niego? Maż on mieć wszystko, gdy ja...

— Stasiu, nie godzi się narzekać! Nie wyrzucaj mi tego, co mi nakazuje sumienie. Wymówki robi mi ono i tak aż nazbyt surowe! Chcę zadość uczynić obowiązkom... muszę być przy mężu...

Zbliżyła się, wzięła go za rękę i patrząc mu w oczy, szepnęła:

— Nie staraj się odrywać mię od niego... miej cierpliwość...

— Nawet rozmówić się z tobą nie mogę! — zawołał znowu.

— Józef bardzo biedny — odparła.

— A ja? ja?!...

Potrząsła głową.

— Zmiłuj się...

— Ty się zmiłuj nademną! Muszę cię widzieć codziennie!

— Cicho! — położyła palec na ustach. — Lekarz wraca. — Skinęła głową Stasiowi i zniknęła za drzwiami pokoju męża.

— Jak się ma chory? — spytał Staś doktora, idąc z nim przez dziedziniec.

— Hm, trudno zaraz wyrokować! Teraz obawy

nie ma, ale w razie powtórzenia się ataku — czego lękać się wypada — umrze!

Staś zbladł.

— Wy bo zaraz kochany konsyljarzu wszystko czarno widzicie! — rzekł, nie wiedząc nawet dobrze, co mówi.

— A tak! tak! lepiej łudzić się nadzieją do ostatniej chwili! — wsiadł do powozu. — Upadam do nóg! — zawołał.

— Żegnam was konsyljarzu!

I Stanisław został sam w ulicy. W uszach szumiały mu wyrazy doktora. Nie, Bóg świadkiem, nigdy nie pomyślał o tem... Nie winien był wyrokowi takiemu. Więc Józef mógł umrzeć?! Samo to słowo przyspieszało bicie jego serca. Po cóż mu to powiedział lekarz? On rzeczy tak prostej nie przypuszczał nigdy... a jednak ludzie umierają, dla czegoż by i Józef nie mógł umrzeć? Nagle otwierały się przed nim wrota przyszłości, które widział zapartemi. Ręka przeznaczenia odchylając je, pozwalała mu wzrok zapuścić w dal słoneczną nadziemskiego szczęścia. Zadrżał... Odtąd więc życzyć będzie śmierci Józefowi?... Więc niespokojnie liczyć będzie chwile cierpienia bliźniego, swego krewnego, i to z obawą, aby wieść o zmniejszeniu się ich, nie odebrała mu słodkiego złudzenia.

Chwiejąc się, powrócił do siebie. Przez tydzień przetrwał męczarnie nie do opisania. Szalał objęty gorączką.

Z końcem tygodnia, Józef zaczął się miewać stanowczo lepiej.

Stanisław dowiedział się o tem z ust Ewy, która nie wiedząc o niebezpieczeństwie, uderzoną została jego dziwnem znalezieniem, nieprzytomnemi pytaniami i rozdrażnieniem.

Ledwie chwilę spędzili ze sobą, bo Józef niecierpliwił się i wołał żonę.

— Teraz już możemy być spokojniejsi — mówiła z pospiechem, podczas gdy Stasia pochłaniały trudne do oddania myśli — ale widywać się często, jest jeszcze niepodobieństwem! Cały czas mam zajęty, jednakże idzie ku dobremu; jeszcze trochę, a Józef wstanie i powrócą nasze złote chwile.

On nic nie odpowiedział, nie patrzył na nią nawet.

Spytała niespokojnie, co porabiał przez te dni kilka, czy bywał u Konradowej.

Ledwie rozumiał o czem mówiła. I zaraz widząc to roztargnienie szczególniejsze, przyszła Ewie myśl zazdrośna i podejrzenie, że dla zabicia czasu przesiadywać mógł ciągle u Herminji Byłby się śmiał pewnie, gdyby na uśmiech zdobyć się teraz było mu podobieństwem.

— Jadę na wieś! — rzekł, ciężką głowę trzymając zwieszoną ku ziemi. — Zawołasz mię — przyjadę... Nie żądaj jednak, bym dłużej tu siedział... nie mogę!

Pożegnał ją słabem ściśnieniem.

Mimo tego po dniach paru był znowu z powrotem. Nie zdolny wytrzymać z daleka, przyleciał. Chęć i potrzebę znajdowania się ciągle przy Ewie, zwiększało oddalenie; — chciał ją widzieć koniecznie.

Prawdopodobieństwo śmierci Józefa, a zatem i po-

siadania Ewy, obudziło w nim pragnienie dojścia do tej szczęśliwości, teraz już bądź co bądź i wbrew wszystkiemu. Nie miał spokoju i przemyśliwał ciągle tylko o rozerwaniu małżeństwa Józefowstwa, rozgorączkowując się coraz bardziej, bo czem częściej do tej myśli powracał, oswajał się z nią i obywał, znachodził, że trudną do spełnienia nie była.

Widok Stasia cierpiącego i rozdrażnionego widocznie, nie dawał i Ewie spokoju. Bywały chwile, że na rozkaz męża: „nieprzyjmować!“ niechęć głucha w niej wzbierała. Wtedy zaciskała ręce z jakimś buntem bezsilnym, nie śmiejąc się Józefowi sprzeciwiać. Gdy czytała głośno, milkła nagle, upuszczała ulubioną Józefa gazetę na kolana i odwracała się niechętnie, ale wnet jęk cichy chorego, uderzenie zegara, zapowiadającego godzinę lekarstwa, głos łagodny męża budził w jej sercu lepsze uczucia, i miewała żal do Stasia, że przychodził natrętnie domagać się widzenia z nią, że ją czynił złą i niepoczciwą dla tego, który cierpiał. W niezgodzie ciągłej sama z sobą, nie wiedziała już, co przeważało w niej, gdzie ją serce, gdzie obowiązek ciągnęły.

A tymczasem Stanisław, podniecony przeszkodą, którą znajdował w chorobie Józefa, roztęskniony i zrozpaczony, rwał się do niej całym sobą i nosił z myślami, które dojrzewały coraz bardziej. Egoizm uczucia zasłaniać mu zaczynał wszystko, w sobie wszystko skupiając.

Nie mogąc rozmawiać z Ewą, pisywał. Pisywanie takie niebezpiecznem zawsze bywa, i pozwala też nieraz więcej powiedzieć, niż w rozmowie.

Zakochani ze słowami się nie liczą, gdy sami są ze sobą, z piórem powolnem w ręku, spowiadając się przed ubóstwioną. Stanisław przebywając na wsi, nieustannie siedział przy biurku, potem zawoził te listy do miasta i rozmaitemi sposobami starał się, by dochodziły rąk Ewy. Na dziwnych pomysłach nigdy nie brak temu, komu się głowa pali. Spytajmy, czy jakikolwiek wynalazca, co uszczęśliwił ludzkość jakiemi wielkiemi odkryciami, miał ich bodaj w części tyle, jak pierwszy z rzędu zakochanych!

Listy Stasia znajdowały się raz w Ewy koszyku od roboty, to w książce, to w chustce, w pokojach, w ogrodzie, a nawet pod obróżą Tygrysa, który że nie dawał do siebie nikomu przystąpić, tem samem ręczył za bezpieczeństwo. Potem jednem słowem uprzedzał Ewę Stanisław, gdzie szukać miała. Józefowa jednak, wstrząsana lękiem ciągłym, drżała na myśl, że się to wykryć może. Stanisław coraz śmielszy, odważał się na wszystko.

Jednego poobiedzia siedziała Ewa jak zwykle przy chorym. Józef już wstawał potrochu, ale jeszcze nie ruszał się z swego pokoju. Dla rozrywki grywał w karty. I teraz zielony stolik czekał rozłożony. Ewela szyła przy oknie, mąż drzemał, to palił fajkę, poziewając. Zegar wybijał powolnie kwadranse, wtórując trzaskaniu ognia rozłożonego na kominku, jednostajnem swojem tykotaniem. Co godzina Ewa podnosiła się, nalewała lekarstwo i podawała je mężowi.

Właśnie była je dała Józefowi. Skrzywił się, odbierając z jej rąk filiżankę.

— Dokąd ja to szkaradzieństwo pić będę? — zapytał. — Tyle tygodni, a nic mi nie lepiej!

— Nie narzekałbyś, różnica ogromna.

— Et, jaka różnica! z pokoju się nie ruszam, a Bóg wie, kiedy wychylić się będę mógł na świat boży?!

— Jeszcze trochę cierpliwości. Przyjdzie wiosna, zaczniesz wychodzić.

— A bodaj cię z taką pociechą! Piękna rzecz... teraz dopiero listopad.

— Dopiero! — szepnęła, cofając się ku oknu.

Założyła ręce i wyglądnęła w ulicę. Myślała jak dawno widziała Stasia, który od tygodnia może, bawił na wsi. Smutno jej było. Cienie szare, kładły się w dziedzińcu pełnym błota, po za nim ciągnęła się droga. Połamane astry i georginje zwarzone mrozem schylały się w nieładzie wzdłuż ogrodzenia, drzewa stały bezlistne, a o ściany domu uderzały gałęzie wina, wichrem miotane. Na ziemi leżały wszędzie kupki słomy, pokrywającej róże tak roskoszne do niedawna, i suche liście, z szelestem przelatujące z miejsca na miejsce. Po niebie szarem zupełnie, czarne, poszarpane chmury, sunęły się prędko. Za ogrodem, w dali, zaczynały pokazywać się światła wśród domów. Za bramą rzadkie ciągnęły się wozy, wlokły leniwo pod górę bryki ładowne. Przy jednej chudy koń dobywał sił ostatek, aby, ślizgając się i sapiąc, w uprzęży ze sznurków powiązanych, wrzynającej się głęboko w pierś i boki chude, wyciągnąć nadto wielki dla niego ciężar. Idący obok chłop barczysty i tęgi, okładał jeszcze do tego bezlitośnie nieszczęśliwe

zwierzę, na którego grzbiecie razy odbijały się głucho, kalecząc do kości. Ewa oczy odwróciła, ale choć już nie patrzyła, słyszała ciągle krzyk i bicie. Nie miało temu być końca, póki gdzieś ów koń biedny, bez jęku nie upadnie, aby nie podnieść się więcej.

— Czy tam już idą moi partnerzy? — spytał budząc się pan Józef i zapalając fajkę.

— Ktoś właśnie przyjechał! — odparła, wychylając się przez okno.

Przed bramą stanęła dorożka i mężczyzna wszedł na dziedziniec, spiesząc do budki Tygrysa. Rumieniec wytrysnął na twarz patrzącej. Poznała Stasia. I on podniósł oczy, zobaczył ją i przesłał ukłon ręką, spiesząc ku domowi.

— A to ty? — zawołał do wchodzącego p. Józef — z niebaś spadł razem z deszczem! Szczęśliwcze! ruszać się możesz.. Jak się miewasz? Widzisz, ja zawsze tak samo!

— Ale lepiej wyglądasz! z pewnością! — odparł Staś żywo. — Czy będzie preferans?

— Będzie! ale moich panów coś długo nie widać! A u ciebie cóż słychać? Wymłóciłeś wiele już zboża?..

— Tak — tak — trochę! Drogi okropne, dostawa trudna... i na wsi trudno wytrzymać!

— Dla tego do miasteczka przybyłeś? Zapewne, młodemu potrzebna jest rozrywka, towarzystwo .. Masz tu taki miły dom znajomy, Konradów!...

Ewa wejrzenie rzuciła na Stasia. On się ku niej zbliżał szczęśliwy, że ją widzi; — wyraz jego twarzy uspokoił ją, że nie dla Herminji przyjechał.

Godzina, w której po dłuższem niewidzeniu spotykali się znowu, była zawsze godziną spokojnego zadowolenia. On zapominał skarzyć się i narzekać, ona dawne odnajdywała w niej chwile z tego czasu, gdy swobodnie spędzali długie ze sobą poranki i wieczory. Łudziła się zawsze, że Staś wraca zrezygnowany i cierpliwszy, że usposobienie takie potrwa, i pozwoli pogodzić się mu z losem. I pod miękką pieszczotą jego wzroku, byłaby pozostała wieki, nie tęskniąc za niczem więcej!

Dwóch kolegów Józefa nadeszło, zaczęła się gra, podczas której Stanisław opowiadał Ewie, co robił na wsi.

— Nie miałem innej pociechy, tylko pisywanie do ciebie... Zapisałem też mnóstwo ćwiartek... nie śmiej się ze mnie... jam tak biedny, gdy ciebie nie widzę! Tyle mam ci do powiedzenia zawsze, a teraz nigdy nic powiedzieć nie mogę!

— Czyś włożył list pod obróżę Tygrysa? — spytała niespokojna, powstając.

— Tak jest — ale nie odchodź jeszcze — żal mi każdej chwilki... Co porabiałaś bezemnie, co tu słychać? — Ciekawym najmniejszego szczegółu, gdy ciebie się tyczy. Jakże Józef, cierpliwszy? Wolno ci już odejść od niego?

Zagadawszy się, zapomnieli o liście. — Służący przyszedł zapytać, czy podać herbatę, i oddalił się, drzwi zostawiając otworem. — Po chwili usłyszano niezwykły jakiś hałas, coś, jakby pospieszne łopotanie i kroki, i do pokoju wpadł zdyszany pan Kuba, a za nim Tygrys. — Pies czasem spuszczał się sam

z łańcucha, i wtedy biegł szukać wszędzie swej pani, od której zawsze dostawał coś do zjedzenia. Zdarzyło się właśnie, że w tym samym momencie Kuba szedł na schody, gdy Tygrys wsuwał się nie spostrzeżony do sieni. Ujrzawszy psa, Pleciuga był pewnym, że Tygrys za nim goni i nie miał nic pilniejszego, jak ratować się haniebną ucieczką; wiedział, że go Tygrys nie lubił, bo zawzięcie szczekaniem swem prześladował, więc panicznym gnany strachem, zdyszany, dostał się do pokoju pana Józefa...

Na widok Tygrysa Ewelina zbladła, rzuciła spojrzenie na Stasia pełne przestrachu, które jasno mówiło:

— Widzisz... przeczuwałam! — i żywo postąpiła naprzód, aby psa wypędzić.

Tymczasem Kuba rejterował w najdalszy kąt pokoju. Panowie śmiali się z niego, on się uniewinniał, a Tygrys wyminąwszy Ewę, której zamiar doskonale odgadł, jednym skokiem znalazł się przy Józefie i położywszy ogromny swój łeb na jego kolanach, spoglądał mu w oczy i kręcił ogonem na znak, jak był z widoku pana uradowanym.

— Zostaw go! — zawołał wówczas Józef do żony — zostaw! patrz! poczciwe żwierzę przyszło mię odwidzieć.... — I zaczął głaskać psa, szarpać lekko za kudły i ręką klepać po karku.

Rozdano znowu karty. Kuba przychodzić zaczynał do siebie, oglądać się, spostrzegać, że Ewelina dziwnie była zmięszana. Wzrok jej nie mógł oderwać się od kolan męża, na których spoczywała ciągle głowa Tygrysa, a na niej ręka Józefa. Kręcił on

teraz machinalnie szeroką obrożą w tę i w ową stronę, podczas gdy w drugiej dłoni trzymał rozłożone karty, i bacznie w nie patrzył... Z za obroży już się był wysunął rożek papieru... Teraz i Stanisław zmienił się i pobladł. Wszystkie słowa listu zaczęły mu tańcować w pamięci... Kuba sądząc po twarzach, rzucając to tu to tam baczne spojrzenie, silił się domyśleć co się dzieje; bystre oczy jego biegały... w tem dostrzegł, że jakiś biały zwitek upadł na posadzkę, tuż przy nogach Józefa. Staś i Ewela schylili się jednocześnie. Kuba drgnął, zapomniał o psie, i szybszy od nich, rękę wyciągnął, chwytał już za list, gdy Tygrys warknąwszy, zwrócił się ku niemu,.. list znalazł się w dłoni Stanisława.

Krótki ten dramacik, który mógł się zakończyć tak łatwo tragedją krwawą, nie zatarte wrażenie wywarł na Ewie. Wzrok Kuby szyderczy, piętnujący ją podejrzeniem jawnem, pochylający czoło jej zrumienione wstydem, nieznośne uczucie fałszywego położenia, lęk okrutny przed gniewem męża, wszystko razem złożyło się na obudzenie w niej pogardy dla samej siebie, która żyła wybiegami i kłamstwem...

Odtąd udawanie codzienne, ta maska fałszu, którą nosić musiała, stała się dla Ewy rzeczą nad siły. Poniżenie swoje czuła, a myśl, że zwodzi wszystkich, była czemś tak okrutnem, że zgodzić się z nią, przywyknąć do niej nie mogła. — Co dla wielu kobiet jest podnietą, dla niej stawało się męczarnią! — Nie umiała zdradzać ze spokojem i oszukując żyć swobodna. Pamiętała ciągle, że ubliża tem sobie, a mężowi wyrządza niedarowaną krzywdę! Nie pojmowała, że są takie kobiety, które wszystko pogodzić umieją, i z mężem żyć dobrze, i kochać innego po za jego oczyma, i zadosyć uczynić wymaganiom wszelkim, i sobie nie odmówić niczego... Słyszała wprawdzie o pewnej pani, bardzo nabożnej, która odprawiając rekolekcje, dziękowała Bogu z równem przejęciem, że jej dał dobrego męża i wiernego kochanka, i która namodliwszy się, odprawiwszy pokutę, powracała do dawnych nałogów, ale zrozumieć tego nie mogła. Była by wolała wystąpić otwarcie; zdawało jej się, że lepiej jest i uczciwiej zerwać z mężem, wołając głośno, że się kocha innego, niż wyzyskiwać jego dobrą wiarę i ufność. Ale mimo, że wierzyła, iż nie uczyniłaby w tem wielkiej krzywdy Józefowi, któremu do szczęścia byle jakie zajęcie, odczytywanie gazet, biuro, kasyno, wystarczało aż nadto, czuła, że zerwanie tego, do czego się raz zobowiązało, nie jest rzeczą tak łatwą, i że trzeba do zejścia z drogi wytniętej większej odwagi, niż ona ją miała... Torowanie sobie przebojem szlaków nowych, po których gdy się stąpa, nie można już ni w prawo ni w lewo się oglądać, jest bądź co bądź rzeczą trudną i ciężką.

Herminja od dnia zasłabnięcia pana Józefa, spokojniejszą się czuła. Nie tajnem jej było, że chory nie daje odstąpić od siebie ani na krok żonie, i że odwidziny Stanisława znacznej uległy zmianie... Z drugiej strony, Staś częstszym u niej bywał gościem odkąd odprawiany od drzwi willi na Nowym świecie, nie wiedzący co z czasem zrobić, dla zabicia go, szedł w braku czegoś innego, do Konradostwa, trochę się rozerwać i myśli zbyć natrętne.

Humor Herminji był teraz zawsze miłym, tualeta jak najstaranniejszą, pokoje pełne woni i przyjemnie urządzone, stół prawie wykwintny, smaczny i do gustu Stasia zastosowany.

Zwrot ten w sposobie życia i umyśle pięknej pani, o ile dla Stasia mógł być pomyślnym, o tyle dawał się we znaki nieszczęśliwemu panu Kubie...

Nie potrzebny, mniej chętnie słuchany, bo nie miał (mimo częstego zmyślania) nic ciekawego do powtarzania, złościł się i chodził jak struty....

Nikt pewnie tak nie modlił się o uzdrowienie Józefa. Spodziewał się, że gdy porządek dawny w willi powróci, mąż zacznie wychodzić, a żona zostawać sama w domu, i dla niego powrócą dni owe, podczas których porządanym bywał gościem u Herminji, zjadającym smaczne objadki, w zamian za sprawozdania o Nowym świecie...

Wprawdzie zabłysło mu raz jakieś światełko nadziei, chciał sobie zaraz niem rozjaśnić trochę położenie swe w obec Herminji, ale fatalność widocznie go prześladować nie przestawała, bo mimo całej zręczności i doskonale obmyślanego wrażenia, przy pierwszem słowie opowiadania o zaszłej u Józefowstwa scenie z listem, Herminja w twarz mu się zaśmiała....

— Czegożeś pan nie pochwycił papieru?

— Bo tego...owego... — jąkał się Kuba, który niechętnie przyznawał się do tchórzostwa, co mu zresztą za złe wziąć było trudno..

— Dajże mi pan pokój! Przywidziało się panu! List pod obróżą, facecje!... Po co by go tam kłaść mieli?... Na drugi raz życzę panu, abyś był zręczniejszym. W takich rzeczach ubiedz się dać... nie wolno!...

I odwróciła się z lekceważeniem.

Co prawda, spokojniejszą będąc, mniej też była skłonną do podejrzeń.... Ludzie zadowoleni są wyrozumialsi...

Choroba Józefa przeciągała się, Ewa siedziała przy nim, Staś, któremu nieznośne stawały się odwidziny w willi, gdzie znajdował Ewę zawsze nieruchomą przy fotelu męża, schyloną nad robótką i mówiącą o pogodzie i słocie, chwilę tylko bawił tam i uciekał.

Wśród takich okoliczności przeszła zima cała, nie przynosząc z sobą zmian widocznych.

Patrząc na bieg rzeki, zdaje nam się, że zawsze płynie ona jednakowo, że nie ma tam zmian żadnych... Czas jednak robi swoje: tu się brzeg usunie, ówdzie szerzej rozleją wody, w jednem miejscu zdradliwa pod nurtami zrobi się głębia, w drugiem piasek i kamienie zamulą łożysko ..

Z duszą człowieczą, dzieje się zupełnie toż samo. Poddajemy się wpływom różnym, ulegamy im, głębia nasza moralna rośnie lub maleje, charakter przeobraża się zwolna lecz nieustannie, choć z tego, co na nas działa, niezdolni jesteśmy zdać sobie sprawy, aż daleko później.

Budzić się już zaczynała drzemiąca dotąd natura. leniwa, chłostana wichrami marcowemi, pod cieplejszem wejrzeniem majowego słońca, ośmielała się otwierać oczy, po długim śnie zimowym.

Spieszyło się wszystko ku życiu i im mniej czasu zostało na gody weselne, tem prędzej zabierano się do nich. Jednej nocy było dosyć, aby drzewa wczoraj

jeszcze nago stojące, okryły się kwiatem, z pączków rozwinęły liście, z ziemi wystrzeliły trawy i wonne fiołki. Na gwałt słało ptactwo gniazda swoje, śpiewając nawołując się wesoło. W jednej chwili powietrze zaroiło się mnóstwem brzęczących stworzeń, bo pałace wonne i białe w gałęziach czeremchy, stały już gotowe, jak przystało dla skrzydlatych nowożeńców, którzy je zamieszkać mieli.

Ufność, szczęście, płynęło na ziemię z niebieskiego nieba, co nie zdawało się módz już kiedykolwiek pokryć chmurami, promienie słońca złociły wszystko dokoła, złocąc także myśli człowieka, czującego nowe w sobie życie, siły świeże.

I pan Józef wychodzić zaczynał do ogrodu z nastaniem ciepła, które mu jakby zdrowie przyniosło nagle. Mówił już wesoło o blizkiem objęciu urzędowania swojego i nudząc się rad był do dawnego zajęcia powrócić, brakującego mu z każdym dniem więcej, a tymczasem wynajdywał sobie byle jakie w domu.

Kuba przychodził często, i podtrzymując go w tem dobrem usposobieniu, odzywał się:

— Wszyscy za panem tęsknią w urzędzie, wszyscy pytają, kiedy swego naczelnika zobaczą...

— Cóż robić! — wzdychał na to Józef — lekarz nie pozwala wziąć się do pracy...

— Ale pan z dniem każdym zdrowszy, poczekawszy trocha...

— A tak! tak! mam wszelką nadzieję, że gdy pogoda potrwa, wyrwę się już raz z tych powijaków nieznośnych... Powiadam ci, nudzę się, że aż strach!

I wiódł Kubę do ogrodu, pokazywać mu to ścieżkę

nowo wyciętą, to kanapkę lub kijki do róż sprawione świeżo.

— Mam jeszcze przeróżne projekty! — uśmiechał się...

— Ależ to cudze! szkoda pieniędzy! — wołał Kuba.

— Ot naprzykład — nie słuchając ciągnął dalej — patrz, furtka całkiem zgniła, muszę ją kazać naprawić. Gniewają mnie te trzęsące sztachety i... nie mam co robić...

— Bój się pan Boga! nie żal że wydatku dla tego grubasa, dusigrosza, Karafarosza.

— Co ty masz wygadywać na Karafarosza! He? Już wolę jemu furtkę naprawić, niż pięknym oczom płacić, które i pieniędzy dużo kosztują i poczciwego wspomnienia nie zostawią po sobie...

Ale widząc, że się Kuba zmięszał, poklepał go zaraz po ramieniu, nagradzając wymówkę:

— Zostaniesz u nas na kolacji, co? przyjdzie kto — zagramy!

Dzień był cudny, jasny i ciepły, jak rzadko u nas. W mieście piekło ogromnie, proch wygryzał oczy, a słońce od murów odbite, raziło nieznośnie.

Tem było milej w willi Józefowstwa. Otaczał ją ogród pełen kwitnących krzewów, i na wolnem zupełnie oprócz tego stała miejscu. Kurzawa nie dochodziła tutaj, a zamiast turkotu nieustannego, spiew ptaszków brzmiał do koła. Cień rzucały drzewa, nad gankiem wino dzikie chłód utrzymywało. Stał już tam wyniesiony stół i krzesełka, leżała robota Ewy,

jej rękawiczki ogrodowe i nożyczki służące do obcinania róż wiosennych, i do bukietów robienia.

Na dworze oddechało się majowem powietrzem, w pokojach zapachem rozstawionych wszędzie kwiatów, które uśmiechać i spiewać wesoło zdawały się, wśród kosztownych gracików, poważnych pism i książek.

Spodziewano się osób paru, niebawem też towarzystwo gromadzić się zaczęło. Był już Kuba, przytoczył się wiecznie sapiący Karafarosz, i dwóch kolegów biurowych Józefa, których nadzieja śmietany i kurcząt, może więcej niż zapowiedziany preferans zwabiła. Zjawił się Stanisław, a zanim zaraz wpadła pani Herminja.

Odkąd pogoda nastała, w miarę jak jaśniej wschodziło i wyżej wiosenne słońce, gasło ono na horyzoncie pani Konradowej.

Ewela miała więcej wolności, ciasne ściany nie więziły już jej przy boku męża, wychodziła do ogrodu i pozostawała w nim długo, spędzając wieczory na świeżem powietrzu, nie lękając się wilgoci ani chłodu, podczas gdy Józefowi wolno było tylko w południowych godzinach przechadzki używać, a w wyjątkowych razach do godziny piątej.... Stanisław teraz znów na Nowym świecie cały czas swój trawił, Herminję zaniedbywał niewdzięcznie, a ona zaczynała się gryść zazdrośnemi podejrzeniami i męczyć.

Cudowna pogoda dozwalała wycieczki częste przedsiębrać za miasto, posłużyła też za pretekst odwidzinom willi, gdzie Konradowa nagle nadzwyczajną zdawała się znajdować przyjemność, nie mogąc się

nasycić towarzystwem miłem Ewy, ani świeżem powietrzem jej ogrodu.

Stał już w jednym kącie salonu stół zielony. Obsiedli go goście preferansowi. Przy drzwiach otwartych na ogród, Herminja, Ewela i Stanisław, zabawiali się rozmową, Kuba zaś chodził to tu to owdzie, nadstawiając uszu, oczy wysyłając na zwiady. Złączenie tych trzech osób, zajmowała go znać żywo i budziło ciekawość. Pan Józef przeszkadzał mu ciągle, wołając do kart. Parę razy kazał grać za siebie, bo go dla jakichś spraw pilnych, służący do przedpokoju zapraszał. Zły Kuba grał jak za pańszczyznę; właśnie gdy on tu siedział, tam wiodła się może zajmująca pogadanka, krzyżowały się wiele mówiące spojrzenia, docinki lub alluzje!... Doczekawszy się powrotu Józefa, rzucał czemprędzej kartami i biegł do pań, ale nic już szczególnego nie dostrzegał. Ewa robotą zdawała się zajęta, Herminja wachlowała się zawzięcie, a Staś bawił rozmową o nowinkach obie jak najswobodniej. Zdawałoby się doprawdy, że nic nie miał na sumieniu! Jednakże raz coś ciekawszego doleciało Kubę. Było to właśnie w chwili, gdy Herminja spojrzawszy w okno, i zawoławszy, że grzech jest siedzieć w pokoju, podczas tak cudnej pogody, powstała i wyszła pierwsza na balkon. Zanim udała się tam Ewa ze Stasiem, ten ostatni pochylił się prędko.

— Zmiłuj się, mam list...

— Bądź ostrożnym! — odszepnęła Ewa. — Wziąć go nie mogę...

— Więc go włożę pod furtkę, jak zwykle.

Ostatnie wyrazy „pod furtkę“, trochę głośniej wymówione w pospiechu i przy wstawaniu z krzeseł, doszły Kubę. Zamyślony nad ich znaczeniem, poszedł za innymi na balkon. Niebawem pani domu oddaliła się przygotowywać herbatę, a Pleciuga arcyuważnie usunął się także.

— Co też Staś i Herminja będą mówić ze sobą, widząc się zupełnie sami? — pomyślał i wymykał się już, aby okrążyć dom i w bliskim klombie stanąć na czatach niepostrzeżony, gdy go w drodze Józef pochwycił.

— Chodź no tu na chwilkę, muszę odejść!

— A cóż u licha za jakieś sprawy dzisiaj! — mruknął, biorąc karty do ręki i siadając wielce niezadowolony.

— Otóż to tak z tymi majstrami! — rzekł powracający gospodarz — nie mogli przyjść aż teraz, mówiąc, że daleko i czasu nie mają oddalać się od warsztatów. Przepraszam cię mój Kuba!

— Czy pan myślisz fabrykę zakładać, lub dom budować? — odrzucił niechętnie, powstając i patrząc ku balkonowi, gdzie już nikogo nie było. — Co to tak pilnego?

— Et! — kiwnął ręką Józef.

Gdy rozeszli się wszyscy, późno już było. Ewa wyśliznęła się do ogrodu. Biegła prosto do furtki niespokojna, pomna słów Stanisława. Księżyc świecił jasno. Musiała się spieszyć, bo mąż mógł zawołać. Wielkie cienie słały się po trawniku, od drzew stojących w milczeniu, przemknęła się pod niemi, cała drżąca, serce jej biło, uczucie niemiłe pierś uciskało. W tem oczy jej przypadkiem padły na drogę, za ogrodzeniem będącą. Ktoś chodził tam z cygarem w ustach, jakby trzymając straż koło furtki; poznała Kubę. — Czyżby miał jakie podejrzenie? I nie powinien że mieć je teraz, gdy zasłużyła na to? Szybko pomknęła napowrót. Rano zbudziwszy się, przypomniała sobie zaraz o liście. Zarzuciła szlafroczek i wybiegła. Słońce jasne było i dzień nadzwyczaj ciepły. Przy furtce stało kilku ludzi, a między nimi p. Józef. Zawahała się, ale już kiwał mąż na nią i zbliżyć się musiała. Ujrzała teraz, że ci ludzie odkopywali ziemię, a dwóch z nich drągami podważało furtkę. W spodzie jej, w sęczku, który dobrze dostrzegała, bielał z daleka papier... że też go dotąd nikt jeszcze nie ujrzał!

— Otóż duszko doczekałem się nareszcie robotników i mogę tę nieznośną furtkę naprawić! — wołał p. Józef. — Patrz, drzewo całkiem było spróchniałe... a nie gniewaj się, że tu stoję — pogoda cudowna!

Chciała coś rzec, otworzyła usta, ale słowa wymówić nie mogła. Widziała, jak jeden z robotników schylał się właśnie, papier podnosząc; rozłożył go, zobaczył pismo i podał stojącemu panu.

Mgłą zaszedł jej wzrok, pochyliła głowę, czekając na grom, który w nią miał uderzyć.

— Jakaś kartka, zamazana całkiem wilgocią — szeptał Józef obracając list — zkąd, kto ją mógł zagubić?

Przeczytał z trudnością parę słów i dodał, wyciągając rękę ku żonie:

— O ile wysylabizować mogę, list miłośny... Wy-

rozumiej, która tam ze służby winna, oddal ją po cichu... wstydu nie trzeba robić.

Kiwnęła głową, wzięła papier mokry od rosy, która atrament rozpuściwszy, pismo czyniła nieczytelnem i zmienionem, i odeszła nieprzytomna, chwiejąca się, ku domowi.

Mąż przyszedłszy na śniadanie, zastał Ewę z oczami czerwonemi od płaczu.

Że to już nie pierwszy raz się zdarzało i przyczyny tych łez nigdy dobadać się nie mógł, okropnie go to podrażniło i podziałało na nerwy.

Jak zawsze tak i dzisiaj, Ewa pytana milczała uparcie, lub utrzymywała, że jej nic zgoła nie jest.

— Wiesz, moje dziecko — rzekł jej wreszcie — jeźli ciągle płakać mi będziesz, pomyślę żeś słaba... sprowadzę lekarza, bo tak cię zostawić przecież nie mogę! Nie chcesz mi powiedzieć, ja zgadnąć przyczyny nie umiem, która jednak jakaś być musi!

I sam zostawszy, zaczął rozmyślać, coby począć, kogo się poradzić. W chorobę nie wierzył, bo Ewa dobrze wyglądała, ale u kobiet, kto wie, bywa różnie. Trzeba by drugiej niewiasty chyba, żeby domyśliła się, co jest Ewie. I nagle przyszła mu do głowy myśl świetna: Herminja! — Ona dobra, najlepsze ma serce i tak im obojgu sprzyja! Otoż to!... Skoro mu wyjść na miasto pozwolą, zaraz do Herminji się uda i opowie swoje zmartwienie; ona mu pewnie pomoże i da dobrą radę i wyjaśnienie, co jest Ewie. Kto wie, czy Ewa przed nią nie napomknęła już o czem? Między kobietami łatwiej idą zwierzenia, niż wobec męża...

żona nie chce go martwić, lub boi się — choć cóż by on dla niej nie gotów zrobić?! Oh, czemuż nie umie okazać tego, co czuje! czemuż jest nudnym, gderliwym, nieznośnym! Ewa nie ma w nim ufności, a jednak, Boże wielki! tyś świadkiem, jak on ją kocha głęboko.

XVII.

— Proszę cię, powiedz pani, że ja mam pilny interes!

— Kiedy bo proszę pana, pani nikogo nie kazała meldować.

— Nikogo? zupełnie nikogo? jesteś tego pewnym mój Janie? Przyznaj się!

— Jeżeli pan wymaga koniecznie... ale to będzie z ubliżeniem pańskiego honoru....

— Już ty się nie turbuj, kochanku, co może być ubliżeniem dla mnie, a co nie! Gadaj mi zaraz, kogo przyjąć kazano!

— Tylko jednego p. Stanisława, gdyby przyszedł, resztę bez wyjątku wszystkich odpraszać.

— Otoż widzisz, że ja właśnie przychodzę w interesie pana Stanisława!

— Czemuż mi pan zaraz o tem nie powiedział?!

— Boś się nie pytał. Idź-że teraz i oznajm mię twojej pani, albo wpuść prosto do salonu — poczekam.

— Pani dopiero zaczęła się ubierać.

— Już to słyszałem — nie marudź!

Z temi słowy wszedł pan Kuba do bawialni państwa Konradostwa, gdzie zostawiwszy go Jan służący, pobiegł dalej.

I zaraz doszedł Kubę podniesiony głos Herminji:

— Jan miał nakaz, aby nikogo nie przyjmować.

Potem szept panny służącej z lokajem i znów słowa:

— Kiedy kazałam, słuchać powinien! Co to znów nowego, żeby mi Jan gości wpuszczał, gdy nie chcę? Trzeba było powiedzieć, że mnie nie ma.. Mimo woli? nie rozumiem tego!... utrzymuje, że w interesie pana Stanisława?

Ucichło. Służący się pojawił wracając, przeszedł na palcach bawialnię i zniknął. Kuba w fotelu rozparty, czekał. Nie potrzebował jednak długo czekać. Po krótkiej chwili na progu ukazała się pani domu.

Weszła żywo, poprawiając coś koło siebie. Nie była ubraną, ledwo włosy zaczesane mieć musiała, a na sobie szlafroczek długi, zarzucony na prędce, bo kończyła jeszcze zapinać guziki. Z szerokich rękawów wychodziły obnażone ręce, podniesione do góry i niecierpliwie chwytające ubranie. Szyja była odsłoniętą i jak twarz, obsypana pudrem, którego zapomniała zetrzeć zbytnią ilość. Na piersiach chwiały się koronki przeźroczyste, a po salonie rozeszła się woń mydła i wódek, które do kąpieli służyły.

Kuba spojrzał, uśmiech roztworzył mu usta i westchnienie zazdrości, czy żalu podniosło modny tużurek. Gniewem zatrzęsły mu się wargi, że nawet

widzenie jej w tej chwili, nie sobie zawdzięczał i mógł przypisać. Miał zawsze dziwną przyjemność dokuczania Herminji, a teraz czuł większą niż kiedykolwiek do tego ochotę.

Skinęła Kubie głową i rzekła:

— Co mi pan ma powiedzieć? Nie pięknie nachodzić mię przemocą.

— Niech pani daruje, przywykły będąc do innego przyjęcia, sądziłem, że Jan się omylił...

— Nie kazałam przyjmować nikogo zgoła.

— Oprócz p. Stanisława?

Herminja zarumieniła się, poruszyła i żywo zawołała:

— A choćby tak, cóż to pana może obchodzić?

— I bardzo, szanowna pani! Wiedząc, że pani spodziewasz się na pewno p. Stanisława, właśnie dla tego domagałem się przyjęcia, ażeby pani oszczędzić niepotrzebnego wyczekiwania.

— Zkąd pan wiesz?... ale prawda, przychodzisz pan w interesie jego podobno? Miałeś pan coś do powiedzenia?

Kuba się uśmiechnął, pokręcił wąsa i pomyślawszy:

— Gdyby nie to, nie widziałbym cię piękna Syreno! — rzekł:

— Tak — w istocie... jednakże co mam powiedzieć, nie jest wcale miłem, ani nawet łatwem do powiedzenia... Dawno pani widziałaś pana Stanisława?

Herminja chciała gniewnie odeprzeć, otworzyła już usta, ale je zaraz zamknęła. Wahała się chwilę, namyślała mnąc koronki szlafroczka, aż nagle — jakieś

postanowienie powziąwszy — śmiało wzrok podniosła na Kubę.

— Pan coś wie — rzekła a ton jej mowy był o wiele łagodniejszym niż poprzednio.

— Wiem!

Usta jej pobladły, dłonie kurczowo zacisnęły się na poręczy fotelu, na którym siedziała.

— Że p. Stanisław czasu dla nikogo nie ma, że przesiaduje ciągle na Nowym świecie — zawołała porywczo — nie jest to już żadną nowiną! Od tygodnia, jak bawi w mieście, ani razu niepokazał się u nas... Nic mi pan zatem niezwiastujesz ciekawego, jeźli tylko o tem masz do mówienia.

— Może i o czemś więcej jeszcze...

Szarpnęła koronkę na piersi, jakby jej do oddechu przeszkodą była.

— Widziałeś pan co? przekonałeś się?... Mów prędzej!...

— Niech się pani nie rozdraźnia...

— Dajże mi pan pokój! Na wolnym ogniu pieczesz, a ciekawości niezaspokajasz... Pojmujesz jednak, jak mię ta biedna Ewela gorąco obchodzi!... ją ratować...

— Pani droga, nie grajmy komedji — do czego? Czy pani mi nie ufasz?... Słowo daję, że obdarzywszy mię swojem zaufaniem, więcej zyskasz, niż nie wiążąc mnie niczem. Jestem najżyczliwszym przyjacielem pani i mógłbym być najdyskretniejszym!

Herminja tak zagadnięta, zbladła. Chciała jeszcze przeczyć, ale Kuba trzymał ją pod swoim wzrokiem rozbrojoną, mieszającą się i zalęknioną. W mgnieniu

oka położenie całe stanęło jasno przed nią; wolała zyskać niż stracić, i żywo wyciągnęła rękę.

— Masz pan słuszność — rzekła. — Przyjaźń naszą uważam za zawartą! A teraz słucham.

Otwierał usta Kuba, gdy w kapeluszu na głowie, i w surducie, prosto z ulicy, wpadł do salonu pan Konrad.

— Ale gdzie tam! — zawołał od progu — ani go znaleść! Czekałem w hotelu daremnie — nie przyszedł!

A spostrzegłszy Kubę teraz dopiero, zawołał:

— Jak się masz! co za rzecz szczęśliwa! Nie będzie Stanisława na objedzie, to choć ciebie nie puścimy!

I począł go ściskać, rad, że uniknie sam na sam z żoną. Wziął pod ramię Kubę, wypytywał o nowinki i śmiał się. Herminja musiała pójść się ubierać, bo do stołu dawano. Podczas obiadu nie możebnem jej było o czemś się od niego dowiedzieć, dopiero gdy miano przejść do bawialni na czarnę kawę i Kuba ramię jej podał, zdołała mu szepnąć:

— Coś to pan miał powiedzieć nowego?

Odparł prędko:

— Stanisław podobno bywa w ogrodzie u Józefów w nocy.

— Kiedy?

— O! już od dawna. Raz sam widziałem, drugi raz po herbacie w willi miał wejść furtką... czekałem i zapewne spłoszyłem go. I dziś przyjdzie pewnie, mógłbym zaręczyć. — Uderzył się w piersi, choć kłamał!

Herminji robiło się duszno, gorąco, potem zimno i wpół zemdlona upadła na krzesło w salonie, biorąc z tacki i przytykając prędko do ust kieliszeczek chartreusy. To ją orzeźwiło, wypytywać dalej nie miała jednak sposobu, bo panowie palili już cygara i Kuba jakby umyślnie, pospieszył się zaraz wyśliznąć.

Co Stanisław robił w ogrodzie Józefów? dla czego tam chodził? Czy była z nim Ewelina?... myśli te nie dawały spokoju pani Herminji.

Biegała po pokoju zaciskając usta i powtarzając raz po raz słowa Kuby: „Pewno i dziś przyjdzie!“

— Dziś!... a gdyby?... mogłabym widzieć, zejść ich razem... Nie wytrzymam! muszę się przekonać!...

Myśl jej pracowała, przybierała kształty coraz wyraźniejsze, plan cały w głowie usnuwała, który zdał się łatwym do wykonania. Konrad odjeżdżał, była więc wolną.

— Muszę! — powtarzała.

Wieczorem dorożka stanęła przed bramą willi. Stróż głupi, ciężki człek, otworzył.

— Są państwo? — spytała przybyła, w której poznał panią Herminję.

— Pana nie ma, pojechał na przechadzkę, lecz pani w domu, a raczej w ogrodzie.

— Jest kto z gości?

— Tylko pan Stanisław.

Weszła na dziedziniec i skierowała się ku ogrodowi. Stróż zamknął bramę i klucz zawiesił na kółku, poczem poszedł do swojej stancyjki.

W ogrodzie Herminja obejrzała się; nie zobaczyła nikogo, nikt jej też nie widział. Stanęła za gęstym

klombem i rzekłszy w duchu: doskonale mi tu będzie — posłała wzrok na zwiady. Ścieżka biegła tuż pod klombem, w dali bieliły się ściany domu i okna błyszczały. Cicho było wszędzie. Drzwi na balkon stały otworem, ale nikogo nie można było tam dostrzedz. Przycisnęła się do drzewa z postanowieniem czekania cierpliwie.

Rozmaite głosy i szelesty dochodziły jej uszu, tysiące stworzeń krzątało się w trawie, w gałęziach drzew i krzaków, lub roiło się w powietrzu. Słowik dalej spiewał przerwaną na chwilę piosenkę, koniki polne skakały w trawie, do sukni Herminji przyczepiony kołysał się motyl, po białej korze brzozy czarną niezmordowaną strużką ciekły mrówki od góry do dołu, w gałęziach trzepotały wróble, wrzeszcząc wśród liści przed nocą, rój drobnych muszek przesuwał się, brzęcząc cicho. Zdala dochodziło szczekanie Tygrysa, a za parkanem prychały czasem konie, które tam na Herminję czekały. Ale wszystko to razem mniej wyraźnem dla niej było, niż uderzenia własnego serca, które jedynie słyszała.

Upłynęła długa chwila.

W tem, zdaleka, rozbrzmiało coś słabo, jakby echo śmiechu.

Herminja drgnęła. Między liśćmi mignęła suknia jasna. Zaszeleściło bliżej, głosy odezwały się wyraźniejsze. Ewela i Stanisław szli razem, trzymali się za ręce, twarze mieli zwrócone ku sobie. Musieli być w usposobieniu wesołem, bo rozmawiali żywo, swobodnie. Dźwięczny głos Stanisława doskonale dochodził do uszu Herminji, która mocniej teraz przycisnęła się do drzewa.

— Możesz być pewną Elo moja — mówił Staś — że ja bym nie zdolny był zapomnieć o tobie.

Ewa odrzekła:

— Czytałam raz, że miłość kobiety wcale różną jest od miłości mężczyzny, i pewne określenie stosunku ich wzajemnego, żywo mi zostało w pamięci. Mężczyzna idzie z oczami utkwionemi naprzód, wiedząc dokąd dąży... kobieta cofa się, ku przepaści twarzą zwrócona do ukochanego nie oglądając się na nic, nie rozumiejąc dokąd on ją wiedzie, bo tylko wpatrzona w niego... Czyż by tak mogło być na prawdę Stanisławie?

— Dzieje się tak zawsze prawie — nie stanie się jednak u mnie, Elo moja. Patrz na moje życie, czyż nie widzisz w niem ciągłej miłości ku tobie? Jakże dawno kocham już ciebie! Nie zawsze widna, ale zawsze taż sama miłość moja, jak nitka we wschodniej tkaninie, snuje się przez wszystkie dni, które przeżyłem, nieprzerwanie. Miłość ta mną rządzi jedynie, ona mię szczęśliwym lub nieszczęśliwym czyni. Miałażby tylko dla tego być tak silną, że nie należysz do mnie, miałażby dla tego się skończyć, że moją zostaniesz?... To niemożebne!...

— Miłość dla jednej kobiety nie zdolną jest zapełnić całego życia mężczyzny!

— Jeźli jest prawdziwą, i jeźli kobieta, którą się kocha, jest godną wielkiej miłości, jak ty Elo moja, to miłość potrafi nietylko życie zapełnić, ale pochłonąć je całkiem!

Uśmiech pojawił się na ustach Józefowej. — Dopiero zadumana, teraz wesoło spojrzała i odparła z wiarą, którą ją słowa jego natchnęły:

— Nadto potrzebuję ci wierzyć, abym nie wierzyła zupełnie!

— Więc gdyby ci ktoś o mnie źle mówił, gdyby cię odwrócić odemnie usiłował, nie słuchałabyś nie zachwiała byś się? Powiedz!

Ewa była widocznie w jednej z tych chwil, w której niebo zakochanych — tak często lubiące się pokrywać chmurkami — zupełnie zdawało się jasnem; żywo więc i bez namysłu zawołała:

— Nie zachwiałabym się, przysięgam!

Ale zaraz niedobry wietrzyk jakiś musiał mgłą zawiać ten jasny horyzont jej myśli, bo prędko dodała:

— Chybabym się przekonała sama i na własne oczy!

— Tego się nie doczekasz nigdy! — odrzucił wesoło, niosąc jej dłoń do ust i całując gorąco. — Jestem pewny siebie Elo, obym tak ciebie mógł być pewnym!

Przeszli; reszta słów zginęła w oddaleniu.

— Nigdy on do mnie tak nie mówił! — szepnęła Herminja i w zadumę ponurą zapadła.

Chęć niedobra rozdzielenia tych dwojga, uczucie zazdrości strasznej, gniew, zawiść, upokorzenie, miotały nią na przemiany. Przypomniała sobie słowa Eweli: „Chybabym przekonała się na własne oczy!“ Utkwiły one jej w pamięci głęboko, przybierały kształty różne, wcielały się w różne pomysły. Naprzeciw niej siedząca

na kamieniu żaba, patrzyła na Herminję wielkiemi, wytrzeszczonemi oczami. Wyglądała tak, jakby się dziwiła, że istota wszystkiem od Boga obdarzona, piękna i rozumna, mająca w rękach wszelkie środki do szczęścia, a jako taka mogąca sobie stworzyć życie o celu wzniosłym i wielkim, zdolną była jednakże utonąć w odmęcie brzydkich uczuć, które w skromnym i pogardzonym swiecie żabim, nie są nawet znane.... A tymczasem Herminja coraz niżej i niżej schodziła po stopniach namiętności ludzkich, stawała się tak maluczką i pogardy godną, jaką nigdy przedtem nie bywała.

Słońce ostatniemi promieniami już dawno pożegnało ziemię, mocny zapach szedł od łąk i z ogrodu, rosa padała, a ona jeszcze do siebie przyjść nie mogła. Nie słyszała już, nie zważała, jak drzwi od balkonu skrzypnęły i przy bramie dzwonek się odezwał. Dopiero gdy światło lamp zabłysło w oknach domu, podniosła pochylone czoło i szepnęła:

— Już nie są sami! Józef musiał powrócić — i usunąwszy się na ziemię, siadła u stóp drzewa zmęczona.

Oczy jej zamknęły się i pozostała nieruchoma, jakby spała. Nie marzenia senne jednakże, przewijały się przed jej zamkniętemi oczyma! Myśl uparta dojrzewała zwolna w mózgu gorączką objętym, i możebne jej wykonanie w obrazach ognistych przedstawiało się wyobraźni.

Wilgoć i zimno otrzeźwiły ją dopiero. Podniosła powieki, wstrząsła się i obejrzała do koła. Ciemność panowała głęboka pod drzewami; słowik nie spiewał

więcej, bąki z wieczora brzęczące, ucichły. Tylko głośny chór żab, opowiadał chwałę tego licznego plemienia, któremu jedna z ciekawych towarzyszek, musiała powtórzyć swoje spostrzeżenia nad ludzką małością. Willa cieniem nocnym spowita, zdawała się drzemać, jak wszystko. Okna były pozamykane, a światła pogaszone. Zegar miastowy zwolna wydzwonił północ.

Herminja drgała co chwila, wzrok jej natężony śledził cienie ogrodu, wśród których ciągle się jej przewidywały przemykające postacie. Żaden szmer jednak nie dochodził do jej uszu. Oczy mylić ją musiały.

Uderzył kwadrans, pół, trzy kwadranse. Nareszcie wybiła pierwsza godzina. Ona ciągle czekała.

Aż naraz usłyszała wyraźny szelest. Gałęzie się poruszały, ktoś się przez nie przedzierał. Coraz bliżej, bliżej, chód się posuwał, w krzakach łomot się zwiększał. Ani wątpić, znajdował się ktoś w ogrodzie. Stanisław zapewne! Poruszyła się żywo i stanęła drżąca, wyprostowana.

W tem uczuła oddech gorący na sobie. Odwróciła się przerażona. Tygrys stał krzakiem tylko od niej przedzielony, dyszący, gotowy rzucić się na nią. Zawołała nań pocichu... pokazał zęby i warknął, a głośne szczekanie rozległo się po całym ogrodzie. Szczekanie to mogło sprowadzić stróża. Zaczęła uciekać. Pies nie przestawał ujadać, z drugich ogrodów odpowiadały mu inne psy, podnosząc piekielną wrzawę... Jak otworzyła furtkę, jak klucz znalazła i

zdjęła z kołka, jak wypadła na ulicę... z tego zupełnie nie umiała sobie potem zdać sprawy. Myślała, że cały Nowy świat się budzi, że wszystkie okna się otwierają, że służba z willi poznaje ją i bajka z tego urośnie dzika, która poleci do miasta jutro z ust do ust podawana. Uspokoiła się dopiero w dorożce, bo na szczęście woźnica czekał dotąd, odetchnęła i kazała jechać do domu. Ciemność leżała wszędzie jeszcze, ale na krańcu wschodowym nieba pas bielszy zapowiadał już powrót światła.

Rozespany służący otwierając drzwi oznajmił pani, że p. Józef długo czekał na nią z wieczora, i kazał powiedzieć, że przyjdzie jutro w południe.

XVIII.

Nazajutrz — jak był oznajmił — pan Józef około południa wchodził do salonu pani Herminji.

— A! co za miła niespodzianka! — zawołała witając go i wskazując na fotel najwygodniejszy, aby odpoczął.

— Wczoraj byłem u pani, ale czekałem daremnie. Pierwsza to moja wycieczka i nawet zaniepokoiłem nią poczciwą Ewę, powracając późno do domu.

— A! tak! poczciwa Ewa!.. czekała!.. musiałeś pan burę odebrać?

— Naturalnie! — I przytem nie miałem nic czembym się mógł zasłonić... bo pragnąłem, żeby nie domyśliła się, żem u pani zabawił tak długo!...

— Doprawdy, a to dla czego?... Czyżby Ewa uczyniła mi ten zaszczyt i była zazdrośną?... — W słowach jej ciągle drżała ukryta ironja.

P. Józef odparł najniewinniej, niczego się nie domyślając:

— Nie pani!... Ale jam chciał z panią poufnie się rozmówić i sekret z tego czyniłem...

— Ach! poufnie?... Jestem nadzwyczaj zaciekawioną... o co idzie?

— Jak pani to powiedzieć, właściwie sam nie wiem!... Liczę, że mi pani pomożesz.

— Nie domyślając się niczego, jakże pan chcesz bym zgadła?

— W istocie życzyłbym sobie, żebyś pani zgadła...

— Przedni pan jesteś! A gdybym ja zgadnąć nie umiała, lub bała się, albo nie chciała?

— Pani, coś taka rozumna, dobra życzliwa...

— Coraz mniej pana rozumiem! Zapewne przenikliwość jest tu w pewnej mierze potrzebną, choć nie każda zagadka wymaga wielkiego wysiłku wiedzy, aby została rozwiązaną, ale dobroć moja i życzliwość poco? — niepojmuję! Musisz mi koniecznie wyjaśnić, czego oczekujesz odemnie!

Spojrzała bacznie na p. Józefa i dostrzegła jego kłopotliwą i zafrasowaną minę. Nie przywykły do ukrywania się, biedził się ze swemi myślami, i zdradzał to najjawniej. Smutne zmarszczki rysowały się mu na czole...

— Pan ma jakieś zmartwienie!

Pan Józef złożył ręce, zdumiony, wdzięczny.

— Z pod sercaś mi pani wyjęła tajemnicę moją!..

— Więc zgadłam? O! nie wielką mam w tem zasługę... pan jesteś przeźroczysty jak szkło.

— Prawdziwie? — poznałaś pani po mnie?...

Kiwnęła głową tylko.

— Mamże dalej zgadywać? — spytała.

Wyciągnął ku niej dłoń z ruchem wdzięczności wymownej.

Ścisnęła ją, uśmiechnęła się i dodała:

— Czy powodem pańskiego zmartwienia jest Ewa?

— Pani! — zawołał — wiedziałem, że twoja życzliwość jasnowidzącą cię uczyni. Z wiarą tu szedłem największą. Postanowiłem od dawna rady u niej zasięgnąć, porozmawiać, gdy tylko wyjechać zdołam... Myśl ta mnie nie odstępowała, że w pani znajdę najlepszą przyjaciółkę.

Westchnął powtórnie, przysunął się bliżej i poprawiając krawatkę, jakby go dusiła, z giestem właściwym sobie:

— Odgadywać umiesz pani cudownie — dodał. — Tak! powodem mego zmartwienia jest Ewa.

Widząc, że nic nie mówi więcej i patrzy na nią błagalnie, Herminja odezwała się skwapliwie ale ostrożnie.

— Czy pan masz powód niezadowolonym być z żony?

— Raczej zaniepokojonym się czuć mam prawo.

Wydęła usta z jakimś pogardliwym wyrazem, spojrzała z politowaniem i zamilkła. On się znowu przez chwilę namyślał, nareszcie rzekł z ciężkością, trzymając oczy spuszczone:

— Czy Ewa pani nic nie mówiła?

— Co pan pod tem rozumiesz?

— No... tak... czy nie skarzyła się przypadkiem, wywnętrzając przed panią? Nie żaliła na coś, lub na kogo?

— Nie przypominam sobie!

— A pani, nie dostrzegłaś nigdy sama, że.....

— Owszem! dostrzegłam dużo rzeczy i od dawna już! — Domyślałam się jeszcze więcej... choć dopiero od wczoraj przekonałam się, że za mało domyślną byłam!

— Widzi pani! ja tak samo! To jest z tą różnicą że dostrzegać mogłem, ale nic zgoła domyśleć się do dzisiaj.

— Tak! to zwyczajne mężom!...

— Proszęż pani, czy wszyscy mężowie tak mało są domyślni?

Wzruszyła ramionami nie odpowiadając.

— I cóż pan myślisz uczynić teraz? — spytała niecierpliwie. — Szczęście prawdziwe, żeś się przynajmniej pomiarkował!...

— Ależ ja panią chcę właśnie zapytać, co mam robić? A jeźli to już nieszczęśliwa taka ułomność wszystkich mężów, niech mi pani powie przynajmniej, co pan Konrad naprzykład robi? Jak sobie radzi w mojem położeniu?...

Zerwała się zaczerwieniona, gniewna. Lecz jeden rzut oka wystarczył jej, aby się przekonać, że nie było zamiarem pana Józefa obrazić ją. Pomiarkowała się zaraz, i siadając odparła:

— Wytłumacz mi pan, o czem myślisz właściwie? Widzę, że się nie rozumiemy.

Józef już się był ośmielił, słowa szły mu gładziej. Jednym tchem, jakby się bał, iż nie zdobędzie się na odwagę w dłuższym frazesie odrzekł:

— Chodzi mi o to, że Ewę widzę często płaczącą a nie rozumiem przyczyny!..,

Oparła się plecami o swój fotel, i dziwnym przy-

muszonym zaszła się śmiechem.

— O to tylko! przedni pan jesteś! — zawołała zawiedziona.

Pan Józef był człowiekiem bardzo serjo biorącym rzecz każdą, to też śmiech Herminji uraził go widocznie. Uczuł się dotkniętym jej lekceważeniem i łza nabiegła mu do oka. Machnął ręką i rzekł:

— Nie myślałem, że pani mieć będziesz ochotę, śmiać się ze mnie i z mego zmartwienia! Szukałem ulgi i lekarstwa, znalazłem szyderstwo tylko. — Chciał wstać, lecz Herminja go zatrzymała.

— Zwolna, zwolna, kochany panie! nie sądź mnie fałszywie!

— Dla czegożeś się pani śmiała?

— Bo spodziewając się usłyszeć o czemś arcyważnem, a spotkawszy się z wyznanem, że łzy Ewy pana martwią i niepokoją, nie mogłam wstrzymać się od wybuchu wesołości mimowolnej. Płacz u kobiety, to takie dzieciństwo!...

— Dzieciństwo? A jednak ja na jej łzy patrzyć nie mogę!

— Rozumie się! Dogadzając Ewie we wszystkiem, znajdujesz jej grymasy niemiłemi...

— Nie tylko niemiłym mi jest jej smutek, ale i bolesnym bardzo! Radbym przychylić żonie nieba, radbym na rękach ją nosić... niestety! co prawda, nie umiem tego wszystkiego co czuję, okazać!...

Herminja wzruszyła ramionami.

— Ależ panie mój drogi, Ewa powinna by czuć się najszczęśliwszą, powinna by ocenić męża, którego ma... jej bo naprawdę chyba ptasiego brakuje mleka!

Czego może jeszcze żądać, czego pragnąć, za czem tęsknić i płakać?

— Widzi pani, między nami powiedziawszy, nie jest jej znów tak wesoło na świecie... Kocham ją, to prawda, kocham mocno i głęboko, ale ona młoda, jam prawie stary, życie nasze bardzo ciche. Niech mi pani da radę..

— Radę? — zawołała Herminja.

— Właśnie o nią proszę! Jeżli pani nie zechcesz mi pomódz, to któż? Do kogo się udam? Do Aurelji, która szczęście zakłada na klepaniu pacierzy i rozmowie z ks. Pafnucym?

— Więc dam panu radę jedną!

Poniósł jej rękę do ust z wdzięcznością, czekając na słowa jak na wyrocznię.

— Łzy, jakkolwiek, u kobiet o nie nie trudno, przyczynę jakąś zawsze mieć muszą!... Niech się pan stara tę przyczynę odgadnąć.

— Kiedy ja nie umiem.

— Nic łatwiejszego! Otwieraj pan pilnie oczy i uszy, szukaj, kombinuj, domyślisz się z pewnością! Ewa z tem, co jest przyczyną jej płaczu, taić się musi, a gdyś nic nie odgadł, powiedz sobie, że istnieje coś, co ukrywa i rób jak ci, którzy bawią się w chowankę: zimno, cieplej... przecież kiedyś rękę na tem położywszy, zawołasz: pali się!

— Jest-że to w mojej mocy śledzić Ewę, podejrzywać ją, podpatrywać i łapać? O pani! trzebaby niedowierzać, nieufać, a jam niezdolny do tego!

Powstał, pożegnał się chłodno i wyszedł zawiedziony. Żałował wywnętrzeń swoich, a więcej jeszcze

wyobrażenia dobrego, które miał o Herminji. Doszedł do domu zamyślony i smutny. Ewa była w ogrodzie, poszedł więc szukać żony, potrzebował ją zobaczyć Spotkał niosącą cały pęk kwiatów. Miała uśmiech na ustach i czoło wypogodzone. Biała suknia kształtną kibić obejmowała, chód lekki był i swobodny, cała postać dziwnie urocza. Na twarzy dziecinnej prawie jeszcze, śladu łez nawet najwprawniejsze nie dostrzegało oko.

— Jak się masz i zkąd powracasz? — zawołała z daleka. — Czy ci posłużyła przechadzka?.. a nie zmęczyłeś się nazbyt? — Patrz ile tu rozkwitło się bzów poczciwych! Będę mieć cudowne bukiety. Na różach już zaczynają się pączki pokazywać i jaśmin nie długo zakwitnie... zasiałam też rezedki mnóstwo... Wiesz, bratki przezimowały wyśmienicie!... A w mieście jakie nowiny? Gazety już musiałeś czytać... Byłeś w biurze? Spotkałeś kogo?... Zdaje mi się, że pogoda jeszcze dłuższy czas potrwa, rosy było dziś wiele. — Tak mówiąc, szła koło niego, z jakąś gorączką wypytując, mnożąc szczegóły, skacząc z przedmiotu na przedmiot.

Józef się uśmiechał, widząc w tem wesołość i życie, gdy wyraźnie starała się zagłuszyć pytania jego, może siebie samą, i nie dać mu przyjść do słowa.

Opowiadała mu dalej, jak się musiała wspinać, żeby gałązki bzów dosięgnąć. Śmiała się i mówiła prędko.

— Cóżeś więcej robiła? — spytał bez żadnej myśli, gdy Ewa mówić na chwilę przestała, dla zaczerpnięcia oddechu.

— Ja? — zająknęła się zaczerwieniona, prędko

bzy do twarzy przytykając.

— Był tu kto może?

Teraz odwróciła się całkiem. Przechodzili koło grządki narcyzów. Schyliła się, zrywając niektóre.

— Był Stanisław! — szepnęła.

— A!.. chciałem się z nim widzieć właśnie! Nie mówił ci, czy myśli przyjść wieczór? Może jedzie dzisiaj? Już długo tu siedzi!

Ewa ciągle jeszcze nie mogła uporać się ze swemi narcyzami

— Nic nie wiem! — odrzekła z wysiłkiem.

Józef się zaśmiał.

— Już to on wybiera się ciągle, a nigdy zebrać nie może! Musi go tu coś trzymać z pewnością!

Szli dalej.

— Nie mówiłeś mi nic jeszcze, co stoi w gazetach? — zagadnęła żywo.

Był to temat ulubiony męża. Nie prędko go wyczerpywał, gdy raz wpadł nań, lub naprowadzonym został.

— Powinnaś czytywać gazety Ewo! — zawołał. — Dzisiejsza poczta arcyciekawe przyniosła nam rzeczy. Jest wyśmienita mowa Hausnera... muszę ci to przynieść, potem Naquet'a wniosek o rozwodach, w izbie francuskiej.

Ewa podniosła głowę. Dwa rumieńce zabłysły na jej twarzy.

— Wniosek o rozwodach? — rzekła. — Podobno i w Wiedniu miano nad tem debatować? — głos jej trochę zadrżał.

— Tak, była mowa, dawniej, ale dużo czasu upłynie, nim do tego przyjdzie!

— Ciekawa bym była, co też postanowią. Chociaż jestem pewną, że zależeć będzie przyjęcie lub odrzucenie nowego prawa, od osobistego usposobienia głosujących. Otóż na czem się opiera porządek społeczny, uznanie rzeczy jakiejś prawną, lub policzenie jej w rząd bezprawiów! Niech na większą połowę głosów złożą się przypadkiem ludzie, mający własny interes w zaprowadzeniu rozwodów, a rozwody zostaną postanowione. W przeciwnym razie...

— Nie Ewo — odrzekł żywiej niż zwykle Józef — mylisz się! Chcę wierzyć, że ludzie bezstronniejszymi są, niż mniemasz, i że w postanowieniach potrafią się rządzić dobrem ogółu, a nie własną swoją wygodą.

— Cóż by jednak szkodliwego dla ogółu być mogło w rozwodach? — spytała Ewa z dziwną intonacją głosu.

— A cóż by wynikło z nich lepszego niż dotąd? — odparł mąż. — Lekceważenie przysięgi, lekkomyślne traktowanie obowiązków! Powiem ci, że nie pojmuję wcale rozwodu! Cóż od raz podjętego zobowiązania uwolnić jest w stanie? Czyż zrzucenie obowiązania tego z ramion, jeśli nam ono cięży, zniszczy moc danego słowa? — Nie! uczyni nas to tylko oszukańcami wobec samych siebie i sumienia naszego. Nikt nie zdolny zerwać z przeszłością, i na to, co raz zrobionem, powiedzieć, że się nie stało! Każdy uczciwy człowiek ma tylko jedno słowo; rzekłszy je, cofnąć się ani może, ani mu wypada. Ja — przyznam się

otwarcie — głosowałbym nawet wtedy przeciw rozwodom, gdybym miał nieszczęście najgoręciej ich pragnąć.

Ewa pochyliła głowę, zamyślając się głęboko i poszła do swego pokoju tak smutna, jak niedawno była wesołą i na pozór całkiem spokojną.

W parę dni potem pan Józef siedział przy swojem biurku i listy przeglądał. Jeden z nich właśnie obracał w rękach na wszystkie strony, z widocznem zniecierpliwieniem. Niecierpliwił się, bo list nie miał podpisu ani pieczęci, a pan Józef, jako akuratny człowiek, najprzód przekonywać się lubił od kogo list przychodził, a dopiero brał się do zapoznania z jego treścią. Nameczywszy się chwilę daremnem szukaniem, zaczął czytać, syknąwszy niezadowolony:

„Jestem powodowany najżyczliwszemi chęciami, raczy Wiel. Pan Dobrodziej uwierzyć! Pospieszam z przestrogą i ostrzeżeniem. Nie zapominam com sobie winien, dla tego również nie mogę zapomnieć, co Wiel. Panu Dobrodziejowi winien jestem...“

— Wolałby nie zapomnieć podpisu! — pomyślał w tem miejscu pan Józef. — Co to za paplanina?

„Pan nie widzisz nic, ale ja widzę, bo mam oczy otwarte! Żona już pana zaniepokoiła zachowaniem swojem, dodam przeto objaśnienia konieczne.“

— A to mi opiekun! — pomyślał czytając. — Ale zkąd ten ktoś nieproszony może wiedzieć, że mnie Ewa zaniepokoiła? — Znów rzucił oczyma na papier.

„Nie wiesz, co się dzieje w twoim domu — stało

dalej — zręcznie ci oczy mydlą! Gdybyś też chciał je otworzyć? Kto chce, ten może. Żona cię nie kocha, płacze, bo jej życie z mężem stało się ciężarem! Zaradzić niczemu nie umiesz, a ona tymczasem znajduje pociechę gdzieindziej. Wiesz kiedy się śmieje? Oto gdy męża w domu nie ma! À bon entendeur salut! Policz ile razy kuzynek do was zagląda, ile godzin z panią przepędza... Reszty domyśl się. Rzecz nie trudna doprawdy!"

Oburzony Józef zmiął list w rękach drżących. Było to podłe obwinienie, pismo bez podpisu, za które autor nie brał na siebie odpowiedzialności. Złość przemawia zawsze w ten sposób, przekonanie tylko, śmiało nadstawiać zwykło swe czoło.

— Szkaradny, podły! — mruczał p. Józef. Gniew się w nim budził. — Jakto, śmie Ewę kalać podejrzeniem!

Te słowa jednak dotknęły go boleśnie: „żona cię nie kocha, płacze, bo życie jej z mężem stało się ciężarem." I otworzył drzwi nagłym ruchem, wołając Ewę. Jej imię rozległszy się po pustych pokojach dziwnie zabrzmiało; zdało mu się, że Ewa była daleko, daleko od niego! I z całej siły powtórzył z bolesnem rozdrażnieniem:

— Ewela!

Był już w nim niepokój człowieka, nie chcącego się przyznać, że się boi. Od jakiegoś już czasu łzy Ewy trwogę budziły w jego sercu. Czuł chwiejący się grunt pod nogami, ale nie przypuszczał, żeby go mogły gruzy domu własnego zagrzebać. Wierzył dotąd z zaufaniem ślepem, nie roztrząsając nic, nie

zastanawiając się, nie myśląc.

Ewa weszła. Wzrok męża spoczął na niej z niewysłowionym bolem, mętny, pytający. Załamał ręce. Od razu odkrywał w niej coś, czego dotąd nie dostrzegał nigdy. Wejrzenie jej uciekało przed nim, głowa odwracała się i spuszczała ku ziemi. Była strwożona, zalękniona.

— Czyż mogłem się spodziewać!... ty... ty... ale nie, to być nie może! — zawołał p. Józef.

Nie pytała co mają znaczyć jego słowa; stała nieruchoma, opierając się o fotel, pobladłszy. Czekał na słowo, milczała. Nie dziwiła się szczególniejszemu wykrzyknikowi, głosowi drżącemu męża. Powiódł dłonią po czole, westchnął głęboko i wyciągając dłoń z listem ku Ewie, rzekł krótko:

— Czytaj!

Wzięła nic nie mówiąc, zmieniła się na twarzy i list przebiegła oczyma.

Józef spodziewał się oburzenia, gniewu, nie usłyszał nic. I uczuł w obec jej upartego milczenia, że oprócz bolu, było w niem coś więcej. Rzekł przeto z goryczą:

— Powiedz mi przynajmniej, czem się to dzieje, że ktoś ośmiela się szarpać twoją sławę, imię dobre, które jest i mojem imieniem?! Co jest w twojem postępowaniu, co ci każe trzymać teraz oczy spuszczone i blednąć, gdym nie rzekł ani słowa?!

Drżał, ona wyciągnęła dłonie, jakby błagała. Ruch ten wzruszył go.

— Twierdzą, żeś nieszczęśliwa ze mną, że mnie nie kochasz? — szepnął. — Czy to prawda?

Milczała ciągle, głowę chyląc coraz niżej. On z jękiem ukrył twarz w dłonie obie.

— O ja nieszczęśliwy! wierzyć nie chciałem!

Po długiej chwili podniósł czoło i oczy zwróciwszy na żonę:

— Więc to prawda? — spytał głosem złamanym. — Nie kochasz mnie? Tak, powinienem był od dawna tego się domyśleć. Nie okazywałaś mi zbytniej miłości, ale mnie i tej odrobiny dosyć było! Nie, nie, chcę jeszcze wątpić!... Ewo ja siebie tylko muszę obwiniać! Nie rozumiałem, zapominałem, żem cię wziął tak młodą... dzieckiem prawie. Nie pamiętałem, że kochać ciebie to jeszcze nie dosyć, że masz wymagania twemu wiekowi odpowiednie, że nasze życie ciche, nudne, nie zdolne jest wystarczyć tobie, jak mnie wystarczało! Nudziłaś się... pamiętam, mówiłaś mi raz o tem, a ja... ja... nic sobie z tego nie robiłem! Ciągle byłem za domem i ciągle zatrudniony tem, co mnie obchodziło jedynie. Obwiniają cię teraz, że się śmiejesz, gdy męża w domu nie ma! A kiedyż on jest w domu? Tylko wtedy gdy słaby i męczy cię swem niezdrowiem i wymaganiami chorego! Alboż ja myślę o tem, że tobie potrzeba rozrywki i wesołości, jak ptaszkowi wolności i przestrzeni!

Załamał ręce.

— O! teraz już będzie inaczej!... Poświęcę ci się cały! Chcesz, wybierzemy się w podróż, zwidzimy Włochy, Szwajcarję, spędzimy zimę w Paryżu... Nie poskąpię niczego... pieniądze wyrzucać musimy garściami. Co zapragniesz stanie się zaraz!... czyż może być twój uśmiech za drogi?...

Mówił jak do dziecięcia, któremu obiecuje się zabawkę, aby było grzeczne. Nie przypuszczał nieszczęścia, w obec którego nie ma już ratunku... Wierzyć w nią nie przestawał, a potępiać nie umiał.

— Ty wiesz, że ja ciebie kocham!... Okazać tylko nie umiem mojej miłości... Nie jest ona przeto ani mniej głęboka, ani mniej silna od tej, którejbyś miała prawo wymagać, którejbyś do szczęścia swego potrzebowała... Nieprawdaż, że tylko chciałaś to usłyszeć odemnie? Chcesz także dowodów mego przywiązania, obiecałem ci je i obietnicy dotrzymam... Odtąd nie poskarzysz się już na mnie...

Spodziewał się, że po tych słowach Ewa rozpłacze się, rzuci w jego objęcia... lecz ta jak wkuta pozostała na miejscu.

— Ewelo!... żono moja!...

Chcąc ją do serca przycisnąć wyciągnął ramiona.

Była bliską omdlenia, nie chciała oszukiwać dłużej tego szlachetnego, wierzącego w nią człowieka. — Zebrała sił ostatek i słabym głosem zawołała:

— Nie! nie mogę pozostawiać cię w błędzie! Jestem zbyt winną... kocham innego... — dodała cichym szeptem.

On jeszcze nie wierzył.

— To być nie może! — wykrzyknął. — To nie prawda!.. Zastanów się... cofnij coś wyrzekła!.. Przysięgłaś, i nie jesteś z tych, co łamią przysięgi.. Ja cię znam, oszukiwać, zdradzać, nie byłabyś zdolną. Opamiętaj się.. patrz, w głowie mi się mięsza.. czyż nas nie połączono na życie całe? Cóżem zrobił, abyś

się odemnie odwracała? To szał jakiś chwilowy, dziecinny!

Wykrzykniki jego uderzały w pierś Ewy, jak ciosy śmiertelne, ale niepodobieństwem jej było, zdobyć się na zaprzeczenie... Czuł, jak rękę, którą pochwycił, wysuwała z jego dłoni, jak cała odsuwała się i odwracała od niego.. Wszystko w niej mówić się zdawało, że łudzić się nie powinien był dłużej.

I w obec tej martwoty, którą nic nie wzruszało, w obec tej obojętności bezlitośnej, którą prośby, zaklęcia, łzy i jęki, natchnąć żadnem ciepłem nie mogły, pan Józef nagle uczuł w sobie budzący się gniew mężczyzny pokrzywdzonego, uczuł się śmiesznym z ufnością swoją i wiarą bez granic, puścił jej dłoń i zawołał:

— Czy wiesz, co to znaczy, gdy żona powie mężowi, że kocha innego? Szalona, myślisz może, że te słowa, podobne są innym słowom? Nie wyobrażasz sobie, że mają właściwość ostrego noża, rozcinającego wszystko, że wymówiwszy je, żyć obok siebie nie można!...

Skrzyżowawszy ramiona przystąpił bliżej, cały ból swój ukrył, stał się surowym jak sędzia, wymierzający karę.

— Między nami wszystko skończone!... Odtąd będziemy żyć obcy, i gorzej niż obcy. — Odejdź! nie zatrzymuję cię więcej!

Wskazał na drzwi.

Czy myślał, że wyrok jego, wzbudzi w niej żal i wyrzut sumienia? Czy spodziewał się jeszcze czego wbrew surowości swojej? Ruch i słowa znaczyły stanowcze zerwanie, a jednak w głębi duszy, nie było tej chęci, bo nie przypuszczał, żeby między niemi już miejsca porozumienie żadne mieć nie mogło. Chciał upamiętać Ewę, przestraszyć może; nieubłaganym być nie myślał... Zdawało mu się, że Ewa ukorzy się, przeprosi...

Jakże cierpiał, gdy odeszła. W myślach gorzkich pogrążony, nieruchomy pozostał długo, aż turkot wyjeżdżającego powozu, stuk zapadającej bramy, powrócił go do przytomności. Drgnął zbudzony, porwał się przelękły, i wybiegł... Kroki jego rozlegały się po pokojach pustych... drzwi jedne po drugich otwierał z gorączką i lękiem. Szukał żony, a w miarę jak szukał, coś z jego niewyraźnych nadziei, z nieopatrznej ufności, zostawało za każdemi drzwiami. Gdy cały dom obejrzał, chwiejąc się, zawrócił do pokoju Ewy. Tu miał znaleść ostatnie słowo zagadki, czy szczęście jego za zawsze przepadło!... Przymknął oczy, stając przy drzwiach... Roztworzył je, i spojrzał po chwili dopiero. Ujrzał szuflady biurka powysuwane, próżne, i na najbliższe krzesło padając z jękiem zawołał:

— Odjechała! porzuciła mnie!...

XIX.

Ewa kazała wieźć się do babki.

Wyszedłszy z pokoju męża, nie wziąwszy nic oprócz listów z biurka, jak stała, wsiadła do powozu, opuszczając ten dom, gdzie nigdy nie miała powrócić. W pierwszej chwili, nie była wstanie zdać sobie sprawy z tego, co ją spotkało. Józef z rozpaczą swoją stał jej ciągle w oczach, uczucie jakiegoś wyswobodzenia, mięszało się z wyrzutem sumienia, które nie dawało jej spokoju... Wyobrażała sobie przyszłość, łączyła podobne z niepodobnem i raz zdawało się jej, że jest wolną, to znów, że tylko występną. Trwoga ją przejmowała, co powiedzą ludzie, matka, Aurelja. Jak babka przyjmie jej wyznanie, które uczynić musiała. W błyskawicznem jasnowidzeniu odgadywała jutro i myśli jej mroczyły się mgłą niepokojów tysiącznych, bo owo jutro stało przed nią z twarzą zakrytą i ciemną. Gdy powóz przed mieszkaniem babki się zatrzymał, serce Ewy kołatało głośno. Była tak bladą, że babka spojrzawszy na nią, krzyknęła przerażona:

— Co ci się stało?!

— Czy mnię chcesz babciu? — odszepnęła Ewa — Mam już tylko twój dom za przytułek jedyny!

Pani Oven nie pojmowała jeszcze co zaszło. Zwolna, drżąc cała, opowiedziała Ewa wszystko. Nie pominęła niczego, wyspowiadała się ze swojej miłości do Stasia, ze strasznych udręczeń, których doznawała oszukując męża, z ulgi, że maskę raz już zrzuciła

— Lepiej, że się tak skończyło! — dodała. — Wśród łez i upokorzenia trudno by mi było wyżyć dłużej! Opłakiwałam swoją zdradę, a nie mogłam wyrzec się miłości. Ach! udawanie tak mi cieżyło okropnie! On teraz już wie — odboli — zapomni... Co ze mną będzie, sama nie wiem! myśleć o tem nie chcę! Stanisław mówił ciągle o rozwodzie... jest-że możliwym i czy jeszcze dla mnie może zabłysnąć szczęście na świecie?

Babka oczy strwożone zwróciła na nią, przy pierwszej wzmiance o rozwodzie. Przelękniona zawołała boleśnie:

— Nie! jak mnię kochasz! Ty nic nie rozumiesz... obałamucona jesteś .. bierzesz to za rzecz podobną, co możliwem nie jest! Rozwód! ach! moje dziecko, nie wyobrażasz sobie ani boleści, ani wstydu, ani walk, przez które przejść byś musiała! Mówisz o upokorzeniu — poznałabyś wtedy prawdziwe!

Ewa wskazała ręką na portrety rodziców:

— A oni? — spytała.

— Nie odwołuj się na nich, nieszczęśliwe dziecko! Obiecałam ci opowiedzieć ich historją. Teraz czas właściwy, więc posłuchaj Ewo!

I jak pelikan, co pierś własną rozdziera i krwawi, zaczęła mówić o zamierzchłej dawno przeszłości, w sercu jednak żyjącej zawsze, bo jej dotknięcie było bolesne. Siedząc przytulone do siebie, kartka po kartce przeszły tak tę księgę zamkniętą dziejów minionych, której ostatnim wyrazem był grób, a epilogiem zawiedzione marzenia szczęścia.

Matka Ewy bardzo młodo wydana zamąż, nie znająca świata ani ludzi, dostała się w moc człowieka, nie umiejącego nic poszanować i nie ceniącego w niej niczego więcej, prócz jednego majątku, który miała znaczny bardzo. Hulaka, cynik, zepsuty, maskujący się doskonale przed światem, potrafił wziąć młodą i piękną pannę tylko dzięki zręczności, z jaką się jej rodzinie przedstawił. Aurelja przepadała za nim, tak ją podejść potrafił; ojciec panny sądził, że w lepsze ręce nie mógł oddać dziecięcia swego. I po ślubie jeszcze, nikt nie chciał wierzyć w złe jego strony; skargi żony brano za urojenia chwilowe, a jej łzy nerwom przypisywano i grymasom. Nie znajdując nigdzie poparcia i wiary, cierpiała czas długi; potem poznała się z Ovenem. Pokochali się wzajemnie i młoda kobieta porzuciła męża, uchodząc potajemnie do ojca, gdzie mimo zabiegów mężowskich, gwałtem chcącego ją do powrotu przymusić, pozostała, póki nie wyrobiono rozwodu. Na ten mąż zgodzić się nie chciał długo. Ona wiedząc z kim ma do czynienia i w czem tkwi źródło oporu, znaczną częścią swego majątku uzyskała nareszcie gorąco upragnioną swobodę. Wyszła za Ovena, myśląc, że staje na progu szczęścia. Było to tylko złudne mniemanie! Opuszczony małżonek miał liczną familję; ta podburzona przez niego, krzyk podniosła. I jemu nadto leżała na sercu strata majątku, wziętego w posagu, aby nie mścił się haniebnemi potwarzami na rozwiedzionej żonie. Panna Aurelja ze swej strony głosiła potępienie i zerwała z krewną wszelkie stosunki, zamknąwszy drzwi Ovenom. Ona to sprawiła pierwsza, że nie chciał nikt przyjmować matki Ewy, że wszyscy znajomi zaczęli się odwracać i stronić od niej. Pobyt w kraju niepodobnym się okazał w takich okolicznościach, postanowili przeto Ovenowie wyjechać, wyrzec się stosunków, uciec ze stron rodzinnych i przenieść się do dawnej ojczyzny Ovenów, aby spokojnie sobą i szczęściem swem się cieszyć. Sądzili, że miłość wszystko zastąpi, a tęsknota nie potrafi wejść w serca tak sobie oddane. Inaczej jednak się stało. Choć bardzo się kochali, odczuli silnie boleść wygnania. Każde z nich zaczęło się obwiniać tajemnie, że było przyczyną zgryzoty i cierpienia drugiego. Wyrzucało sobie każde, że nie zdolne zwyciężyć namiętności, zatruło życie najdroższej istoty! Młoda pani Oven była wątłego zdrowia, pożycie z pierwszym mężem, boleśne przejścia zerwania i rozwodu, podkopało je tembardziej — umarła, a mąż kochający, zrozpaczony, przeżyć jej nie potrafił. Wielkie szczęście wymarzone rozwiało się w smutkach i łzach, w tęsknocie i zawodach boleśnych, skróciło lata dwojga młodych ludzi i zostawiło sierotą dziecię, którego uśmiechy nawet nie zdolne były rozjaśnić pożycia dwojga małżonków. Oderwani od tego, co im potrzebne, miłe, znajome i konieczne było, pozbawieni otoczenia, wśród

którego wyrośli, stosunków, którymi pogardzili, ale bez których obejść się niepodobna, zamęczyli się tęsknotą, dalecy od wszystkich i wszystkiego.

Ewa myślała o Stasiu i o sobie. Oczy jej otwierały się nagle i patrzyły z dziwnem jasnowidzeniem, dzieje rodziców rozbrzmiewały w jej piersi ostrzeżeniem przykrem a strasznem. Podczas opowiadania babki, serce jej coraz większy lęk zdejmował, poczęła wątpić o wszystkiem.

Ledwo pani Oven zamilkła, cały poruszony wpadł Stanisław. Powracał on prosto z willi, gdzie głuche wieści o odjeździe pani krążyły. Ewa pobiegła na jego spotkanie, obcierając oczy. Bolesna dla niej chwila, mogła jemu nadzieję szczęścia przynieść.

Szeptali ze sobą, a babka wzdychała. Przyjście jego nowe sprowadzało zawikłanie i kłopot.

Wysłuchawszy Ewy, zwrócił się Stanisław poważny bardzo do staruszki.

— Pani wszystko jest wiadomem — rzekł — mnie pozostaje tylko dodać, że kocham Ewę z całej siły i na życie całe! Niech mi zaufa i nie martwi się; będzie moją, lub ja żyć nie będę!

A widząc, że nie przekonana chce coś powiedzieć, dodał z mocą:

— Wiem, że czeka nas wiele, wiele nieprzyjemności, i przejście nie jedno. Trzeba tylko silnej woli, a wszystko zwalczymy! Ja mam tę silną wolę, mam oprócz tego wiarę, że szczęście swoje zdobędę. Jest-że coś niepodobnego dla tych, co chcą prawdziwie? — pocałował w rękę staruszkę i znów zaczął:

— Pani od dawna najlepiej znasz serce moje. Lata przeszły, ono pozostało niezmienionem. Teraz staję u celu moich pragnień. Bez Ewy nie pojmuję życia... odbierzcie mi ją, a Bogiem się świadczę, że nie przeżyję tego!

Babka smutnie głową potrząsła.

— Szalony! — szepnęła — wyzywasz do walki, co silniejsze od ciebie! Zamiast szczęścia zgotujesz jej i sobie przyszłość niepodobną, ciężką, nieznośną! Weźmiesz potępienie zamiast błogosławieństwa na drogę i życie stanie ci się trudnem, niemożliwem! Ale, kiedyż wy młodzi, możecie być przekonani przez starość nad grobem stojącą? Inaczej ona widzi, inaczej czuje od was, i zapatrywania swojego w wasze serca nie przeleje, to darmo! — westchnęła, łzy potoczyły się po jej twarzy.

— Potępienie tylko ten niesie na sobie droga pani — odparł Staś z głębokiem przekonaniem — kto nie umie czoła podnieść i zbrukanym się czuje! Czy tak zdrożną miłość nasza, lub to, że w nią wierzymy? Wielką i silną jest ona, i musi wywalczyć miejsce w słońcu dla siebie... ludzie nas nie potępią...

— Ludzie? — spytała gorzko p. Oven.

— Ludzie niech nas zresztą nie obchodzą tak bardzo! — zawołał z żywością. — Świat nie godny tego, bym mu szczęście swoje przynosił w ofierze. Nie jest on ani tak bezstronnym, ani słusznym w sądach, by oglądać się na niego warto było. Niech pani spojrzy ilu on sprzyja, którzy umieją grać komedję? Niech pani porachuje tych, którym on hołduje i czołem bije, czy wielu tam uczciwych i zacnych prawdziwie?

Opinja świata, to chorągiewka, kręcąca się za podmuchem wiatru, dosyć jednego ukłonu, jednego szerokiego otworzenia drzwi, jednej garści złota, aby się zwróciła z uśmiechem, w stronę zręcznego kandydata do jej faworów.

— Nie brakuje na argumentach temu, komu się głowa pali! — odparła biedna babka.

— Babciu droga — wtrąciła Ewa, którą Staś zawsze przekonywać umiał — nie strasz nas... co się stało, stało się! Ja do Józefa nie wrócę, to darmo! między nami wszystko skończone...

— Zmiłuj się, drogie dziecię — szepnęła jej na stronie. — Przecież nie będziesz wymagała, abym tu przyjmowała Stanisława! Co na górze powiedzą?

— Powiedzą, że w tem nic nie ma złego, bo zezwalasz..

A Staś dodał, zrozumiawszy o co chodzi:

— Pani nie zechcesz pozbawiać mnie widywania Ewy. Gdzież ją mam widzieć, jeżeli nie tutaj?

Babka zamyśliła się smutnie. Wszystko to się jej nie podobało, bała się jednak pogorszyć sprawę, zabraniając odwidzin Stasiowi, rachowała na swoje perswazje, na zastanowienie Ewy, na czas... Starała się jeszcze przedstawiać, grozić i przekonywać, gdy młodzi wśród szeptów swoich, starego głosu nawet nie słuchali.

Stanisławowi pilno było snuć plany na przyszłość. Rwał się już do czynu... do wyrabiania rozwodu... palił się niecierpliwością. Ufność swoją przelewał w Ewę; zapominała o przeczuciach, wierzyła w możliwość szczęścia, dawała się wieść po złotej ścieżce

ułud rozkosznych, powtarzając po cichu:

— Z nami tak źle nie będzie, jak z rodzicami memi.

Gdy Staś odszedł, a p. Oven znów przekonywać ją zaczęła, zwolna wiara w szczęście, do którego serce jej biło, opuszczać ją znowu zaczęła.

— Nie mogę wierzyć — mówiła babka — by Józef tak rzeczy pozostawił. Pogodzić się możesz z mężem, powrócisz do niego i do domu...

— Do tego nigdy nie przyjdzie! — broniła się gorącemi słowy Ewa. — Nie wrócę do niego... zabiłabym Stasia!

Ale mimo tych wykrzykników, lęki dziwne opadały ją powtórnie. Całą noc w myślach jej przesuwały się obrazy miłości i nieszczęścia rodziców. Pani Oven słyszała, że wnuczka nie spi, i ona także od snu daleką była. To co syna i synowę wtrąciło do grobu, co teraz znów zawisło groźbą nad głową ukochanej wnuczki, nie schodziło ani na chwilę z przed jej oczu. Zdawało się staruszce, że dawne dzieje powstają z martwych, wcielają się w teraźniejszość, otaczają kołem zaklętem Ewelę, i natrząsają się złowróżbnie z tego, co ratunkiem być jeszcze mniemała!

— Któż zdoła uniknąć przeznaczenia swego? — szeptały jej do ucha groźne cienie przeszłości, podczas gdy gorącem ku Bogu westchnieniem, modlitwą, broniła się przed zwątpieniem i boleścią swoją.

* * *

Na wzmiankę o rozwodzie, Józef zakrzyknął, że nań nie pozwoli nigdy. Opór ten zmięszał młodych

ludzi. Była to pierwsza trudność, która stawała przed niemi; znalazły się niebawem i inne. Stanisław, nie umiejący wytrwać ze założonemi rękami, potrzebujący się dowiedzieć mnóstwa szczegółów, rzucił się biegać po adwokatach i sądach, do konsystorza i księży. Czyniono mu obietnice, że sprawa da się przeprowadzić pomyślnie z trochą zręczności i cierpliwości, jak wszystko na świecie... Można było znaleźć jakąś małą nieformalność w akcie ślubnym, albo dowieść, że Ewa zmuszoną zastała moralnie do zawarcia tego związku. Szło tylko o czas i pieniądze. Stanisław wyrzucać je był gotów nie licząc, trudniej mu przychodziło czekać. W największej miało się to dziać tajemnicy; ale po mieście niebawem zaczęto przebąkiwać o tem i o owem. Szeptano, że w nieporozumieniu państwa Józefowstwa — które pani Oven jako chwilowe i niewiele znaczące przedstawić się starała — tkwiło coś więcej. Herminja z wieścią niedobrą przybiegła do Aurelji, zgorszona niby ogromnie, w istocie mocno poruszona i niespokojna. Znalazła starą pannę w niezwykłem uniesieniu.

— Nie mogła nic zrobić innego! — zawołała Aurelja — wszystko u niej możebne! Kto, tak jak ona, szkaplerzów nie nosi i księdza Pafnucego nie przyjmuje i znać nie chce, ten najgorszą zbrodnię gotów popełnić. Daremnie Józef usiłuje mi przedstawić, że tak źle nie jest, że ma nadzieję powrotu żony.. mówi o jakichś obowiązkach względem niedoświadczonej... prosi, żeby matka się nie dowiedziała i nie martwiła niepotrzebnie... co ja czuję i wiem, tego nikt mi nie wyperswaduje! Ewa jest zgubioną i była nią od

dawna... niecierpię jej! Nic o niej wiedzieć nie chcę, przed nią drzwi zamykam, niech pokutuje! Niech we łzach krwawych się kąpie! Może stanie się nareszcie tem, czem chcieliśmy ją mieć od dawna i zwróci się tam, dokąd powinna była iść, nie zważając na pokusy świata! Gdy u nóg moich i ks. Pafnucego ją zobaczę, wtedy uwierzę dopiero w jej poprawę!

Od tej chwili, Stanisław w zabiegach swoich zaczął natrafiać na pewien opór. Jakby coś stanęło między nim a tymi, z którymi miał do czynienia, twarze uśmiechnięte z początku, odwracały się niespokojnie, drzwi przedtem otwarte, zamykały się przed nim. Sprawa z łatwej, okazywała się teraz trudniejszą, mnożyły się przeszkody, udaremniały zabiegi. Że z czemś nieznanem miał do czynienia, stojącem mu na drodze, poznał łatwo z tego, że jednocześnie inny rozwód zatwierdzonym został bez najmniejszej trudności, choć nie miał żadnej podstawy, ani wymówki prawnej. Jednakże Staś należał do ludzi, których nic zrazić nie jest w stanie, powiedział sobie, że wytrwa, choćby przyszło czekać lata. Zapewne pilno mu było nazwać Ewelę swoją, ale jeżeli szło tylko o czas, jak Jakób biblijny i czas zwyciężyć był gotów.

Tymczasem pani Oven zmienić chciała mieszkanie, wyprowadzić się z domu, gdzie stosunki nadto naprężone, niepodobnem czyniły dłuższe przebywanie w ulubionym przez lat wiele zakątku. Mimo próśb i przedstawień Józefa, Aurelja nie ukryła przed matką rozstania się małżonków i jawnie zerwała z Ewą. Starsza pani, chora już od dawna, zapadła niebez-

pieczniej jeszcze i musiała do łóżka się położyć. Serce jej jednakże nie odwróciło się od synowej, dobroć niedozwoliła pomimo pedejrzenia zwątpić o sumieniu i pewnej szlachetności wrodzonej każdemu. Pragnęła zobaczyć Ewę, ale temu życzeniu Aurelja ani myślała zadość uczynić. Zabroniła matce wszelkich z synową stosunków, zapowiadając, że jeżeli próg ich ośmieli się Ewa przestąpić, drzwi pokaże występnej.

Józef jednak napisał do pani Oven o chęciach matki.

Wstawały dopiero ze snu pewnego dnia, właśnie w wigilję wyprowadzenia się pani Oven, gdy przybiegła do Eweli służąca, szepcąc, że starsza pani prosi do siebie.

Aurelji nie było w domu, chora korzystała z tego.

— Pójdziesz? — spytała babka, patrząc badawczo na wnuczkę.

Ta już ubierała się szybko, chwytając odzież ruchem gorączkowym, biorąc i rzucając części ubrania, które wkładała bezładnie.

— Muszę! — odparła. — Znając matkę, wiedziałam od dawna, że mnie to czeka, gotowałam się do tego!

— Ja pójdę z tobą dziecko moje!

— Nie babciu, dosyć masz i tak zgryzot i ciężkich przejść przezemnie... Pójdę sama!

— Ależ Ewo, okropne to będzie dla ciebie! matka chora, prawie umierająca.

— Czyż nie jestem przywykła do widoku tych, co z życiem się rozstają? Aurelja prowadziła mnię do nich. Nie raz straszny obraz miałam przed

oczyma... nieraz słyszałam jęki, o których do dziś zapomnąć nie mogę!

Przyłożyła rękę do czoła i przez chwilę stała bez ruchu, tylko zęby jej dzwoniły.

— Co ja jej powiem? — szepnęła.

Babka chwyciła ją za ręce.

— Biedne moje dziecko, widzę co się z tobą dzieje! Nadto wielkie jest w tobie poczucie sprawiedliwości, abyś nie cierpiała strasznie!

— Tak — odrzekła młoda kobieta z nieokreślonym wyrazem — odpokutować muszę... znieść na com zasłużyła!

Zarzuciła ręce na szyję babki, z całem zaparciem siebie zdobyła się na uśmiech, którym ją pożegnała i zwolna idąc ku drzwiom szepnęła:

— Bądź spokojną, nic mi się nie stanie!

Była już za progiem, gdy w przedpokoju z drugiej strony, odezwał się dzwonek. Oznajmiono pana Józefa i pani Oven wzruszona wyszła do czekającego w bawialni. Znalazła go tam opartego o fotel w postawie przybitej i biednej, zdradzającej na pierwszy rzut oka uczucia człowieka, który przeszedł przez wielką boleść i jeszcze u kresu jej być się nie sądzi.

— Niech mi pani za złe nie bierze — zawołał, ujrzawszy p. Oven — nieszczęśliwi nie pamiętają ani o godzinach, ani o przepisach światowych. Korzystam z chwili, gdy mogę ją zastać samą, wiem że Ewa — tu głos jego złamał się i zcichł nagle — znajduje się na górze... Tam matka za mną przemawiać będzie, tu ja sam wstawić się chcę za sobą.

Upadł raczej, niż siadł na krzesło, i mówił dalej po krótkim przestanku:

— Pani rozumiesz co cierpię... jesteś dobrą, jasno pojmujesz rzeczy, bez uprzedzenia musisz sądzić... Zmiłuj się, wpływaj na nią!... staraj opamiętać i przekonać... Zrywać nie chciałem... Nie może być tajnem pani, na co się Ewa wystawia... Trzeba ją ratować... Biedna kobieta!... ja jej przysiągłem opiekę... Wziąłem ją dzieckiem prawie, wiedziałem, że mnie nie kocha, O pani! nie pamiętałem o tem jednakże.. w moim egoizmie strasznym sądziłem, że dosyć, abym ja ją kochał, aby była szczęśliwą, ale byłaż ona szczęśliwą ze mną, czy starałem się o to?! Bynajmniej! Ślepy, pozbawiony jasnego pojęcia, nierozsądny, żyłem z dnia na dzień, nie myśląc ani na chwilę o ubezpieczeniu mego szczęścia, o przyłożeniu choćby cegiełki jednej... do tego kruchego budynku. — Jakby dość było chcieć, aby gmach ten stanął, i bez pracy i starania trzymał się wieki, niedbałem o jego trwałość... W Ewie wszystko rwało się do życia, a ja mierzyłem jej młodość miarą ślimaczych nawyknień!... Z mojej winy stało się nieszczęście...

Pani Oven, w milczeniu przykrem, słuchała nie przerywając i litowała się nad nim, dziwiła się mu, że umiał być tak szczerym, a był tak szlachetnym. Zacny ten człowiek, budził w niej coraz większe współczucie i szacunek.

— Co Ewa mówi, co myśli? — badał niespokojnie. Dla czego pragnie rozwodu?... Czyżem już dla niej tak wstrętny, czy pani dostrzegasz w niej niezadowolenie i niepokój? Może jest szczęśliwą, że nienawistnego opuściła męża? — zakrył oczy przy ostatnich słowach.

— Nienawistnym nie byłeś jej pan nigdy, i być nie możesz! — odparła prędko pani Oven. — Rozdrażnioną jest jednak...

— Gdybym mógł zobaczyć ją, pomówić? — rzekł z odrobiną nadziei.

— Teraz nie staraj się pan o to — lepiej poczekać, zostawić wszystko czasowi. — Serc ejej znam dobrze. Tkwi w niem głębokie przeświadczenie winy, surowy sąd o sobie. Ewa ma poczucie obowiązku i religijność głęboką... Nie wątp pan o niczem...

— A jednak... możebym ją zmiękczyć potrafił?.. O, niechby tylko wróciła!...

Wstał, i poważnie a smutnie dodał.

— Długo żyć nie będę... chciałbym, żeby imię jej nie znachodziło się na ustach ludzi złośliwych... Tego pragnę jedynie i do tego zmierzać nie przestanę. Jest to obowiązkiem moim jako męża.

Pożegnał panią Oven głębokim ukłonem i wyszedł.

* * *

Ewa tylko w obecności Stanisława była wesołą i spokojną. W duszy jej panował ciągły ból i zamęt. W niezgodzie sama z sobą, dręczona myślami ciężkiemi, nie miała dużo chwil jasnych, a raczej pozbawioną ich była całkiem. Nieraz w rozmowie ze Stasiem, zdradzał się ten stan wewnętrzny, i wśród marzeń i planów na przyszłość, przychodziło zwątpienie, a słowa rozpaczne cisnęły się na usta, któremi uśmiechała się do niego... Nie zdolna oczu zmrużyć w nocy,

prawie zawsze bezsennie je spędzała, spoczynek dla niej niepodobieństwem się stawał. — I zbyt długiemi wydawały jej się te chwile, które upływały wśród ciemności. Liczyła się z sumieniem swojem, biła się z myślami swemi, co uparte powracały ciągle, jaśniejsze jeszcze i logiczniejsze niż we dnie. Noc ma dziwnie rozstrajający wpływ, cisza dziwnie się nadaje do rozpamiętywań bolesnych! Ach! jakże często to, o czem chcemy zapomnąć, o czem zapominamy we dnie, staje przed nami w nocy, niepozbyte! Ciemność, zdaje się kryć w łonie swojem przerażające rzeczy, które chyba nie z tego są świata, i myśl krąży po mózgu podniecona wrażeniami ciszy i cieniów, straszna, uparta, i duszą wstrząsa, w sercu nurtuje do głębi, czyniąc z nami to, co czyni ogrodnik z ziemi garścią, którą przerabia i przesiewa, póki wszystkich będących w niej kamyczków nie dobędzie. A gdy te kamyczki ranią i kaleczą niemiłosiernie, bojaźń ogarnia najodważniejszego, rozpacz obejmuje nawet tych, którzy we dnie spokojni są i zdają się szczęśliwi. Czarną jest noc, czarnem widzenie nasze w nocy, choć może najprawdziwszem ono wtedy Leżąc, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, Ewa wyobrażała sobie ów grób i trumnę, gdzie ją zamkną kiedyś... Przeszłość, godzina po godzinie przesuwała się przed nią.. szukała w niej zasług, któreby ze sobą wziąć na tamten świat mogła... ale zobowiązania zerwane zasłaniały wszystko... Myślała o życiu które tak prędko przechodzi, że w obec śmierci lata choćby najdłuższe zdają się jedną chwilką. — Niech wiatr zawieje i wysuszy trawę, jutro inna już na jej miejscu porasta!... Wartoż poświęcać spokój sumienia złudzeniom i o szczęściu marzyć, gdy to szczęście samo jest złudzeniem, trwającem mgnienie oka zaledwo?... Któż kiedy był szczęśliwym, będąc występnym, kto może o szczęściu mówić na ziemi, jeźli nie szukał go w dopełnieniu swoich obowiązków?... Nikt nie buduje gmachu trwałego, na podstawie związków nieprawych!

Jasność dnia, widzenie Stasia, jego nieograniczona ufność i wiara silna, rozbijały zwątpienia Ewy, choć rozmaite zdarzenia, budziły je na nowo. Zerwanie Aurelji zaczęło szereg bardzo niemiłych wypadków. Herminja jawnie pospieszyła okazać swe potępienie, mszcząc się za zawód bolesny. Odwidzającej Ewie kazała powiedzieć, że nigdy dla niej w domu nie będzie... Kuba, jak wierny satelita Konradowej i rad niezmiernie z okazji, w ulicy przeszedł koło Józefowej, nie zdejmując kapelusza. Zniewaga podwójna dotknęła Ewę bardzo. Stanisław odczuł jej podrażnienie. Czyniła go jakby odpowiedzialnym za doznaną przykrość, żal widoczny miała do niego...

Przeszło to jak chmurka po jego niebie, ale w Ewie głębsze pozostawiło wrażenie.

Raz opowiadał jej właśnie, jak życie przyszłe urządzi, wyrysował plan domu swego, obmyślał zmiany w ogrodzie i mówił gorąco o Gródkowicach, o miejscu rodzinnem, czyniąc wspólniczką miłych nadziei tę wieś droga sercu, którą wplatał we wszystkie projekty swoje, łącząc w jedno dom, pamiątki, przywyknienia swe, pracę i szczęśliwość posiadania Ewy.

Unosił się cały promieniejący — ona zamyślała się

smutnie, i spytała go nagle:

— A gdyby przyszło porzucić Gródkowice?

— Poczucić? dlaczego? Kocham nadto mój dom stary i wszystko w nim... nie potrafiłbym żyć gdzieindziej!...

— Mogłoby jednak przyjść do tej ostateczności. Jeźlibyś musiał naprzykład wyrzec się dla mnie Gródkowic?

Zastanowił się, badał przez chwilę długą, wreszcie podniósł czoło i zawołał żywo, z zapałem prawdziwym:

— Dla ciebie Elo poświęciłbym wszystko!

— Żałowałbyś potem!

On ją za rękę pochwycił.

— Mając ciebie? — spytał z wyrzutem. — Ty nie wiesz, widzę, jak ja ciebie kocham! — i z wymówką popatrzył jej w oczy.

Ewie po twarzy łzy płynęły.

— Wiem! i dla tego się boję... Stać się ofiary nierozważnej przyczyną.. wyrzucać to sobie życie całe... ach! czy może być coś okropniejszego!

Nie dał jej dalej mówić.

— Kochaj mnie, a wszystko dobrze się złoży Nie przyjdzie do tego, abym potrzebował porzucać moje, Gródkowice... najgorsze przewidujesz... martwisz mię, Elo moja!...

— Ale... gdyby?... — nastawała uparcie.

— Gdyby? — dziecinną jesteś! Byłabyś wówczas ze mną, a mając ciebie, miałbym wszystko moje gdziekolwiek bym się obrócił...

* * *

Był zakład ogrodniczy, który słynął z pięknych swych roślin i cieplarni. — Staś Ewę lubił tam prowadzić, w rzadkich chwilach, gdy uzyskiwał na to babki pozwolenie. Wtedy lęki jej gdzieś przepadały, młodość z nieopatrznością swą brała górę, miłość do Stasia przemawiała głośniej, niż względy wszelkie, a serce roztwierało się jak kielich rośliny otwiera się do słońca, choć mróz może ją zwarzyć niebawem. Miała błędy zwyczajne ludzkiej słabej naturze: podlegała lekkiemu jak pajęczyna myśleniu i sądzeniu rzeczy najpoważniejszych, które nie tylko młodość niesie z sobą; wierzyła, że szczęście jest piękną rzeczą, miłość jedynem dobrem na ziemi, a dwoje zakochanych, wyjątkiem uprzywilejowanym, mającym na swe zawołanie słowo zaklęcia, zmieniające dowolnie porządek społeczny, i surowe prawa jego. Wśród zapachów i zieleni, zapominała o ludziach i świecie, uśmiech rozwijających się roślin, pijących bezmyślnie ciepło i światło, oddziaływał na nią. Na ramieniu Stanisława wsparta, zaczynała czuć roskosz jego przywiązania, oddechać całą pełnią życia. We dwoje, sami z sobą, rozmawiali; zdawało im się, że są na wsi. Promienie jesiennego słońca, odbite w szybach krzyształowych, zamieniały proste szkło w brylanty zaczarowanego pałacu; iskry migotliwe drgały to tu to ówdzie, jak drogie kamienie; u góry płonęło niebo objęte pożarem zachodu, las pomarańcz i roślin wonnych otaczał ich, napełniał wnętrze szklarni mocnemi oddechami swemi; młodzi, weseli, stawali ręka w ręce patrząc sobie w oczy, i uśmiechem ufnym żegnali dzień, który się kończył, jakby takich wiele być mogło!

A gdy w koszach leżało żniwo całe ściętych kwiatów, z których zręczne ręce wiązały bukiety, piękniejsze jedne od drugich i w takiej liczbie, jakby cały świat obchodzić miał święto weselne, wybierała Ewa w tych stosach dla siebie róże i fiołki same, podczas gdy Stasiowi przypinała je do boku.

Byli tu tak znani, że poczynali jak w domu. Na wszystko właściciel zezwalał, bo wiedział, że kieska pełna spadnie mu w ręce.

— Chciałabym z tąd nie wychodzić nigdy! — mawiała Ewa.

— Więc lubisz wieś, ciszę, kwiatki, ogród? — pytał ucieszony Stanisław.

— Zawszem do nich tęskniła. Wy tylko mężczyźni potrzebujecie ruchu, tłumów, szerokiej areny do życia. Tobie by nie wystarczyło to, co mnie wystarcza.

— Mnie wystarczy patrzenie na Ewę!... — odpowiadał uśmiechnięty.

I po dziecinnemu układali życie we dwoje.

— Może nie dostaniesz pozwolenia od p. Herminji? — zagadnęła raz Ewa, gdy rozmawiali znowu o jutrze...

— Dla czego mnię nią prześladujesz?.. Uważałem już, że cię ona zbytnio zaprząta.

— Żartuję!... jednakże, po cóż tam bywasz?.... zwłaszcza teraz? — odparła z pewnym wyrzutem w głosie.

— Gdybyś wiedziała, jak mnie to niecierpliwi! Układam sobie często nie powracać więcej.. trudno, muszę! — Są pewne światowe zobowiązania...

Pokiwała głową, i rzekła, patrząc mu w oczy:

— Kochałeś ją kiedy?

— Mówiłem ci już, nigdy, czyż mi nie wierzysz?

— Nierozsądną jestem... cóż mię Herminja obchodzić może!....

Zamyśliła się chwilę, skubiąc kwiat jakiś, ale nie długo, zwracając oczy promienne na niego, szepnęła:

— Tyś mój, nieprawdaż?

— Twój, twój Elo, i cały, i na wieki... Patrz na wszystko tutaj, jak się obraca do słońca... tyś mojem słońcem Elo!... Czy jeszcze tego nie wiesz?

Znajdowali się właśnie w jednym końcu szklarni, gdy w drugim skrzypły drzwi nagle i głosy dały się słyszeć znajome. Wchodziła Herminja, Kuba, a za nimi, swoim zwyczajem opowiadając coś głośno, krzycząc na ogrodniczków, postępował pan Konrad.

Józefowa cofnęła się, ale między wazonami miejsca było mało, zaczepiła suknią o kolczastą roślinę, a ta spadając, narobiła trochę hałasu. Konrad zaczął wołać, że złodzieje są w szklarni, i Staś za rękę przytrzymawszy Ewę, ścisnąwszy dłoń jej w milczeniu, dał znak by została, a sam poszedł na spotkanie przybyłych... Zetknął się z nimi na środku szklarni, podczas gdy Ewa, o kilkanaście kroków, rozmawiała z właścicielem zakładu, który gości nowych biegł oprowadzać.

Na widok Ewy, poznawszy ją Herminja, niezwykle się zarumieniła. Po jej twarzy gniew mignął jak błyskawica, przybrała minkę pogardliwą, wydęła usta i wyciągając dłoń do witającego ją Stanisława, rzekła wskazując wzrokiem:

— Z panią nie rada jestem spotkać się. Wra-

camy w tej chwili, jeźli ona tu zostaje.

— Spodziewałem się przeciwnie, że pani korzystać zechcesz z tego zbliżenia, aby naprawić uchybienie, jak sądzę mimowolne...

— Mimowolne! — nie czynię nic mimowolnie!

— Więc postąpiwszy z Ewą w sposób dziwny...

— Byłam tylko wyrazem opinji...

— A czy pani miałaś do tego prawo? — rzekł z przyciskiem.

Zmięszała się, ale nie chcąc uznać się pobitą, zawołała:

— Żonę, z którą mąż zerwał?... Excusez du peu!

— Jeźli jednak panią poproszę, byś zechciała okazać się względniejszą?...

— Pan?... jakiem prawem?...

— Gdybym w razie nie przychylenia się pani do mojej prośby, postanowił powiedzieć p. Ewie o tem, czego ani pani, ani ja nie chcemy, żeby wiedziała?...

— Nie uczyniłbyś tego!...

— Zmusiłabyś mię pani!

— A gdybym okazała się względniejszą?

— Nieskończenie byłbym wdzięczny!

— Dowód tej wdzięczności?

— Moje milczenie..

— Słowo? — dobrze, ale i ja jeden położę warunek: opuścisz pan Ewę i przyłączysz się do naszego towarzystwa; wtedy ukłonię się tej pani.

— Ukłonić się, to mało.

— Dodam słów parę... czyś pan zadowolony?

Zbliżywszy się gdzie stała Józefowa, skłoniła się

pierwsza Konradowa. Kuba pospieszył także zaraz uchylić kapelusza.

— Państwo jak i my przyszliście kupować kwiaty — odezwała się Herminja — czy już wybór zrobiony?

Kosztowały ją dużo te słowa, na pozór grzeczne; uśmiechała się wprawdzie trochę sztywnie, lecz wystarczająco; nie patrzyła na Ewę jednak.

— O jam od dawna tutaj, dla tego już odchodzę do domu — odpowiedziała Józefowa. Oddała ukłon, i zabierała się do wyjścia, czekając, by Stanisław ramię jej podał.. Zdjął kapelusz tylko... Zdziwiona spojrzała na niego, potem na Herminję, którą miała tryumfu odblysk w oczach... Ewie serce się ścisnęło i smutna powróciła do babki.

W południowej godzinie nazajutrz, Stanisław przybiegł jak zwykle do pani Oven. Sądził, że Ewa zadowoloną być musiała; spieszył się, by zawołać: „otóż widzisz jakimi są ludzie!...“ Zastał Ewę posępniejszą niż kiedykolwiek. Chłodno przywitała go, a gdy badać zaczął niespokojny, rzekła mu bez ogródki:

— Jeźli przy każdej sposobności będziesz mnie poświęcać Herminji, niepodobna bym wierzyła, że ci moja miłość wystarcza zupełnie..

— Co ci się marzy najmilsza! — zawołał. — Zmuszony tylko...

— Kto i co cię zmuszało?

— Sądziłem, że lepiej będzie, gdy nie pójdę z tobą. Kuba plotkarzem jest... a Herminja..

— Zawsze Herminja! — masz tylko to imię na ustach...

Widząc ją podrażnioną, umilkł. Nie mógł powie-

dzieć, że chciał ją Herminji zbliżeniem się pocieszyć. -- Po chwili zaczęła sama:

— Daruj mi, dręczę cię podejrzywaniami jakiemiś. Wszystko mnię przestrasza, wszystko trwoży... o powiedz, powiedz, że nie mam ku temu najmniejszego powodu!...

— A takeś mnię zapewniała Elo, że mi wierzysz bezwarunkowo! Czy pamiętasz? — odparł smutniejąc

— Pamiętam! ale dodałam wówczas, chybabym się na własne przekonała oczy... gdy widzę cię przy niej...

— Czyż to ma służyć za przekonanie?

— Nie.. jednak smutno mi wtedy, bo mówię sobie, że z twoim humorem i ruchliwością, do szczęścia więcej ci potrzeba, niż ja ci dać mogę!... Pytam, czy skrępowany na zawsze, będziesz zadowolony? Pożycie dwojga ludzi, którzy czas mają obyć się, oswoić, znudzić sobą, jeźli nie zobojętnieć dla siebie, nie jest wesołem, bez przydatków obcych żywiołów; a czy te żywioły dostępne ci będą, gdy się świat zamknie przed nami, ludzie od nas odwrócą?

— Mniej trochę czarnej barwy na moim charakterze, a więcej daj różowej, malując przyszłość naszą... Z tą, którą kocham, nudzić się, zobojętnieć dla niej? nie znasz mię wcale!... Czyż teraz tak bardzo za światem szaleję i jego uciech i zadowoleń pragnę, chociażem wolny?...

— Właśnie dla tego, żeś wolny, że masz wszystko pod ręką. Różnica ogromna między tem, czego się mieć nie chce a może, a tem, co niedostępne na zawsze... Inaczej patrzymy na świat, gdy stoi otworem, a inaczej gdy zamknięty... Czy życie ze mną zastąpić zdoła ci wszystko co stracisz?... Zresztą zmienię się, zestarzeję kiedyś.

— Gdy się kogoś kocha, zmiany się nie widzi nigdy! Może mówiąc tak, odnosisz to do mnie Ewo? — spytał, zaglądając jej w oczy głęboko. Wzrok jego wyrażał tyle uczucia, taką otwartość i szczerość głęboką, że przekonać musiał Ewę. Spuściła powieki, ale zaraz podnosząc je, odparła wzruszona i przejęta:

— Mnie szczęście, o którym marzymy, zdaje się rajem... Ale ten raj zamknięty, i aby wejść tam, potrzeba koniecznie jednej brakującej mi rzeczy...

— Czegoż, najmilsza?

— Zadowolenia wewnętrznego!...

I nagle, jakby uczucie od dawna będące w piersi, potrzebowała wyrzucić raz z siebie...

— O Stasiu! — zawołała — gdybym miała tylko surowość Aurelji bezwzględną na myśli, bez zadrżenia przeszłabym mimo. Ale zrób, niech zapomnę rozmowę z matką, niech nie widzę ciągle jej złożonych i błagających mnię dłoni, niech nie słyszę zaklęć o szczęście Józefa! Och! któż mię zapewnić zdoła, że to nie ja przyspieszam jej koniec? Kto zdejmie z mego serca wyrzut, który je uściska, kto wymaże z pamięci zgryzotę, żem złamała szczęście człowieka, o którym teraz dopiero wiem, iż krzywdę wyrządziłam mu straszną! Zdawało mi się jednak, że łatwo zapomni!..

Załkała, ukrywając twarz w dłonie, wstrząsana dojmującem cierpieniem.

Widok tych łez podziałał na Stasia okropnie. Z przeczuciem czarnem w sercu, przygnębiony, wy-

szedł od niej, schylając czoło, które dotąd podnosił odważnie. Ciężar legł mu na piersiach, chciał nauczyć ją jaśniejszego patrzenia w przyszłość, wlać w nią trochę swojej ufności, zwalczyć to, co zdawało się stawać nagle między nim a szczęściem marzonem, a tymczasem sam uczuł się niespokojnym i dziwnie poruszonym.

* * *

Stanisław miał stryja, dziwaka, bogatego niezmiernie, który życie na podróżach strawiwszy, mało w kraju przebywając, na starość zamieszkał wyspę Whygt, częste z niej jeszcze teraz — choć podupadł na siłach — przedsiębiorąc wycieczki. Raz do roku przynajmniej, bratanek musiał go odwidzieć; wzywał go sam zwykle do siebie i woził z sobą, nie umiejąc na miejscu usiedzieć. Takim sposobem Stanisław przejechał Anglję, Szkocję, Norwegję, góry najniedostępniejsze poznał i Irlandję całą przemierzył. Stary miał szczególniejszy pociąg do tych krajów, nazywając mieszkańców ich najlepszymi patrjotami, kochając i ceniąc ich wielce. Sam uciekł ze swej ojczyzny, bo z jej obecnym stanem, prawami i rządem, nie mógł się pogodzić, utrzymując, że Polacy nadto się poddali i dla tego upadli. Gdzie jednak uczynił jakie naukowe odkrycia i przywłaszczył sobie zdobycze, przekazywał wszystkie krajowi i do kraju odsyłał. Marzył o założeniu muzeum etnologicznego, o ogrodzie na wzór paryskiego „Jardin d'acclimatation“ i znaczne sumy na to przeznaczał. Był dobrym Polakiem na swój sposób... Nie mając dzieci, nie będąc nigdy żonatym, uważał Stasia za swego naturalnego spadkobiercę i przybranego syna. Chciał przelać w niego swe zamiłowanie do włóczęgostwa, a gdy mu się to nie udało, gderał na niego, że wytrzymywał w Galicji, kłócił się z nim, ale go kochał. W jednej z licznych podróży, odbytych ze stryjem, Staś poznał Ovenów, bo nie zapomniał, że ma krewnych w Irlandji; tym sposobem znalazł się przy skonie ojca Ewy i przyjechał w sam czas, aby zaopiekować się dzieckiem.

Zajęty Ewą, nie zdolny przypuścić myśli oddalenia dłuższego, więcej niż od roku nie odwidził stryja. Stary przypominał się często listownie, naglił, ale Staś odkładał zawsze. W tem telegram z Whygt, donoszący, że stryj chory śmiertelnie, spadł pewnego dnia jak piorun, na mniej niż kiedy chcącego opuścić Ewę. Musiał jechać natychmiast, jeżeli miał jeszcze stryja zastać przy życiu.

Z jakim niepokojem pożegnał ukochaną, on tylko sam o tem wiedział. Do końca udawał spokój, nie pozwolił Ewie ani na chwilę domyślać się tej trwogi, która nim miotała, silił się na wesołość i zaklinał ją, by pamiętała o nim, a nie rozpaczała o przyszłości... Ze ściśniętą piersią odjeżdżając, jeszcze Ewie dodawał odwagi.

Mieli pisywać do siebie.

Po jego odjeździe, Ewa zostawszy samą, dopiero zdołała zdać sobie sprawę, czem był Staś dla niej. Tęsknotą niezmierną dręczona, uczuła jak wielkie miejsce zajmował on w jej życiu, zwalczona tęsknotą i rozbrojona w swych skrupułach tajemnych, zwracała się myślami i pragnieniami ciągle w zakazane krainy

marzeń. O! jakżeż go kochała! Był on dla niej wszystkiem, szczęście i przyszłość z nim czemś do raju podobnem. Lęki Stasia zdały się bezpodstawnymi, a odjazd zamiast być mu szkodliwym, na korzyść wypadł tylko. Nieobecni mają swoją aureolę, marzenia zawsze przerastają rzeczywistość, i ludzie rzadko tracą na oddaleniu. Jest to podobno prawdą tak dalece, że zwykliśmy przy każdem złączeniu czuć się trochę zawiedzeni.

Tymczasem Józef starał się zbliżyć do żony. Pisywał do pani Oven i zabiegi podwajał.

— Niech mi pani tylko wyrobi pozwolenie pomówienia z Ewą — mówił babce. — Ja ją znam, nie oprze się moim naleganiom i perswazji... zmiękczyć się da, jest szlachetną...

Babka powtarzała te słowa wnuczce, pokazywała listy. Pierwsze drażniły Ewę, drugich widzieć niechciała, gniewając się za nie. Zdawało się, że upór w niej rósł coraz, w miarę nalegań męża, a jednak ileż razy młoda kobieta, smutna, przypominała sobie słowa wielkiego poety: „dusza ludzka jest polem walki nieustannej, a myśli nasze strasznymi bojownikami.“

Matka gotowała się na śmierć, przewidując swój koniec. Syn jej nie odstępował, pocieszał, utrzymując w nadziejach do końca, podczas gdy Aurelja, wcale się nie pozbawiała długich wycieczek z domu i konferencyj nabożnych z ks. Pafnucym, któremu z coraz wzrastającym zapałem, szyła alby i haftowała poduszki i ornaty.

Tymczasem listy krążyły między Ewą a Stanisławem, pełne tęsknoty. Kiedy mieli się zobaczyć, Stanisław nic o tem nie mógł powiedzieć. Choroba stryja przeciągała się i stary go nie puszczał. Upłynęło parę tygodni, aż naraz na progu małego mieszkanka pani Oven, stanął podróżny w zapylonym stroju. Z krzykiem radości powitała go Ewa, dłonie się splotły, łzy popłynęły obojgu, długą chwilę nic przemówić nie byli wstanie. Gdy potem rozwiązały się usta, gdy usiedli przy sobie, Ewa dowiedziała się, że rozpacznie rwący się ku niej Stanisław, nie umiejący się oprzeć, na kilkanaście godzin tylko przyleciał, aby ją zobaczyć.

— Więc wracasz ?

— Puścić mnię stryj nie chciał, musiałem obiecać, że zaraz powrócę... Leciałem dniem i nocą, zapomiałem o wszystkiem, nic dla mnie nie istnieje, gdy ciebie widzę! Mów mi o sobie... czy pamiętałaś o nieobecnym? Powtórz, żeś zawsze ta sama Ela moja, która wie, że jest całem mojem życiem i szczęściem! Jakżem ja cierpiał daleki od ciebie!.. Potrzebowałem cię widzieć, aby nie umrzeć.

— I tyle mil leciałeś.. na tak krótko?

— Kocham — odrzekł po prosto — a ty najdroższa?

— O Stasiu! Gdyby moja miłość mogła uszczęśliwić cię...

— Co ty mówisz „gdyby?“ Naucz się raz słowa, które całe byłoby twierdzeniem... wymyśl najsilniejsze, a jeszcze nie zbliżysz się do rzeczywistości. Nie martw mię, przez litość... Nad twoimi listami nie jedną gorzką przedumałem chwilę. Obok uczucia jest

w nich coś, co mnie niepokoi i gryzie, coś, co zgaduję, a jednak całkiem odgadnąć nie mogę!...

I patrząc na Ewę oczami, w których czytała przebytą tęsknotę, błagał ją, by mu dała moc zniesienia nowej rozłąki; by go zapewniła, że bezpiecznie odjechać może.

Nie miała siły powiedzieć mu nic więcej, prócz, że go kocha.

Znalazł ją jednak mizerną, pobladłą i spoważniałą bardzo. Wzrokiem uciekała gdzieś daleko, jakby goniła myśl jakąś upartą, nie dającą jej spokoju. Zamyślała się dziwnie, nie czuł jej przy sobie całej... Pani Oven zasmuciła go więcej jeszcze. Gdy Ewa odeszła za czemś do drugiego pokoju, ona rzekła:

— Jesteś człowiekiem posiadającym wielkie serce i nieskażony honor p. Stanisławie, zawsze za takiego cię miałam.. daruj mi, co ci powiem teraz. Ewę znalazłeś zmienioną, nieprawdaż? Chcesz li wiedzieć, co jest tego przyczyną? Miłość wasza! Nie od dziś w sercu jej bolesna toczy się walka, — ja to od razu przewidywałam! Kocha ciebie p. Stanisławie, ale zapomnieć nie może, co winna innemu. Ten inny cierpi, a przekonanie, że tak jest, nieszczęśliwą ją czyni. Gdyby nawet żoną twoją została — choć przyznam ci się nie wierzę w możliwość tego — nie zapomni dawnych zobowiązań, nie przestanie gryźć się i męczyć.. Udręczenia jej staną się jeszcze silniejsze, gdy na nie już żadnej rady nie będzie.

Potarł czoło, westchnął i zapytał:

— A teraz jaką radę pani widzisz?

— Wyrzeknij się złudzeń swoich, do urzeczywistnienia trudnych... Zostań przy stryju, nie powracaj czas dłuższy...

— Pani wymagasz tego?

— Jesteś mężczyzną panie Stanisławie! Powinieneś chcieć za dwoje i mieć siłę za siebie i za Ewę...

— Nie pani! — przerwał gwałtownie. — Ja tej siły nie mam! Byłby to czyn szalony! Ja bym bez niej nie żył... a ona...

— Tak ci się zdaje, przeboleć człowiek może wiele... Ożeniłbyś się, i w zasługi policzył zwalczenie namiętności... później, gdy...

Wziął głowę w obie ręce i tak chwilę pozostał.

— Czy Ewa panią temi słowy natchnęła? — zapytał.

— Nie!... Ewa nie wie, że mówię z panem o niej.

— Przegrałaś pani ostatnią kartę swoją!... Gdybym mógł słuchać czegokolwiek, rad tak okrutnych, to tylko w jej imieniu... Coby urosło dobrego z zerwania mego z Ewą?

— Wszystko!... Zadowolenie wewnętrzne, spokój, uznanie obcych...

— Tylko o szczęściu zapominasz pani!

— Szczęście? Czy myślisz pan, że byłoby ono w związku waszym? Łudzisz się! Ewa by ci w dom wniosła żale i wyrzuty swego sumienia, ty byś boleśnie odczuł położenie fałszywe w świecie. Szczęście! Widzisz-że je gdzie, i przy najlepszych warunkach, a nie takich jak tutaj? Trudno o nie na ziemi!

— Pani! — odparł ze smutkiem głębokim, ale ze stałością niewzruszoną. — Żądasz niepodobnych rze-

czy! Powiedz rozkaż bym oddał życie za Ewę, ale nie żądaj, żebym żył bez niej! Nie pojmuję przyszłości bez Ewy!... gdyby ona mię porzuciła, zabiłbym się... ale sam ją porzucić? Na to nie zdobędę się nigdy, inny by musiał we mnie zrodzić się człowiek!... pani mnie nie znasz, jak widzę!...

— Nie mówmy więcej! Ewa powraca — dała mu znak aby milczał.

Ewela uśmiechnęła się teraz, a ten uśmiech i z jego czoła spędził ciężkie chmury, które się tam zebrały.

— Co porabia Aurelja? pytał, chcąc być uwiadomionym o wszystkiem.

— To co zawsze! — odpowiedziała pani Oven. — Nic się w jej życiu nie zmieniło, bo ciągle bawi za domem.

— Czy wiesz — dodała Ewa — że ja nie istnieję już dla niej? Wzbronione mają tam wszyscy, wspominać nawet imię moje — wyklętą jestem! — Takie jej miłosierdzie!

Wyrazu twarzy, gdy to mówiła, nie zmieniła bynajmniej; czoło jej pozostało jasnem, jak wprzódy.

— A ciotka? — dodał nieuważnie.

Teraz usta jej drgnęły, i z trudnością tylko wymówić zdołała:

— Biedna matka! zawsze tak samo cierpi.... pójdziesz do niej? Wspomina zawsze ukochanego siostrzeńca...

Stanisław wziął rękę Ewy, ścisnął ją mocno i odparł westchnąwszy:

— Pójdę... — Czy nie wie o niczem? — dodał z wahaniem.

— Nie wierzy! — odszepnęła Ewa, spuszczając oczy, a chmura smutku zawisła na jej czole.

Prędko Staś odwrócił rozmowę i zaczął opowiadać o pobycie w Whygt, napomknął, że stryj życzy sobie zatrzymać go tam na zawsze i ogromne przekazuje mu kapitały, ulokowane w bankach londyńskich t. j. cały majątek, z wyjątkiem legatów rozmaitych.

— Moglibyśmy mieszkać, gdzieby ci się podobało — szepnął Ewie — środki będę mieć po temu.

— A Gródkowice twoje, mniej ci będą miłemi przy krociach? — odszepnęła.

— Co raz kocham, kocham zawsze! Nie mógłbym twierdzić, że moje serce, nie przyrosło do Gródkowic... Ale wolno nam posiadać willę we Włoszech, szalet w Szwajcarji, lub pałacyk w Paryżu — albo nabyć dobra na Litwie lub Wołyniu... — dokończył, żartując jak zwykle.

Jej łza zakręciła się w oczach za całą odpowiedź...

* * *

Wiadomość o ogromnym spadku, czekającym Stanisława, rozeszła się szybko po mieście. Kuba przybiegł z tem pierwszy do Herminii, nie wątpiąc już, że Ewa miljonami znęcona, na prawdę pomyśli o rozwodzie.

— Pieniądze wszystko potrafią — rzekł z przekonaniem głębokiem.

Herminja poruszona mocno, była tego samego zdania.

— Tak! — odparła... co nie możebnem wczoraj, dziś będzie łatwem do wykonania — i zamyśliła się głęboko.

— Przeszkodzić, przeszkodzić trzeba koniecznie!... — wołał Kuba.

— Ale jak? — spytała Herminja.

Poczęli szeptać i naradzać się po cichu.

— Stanisław odjeżdża jutro...

— Pewnie?

— Jak najpewniej! Rannym, pierwszym pociągiem...

— Gdyby go w oczach Ewy zgubić?...

— Tem łatwiej by to przyszło, że widzenie jej z nim byłoby nie możebne, jeźli odjeżdża...

Herminji przyszły na myśl słowa Ewy, usłyszane w ogrodzie: „Musiałabym przekonać się na własne oczy!“

Płomień strzelił z jej czarnych źrenic. Rozliczała coś szybko... ważyła za i przeciw, i musiały przyjść jej na myśl dawno osnuwane plany, bo prędko odparła:

— Pan napiszesz bilecik do pani Ewy...

— Ja pani?

— Zrobisz to dla mnie, a potem, czyż nie chcesz przeszkodzić pobraniu się tych dwojga?...

— Anonim?...

— Tym razem podpiszesz się pan. Dziś wieczór, gdy wyjdzie Staś ztamtąd, postarasz się pan bilecik oddać... a potem... ja biorę resztę na siebie!...

— Cóż pani zamierzasz uczynić?...

— Zobaczysz pan. Pisz, pisz prędko! Podyktuję.. Konrada nie ma, mam rozwiązane ręce!

* * *

— Więc jutro odjeżdżasz? — pytała Stasia Ewa, żegnając go w progu.

— Jutro do dnia z pewnością... muszę... inaczej zostałbym pewnie!

Uczuła łzę gorącą, spadającą na rękę, którą on do ust przyciskał, usłyszała jeszcze ostatnie słowa:

— Myśl o mnie! pamiętaj!... — i drzwi za nim się zamknęły.

Na zegarze miastowym uderzyła dziesiąta.

Ewa stanęła w oknie, aby obaczyć jeszcze szybko pomykającego Stasia, który niemal uciekał. Księżyc świecił jasno i zdawał jej się bardziej niż kiedy, twarzą upiora...

W tej chwili oddano pani Oven karteczkę.

— Kto przyniósł? — spytała babka, przebiegając pismo oczyma.

— Biegaj! — dodała głośniej, a głos jej zadrżał gniewem czy wzruszeniem. — Przyprowadzić mi tego posłańca!

Ale posłańca już nie było. Ewa wyciągnęła rękę.

— Co to za kartka? Czegoś się babciu zmięszała?

Pani Oven mięła list w rękach, nie pewna co czynić.

— Daj mi, proszę! — nagliła Ewa. — Nieszczęście może jakie?...

— Nie, nie! — broniła się p. Oven.

— Widzisz, taisz przedemną! Pewnie Stanisława coś spotkało!...

— O Stanisława tu chodzi w istocie... ale...

— Daj! na Boga!

Pani Oven podała jej kartkę. Z pogardliwą obojętnością Ewa zrazu czytała.

— List bez podpisu — babka szepnęła.

— Mylisz się babciu, nie dokończyłaś go. Patrz, stoi wyraźnie: Kuba. Początek do ciebie, reszta do

mnie. — „Szczery przyjaciel Kuba“ — powtórzyła półgłosem — przyjaciel, on!

Zasłoniła ręką oczy i wsparta o stolik w zadumaniu stała chwilę. Pani Oven milczała. Nareszcie Ewa podniosła głowę, a dwa silne rumieńce wystąpiły na policzki.

— Na co się zda to wszystko!... można przekonać się samej... — szepnęła. Popatrzyła na babkę, chwyciła się za głowę, i po krótkiej walce wewnętrznej zawołała:

— Nie wytrzymam! — muszę się przekonać!... To kłamstwo, a jednak.... kto wie, czy nie zostawiłoby mi ono niezatartego wspomnienia! Trzeba dojść prawdy koniecznie!... nie darowałabym sobie... i męczyłabym się tak, bo się znam!... Czyż trudno przekonać się...

— Co zamyślasz uczynić? — spytała niespokojnie babka.

— O babciu!... — zaczęła i urwała nieśmiało.

— Chcesz iść do niej? posyłać po Stanisława?

— Na nic by się to nie zdało... zepsułabym im tylko projekt jeśli jest jaki... Widzieć muszę i wiedzieć. Staniemy w powozie naprzeciw kamienicy... mam oczy dobre... a potem, jakżebym nie poznała Stanisława?! Kartka mówi o godzinie jedenastej... Ach! jedźmy, czasu nie mamy!

Zadzwoniła — pani Oven nie broniła się jakoś wcale.

— Toby uprościło wiele rzeczy! — pomyślała.

Ewa kazała przywołać dorożkę. Prędko wdziała płaszczyk, upięła woal gęsty, włożyła na babkę ciepłą

chustkę i kapiszon, otulając ją przed chłodem nocnym. Babka zamyślona zapinała guziki i wiązała wstążki choć wyprawa awanturniczą była i już nie dla niej.

— Co ty ze mną wyrabiasz — powtarzała.

Ewa całowała ją po rękach.

— Babciu! nic już wymagać nie będę, jeszcze ten raz... raz jeden... może ostatni... Ach! ja ciebie tak męczę!... Byłabym pojechała sama, lecz wiedziałam, że mnię nie puścisz.

Wsiadłszy do powozu i kazały się zawieźć przed dom Herminji, woźnicy polecając, by stał i nie odzywał się, póki same nie pozwolą odjechać.

Pod oknami Konradostwa, chodnik oblany jasnemi promieniami księżyca, dozwalał rozpoznać każdego przechodnia. Rzadkie już o tej godzinie po ulicy postacie przesuwały się... Zapuszczone story broniły od ciekawych spojrzeń w dwóch pokojach Herminji, gdzie się świeciło, i gdzie cienie jakieś przesuwały się po storach.

W ciszy nocnej rozległo się bicie zegara, który wydzwonił jedenastą. Upłynęło minut kilkanaście, Ewie zdawało się, że wieków, i rozległo się echo męzkich kroków. Szedł ktoś spiesznie ulicą, jakby biegł niecierpliwy. Smukła postać w płaszczu czarnym, odbiła się na białem tle murów. Mężczyzna jakiś stanął przy bramie Herminji i w tej chwili prawie obrócił się... Brama skrzypnęła i zapadła, a Ewela zbladła i oparła się o poduszki powozu. Poznała Stanisława.

— Jedźmy już! — prosiła p. Oven.

Ewa długo nie odpowiadała.

— Muszę zostać! — szepnęła nareszcie — póty, póki on zostanie tam! — wskazała na okna i wlepiła w nie oczy, jakby chciała dopatrzeć, co się dzieje za niemi!... Na storach migały cienie ciągle, znikając i znów rysując się wyraźniej. Jej serce biło w piersiach i zazdrość ją paliła. Cierpiała niewymownie, a jednak odjechać ani chciała, ani mogła!...

* * *

Stanisław wróciwszy do hotelu po pożegnaniu z Ewą, zabierał się właśnie do spoczynku, gdy zapukano do drzwi jego nieśmiało. Zawołał: „Proszę wejść“ bo sądził, że to ktoś ze służby hotelowej. Zdziwił się, widząc wchodzącą kobietę, w której poznał służącą Herminji.

— Niech wielmożny pan daruje — rzekła, udając wielki niepokój i trwogę — lecz nasza pani bardzo zasłabła i wszyscy potracili głowy. Trzeba nieszczęścia, że pana w domu nie ma... Jan poleciał po doktora, lecz przepadł... a ja, przypomniawszy sobie pana, przybiegłam tutaj. Może też pan co poradzi, chociaż rozdysponuje ratunkiem...

— Cóż to się stało?

— Jakieś mdłości, spazmy, konwulsje, czy ja wiem proszę pana!... dosyć, że straszne rzeczy!...

— Gdym był rano u państwa, zdrową była całkiem.

— Nagle zasłabła.. ot niedawno!

— Czy pani żądała, bym przyszedł i posyła po mnie?

— Pani bez przytomności... nie wie o niczem! Ale ja muszę wracać zaraz... może mnię tam zapotrzebuje...

Zmiłuj się pan!... Gdyby wielmożny pan chciał zaglądnąć...

— Idź do domu — zaraz przyjdę.

Znał nieudolność i nieporadność sług i na razie nic go nie uderzyło w znalezieniu się posłańczyni Herminji. Zafrasował się, namyślał trochę... że nie wypadało opuszczać chorej, ubrał się i wyszedł.

Na schodach przyszła mu myśl, co by na to powiedziała Ewela? Ale sumienie miał spokojne, i wyobrażał sobie, że idzie spełnić dobry uczynek.

* * *

— Przyjdzie! — zawołała Konradowa, wysłuchawszy sprawozdania służącej. Wyjrzała w ulicę, i zobaczyła stojący powóz naprzeciw. „Może to ona!“ — szepnęła — „o! gdyby, gdyby!“

Zaczęła rozrzucać wszystko w pokoju, jakby na prawdę miały tu miejsce krzątania około chorej... Wtem skrzypnęła brama i Herminja na sofie ułożyła się prędko, przybierając pozę cierpiącej.

Stanisław zastał ją z oczami zamkniętemi, osłabłą czy zmęczoną mocno. Wyciągnęła ku niemu rękę i szepnęła:

— Jakżeś pan dobry! nie byłabym nigdy śmiała... Poczciwa Pepi prawdziwie! Głowy tu potracili podobno...

I ręka opadła bezwładnie, między fałdy ślicznego szlafroczka, który ją okrywał. Zaczęła zmięszana zapinać go na piersiach, poprawiać w koło siebie. On pytał tymczasem jak się czuła, czy doktora jeszcze nie było.

— Może lepiej będzie, żebym sam go sprowadził,

kiedy Jan gdzieś się zapodział?

— Ach nie! nie opuszczaj mię pan... Gdy pomyślę, że tak samą jestem, lęk mnię zdejmuje... może to się powtórzyć jeszcze. Lekarz nadejdzie pewnie... a w tych nerwowych atakach, tak się pragnie mieć kogoś przy sobie!... — I jakby na dowód, że zostać bez opieki nie mogła, wstrząsnęła się, krzyknęła, chwytając za serce...

Stanisław za dzwonek pochwycił, nadbiegła Pepi, podała octu, wody, i jakoś szczęśliwie minęło... Jana ciągle jeszcze nie było.

— Tym razem atak mniej straszny przynajmniej! — szepnęła służąca, odchodząc — ale pierwej, żeby pan był widział, co się działo!

Po chwili weszła znów oznajmując, że Jan powrócił, ale bez doktora. Naczekał się daremnie, nie zastawszy go w domu. Czy ma posłać po drugiego?

— Sam pójdę — porwał się Staś.

Ale Herminja słyszeć o tem nie chciała. Pepi dostała rozkaz wyprawienia Jana powtórnie. Zostali sami.

— Poczekasz pan, póki nie przyjdzie... nie dłużej... choć doprawdy wstydzę się tak nudzić pana... Jedziesz jutro... będziesz zmęczonym... Jakże okażę moją wdzięczność!

Staś miał wielką ochotę odpowiedzieć: „puszczając mnię do domu“ bo niebezpieczeństwa nie widział, ale jak tu było okazać się niegrzecznym, gdy dziękowała tak czule?

Czas mijał powrotu Jana nie można się było doczekać Widocznie wszyscy lekarze dziś słowo sobie dali, nie

znajdować się w domu!... Północ minęła dawno, niepokój Stasia ogarniał, dziwne położenie męczyło, Herminja jednak dostrzegać tego nie zdawała się. Rozmawiała, wąchała flakoniki, przymykała oczy i wskutek gorączki zapewne, z uśmiechem ponętnym, żywo zwracała się ku niemu.

— Pani się męczy... proszę nie mówić — przerywał jej co chwila, czując jak mu krew bije do głowy.

Wstał nareszcie, podszedł do okna i uchylił storę. Ulica była pusta, a jasna jak we dnie... Spostrzegł powóz stojący naprzeciw i zdziwił się, że stoi jeszcze, bo widział go przychodząc. Tak, to ten sam, bo białe konie zapamiętał dobrze. Spuścił napowrót firankę.

— Czemu pan wyglądasz?

— Zdawało mi się, że lekarz przyjechał.

— O! pewnie zaraz nadjedzie! Któraż to godzina?

— Pierwsza niedługo.

— Tak późno? a panu zapewne spieszno?... Czuję się zdrowszą.. może lepiej zrobię, wracając panu wolność?

Zaczął szukać kapelusza, bo nie wiedział gdzie go położył. Herminja wodziła za nim oczyma, brwi ściągając.

— Kamienny człowiek! — myślała.

Podniosła się, wsparła na łokciu i wzruszyła ramionami, westchnęła i opadła znów na kanapę

— Nie wierzyłam w stałość mężczyzn! — szepnęła.

Stanisław stał już przed nią gotowy do wyjścia.

Podała mu dłoń, dziękując znowu, zatrzymując jego rękę.

— Jan pewnie wziął klucz — rzekła — musisz pan małemi wyjść drzwiami, jeżeli nie chcesz dłużej czekać, choć mam przeczucie, że zaraz z lekarzem powróci.

— Może teraz przyjechał! — zawołał Staś, słysząc turkot w ulicy.

Przed domem w istocie stanął powóz, i dzwonił ktoś do bramy gwałtownie.

Lokatorów było dużo; Herminja nie oczekiwała żadnego doktora:

— Zadzwonisz pan na Pepi, niech poświeci — rzekła obojętnie.

Chciał za dzwonek pochwycić, ale znów ujęła go za rękę.

— Nigdy panu tego nie zapomnę — zaczęła i długo mówiła o swej wdzięczności.

Nagle puściła jego rękę, drgnęła i zerwała się na nogi bez znaku osłabienia jakiegokolwiek.

— Co to jest? ktoś drzwi otwiera do przedpokoju! — zawołała.

— Jan, który powrócić musiał z lekarzem — odparł Staś spokojnie.

— Nie! nie!... cicho!... o Boże! — odtrąciła go. — To mój mąż! Ale idź-że pan! idź na miłość boską! kroki zbliżają się... Jestem zgubioną, to Konrad!

Stanisław zmięszał się trochę, choć niepojmował przerażenia Herminji. Uchodzić nie czas już było, a zostać nie życzył sobie. W tej samej chwili — progu pojawił się Konrad.

Nic nie odda zdumienia, z jakiem zatrzymał się przybyły we drzwiach, na widok żony w towarzystwie Stanisława. Zrazu zdało mu się, że zasnąwszy w drodze pomylił się co do godziny, sięgnął nawet dłonią po zegarek, ale wnet oprzytomniawszy, ryknął jak zwierz raniony, podszedł ku żonie, oderwał jej ręce od twarzy i krzyknąwszy: „nędznico!“ zwrócił się do Stanisława. Oczy mu na wierzch wybiegły, żyły sine się naprężyły na czole, znalazł krzesło pod ręką i rzucił je z całej siły przed siebie, zapewne w zamiarze dosięgnięcia Stanisława. Upadło ono obok z wielkim stukiem, podczas gdy głos jego zabrzmiał donośnie, zmieniony do niepoznania:

— Więc tak?... przyjaciel?!... dziękuję!

Stanisław czekał odezwania się Herminji, lecz ona milczała uparcie. Konrad pięściami wywijał w powietrzu, z wściekłością nacierając coraz bliżej. Nie pozostawało mu nic jak odejść, ale zamiar ten odgadł mąż rozgniewany i chwytając za drugie krzesło, wrzasnął:

— Czy sądzisz, że sobie pójdziesz spokojnie?!

— Jestem zawsze na twoje usługi, ale nie na pięście i stołki — odparł Staś chłodno. — Pobudzisz całą kamienicę tym hałasem...

— A, to wszystko przechodzi! — zawołał Konrad, ale wspomnienie o zbudzeniu lokatorów poskutkowało, krzesło na podłodze postawił, odsapnął i gotował się coś mówić, gdy Staś już ku drzwiom zmierzając, rzekł:

— Jutro miałem jechać do dnia, naturalnie zostaję! Znajdziesz mnie kiedy zechcesz!

W hotelu telegram czekał na Stanisława. Był on następującej treści: „Nie ma chwili do stracenia — przybycie konieczne — stryj kona i żąda powrotu!“

Staś dołączywszy karteczkę, kazał zanieść ten telegram Konradowi. W karteczce stało:

„Telegram wytłumaczy dla czego odjeżdżam. Powróciwszy stanę na usługi.“

XX.

Ewa dnie teraz spędzała pogrążona w sobie, w bezmyślnej apatji, z której nic ją wyrwać nie mogło. Ubezwładniona nagle, w pół żywa, zapominała o wszystkiem, co nie było jej bolem. Najczęściej leżała nieprzytomna, obojętna. Na jej twarzy była bladość, a co w duszy się działo, o tem łzy płynące świadczyły. Rzadko otwierała usta, rzadziej jeszcze oczy, a spoglądnąwszy w około zamykała je zaraz, jakby raziło ją słońce, widok pomieszkania babki w którem ład i wesołość panowały, gdy w jej duszy była noc, ciemność i rozpacz. Pytała siebie, czy prawdą jest, co ją spotkało? Dziwnie jej było, że mogła jeszcze myśleć, że czuje jeszcze, że ją nie zabiło nagłe rozczarowanie, nie spiorunował ból straszny!

— Wierzyłam, teraz w nic nie wierzę, kochałam teraz nic nie kocham, miałam jakieś pragnienia i nadzieje, teraz niczego niepragnę i niczego się niespodziewam — szeptały drżące jej usta.

I rozmyślała smutnie nad tem, jaką siłę miała dziwną w sobie, uśmiechała się z politowaniem i pogardą, jakby o obcą chodziło istotę... Straciła dziecię i przeżyła tę stratę okropną; straciła Stanisława i

czuje, że żyć dalej będzie.. Dla czegoż los ją oszczędza? Jestże z kamienia, że wszystkie ciosy znieść umie? O! dziś wszystkie w nią bić mogą, bo piorun pali żywe drzewo, ale nie narusza skały, choć jej łono rozrywa!

Wspomnienie Stasia, chwil z nim spędzonych, tem boleśniejsze teraz było, gdy miała niemal pewność, że Staś tylko udawał. Niewierzyła by w sercu ludzkiem mieścić się mogło tyle obłudy i fałszu. Wyobrażając go sobie u nóg innej, czuła odrazę, żal, gniew i boleść zarazem.

Przyszedł list z Whygt. Gorzki uśmiech pojawił się na ustach Ewy. Położyła list nietknięty obok siebie. Więc dalej trwała komedja? W jakim celu?... I długo, długo leżał list na stoliku, nie wzięła go do ręki, jednakże coś ją ku niemu ciągnęło.

Stanisław pisał jak następuje:

„Od chwili opuszczenia cię zacząłem tęsknić i liczyć chwile rozłąki. Tyle już ich upłynęło do dzisiaj! Myślę o setkach mil, które rozdzielają nas znowu i serce czuję omdlewające ze smutku, że tak daleko jestem od ciebie. Kiedy mi będzie wolno spojrzeć w oczy twoje i wyczytać z nich zapewnienie mego szczęścia, trudno mi wiedzieć! — Tej nawet pociechy nie mam aby liczyć godziny z myślą o pewnem jakiemś „jutrze“... Stryja zastałem dogorywającego i opuścić go nie chcę; jednego mnie ma tylko, i bardziej niż kiedy okazuje mi że potrzebny mu jestem. Był już tak prawie jak konającym, lecz gdym przybył, obecność moja przywołała go do życia... Niestety, życie

to na włosku jednym wisi; obowiązkiem moim, przedłużyć je o ile możności..“

Codziennie przychodziły listy podobne temu, długie, stęsknione, rozkochane. W jednym stała wiadomość, że stryj żyć przestał.

„Co mi się działo — było tam między innemi — gdym od adwokata się dowiedział; że interes majątkowy wymaga dalszej mojej obecności nie umiem wyrazić! Ja, com sądził, że zaraz będę mógł polecieć do ciebie, zmuszony jestem siedzieć tu i męczyć się dla spadku, który, o wierzaj mi najdroższa, gdyby nie pewność, że nam wiele ułatwi i życie twoje pozwoli mi umilić, rzuciłbym na wolę losów, tak mi pilno do ciebie i tak nic nie znaczą krocie w moich oczach, gdy je przychodzi okupywać stratą chwil, które mógłbym z tobą przepędzić! — Więcej daleko warte są dnie odkradane szczęściu, niż ta licha mamona! Ale w tych pieniądzach widzę możność dogadzania we wszystkiem mojej najmilszej, możność usłania jej gniazdka z złota i jedwabi, by żaden brak nie budził nas z snu roskosznego do zimnej rzeczywistości. Czarownej tej przyszłości wierzę i ufam, i dziś już obrazy jej roskoszne mnie kołyszą...“

Potem listy zaczęły się zapełniać skargami, że Ewa nie pisze. Narzekał, że ta: „co jest jego wszystkiem, zdrowiem i życiem, wytrwaniem i siłą, zapomina o nim. Pocieszał się, że wina nieodbierania wiadomości, leży zapewne w ilości niezmiernej czasu, którą listy potrzebują, aby się dostały do niego, i w ciągłej zmianie miejsca jego pobytu.

„Na nieszczęście — dodawał — znów jutro jadę

do Londynu, a listy wysłane do Glasgowa, są teraz w drodze z powrotem do Whygt i Bóg wie kiedy je otrzymam. Zginąłbym z niecierpliwości, gdyby nie nadzieja, że za powrotem, wiadomość od mojej Eli czekać na mnie będzie "

Ciągnęło się to tak przez parę tygodni. W Ewie zachodziła zmiana. Że była miłą Stasiowi, nie wątpiła, nadto wiele prawdy tkwiło w jego listach, nadto uczucia, którego udać nie można. Czytając listy, płakała i budziła się w niej myśl, że ją kochał, tylko że konieczną do szczęścia jego nie była... Lekkość usposobienia i charakteru Stanisława, czyniły z niego człowieka, łatwo poddającego się wrażeniom i czującego żywo, ale nie trwale. Łudził się on sam zapewne, mniemając, że bez Ewy wyżyć nie zdoła i ją w złudzeniu tem utrzymywał długo. Wypadek ostatni otworzył jej oczy. Widziała teraz jasno, jaśniej od niego..

Tymczasem Józef ciągle starał się widzieć z żoną i powtarzał swe prośby przez babkę, naglił o rozmowę z Ewą, i Ewa... przystała.

Nikt nie był przytomnym widzeniu się małżonków. Co sobie powiedzieli, jakie Ewa usłyszała wyrazy, z jakiemi spotkała się zaklęciami? czy poruszyły one w niej dawno już budzące się wyrzuty sumienia, czy przeniknęły do głębi? pozostało to tajemnicą nawet dla babki. Jednakże p. Oven po wzruszeniu Ewy, wnioskować mogła wiele i spostrzegła też w wyrazie twarzy wnuczki coś niezwykłego, co jej kazało otworzyć ramiona i młodą kobietę z uczuciem głębokiem przytulić do swoich kochających piersi... W parę godzin potem, matka Józefa synowę zawezwała do siebie.

Gdy Ewa przestąpiła próg sypialni chorej, staruszka właśnie była przyjęła ostatnie sakramenta. Zanim jednak znalazła się obok łóżka umierającej, w pierwszym pokoju spotkała się oko w oko z Aurelją. — Ta zastąpiła jej drogę i groźnie zawołała:

— A ty tu po co?... Odejdź zaraz! Twoje miejsce nie tutaj!

Podniosła jeszcze głos i dodała:

— Czy chcesz słyszeć, jak cię matka przeklinać będzie, ty harda, pyszna istoto?! Małoż ci tego coś nabroiła, pragniesz jeszcze złorzeczeń umierających? Więc przed niczem nie uchylisz czoła? Więc nic nie zdoła być dla ciebie postrachem? Ani grzech, ani pomsta nieba, ani pogarda ludzi?

Krzyczała tak mocno, uniesiona gniewem bezmiernym, że aż szyby brzękały. Józef znajdował się przy matce, czekając na żonę. — Porwał się blady i do głębi wzburzony. Wyrazy nienawistne brzmiały jeszcze na ustach Aurelji, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Józef. Postąpił ku żonie, łzy miał w oczach i głos jego drżał wzruszeniem i bolem.

— Nie potrzebujesz obawiać się niczego! — rzekł do Ewy, biorąc ją za rękę. — Ta, która za chwilę stanie przed obliczem miłosiernego Boga, nie złorzeczyła nigdy, przebaczyła dawno, a teraz czeka na nas, aby cię pożegnać słowy miłości i wyrozumienia!

W rogu pokoju umierającej, rodzaj ołtarzyka był wzniesiony. Ks. Pafnucy właśnie odeń odchodził, gdy wzrok jego zdumiony padł na postępującą ku łożu

matki synowę. Podniósł ręce do góry i widocznie zabierał się do gróźb czy zmiękczania zatwardziałej duszy, gdy Józef skinieniem ręki poprosił go, aby się oddalił. Aurelja wyszła także, pierwszy raz ulegając tajemnej jakiejś sile, która jej kazała bratu być posłuszną. — Małżonkowie zostali sami i klękli obok siebie. Matka wyciągnęła dłonie, złożyła je na głowach obojga i gdy Ewa łkała, a Józef przejęty do głębi patrzył na żonę, przemówiła głosem cichym:

— Dzieci moje, dajcie mi zasnąć spokojnie, pogódźcie się, zapomnijcie uraz swoich!

I coraz ciszej, jakby wraz z temi słowami uchodziło powoli życie, dalej mówiła:

— Ewo, podaj mężowi rękę... niech widzę... a spiesz się...

I w dłoniach Józefa znalazła się dłoń Ewy.

— Powiedz jeszcze — szeptała chora — że nie czynisz tego, aby tylko mnie uspokoić.

Ewa podniosła czoło blade, zaczerpnęła brakującego jej oddechu i po chwili:

— Nie czynię tego dla uspokojenia twego matko! — zawołała. — O nie! czynię to w przekonaniu głębokiem, że w dopełnieniu obowiązków jest jedynie możliwe zadowolenie na ziemi ...

Westchnienie odpowiedziało słowom Ewy. Dusza wolna już teraz od ciężaru ostatniego, swobodna uleciała do nieba, troską stoczone ciało rzucając.

* * *

Trzy telegramy jeden po drugim nadeszły od Stanisława. Domagał się odpowiedzi, chcąc wrócić, wyobrażając sobie, że Ewa chorą być musiała.

— Ja nie chcę, żeby powrócił! — rzekła do p. Oven Ewela — nie czas jeszcze! Uspokój go. Odtelegrafuj, żem zdrowa... — i łzy zalały twarz nieszczęśliwej. — Gdy mnię nie zastanie... zapomni łatwiej, będzie szczęśliwym jeszcze!...

Była na pozór spokojną, tylko bardzo smutną. Józef znachodził to naturalnem, bo i on czuł się smutnym, straciwszy matkę najlepszą. Ewa żądała żeby zaraz po pogrzebie jechali. Gdzie? to było jej obojętnem, byle daleko, jak najdalej! — Chciał poprosić o zwłokę, ale znalazł w jej oczach wyraz taki, że nie śmiał nalegać. Byli w pierwszych chwilach zgody; onieśmieleni nawzajem, gdyż nie zatarła się jeszcze pamięć przeszłości. Może miała słuszność, chcąc uciec z tąd, gdzie wszystko przypominało bolesne „wczoraj“ gdzie narażeni byli na dotknięcie się co chwila czegoś, co wywoływało wspomnienie zdarzeń niedawnych!

— Zaraz! — nalegała Ewa — zaraz! — powtarzała, i to tonem tak dziwnym, że oprzeć się nie mógł.

— Pojedziemy! — odrzekł.

Spuściła oczy, głęboka bruzda zarysowała się na czole i dłonią silnie piersi przycisnęła.

— O jedną jeszcze rzecz proszę — niech nikt nie wie, że jedziemy, i dokąd... Ja sama zresztą tego nie wiem... w Wiedniu natchnienie mi przyjdzie, a świat szeroki! Do Włoch może; nad Bałtyk... zobaczę!...

Stanisław odebrawszy telegram z wiadomością o śmierci ciotki, uspokoił się trochę, i wyglądał dnia powrotu, z nadzieją wyrwania się wkrótce do ukochanej. Gdyby zmieniał on ciągle miejsce pobytu, telegrafował ustą-

wicznie, już o listy nie nagląc.

P. Oven z łatwością uspokajała go i trzymała zdala.

Przed wyjazdem Ewa zebrała wszystkie listy Stasia, odczytując je raz jeszcze. O! jakże wówczas rwała się do niego, jak rozpaczała, tęskniła i cierpiała!

— Nic nie powinno zostać z przeszłości! — zawołała jednakże, zatliła zapałkę, i przyłożyła ją do stosu papierów.

Nie długo w istocie, nic nie zostało z długich, miłośnych listów Stasia, prócz garści popiołu.

— Gdybym tak samo mogła z sercem zrobić swojem! — westchnęła.

Nazajutrz nie było już pp. Józefowstwa w mieście

* * *

— Więc nic mi pani nie powiesz! — wołał Sta stojący przed panią Oven, wzburzony, niespokojny, al niedowierzający jeszcze.

— Cóż pan chcesz, bym powiedziała więcej? Ew powróciła do męża, wyjechali zaraz po pogrzebie, dokąd, nie wiem.

— Ale ja wiedzieć muszę!

— Na Boga, po co panu ta wiadomość? Pi nie możesz, gonić za nią... nie zechcesz.

— Nie należy do rzeczy, jak sobie postąpię!... G pojechała? gdzie jest? zaklinam panią, powiedz! dzisz zrozpaczonego, któremu możesz wrócić ż słowem jednem... gdzie Ewa?

— Ja nie wiem!...

— Zawsze ta sama odpowiedź! Chyba pani rozumiesz tego, co się w mej piersi dzieje? Nie

mujesz doniosłości słów swoich! Dlaczego każesz mi pani wierzyć, chcesz żebym myślał, że Ewa wyjechała? To być nie może! ona by mnię nie opuściła! nie igrałaby z mojem życiem! To są jakieś próby bolesne... Ewa z mężem! Nie, nie wierzę! Może ona pragnie doświadczyć, przekonać się, czy po tak długiem niewidzeniu, pozostałem ten sam co dawniej, czy wytrwałem w uczuciach moich dla niej?... Zobojętnieć! Ja tam, jak więzień do wolności, wzdychałem do chwili ujrzenia jej... męczyłem się i cierpiałem... leciałem dniem i nocą spragniony jej widoku... I dla tego tylko znosiłem utrapienie moje, żem był pewny, iż ona mnię wygląda i na mnie czeka... Żegnając ją, pożegnałem światłość oczu moich, i od tej godziny żyłem w ciemnościach. Nie miałem myśli jednej, czynności takiej, żebym pamięcią nie był przy niej...

Pani Oven znak zaprzeczenia zrobiła ręką.

— Jakto? Nie wierzysz mi pani! Czemże zasłużyłem na tę niewiarę?

— Przytoczę tylko fakt jeden: pamiętasz pan, gdzieś był przed odjazdem swoim, w nocy?

Stanisław mocno myśl wytężył. Pracowała ona widocznie w nim przez długą chwilę. Potem spojrzał na p. Oven i z okrzykiem dłonią o dłoń uderzył.

— Pani wiesz o tem?!

Tak był zmięszany, że wyglądał jak winowajca. I zaraz podniósł głowę. Zaiste wszystkie pozory mogły być przeciw niemu, a jednak gdyby Ewie wiedział rzecz całą, onaby mu uwierzyła pewnie!... winien był dziękować pani Oven, że mu nareszcie wo zagadki odkryła; i zaczął się spowiadać przed

słuchającą go smutnie staruszką, nie tając niczego, nawet tej swojej trwogi, którą uczuł wychodząc z hotelu, nawet wtargnięcia Konrada, z którym miał bić się teraz wróciwszy.

— Ale p. Herminja nigdy chorą nie była! Wiedziałybyśmy coś o tem — zawołała p. Oven.

— Słowo uczciwego człowieka daję pani, że to co mówię, jest prawdą!

— Chcę wierzyć... ale wytłumacz-że mi pan znaczenie listu, który otrzymałyśmy — i powtórzyła całą treść, o podpisie nie zamilczając.

— A! teraz dopiero jasno przejrzałem!... Stałem się widocznie ofiarą naprzód ułożonej komedji!... Ale zaleści wstydzę tych, co ją wymyślili! Lekarza nie można się było doczekać.. i p. Herminja milczała tamarłą! — W oddaleniu, ciągłą wiódł walkę z nieuparcie, gdy jednem słowem mogła się przed mężem pokojem strasznym, ale nigdy przez myśl mu nie uniewinnić!...

Przeszedł się po pokoju rozgorączkowany.

— I biedna Ela moja uwierzyła?... Jakże cierpi musiała!.. Dlaczegoż jednak uwierzyła zaraz? — dodo łamiąc ręce.

— Widziała na własne oczy! Nie dość jej b listu... Pojechałyśmy, stałyśmy wprost kamienicy K radowstwa długo... Ewa z powozu poznała pana, g wchodził do bramy.

— W tym powozie! — zawołał, przypomin sobie. — O! podli! podli! — a ja wierzyłem w stkiemu! Lecz teraz, ach! teraz, mów mi pani prę gdzie ona? Niech się rzucę do jej nóg, niech w maczę... prawda jest przekonywającą... Gdzie jej ie? Nie szukać?

— Nic panu nie mogę powiedzieć... Daremnie byś pan siebie i ją męczył. Nie to jedynie było przyczyną, że Ewa powróciła do męża...

— Pani mnie swojem twierdzeniem upartem zabijasz! Na Boga, przestań mówić, że powróciła do męża, zaniechaj tej bezlitośnej igraszki!

— Nie są żadną igraszką słowa moje, panie Stanisławie! Nie staraj się rozłączyć Ewy z Józefem... nie próbuj pan nawet tego...

— O! co w tem, to się pani mylisz... próbować będę! — zawołał, a oczy jego błysnęły, podczas gdy czoło fałdowało się od wzruszeń gwałtownych i bo-

Ewa u męża! Pewniejszym był, że ją zastanie

rzeszło, aby się stało to, co się stało! Myślał raczej chorobie, o smutkach Ewy, omdlewał z trwogi o j życie. Mógł-że spodziewać się wiadomości podobnej? Sądził, że p. Oven na próbę go wystawia... nie poddawał się jeszcze. Ewa nie mogła być dla ego straconą!

Porwał się z miejsca, głośno wołając:

— Znajdę ją! odbiorę! Ona moja... Choćby przyło na koniec świata iść... poruszyć ziemię i niebo..

Wstrzymała go ruchem poważnym, nakazującym czenie.

— Nie wprzódy, aż mię pan wysłuchasz! — a s jej głęboki, był wielkiem uczuciem nabrzmiały bo gdy mię wysłuchasz, uznasz sam, że Ewa jest straconą dla ciebie! Nie samo rozczaro-

wanie wpłynęło na nią, więcej daleko rzeczy wstrząsnęło duszą biedną, która nie umiała żyć w rozterce sama z sobą. Widziałeś, że nigdy nie była spokojną... jak jednak przemówiło do przekonania jej, jakimi drogami doszło do sumienia i serca i jak poruszyło nią to, co ostatecznie zniewoliło ją do powrotu pod dach mężowski, tajemnica ta zostanie między Ewą a Bogiem! Nie należy ona do nas, są jednak wskazówki w postępowaniu jej całem, które nas mogą oświecić dostatecznie... Czy pan nigdy niczego się nie domyślałeś? Czy w sobie samym nie znajdujesz odpowiedzi na zagadkę postępowania Ewy?

Stanisław jęknął i oczy zasłonił.

Powstała, dając do poznania gościowi swemu, że potem co powie, nic już nie będzie mieć z nim d mówienia. Była też mocno znużoną, i więcej ni znużoną rozmową ze Stasiem, w oczach jej błyszczał łzy, a głos słabł i cichnął coraz bardziej:

— Ewa kochała pana, ale nie mogła zapomnieć że była żoną Józefa. Serce jej przemawiało za p nem, ale silniejszem odeń okazało się wyobrażenie powinnościach surowych!.. Czuła, że idąc wbrwszystkiemu, nie będzie szczęśliwą i pana nie uszczśliwi. Postępek pański z Herminją dodał jej tysiły do spełnienia obowiązku. Sądząc, że i pan łaznajdziesz pocieszenie, nie opierała się już głossumienia. Zaklęcie matki umierającej dokonało iszty... Teraz od pana zależy zostawić ją w mniematem, ułatwić twardą drogę, którą poszła! Będzietwoją pokutą i zasługą razem, p. Stanisławie!

Położenie całe jasno teraz stanęło mu p

wzrokiem duszy. Wszystko było straconem! Już nie mógł ani szukać Ewy, ani wybłagać czegokolwiek dla siebie. Silniejsza, niż wszelkie zapory, które świat i ludzie z prawami swemi między kochankami stawiają, znalazła się przeszkoda, dzieląca ich na wieki, niszcząca na zawsze szczęście, o którem marzyli tak słodko oboje! Uczuł, że rozpłynęło się nicość to, co służyło za kierunek jego myślom, co yło celem, do którego dążył, gwiazdą przewodnią iebem jasnem, jutrem, przyszłością, szczęściem, świam jego całym! Nie zostawało nic więcej, nie miał lzie iść, o czem myśleć, na co się oglądać! Mógł rzeć, bo stanął tam, kędy przed sobą nie widzi się , prócz jednego grobu!

— O Elo! Elo! — wołał — bez ciebie żyć mi podobna! Pamiętasz com ci mówił?!

I z ulgą pewną przypomniał sobie, że jeszcze nań czekało. Miał zobowiązania ważne i spełnić musiał.

— Czem prędzej, tem lepiej! — pomyślał, i ponKonradowi zawiadomienie, że powrócił.

Oziwnem może się będzie zdawać, że panu Konwi, nowina o przyjeździe Stasia i gotowości jego, brzypadła do smaku. Są ludzie, co namyśliwszy stygają znacznie, rozważywszy cofają się, a coś nowiwszy w uniesieniu, potem żałują.

ie wiedzieć czy Konrad do ich liczby należał, ni Herminja potrafiła mu tak wszystko przed, że jego sposób widzenia znacznej uległ ie, dość, że p. Konrad, który krzyczał i hałazwykle bardzo głośno, przed pojedynkiem przy-

cichł jakoś i zmilkł. Może nie bardzo chciało mu s
nałożyć głową, bo lubił dobrze zjeść i zabawić s
wesoło, a do ludzi nie miał najmniejszego żalu, ov
szem znajdował, że stosunki z nimi nie były z
rzeczą. Na serjo zatem zaczął rozmyślać, jakby ur
knąć niemiłej awantury. Jakto, miałby się bić
Stasiem?... Zrobiła by się dopiero historja prawdziv
Gadaniom i plotkom nie byłoby końca. Piękny k
pot sprowadził by sobie na głowę! Skoro Stanisł
powrócił, trzeba pójść do niego i po prostu, po
bremu mu powiedzieć:

— Wiesz co? tak i tak, omyliłem się! Hermi
mi wszystko wyznała... jesteś niewinny jak baran
żalu do ciebie mieć nie mogę. Przepraszam cię.

— Naturalnie Staś ustąpi, podadzą sobie ręce i kw

I tak w rzeczy samej zrobił.

Staś przysłał uwiadomienie, że przyjechał, a
w odpowiedzi sam poszedł do niego, i wierny swoj
przedsięwzięciu, za zgodą oświadczać się zaczął.
się jednak to, czego nigdy nie przeczuwał. Stani
na wzmiankę o zgodzie gwałtownie zawołał:

— Za pozwoleniem! jeśli nie ty, to ja się urażo
czuję... Posądziłeś mię... od pojedynku nie ods
nigdy!

Konrad oniemiał, potem krzyknął z prawd
rozpaczą:

— Oszalałeś, czy co?

— Bić się musimy! — powtórzył Staś.

— Ależ rozważ, proszę!

— Rozważyłem już! Nie podoba mi się
słowem zakończyć sprawę taką! Posądziłeś mi

— Mówię ci, że nie mam już najmniejszego posą-
zenia.. Wiem o wszystkiem...

— Tobie wolno, mnie nie! Bić się musimy.

— A to warjat czysty, słowo daję! Cóż ci tak
ilno kaleką zostać, gdy miliony wziąłeś? Tylko żyć i
używać teraz! W rękę powinieneś mnie pocałować.

— Proszę milionom moim dać pokój i.. radom
woim!

— Kiedy tak, to tak! — wrzasnął zniecierpliwiony
w końcu Konrad, nasrożywszy wąsy. — Myślisz, że
ię zlęknę?.. Umię i ja strzelać, pokażę co umiem...
aki mi gwałtownik panie dobrodzieju! Ja do niego
dobrem słowem, a on na mnie kamieniem. Chcesz,
obrze, będziesz go mieć... kiedy pojedynek, to poje-
ynek! Powąchamy prochu, a chybaby nie było spra-
viedliwości boskiej, żebym cię nie naznaczył!... Co
anadto, to zanadto! On jeszcze będzie utrzymywał,
e czuje się obrażonym!...

I cały zaperzony, przystępując do Stasia, za-
wołał:

— Myślisz, żem ślepy i głupi? Oho! mam ja oczy i
ozum... nie jednego widzieć nie chciałem, ale żebym
ie widział, to znów rzecz inna! Chętka cię bierze
adzierać się ze mną, a więc dobrze! — i trzasnąwszy
rzwiami, aż się szyby w oknach zatrzęsły, wybiegł
ozzło zczony.

— Bić się chce koniecznie! — zawołał, wpadając
o żony. — Śliczna historja! jako obrażony miałem
ybór broni i warunków, teraz on mi je będzie dy-
ować!... Nie ma co mówić, pięknieś mnie ubrała!
porwał poduszkę z kanapy i rzucił nią z całej

siły o ścianę, gdzie odbiwszy się, narobiła kurzawy w pokoju. Targnął wąsy i stanął przed Herminją w groźnej postawie.

— O! te baby te baby!... — nie dokończył, bo piękna pani za rękę go chwyciła.

— Ależ to być nie może, bić się nie będziecie!

— Dla czego? Potrafię mu jeszcze kulę w łeb wpakować...

Gdyby była rzekła: „bić się musicie!“ byłby co innego powiedział. Ale ona przerażona, blada, łamała ręce.

— Ja nie dozwolę! — zawołała.

— Ciekawym jakim sposobem? Mówiłem mu, ani chciał słuchać! nie, to nie!... warjat czysty!

Herminja za głowę się chwyciła. Nie wątpiła, że Stanisław dowiedział się, co było powodem, że go do siebie owej nocy ściągnęła. Bić się chciał, może zginąć. Tak blizką widziała się tryumfu, tak cieszyła się swo jem dziełem, gdy Ewa z mężem wyjechała, stanowcz zrywając ze Stasiem i odwracając się od niego, ż teraz przerażona zadrżała do głębi. Nigdy nie wie rzyła, żeby tamta mogła być dla niego wszystkiem, czegoż nie czyniła, żeby go od Ewy odciągnąć! Pe wność siebie nie opuszczała jej ani na chwilę, zwyciężyć chciała koniecznie, a tymczasem?... Zwątpienie po ra pierwszy ją ogarnęło, wszystko ujrzała zwróconeprzeciwko sobie i groźny wynik całego postępowani stanął jej teraz jasno przed oczami duszy. Serce j rozdarte trwogą, doznało niewysłowionego uczucia ugięła się cała ku ziemi. Po raz pierwszy pomyślał że każdy uczynek nasz jest jako ziarno, które jes

nie zaraz, to później plon swój wydać musi, i że wszyscy karę lub nagrodę odbieramy tutaj zaraz, w miarę usiłowań dobrych lub złych, choćbyśmy słynęli za ludzi uczciwych, i potrafili opinję omylić! A przekonanie, że to, co nastąpi, będzie jej dziełem, jak przekleństwo zaciężyło na płochej kobiecie. Złe, które zdziałała, odrobićniezdolną się czuła, życie człowieka było w grze, losy były rzucone, a nie mogła nic uczynić, jak tylko liczyć godziny i czekać. Konrad nie taił, że strzelać mają w odległości kilkunastu kroków, idąc ku sobie.

Co się jej działo, przez jakie tortury moralne przeszła, trudno opisać. Godziny biły jedna po drugiej, wśród męczarń, niepokoju i wyrzutów sumienia, aż przeszły wszystkie. Pojedynek się odbył. Wiedziała kiedy się odbywał, zdało jej się, że słyszy strzały... Bez tchu, przy oknie, oczekiwała na wiadomość. Zobaczyła powracającego męża.. zdrów i cały wysiadł z powozu. Może lepiej się skończyło wszystko, niż się obawiała? Ta myśl, dała jej siłę wyjścia naprzeciw Konrada i zapytania go o Stasia.

Konrad miał twarz poważną, oczy jego błyszczały gorączką czy łzami, wargi trzęsły się, głębokie jakieś, straszne uczucie, widocznie nim miotało. Byłoż to uczucie radości czy żalu, zadowolenia, że dramat rozegranym został, czy rozpaczy, że się krwawą zakończył tragedją?...

Usiadł ciężko, na najbliższym fotelu, zwiesił głowę i milczał. Postawa jego nie zwiastowała nic dobrego.

Powtórzyła pytanie, tym razem z trwogą naj-

większą. Konrad ściśniętą pięścią w piersi się uderzył.

— Niewinienem Bóg świadkiem!.. on chciał! Stanęliśmy naprzeciw siebie, strzelałem pierwszy, (tu porwał się z fotelu i ręce rozłożył) — zwrócił się ot tak do mnie, gdym za kurek pociągał... Anim widział... strzał padł... nie mierzyłem nawet dobrze... przysięgam, fatalność chciała! — ukrył twarz w rękach.

— Zginął! — zawołała Herminja.

— Na miejscu! — odparł zrozpaczony Konrad.

* * *

Jako najbliższych krewnych zabitego, o którym całe miasto mówiło, że sam szukał śmierci, zawiadomiono o zgonie Stanisława państwa Józefowstwa.

Z pogrzebem czekano na ich przybycie. Tymczasem leżało ciało w hotelu, jakby potrzebował ostatniego pożegnania tej, która była jego życiem, aby na zawsze zniknąć z przed oczu wszystkich. Rodzinny grób w Gródkowicach miał śmiertelne szczątki przyjąć. Ksiądz kanonik i Jerzy czuwali przy nich płacząc, modląc się, a stary sługa narzekał, że pan swojego ukochanego przeżył, że się tego nie mógł spodziewać! I modląc się, oglądał z bojaźnią na twarz dawniej pełną życia, której widok teraz zabobonnym strachem go napełniał. O śmierci! jakże jesteś przerażającą!.. Czasem wyjmował z kieszeni list, przy zabitym znaleziony i po raz niewiedzieć który, sylabizował adres: „do rąk pani Ewy“. Wtedy kiwając siwą głową, wzdychał głęboko. Nie pokazał on go dotąd

nikomu. A gdy tak siedział i oglądał się na ciało, trzeciego dnia zobaczył twarz drugą, również bladą jak nieboszczyka. Postać kobieca, cała drżąca, okryta żałobą, stała na progu. Jerzy z trudnością poznał w niej Ewę. To co nastąpiło, scena, która się odegrała, pełna gwałtownych jęków wobec nieruchomego trupa, miała coś okropnego w sobie.. Jerzy usiłował odciągnąć Ewę, niesłyszała go nawet, nie widziała wcale, choć zachodził z jednej i drugiej strony, za suknię chwytał, odstawiając świece, aby płomień nie objął szat płaczącej.

— Dajcie mu pokój pani! — szeptał. — Nie trzeba umarłych żalem zbytnim zatrzymywać na ziemi. Duszy jego zagradzacie drogę do nieba..

A potem znów:

— Jemu już Pan Bóg przebaczył, nie trzeba rozpaczać, przebaczył!

Ewa spojrzała na Jerzego. Słowo to echem się w jej sercu odbiło. Ustami ruszyła, i jęknęła:

— Przebaczył!.. ale któż mnie przebaczy?!...

Jerzy sięgnął po list. Przyszła mu myśl, że to uspokoi Ewę.

W poczciwem, prostem wyobrażeniu starego sługi, tkwiło przekonanie, że przed śmiercią nie złorzeczy się nikomu.

Bezwiednie wzięła Ewa list do ręki.

Był on następującej treści:

„Ewo moja, pozwól, że cię tak nazwę raz jeszcze, bo nie przestałaś być mojem wszystkiem. Chcę ciebie pożegnać. Niech te słowa będą ci dowodem, że ostatnią myślą moją byłaś. Za parę chwil skończy się

wszystko i cierpienie wszelkie... Spodziewam się i nie chcę przypuszczać, żeby mogło być inaczej... Pamiętasz, ile razy powtarzałem, że bez ciebie nie pojmuję życia? Czuję teraz, że mówiłem prawdę. Zwątpiłaś, nie starałem się widzieć z tobą, ani przekonywać, gdyż przekonaną być nie mogłaś. Marzyłem o szczęściu, tyś w nie niewierzyła... nie obwiniam cię jednak. Miłość taka jak moja, musiała nie mieć przyszłości, bo nadto byłaby dała szczęścia, a czyż szczęście jest z tego świata?! — Bądź zdrowa!“

Żeby zakończyć pięknie, trzebaby powiedzieć, że Ewa opłakawszy Stanisława, żyła potem długo spokojna u boku męża.

Nie byłoby to zgodnem z prawdą. Śmierć Stanisława, nie przestała nigdy ciężyć na jej sumieniu. Spokojną być nie mogła. Żyła, jak żyje wielu ludzi bez najmniejszej radości w duszy, złamana.

Co się w pani Herminji dzieje, Bogu wiadomo, ja tylko opowiem, na co ludzie patrzą. Zwolna przyszedłszy do siebie, po wstrząśnieniu doznanem, powróciła do swego sposobu życia i do egoizmu swojego, który nie dozwala jej nigdy zbytnio pamiętać o drugich. Opłakiwała trochę Stanisława, ale że łzy szkodzą wdziękom, zwłaszcza w wieku pani Herminji i czynią spustoszenia niczem nie dające się wynagrodzić, wyperswadowała sobie, że niekoniecznie trzeba łez, aby po kimś żal swój wyrazić, że można go zamknąć w sobie i nosić w duszy.

Więc zadaniu całego życia swego czyniąc zadość, starała się być miłą i wesołą zawsze. Gdy się dobrze podstarzała, chwyciła się jeszcze jednego sposobu

zapewnienia sobie stosunków rozległych i znaczenia, co dzięki opiece czynnej p. Aurelji, przyszło jej z łatwością. Przystąpić do licznych stowarzyszeń, kwestować zawzięcie, głośno zasłynąć z gorliwości świątobliwej i dobroczynności stało się jej głównem zajęciem. Pan Konrad i dzieci nie najlepiej na tem wyszli, bo zbyt często kazała im pościć. Dzieci nie raz bez śniadania, czekały do południa, gdyż matki w domu nie było... Nareszcie córka jedna wyszła za pierwszego co się nawinął, wcale nie szczególnego człowieka, druga ze skoczkiem z cyrku uciekła, synowie dwaj rozpróżniaczyli się i paniczyków rolę grali i to z pewnem powodzeniem, dzięki przychylności i protekcji niektórych znajomych p. Herminji. Najmłodszy w szkarlatynie, zaziębiwszy się, nie pielęgnowany umarł. P. Herminja widziała w tem wolę bożą, bo gdy dziecko zasłabło, zrobiwszy wotum dania ks. Pafnucemu ślicznego ornatu, przekonaną była, że Bóg sam zaopiekuje się wyzdrowieniem jej dziecięcia.

Co do p. Aurelji, ta stale została przyjaciółką p. Herminji i gdy po pojedynku Konrada ze Stanisławem, ktokolwiek się ośmielał ztąd wnioski jakieś wysnuwać nieprzychylne, spotykał się zawsze z jej zdaniem, że wcale rzecz się ta miała inaczej! Wierzyć trzeba jednak, że p. Konradowa coś czuła i że sprawiedliwość boża spełniała się i nad nią, w jej własnem sumieniu i duszy, choć powtarzać nie omieszkiwała, że familijne smutki i zmartwienia, życie Aurelji skróciły.

W istocie, nie długo po skonie matki, bo jakoś we cztery lata niespełna, śmierć przecięła nielitościwie nitkę żywota bogobojnej panny. Wcześniej niż się

spodziewała i niż sobie życzyć musiała, opuściła ona ten padoł płaczu, gdzie choć tyle złego widziała, byłaby wolała jeszcze pozostać, nie mając chęci dostania się tak spieszno do nieba. Nie umarła jednak w skutek jakiegokolwiek zmartwienia, lecz w skutek niehygienicznego zachowania się, lekceważąc zdrowie i sądząc, że przez to zasługuje się Bogu.

Na łożu śmiertelnem, przywiązanie do życia obudziło się przecież w niej i wybuchło już bez udania żadnego. Wziął górę instynkt zachowawczy, leczyła się usilnie, pragnęła wyzdrowienia. Otoczona księżami, którzy za obowiązek sobie poczytali pospieszyć z modłami swemi do umierającej, rozgniewała się za taką bezwzględność i z wielkiem zdumieniem wszystkich, powypraszała co do jednego, utrzymując, że wcale nie myśli umierać.

Ks. Pafnucy nie sprzeciwił się jej i tym razem, zaniechał zaraz odprawiania mszy w pokoju chorej, a dowiadywał się tylko jak się czuje, odwiedzając ją często. Długie miewali z sobą rozmowy, do których pani Oven, pielęgnująca Aurelję z własnej chęci i dobrego serca, nie bywała nigdy dopuszczaną.

Chora czuła się już bardzo źle, gdy razu pewnego została sama z księdzem. Zaczął mowić o testamencie, przedstawiając, że jeszcze nikogo napisanie ostatniej woli nie umorzyło. Aurelja długo się ociągała, nareszcie rzekła:

— Napisać, nie napiszę, ale dać mogę zaraz. Gdy wstanę oddacie; potrzebuję na życie.

Śmiertelny pot już występował jej na czoło, ostatnie o życiu mówiła.

— Kluczyk znajdziecie pod poduszką... papiery są złożone wszystkie w szufladzie na prawo...

Czkawka przerwała jej mowę. Ksiądz Pafnucy, trzymając kluczyk, przystąpił do biurka i otwierał już szufladę, gdy Aurelja poruszyła się, chciała się podnieść, opadła na poduszki i w tym wysiłku ostatnie tchnienie uleciało z jej piersi.

Pani Oven niespokojna, napowrót weszła do pokoju, aby zobaczyć co się dzieje z chorą. Rzuciła wzrokiem na łóżko. Aurelja leżała bez życia. Podeszła do biurka.

— Co tu ksiądz robisz? — spytała, patrząc mu w oczy.

Zmięszał się.

— Wykonuję wolę ostatnią nieboszczki — rzekł.

— Proszę poczekać. Znajdzie się zapewne testament.

— Testamentu nie ma.

— W takim razie, ja jestem odpowiedzialną za wszystko! — położyła rękę na kluczu. — Przepraszam, ale papierów nikt dotknąć nie może.

* * *

Majątek bardzo znaczny Aurelji, został oddany Józefowi. Wiedział, że siostra nie miała zamiaru mu go przekazać.

— Nie chcę — rzekł — żeby się rozszedł marnie, ja też nie chcę i ja go zatrzymać. Niech idzie na pożytek bliźnich!

Oddał pieniądze na stypendja dla ubogiej uczącej się szlacheckiej młodzieży i na fundusz dla rzemieśl

ników, którzy pracując w swym zawodzie, nie mają za co warstatu założyć, co lepiej, jak sądził, dla wielu o małych zdolnościach umysłowych, niż dobijanie się chleba kończeniem wyższych szkół, które go wcale nie dają.

Nazwisko i pamięć Aurelji, zespolone zostały tedy z prawdziwie dobroczynnym celem, o którym ona za życia nigdy nie byłaby pomyślała, z oświatą i użytecznością, od których ona zawsze trzymała się z daleka, będąc na wszystko obojętną.

Pan Kuba ożenił się i dostał równie gada [illegible] on sam żonę. Z czasem przegadała go jejm[illegible] nowczo. Miał jednak nałożony obowiązek znoszenia plotek i wiedzenia o każdej rzeczy, wydarzającej się w mieście, a że nigdy nie chciał pod tym względem okazać się niższym od żony, kiedy pani coś opowiadać zaczynała nowego, a on słuchał ciekawie, po skończonej jej relacji nieomieszkiwał odzywać się z udaną obojętnością i flegmą:

— O! ja już dawno o tem wiedziałem!

— Wiedziałeś, a nie powiedziałeś! — wołała wtedy rozgniewana i było potem na parę dni kłótni, póki coś świeżego nie odwróciło uwagi zbyt porywczej pani.

P. Karafarosz do końca życia pozostał poczciwym Karafaroszem, który wykształcenia nie miał, rozumem nie grzeszył, a sprytu prócz wrodzonego do robienia majątku, nie posiadał.

Szkoda, że wielkie państwo zakręciło mu zupełnie głowę. Manja wynoszenia się zwichnęła w niem wszystko; mógł być pożytecznym członkiem społeczeństwa,

w którem przodkowie jego skromną pracą i zapobiegliwością, tak nam brakującą, tworzyli dotąd czynnik arcypotrzebny i przez kraj szanowany, śmieszność nawet jego byłaby przeszła niepostrzeżona, każdy chętnie pokłoniłby się był wyższości pracy, która sama szlachectwem będąc, obchodzić się bezpiecznie może bez tytułów wtedy, gdy ludzie nie wstydzą się siebie i tego czem są w istocie, ale fałszywe wyobrażenie o zaszczytach i tytułach i chęć nierozsądna dorów[illegible]ia panom, skusiwszy grubego p. Krzysztofa, [illegible]e zamiast pracować dalej, zaczął żyć nad [illegible]ieci wychowywać w próżniactwie i choć go serce za pieniądzmi bolało, rozrzucać je dla większego świetnienia na wszystkie strony... Stracił cały prawie majątek, potem chciał się na giełdzie odegrać, to mu się nie udało i raz na fałszywą drogę wstąpiwszy, poszedł także wbrew obowiązkom swoim.

Koniec.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 2536A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

Miejska Biblioteka Publiczna 7482 Białystok



A 7482